Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz

Cena 10 zł (VAT 0%)
NR INDEKSU 352071
PL ISSN 0208-6220

9 770208 622809 09

AKCENT nr 3 (117) 2009

a

3

(117) 2009

akcent

literatura i sztuka ● *kwartalnik*

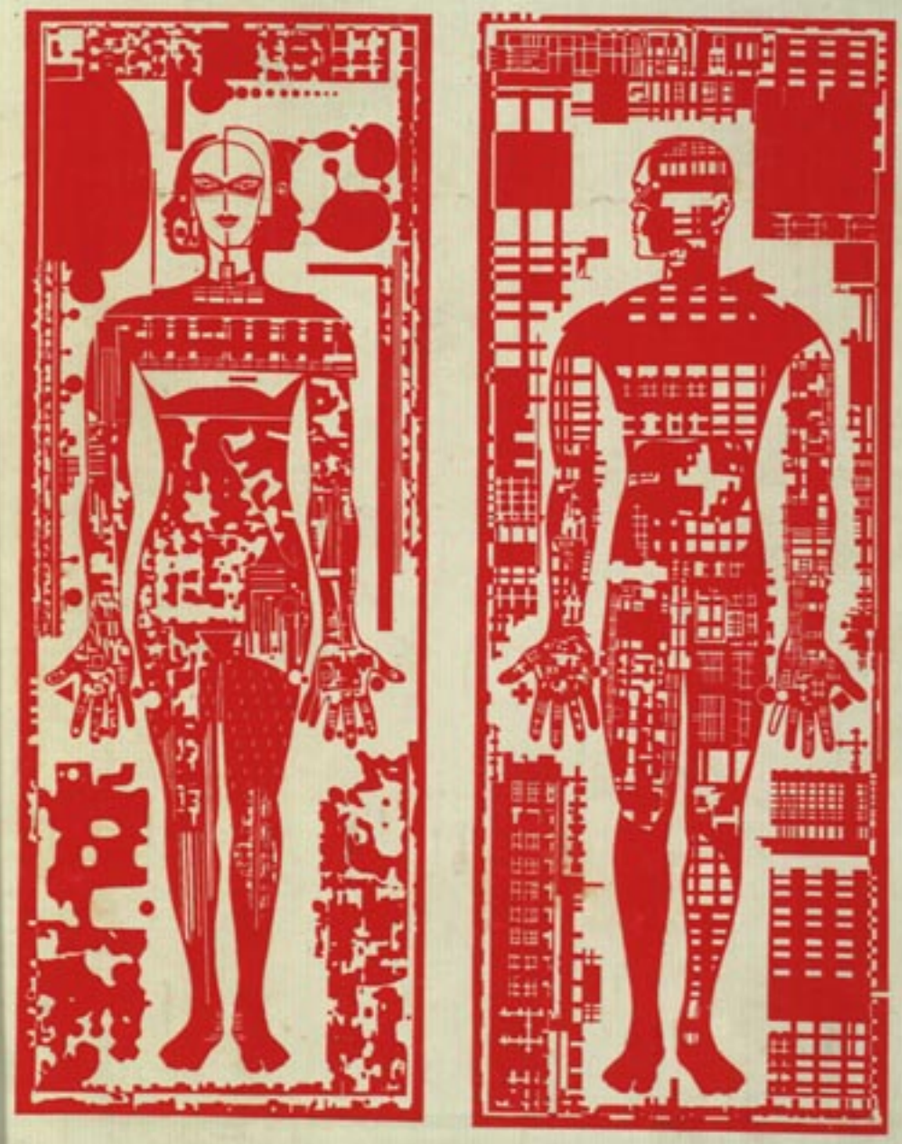

Ostatnie dni Nazara Honczara ● Z Lublina na Manhattan – Tadeusz Mysłowski ● Internet jako miejsce pochówku ● O Ryszardzie Kapuścińskim ● Proza J. Reutera, G. Filipa, M. Kreczmera, A. Kozak ● B. Dziemidok o szczęściu ● Marcin Różycki – bard ironiczny i sentymentalny

akcent

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
ŁUKASZ JANICKI
LECHOSŁAW LAMEŃSKI
WALDEMAR MICHALSKI (sekretarz redakcji)
ANNA RUMAN
EMILIA RYCZKOWSKA
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
ANETA WYSOCKA

Łamanie
MAC Arkadiusz Makowski

Konsultacja techniczna
Janusz Solecki

Stale współpracują:
Bogusław Biela (Francja), *Marek Danielkiewicz, Ewa Dunaj, Józef Fert, Ludwik Gawroński, Michał Głowiński, Andrzej Goworski, Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács* (Węgry), *Marek Kusiba* (Kanada), *Jerzy Kutnik, Eliza Leszczyńska-Pieniak, Jacek Łukasiewicz, Łukasz Marcińczak, Anna Mazurek, Wojciech Młynarski, Dominik Opolski, Wacław Oszajca, Mykoła Riabczuk* (Ukraina), *Małgorzata Szlachetka, Jerzy Święch, Bohdan Zadura*

Czasopismo patronackie **Biblioteki Narodowej**
wydawane na zlecenie **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

Numer 3/2009 zrealizowano przy pomocy finansowej
Wojewódzkiego Ośrodka Kultury
ze środków **Województwa Lubelskiego**

„Akcent" korzysta w 2009 roku ze wsparcia
Kancelarii Senatu Rzeczypospolitej Polskiej
(projekt *Polskie rodowody, polskie znaki zapytania*)
oraz
Urzędu Miasta Lublin

Partnerem medialnym „Akcentu" jest **Radio Lublin** S.A.

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2009 by „Akcent"

rok XXX
nr 3 (117)
2009

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Tadeusz Mysłowski: *On i ona*, 2008

Na czwartej stronie okładki:
Specjalna strona poetycka nowojorskiego „Nowego Dziennika"
według projektu Tadeusza Mysłowskiego, 2005

Adres redakcji:
20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro
tel. (081) 532-74-69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.glt.pl

Stronę www prowadzi Anna Goławska

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent" Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu".

W USA „Akcent" rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik" – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia" Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent", 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3
Biblioteka Narodowa, Dział Wydawniczy Czasopism Patronackich
02–086 Warszawa, al. Niepodległości 213
tel. 22 608-23-74, tel./fax 22 608-24-88
e–mail: czaspatron@bn.org.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 3 września 2009 r.
Druk: Multidruk S.A., Lublin, ul. Unicka 4

Cena zł 10,-

Spis treści

Nazar Honczar: *wiersze* / **7**
Aneta Kamińska: *Lubelskie początki i ostatki Nazara Honczara* / **10**
Jerzy Reuter: *Masaj Jakaya* / **16**
Marek Danielkiewicz: *wiersze* / **24**
Ewelina Wejbert-Wąsiewicz: *Non omnis moriar? Internet jako miejsce pochówku* / **27**
Marek Lobo Wojciechowski: *wiersze* / **36**
Grzegorz Filip: *Entropia zero* / **39**
Izabela Kawczyńska: *wiersze* / **53**
Bohdan Dziemidok: *Teoretyczne i praktyczne kłopoty ze szczęściem* / **55**
Danuta Kurczewicz: *wiersze* / **75**
Marcin Kreczmer: *Karciane opowieści* / **78**
Ilona Kula: *wiersze* / **95**
Tadeusz Kłak: *„Co moje wierszem tylko stoi". Szkic do portretu Waldemara Michalskiego* / **98**
Anna Kozak: *opowiadania* / **109**
Márton Falusi: *wiersze* / **115**

DWUGŁOSY
„Życie jest z przenikania" – o książce na temat twórczości Ryszarda Kapuścińskiego piszą Wojciech Ligęza i Franciszek Piątkowski / **120**

PRZEKROJE

Prozaicy, prozaicy...
Joanna Kisiel: *Zabawa w chowanego* [Jacek Podsiadło „Życie, a zwłaszcza śmierć Angeliki de Sancé"]; Anna Ruman: *Ciemne strony kobiecości* [Sylwia Chutnik „Kieszonkowy atlas kobiet"]; Małgorzata Potent: *Smak rdzy* [Ewa Berent „Rdza"]; Magdalena Górecka: *Sprzedać duszę za złudę przetrwania* [Andrzej Bart „Fabryka muchołapek"]; Łukasz Janicki: *Naiwne pytania* [Teresa Oleś-Owczarkowa „Rauska"] / **129**

Poeci, poeci...
Aleksander Wójtowicz: *Powrót Brunona Jasieńskiego* [Bruno Jasieński „Poezje zebrane"]; Bogusław Biela: *A u mnie ciągle w planach słońce teraźniejsze, obłoki aktualne, drogi na bieżąco* [Wisława Szymborska „Tutaj"]; Renata Ziółkowska: *Białoruskie danse macabre* [„Nie chyliłem czoła przed mocą. Antologia poezji białoruskiej od XV do XX wieku"]; Jacek Hnidiuk: *Miłość,*

Bóg i Mariupol [Wojciech Sołtys „I jeszcze dalej"]; Marcin Orliński: *Wstąp we mnie* [Rafał Mieczysławsky „rzucone na światło"]; Andrzej Goworski: *Made of poetry* [Jacek Bierut „Fizyka"] / **147**

PLASTYKA
Lechosław Lameński: *Czarno-biały zapis emocji według Tadeusza Mysłowskiego* / **167**

BARDOWIE
Marcin Różycki: *wiersze* / **178**

BEZ TYTUŁU
Leszek Mądzik: *Pokój spokoju – ciemne lustro* / **185**

NOTY
Agnieszka Ziętek: *Miejsce schronienia, miejsce odosobnienia. Technologiczne (Hipo)centrum świata* / **187**

Noty o autorach / 190

EUROPEJSKA STOLICA KULTURY LUBLIN 2016 KANDYDAT

NAZAR HONCZAR

No patrz

zobaczysz

patrz na swoje sny:
obiektywnie
absurd już nawet w tym
że kamera
sama jest bohaterem
(patrz też przypis)
po seansie
patrz przez okno:
i na co ono patrzy
niby to
nie patrząc na to
że nie jest na cały świat

patrz na potylicę lustra
które odwróciło twarz
i nie patrzy na twojego tatę

***

patrz przez okulary żony
które ma na nosie

patrz na syna
żeby nie zanadto wpatrywał się
w ciebie
a jeszcze nie zanadciej
na wszelkie dziwowiska

* patrz swoje przymknięte powieki
** postspectrum: w wolnej chwili patrz słowniki na hasło patrz...
(przez palce)

***

gotowość №n
na godzinę iks
i grek tego
[nie]
ten

***

niby od niechcenia obdarować nieznajomą
na jej imieniny jeszcze i urodziny (jak się okazuje) –
dobra oznaka tym bardziej jak się okazuje
spokoju godny godny spokój
przyjmując wszystko jak należne
czy nawet tak
niby niczego niezwyczajnego
świadomość / byt
w określaczu

***

płakać – śmiesznie śmiać się – smutno
płakać wstyd śmiać się grzech
chociaż mówią *zdrow'ja*
no i trzy po trzy
naplotłem dubów smalonych
płakać – śmiesznie? śmiać się – smutno?
może.
ale marudzić – naprawdę marudno:
dzień i noc
w zmianowniku

***

zabraknie mnie dla wszystkich
zabraknie mnie dla każdego
zabraknie mnie dla żadnego
zabraknie mnie dla siebie
zabraknie mnie

***

ja mrocznieję – zmierzcham się
ty mroczniejesz – zmierzchasz się

ja znocniłem się
ty znocniłaś się

my bolimy:
bóg się modli

ja dnieję – świtam:
ty dniejesz – świtaj:

świat sednieje

***

śni mi się nieznana Italia
oj jak zaznamy jej
odrodzenia
i na zawsze
i na wszędzie
wiatr
przebudzenia
napędzi
mnie nie doznanego
śnią
Ukraina
– no i świat z nią

***

jak-umrę-to
zamarłbym
na wznak
pochowajcie
to – krew z nosa –
wstanę
zapomnieć wszystkie słowa
oprócz ciszy

przełożyła *Aneta Kamińska* (z udziałem autora)

Tadeusz Mysłowski, projekcja świetlna materiału z teki graficznej 1978-1979

ANETA KAMIŃSKA

Lubelskie początki i ostatki Nazara Honczara

Ostatni raz widziałam Nazara Honczara w Lublinie

Po całym dniu wypełnionym spotkaniami pożegnaliśmy się przy rynku: ja – wiecznie śpiesząca się i zdyszana, popędziłam łapać ostatni bus do Warszawy, Nazar – wiecznie powolny i spokojny, został z Grzegorzem Józefczukiem w „Akwareli". Tuż przed rozstaniem ustaliliśmy wstępny plan na najbliższy czas: następny wspólny występ miał być 6 czerwca podczas lubelskiej Nocy Kultury, potem w czerwcowy „długi weekend" Nazar jechał na festiwal do Radziejowic, pomiędzy jeszcze praca nad nowymi przekładami i mój występ we lwowskim „Kabinecie". Szczegóły były jeszcze do ustalenia, ale z grubsza wszystko zaplanowaliśmy, wiza na pół roku, załatwiona w trybie przyśpieszonym i odebrana poprzedniego dnia, też była. Jakoś wszystko zapowiadało się dobrze: Nazar zaczął więcej mówić, czegoś (czegokolwiek!) wreszcie można się było od niego dowiedzieć, dostałam też obszerne materiały na temat grupy ŁuHoSad, dzięki którym wiele rzeczy zaczęło się zazębiać i wyjaśniać, po przerwie wróciliśmy też do przekładów – i tego słonecznego, spokojnego dnia miałam wrażenie, że coś się otwiera, że będę coraz bardziej poznawać Nazara i jego wiersze, że będę coraz lepiej rozumieć, że to początek jakiejś nowej epoki, jakiś przełom w tej translatorskiej historii. Pożegnałam się, śpiesząc na dworzec i w myślach niecierpliwiłam się już, kiedy będę mogła zasiąść do tłumaczenia właśnie co odkrytej *Poetyckiej arche-meta-etymologii*. I ten widok: Nazar w czarnej koszulce z wydrukowanym na biało wierszem wizualnym *copydown / copyright – copyleft / copyup*, w szarej koszuli, z plecakiem, stojący przy ogródku „Akwareli" na lubelskim rynku – nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, że ten widok, 23 kwietnia 2009 roku, może być widokiem ostatnim.

(Gdybym wiedziała? Nie uwierzyłabym. Tak samo, jak nie wierzyłam niespełna miesiąc później, tak samo, jak nie wierzę i teraz. Ale gdybym, gdybym wiedziała. Zahamowałabym i zostałabym wtedy na tym rogu w Lublinie, zatrzymałabym jakoś to ujęcie, ten moment – na wieki, pilnowałabym, żeby Nazar nie zniknął, nie rozpłynął się tak absurdalnie, żeby został tu, na lubelskim rynku, żeby tak stał przy tym ogródku, nigdzie nie wyjeżdżał, bo tylko w tym miejscu, w tej chwili jest bezpieczny).

Ostatni polski występ Nazara Honczara miał miejsce w Lublinie

Właśnie tego dnia. Tego jasnego, ciepłego i leniwego dnia – jednego z takich dni, kiedy wszystko układa się jak należy, kiedy ma się wrażenie, że żyje się właściwie i że wszystko, co najlepsze i najważniejsze, ciągle jeszcze jest przed nami. Spędziliśmy tu cały dobry dzień, przemieszczając się nieśpiesznie

ulicami Lublina w towarzystwie Marcina Czyża i Jarka Wacha, autobusami i pieszo, zahaczając po drodze o kafejki, redakcje i pomnik Marysieńki.

Najpierw występowaliśmy u Marcina Czyża, w bibliotece na Kruczkowskiego. Czytaliśmy wiersze z tomiku *Gdybym*, to znaczy: nie tak po prostu czytaliśmy, tylko najpierw ja czytałam swoje przekłady, a potem Nazar – zamiast wyciągnąć wersję ukraińską – z wersją polską w ręku próbował odtworzyć swoje oryginały. Pomysł był imponująco brawurowy, tym bardziej że nieprzekładalne wiersze Nazara nierzadko przerabialiśmy, a nawet pisaliśmy po polsku na nowo – wahania więc i pauzy między wersami i wierszami były wiele mówiące, i to rodzenie tekstów na oczach publiczności, powtórne rodzenie przez autora „oryginałów", „oryginałów" odbiegających już, rzecz jasna, od oryginałów, było czymś naprawdę wyjątkowym. Jeden z wierszy – *Apologię obojętności* – czytaliśmy nawet w trzech wersjach: ukraińskiej, mojej polskiej, i Nazarowej polsko-o-polskiej, przenoszącej całą sytuację z Ukrainy do Polski. I jeszcze wiersz *[ja – migoczę...]*, do którego Nazar – żeby wywołać migotanie – walił się po głowie swoim polskim tomem (w zastępstwie pustego kartonu po soku jabłkowym). Na okładce tego tomiku jest zdjęcie Nazarowej łysiny, więc zderzanie się oryginału i kopii tej głowy mogło rzeczywiście wywoływać gwiazdy i – jakąś nową artystyczną jakość. A na zakończenie – przystawianie pieczątki (okazało się, że Nazar – jako zawodowy poeta i performer – ma swoją pieczątkę: z tym samym, co na koszulce wierszem wizualnym *copydown / copyright – copyleft / copyup*) i rozdawanie tak charakterystycznych dla niego, pełnych wywijasów i zakrętasów, niepowtarzalnych autografów.

Ostatnie zdjęcie Nazara Honczara w Polsce. Po jego prawej stronie Jarosław Wach, po lewej Aneta Kamińska i Marcin Czyż. W tle ulica Grodzka, 23.04.2009 r. Fot. arch. „Akcentu"

(Teraz dopiero zrozumiałam, że ten dziwny przyrząd, który przed występem Nazar wyciągnął z plecaka razem z pieczątką, a którego ostatecznie w bibliotece nie użył, to prawdziwy instrument muzyczny – drumla, po ukraińsku nazywana drymbą. [Nazar, oczywiście, tego nie powiedział.] Ilu jeszcze takich rzeczy nie rozumiałam lub rozumiałam opacznie? Ile jeszcze potrzebuję czasu, żeby wyśledzić te wszystkie ważne drobiazgi, które dadzą [dadzą?] jakiś pełniejszy obraz?)

Potem leniwa droga do centrum i dziwnie uroczyste odwiedziny (dziwnie ostatnie odwiedziny) w redakcji „Akcentu", w którym to piśmie Nazar debiutował w Polsce, w 1997 roku, razem z całą grupą ŁuHoSad, w przekładach Bohdana Zadury. Odkryłam też niedawno, że pierwszy poetycki występ Nazara w Polsce również miał miejsce w Lublinie, w 1991 na KUL-u (rok wcześniej występował w Warszawie, ale jako aktor, razem z Teatrem im. Łesia Kurbasa).

(Czy wszystko to ma jakieś znaczenie? Czy układa się w jakąś całość? Czy dopiero teraz chce się doszukiwać w tym jakichś ukrytych znaków, jakichś tajemnych powiązań? Czy da się przeprowadzić jakąś linię między tym pierwszym a ostatnim występem, między KUL-em a UMCS-em, między Lublinem a Lwowem?)

Nie wiedząc, że to ostatnia wizyta, bo robiła wrażenie pierwszej, pierwszej z całej serii kolejnych ważnych wizyt, zeszliśmy ciemnymi schodami w jasną Grodzką i Krakowskim Przedmieściem ruszyliśmy na ostatni występ, na Wydziale Filologii Słowiańskich UMCS. Ale wcześniej jeszcze obiad, wspólny obiad w „Bazylii", że to będzie ostatni – na to nie wskazywała ani zupa minestrone, ani filet z kurczaka, ani surówka wiosenna, co wszyscy troje (razem z naszym przewodnikiem po tym dniu, Marcinem Czyżem) jednogłośnie zamówiliśmy, ani nawet ostatni wolny stolik w ostatnim rzędzie pod ścianą na to nie wskazywał (choć on akurat by mógł).

Potem ociężali i zmęczeni zasiedliśmy pod pomnikiem i wreszcie był czas, żeby wyciągnąć się na ławce, wyciągnąć tomik i porozmawiać chwilę o przekładach. Po raz nie wiem który zapytałam wtedy o ten tajemniczy niby to wiersz, wykonywany przez Nazara w sposób mistrzowski: na jednym oddechu, z gwizdaniem, chrapaniem, gulgotaniem i innymi niezidentyfikowanymi dźwiękami. I po raz pierwszy otrzymałam na to pytanie odpowiedź, konkretną odpowiedź: Nazar pokazał mi wiersz, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi, a może zwróciłam, tylko z miejsca uznałam za nieprzekładalny, wiersz *Poetycka arche-meta-etymologia*, który wtedy, tego słonecznego dnia w Lublinie, pod pomnikiem Marii Curie-Skłodowskiej, wydał mi się jak najbardziej przekładalny i który później przetłumaczę, zaraz po powrocie do domu, Nazar to przejrzy i naniesie poprawki, a teraz już wstajemy i idziemy szukać naszego piętra i naszej sali w Nowym Humaniku, bo zaraz się zacznie (zacznie i skończy, ale o tym nie mamy pojęcia, a przynajmniej – ja nie mam pojęcia).

(Dlaczego wypełniona energią tego dnia uwierzyłam, że na wszystko jeszcze będzie czas, dużo czasu? Dlaczego nie wykorzystałam tych chwil – na ostatnią rozmowę, na ostatnie wspólne przekłady? Dlaczego nie zauważyłam w ogóle słowa „ostatni", krążącego gdzieś tam pewnie wokół nas, czającego się może za każdym rogiem? Dlaczego błędnie odczytywałam je jako „pierwszy"? Dlaczego widziałam dopiero początek drogi, skoro już gdzieś rysował się jej koniec?)

Z tego występu najbardziej utkwi mi w głowie *autoportret w zupie*, utkwi tam, zostanie i nie da już spokoju. Czytaliśmy cykl *auto* Nazara: *autoportret w autobusie*, *autoportret w tramwaju*, *autoportret przed telewizorem*, *autoportret na patelni* i Marcin Czyż powiedział wtedy: *Nazar właśnie jest, jakby go nie było, na przykład jedliśmy przed występem razem obiad i Nazar niby jadł zupę, ale jakby się w niej przeglądał. – Może układał autoportret w zupie*, zażartował ktoś z sali i żart ten przyklei się do mnie. Pierwszy raz też przeczytaliśmy świeżo przetłumaczoną *Modlitwę Nazarecką*, która już miesiąc później zabrzmi tak, że ciarki po plecach będą przechodzić. Było też oczywiście gulgotanie i świstanie, jakżeby inaczej, Nazar nawet powiedział parę słów na temat tego wiersza, dosłownie parę słów, resztę już sama sobie doszukałam i doczytałam, ale muszę to odnotować, bo takie szafowanie komentarzami u niego to coś naprawdę niespotykanego. W ogóle tego dnia Nazar był wyjątkowo – jak na niego, oczywiście – rozmowny, a oba te występy (których obawiałam się lekko, prawdę mówiąc) były chyba najbardziej luźne, a jednocześnie najbardziej zgrane ze wszystkich naszych występów – prognozy na przyszłość, na przyszłe przekłady i prezentacje, wyglądały jak najlepiej i jak najjaśniej. Tak jak jasne i słoneczne były ulice, którymi wracaliśmy z UMCS-u: Krakowskie Przedmieście i Grodzka, aż do rynku, do ogródka „Akwareli", gdzie na spotkanie wyszedł nam Grzegorz Józefczuk i przejął Nazara ode mnie. Gdzie czas powinien się zatrzymać i ja powinnam się była zatrzymać, ale oboje niebezpiecznie pomknęliśmy dalej.

Ostatni występ Nazara Honczara miał miejsce w Użhorodzie

Jedne z ostatnich maili, które wymieniliśmy na początku maja w sprawie przekładów i przypisów do antologii, to:

Nazar: *Mam nadzieję, że nie jest to bardzo pilne, bo okazuje się nie takie proste, przynajmniej teraz dobrej głowy nie mam.*

Ja: *Nie takie pilne.*

(Dlaczego nie wiedziałam wtedy, że pilne, że niezwykle pilne? Dlaczego przez następne dwa tygodnie nie wysłałam do niego żadnych wiadomości, chociaż chodziło mi po głowie, żeby napisać, przypomnieć, zmobilizować do zrobienia tych komentarzy? Dlaczego nie wykorzystałam tego czasu, tego ostatniego czasu na dowiedzenie się wszystkiego i zrozumienie wszystkiego – całego Nazara Honczara i całej jego sztuki?)

Bo potem był już ostatni, ostateczny, najostateczniejszy mail, który do niego wysłałam, 21 maja o godzinie 19:51, wierząc, że to nieprawda, że wszystko jeszcze można cofnąć, odwołać, odczarować:

Odezwij się natychmiast, czy żyjesz!!!
(że żyjesz!!!)

I to, że nie dostałam na ten mail żadnej odpowiedzi, że mogłam nie dostać na taki mail żadnej odpowiedzi – było (i jest do tej pory) dla mnie wielkim zdziwieniem i wielką niewyjaśnioną zagadką.

Pierwszy polski niewystęp Nazara Honczara miał miejsce w Lublinie

I zaraz potem znowu był Lublin, kilka moich wizyt zaplanowanych nawet wcześniej, ale planowanych przecież zupełnie inaczej. Było mówienie o Nazarze, wspominanie, czytanie jego wierszy, opowiadanie o tym, co wydarzyło się w Użhorodzie i na cmentarzu Łyczakowskim. Tak dużo w tym czasie mówiliśmy o Nazarze, że on był z nami, nawet bardziej intensywnie niż wcześniej, teraz przeglądał się nie tylko w przedmiotach, ale również w nas,

w naszych słowach – i przez to jeszcze trudniej było w to wszystko uwierzyć, i dzięki temu nie było już potrzeby w to wszystko wierzyć.

(Wracam teraz często do zdania z wywiadu, który przeprowadził z Nazarem Honczarem Lubko Deresz – jednego z bardzo niewielu wywiadów (trzech-czterech?), bo jak można przeprowadzić wywiad z kimś, kto prawie nic nie mówi: *A w ogóle to Nazar podobny jest do tego, czym – zgodnie z teorią buddyzmu zen – powinien stać się dopiero po śmierci: medytującym ośrodkiem światła, który nieprzerwanie wypromieniowuje energię twórczą.*)

27 maja pojechałam więc do Lublina, żeby – zamiast na swoich urodzinach – skupić się znowu na Nazarze, najpierw w bibliotece na rynku, potem w „Mieszkaniu poezji" u Izy Błasiak z Teatru NN. A 2 czerwca znowu musiałam być w Lublinie, znowu na UMCS-ie, tym razem na konkursie poetyckim i bardzo chciałam przejść tym samym szlakiem aż do Nowego Humanika i obiad zjeść koniecznie w „Bazylii" – co podczas poprzedniej dwudniowej wizyty w czasie „Miasta Poezji" z jakichś tajemniczych, do dziś niezrozumiałych powodów mi się nie udało: dotarłam tylko do Empiku w Galerii Centrum i coś mnie zawróciło na obiad do „Zadory". Tego dnia było tak samo: wychodząc z Empiku, wiedziałam już, że do „Bazylii" nie dotrę i że – jak zawsze – moje miejsce jest w „Zadorze", poszłam więc, a raczej pomknęłam tam, posłuszna swojej intuicji. I dobrze zrobiłam, bo okazało się, że *autoportret w zupie*, który chodził za mną półtora miesiąca, dopadł mnie wreszcie tam, przy sałatce, a nie przy zupie, jak by nazwa na to wskazywała.

Plan był – jak wszystko w tej historii – zupełnie inny. Miałam podsunąć Nazarowi pomysł dopisania do swojej serii autoportretów jeszcze tego w zupie, sama też chciałam napisać cykl wierszy, które nawiązywałyby do Nazarowych, prowadziłyby z nimi dialog. Mój *autoportret w zupie* miał być w barszczu ukraińskim, siedział już zresztą zaczęty (poczęty i napoczęty) w warszawskim komputerze, ale za nic nie dał się dokończyć (ani skończyć, ani wykończyć). I tego dnia, w „Zadorze" napisał mi się zupełnie inny, zupełnie nowy, zupełnie nieoczekiwany wiersz... Nazara. Jego autoportret, nie mój. Odbity we mnie, w moich słowach wiersz pożegnalny, lubelski wiersz pożegnalny Nazara, upewniający mnie, że wszystko jest jak należy:

(ostatni wiersz nazara honczara napisany przez Anetę Kamińską)

autoportret w zupie

odtąd w zupie
nawet i tym drugim
dnie
nie ma
mnie
bo ja pływa
gdzie
i
dziej
się

I zaraz później, 6 czerwca mieliśmy znowu być w Lublinie, mieliśmy czytać wiersze podczas Nocy Kultury. I tak naprawdę – byliśmy, bo ja byłam – namacalna, żywa, zmoknięta, ale i Nazar był, krążył gdzieś ponad i pomiędzy, wychylał się ze wszystkich ukraińskich występów tej lubelskiej nocy i z naszego czytania pod redakcją „Akcentu", a najbardziej wychylał się z „Gazety

Wyborczej", gdzie akurat w ten weekend zamieszczona została *Modlitwa Nazarecka*, teraz jeszcze bardziej przejmująca, ale Nazar w kolorowej włóczkowej czapce spokojny i pogodny był jak zawsze.

A następny weekend, ten właśnie długi weekend, kiedy Nazar pewnie był w Radziejowicach, ale nie tak zupełnie, bo częściowo (szczątkowo) był też ze mną w Warszawie (a częściowo na pewno też i w innych miejscach), przesiedziałam przed komputerem i – zamiast przypisów do przygotowywanej antologii, zamiast przekładów, zamiast choćby własnych wierszy – wyrzucałam z siebie jak automat następne wiersze Nazara, następne autoportrety, wyczerpując się dopiero koło pięćdziesiątki. I w lubelskich ostatnich występach Nazar wtedy też się przejrzał i przyjrzał im bliżej:

autoportret z autografem

au! to graf
o!
mam
stempelek
na to

autoportret w bazylii

minę-stronę
albo dwie
i zniewrócę

autoportret w lublinie

lublinię się
lenieję
i bałaganiam
pod krzesłem
(wskrzeszony i krzyż
tu nakreślą)

Aneta Kamińska

Książki nadesłane

Wydawnictwo FORMA, Szczecin

Dariusz Muszer: *Wolność pachnie wanilią.* 2008, ss. 171

Paweł Przywara: *Zgrzewka Pandory.* 2008, ss. 167.

Grzegorz Strumyk: *Nierozpoznani.* 2008, ss. 90.

Artur Daniel Liskowacki: *Capcagap.* 2008, ss. 121.

Rafał Mieczysławsky: *rzucone na światło.* Posłowie P. Michałowski. 2009, ss. 49.

Paweł Orzeł: *Nic a nic.* Opowiadania. 2009, ss. 85.

Łukasz Szopa: *Kawa w samo południe. Opowiadania.* 2009, ss. 85.

Łukasz Suskiewicz: *Egri bikaver. Minipowieść.* 2009, ss. 123.

JERZY REUTER

Masaj Jakaya

Koniec pory deszczowej w Serengeti to początek wielkiego tryumfu śmierci. Powoli opada szara zasłona wody, a przez jaśniejące niebo przebijają zabójcze promienie afrykańskiego słońca. Rzeki zamieniają się w małe bajora, wokół których kotłuje się wojna o zwierzęce prawa do wody, jedzenia i terytorium. Antylopy zwołują się w dwumilionowe stado i wędrują za deszczem.

Nam pozostał poker i dobra rosyjska wóda. Zaopatrzeniem zajął się fotograf z Amsterdamu, Dawid Kunz, korespondent kilku fundacji i wolny strzelec. Kunz był Żydem i często przypominał nam o swym pochodzeniu, próbując w ten sposób coś dla siebie ugrać.

Drugim kompanem do pokera był młody Niemiec, Paul, przyrodnik, badacz i doktorant uniwersytetu w Getyndze. Fajny chłopak. Trochę niepokorny, często walczący o swoje racje, a przy tym koleżeński i ładny młodością połączoną z niebywałą inteligencją.

Byłem wtedy korespondentem tureckiej stacji telewizyjnej i robiłem przyrodnicze reportaże, filmy i diabli wiedzą, co jeszcze, a właściwie wszystko, za co można było dostać parę groszy.

Kunz miał dobre układy u Rosjan w Nairobi i kombinował. Sprzedawał informacje o zapotrzebowaniu na broń u miejscowych plemion, załatwiał wojskowe konserwy, ciuchy, materiały fotograficzne i oczywiście wódkę. To był dobry interes. Zaopatrzenie dostarczał nam stary kumpel wszystkich reporterów, Akiba Naduu, kenijski jubiler i handlarz diamentami.

– Zobaczycie! – powtarzał często Kunz. – Jak tylko skończymy tę pieprzoną robotę, pojedziemy do Pemba na białe dziwki. Mam tam zaprzyjaźniony burdelik. Palce lizać, panowie. Biała dziwka w Afryce to rarytas!

Paul był w przeciwieństwie do Kunza drobnym i anemicznym mężczyzną, ale ciągnął wódę za dwóch i nigdy się nie upijał. Grał dobrze w pokera i płacił karciane długi. Kunz natomiast pił niewiele i zawsze wygrywał. Miał szczęście.

Siedzieliśmy od trzech tygodni na małym wzgórzu, oczekując na antylopy. Przed nami leżała wielka sawanna, płaska jak stół i sięgająca aż do jeziora Wiktorii. Graliśmy w pokera dobieranego z pojedynczym przebiciem do wartości banku. Nie chcieliśmy się ogrywać, raczej grać jak najdłużej. Kunz był dobrze do przodu od Paula. Ja byłem na zero. Na stole leżała spora kupka amerykańskich dolarów, a karty lepiły się do palców. Był środek nocy i gdy kładłem do banku swoje przebicie – miałem trójkę waletów – odchyliła się zasłona namiotu i weszła stara Masajka Baluu.

– Panie Jerry – powiedziała – pański pies zdycha za namiotem. Krew mu z pyska leci.

Moja ręka zawisła nad stołem. Powoli położyłem na kupce banknotów swoje przebicie i powiedziałem:

– Wasze dwa i moje pięć w górę.

Baluu była naszą służącą. Miała niedołężnego syna i to był dla niej wielki problem.

– Sprawdzam i idę spać – powiedział Paul.

– Sprawdzam i ja – Kunz rzucił na stół piątaka.

Wygrałem. Moje walety były mocną kartą. Baluu podeszła do stołu, poprawiła dogasającą lampę, pozbierała puste butelki i ułożyła w rogu namiotu.

– Pański pies, panie Jerry, co z nim będzie? – położyła rękę na moim ramieniu.

Murzynka mówiła angielszczyzną pomieszaną z językiem suahili.

– Nic mu nie będzie, Baluu, pewnie się zranił – odparłem i rozlałem do kieliszków wódkę. – Napijesz się z nami?

– Nie piję. A pies zdechnie do rana, panie Jerry.

Kunz potasował karty i rozdał na dwóch. Paul okręcił się śpiworem i poszedł spać pod moskitierę.

– Baluu – odparłem – połóż się w samochodzie. Jutro będzie robota.

Baluu miała syna, ale nie w tym problem, bo miała jeszcze pięciu chłopaków. Tamci wysocy i szczupli jak świece. Wszyscy już dawno stali się wojownikami, mieli swoje inkajijik, czyli chałupy i długie włosy. Kłopotem i wielkim utrapieniem był najmłodszy Jakaya. Już to mówiłem. On, ten Jakaya, był całkiem serio upośledzony na umyśle i chromał na nogę. To było wielkie nieszczęście. Kaleka w wiosce Masajów to same kłopoty – tak mówiła Baluu.

– Co z twoim psem? – zapytał Kunz.

– Nic. Zranił się i leży.

Prosto z ręki Kunza dostałem dwa asy i blotki. Oczywiście, wymieniłem dwie. Niech myśli, że mam trójkę.

– To ja też dwie – powiedział Kunz. – Takie strachy nie na mnie.

Przeczekałem, a Kunz zagrał za trzy dolce. Dałem bank i podniosłem do dziewięciu, oczekując sprawdzenia. Nie podnosiłem kart, grałem na dwa asy, w ciemno.

– Jak chcesz, to zobaczę twojego psiaka, co?

Kunz znał się na chorobach zwierząt i był w tym dobry.

– Czy ja wiem? – odpowiedziałem. – Pies to tylko pies. Poleży i wstanie zdrowy. Może nadział się na mocniejszego?

Mój towarzysz uśmiechnął się i rzucił na stół dwadzieścia dolarów.

– Twoje dziewięć i moje dziesięć do góry – powiedział. – Rozegramy, a potem zerknę na psa, Jerry, szkoda kundla.

Zrobiło się cicho. Na stole leżało już prawie trzydzieści zielonych, a my udawaliśmy, że nic ciekawego się nie dzieje, że wszystko, Baluu, mój chory pies i śpiący Paul są ważniejsi od pokera. Taki bluff, wiem coś o tym. Upajaliśmy się ciszą, udawaliśmy obojętność, nie patrząc na stół i karty. Graliśmy na czas. Nagle w tę zastygłą atmosferę wszedł dziwny jęk, inny i nieznany. Spojrzeliśmy na siebie.

– Pies – powiedziałem.

Jęk powtórzył się długim przeciągłym zawodzeniem, wzniósł się wysoko i zgasł.

– Nie – zaprzeczył Kunz. – Tak wyje człowiek.

Przez kilka minut nasłuchiwaliśmy, wyławiając nocne odgłosy sawanny. Na próżno.

– Graj – szepnął Kunz.

Wtedy po raz drugi uchyliła się zasłona namiotu i weszła Baluu. Podeszła do stołu i nieoczekiwanie usiadła na krześle Paula. Nigdy tego nie robiła.

– Co się stało, Baluu? – zapytałem.

– Pan Kunz mi pomoże – powiedziała. – Ja wiem o tym. Ale ja nie mogę z panem Kunzem gadać. Czy wysłucha pan mojej opowieści? Panie Jerry?

Baluu miała na sobie czerwoną szatę i ciężkie, metalowe obręcze na szyi. Miała też duże, masajskie oczy i jeszcze większy smutek wytatuowany na twarzy. Po chwili ciszy położyła dłonie na naszych dolarach i zanuciła pieśń.

– Śpiewa w języku maa – powiedział Kunz. – Nie rozumiem tego ni w ząb. Baluu, o czym śpiewasz?

– Ja się modlę, proszę pana.

Kobieta miała dłonie zniszczone ciężką pracą. Męskie dłonie.

– Idę zobaczyć psa – Kunz schował karty do kieszeni. – Dogramy później.

Nałożył kapelusz, wziął latarkę i wyszedł. Baluu ze wstrętem wytarła dłonie o czerwoną suknię i pochyliła się w moją stronę.

– Panie Jerry, mój Jakaya może jutro umrzeć, a ja chcę, żeby żył. Czy to źle? Czy może mi pan pomóc?

– Mogę, Baluu, ale jak?

- Kunz ma lekarstwo. Niech pan uprosi kolegę, żeby dał dla Jakaya.

Baluu oprócz tego, że była matką, była też córką masajskiego wodza. Dzieciństwo spędziła w Dar Es Salaam, gdzie skończyła jakąś szkołę. Nie była głupią Murzynką.

– Nam nie wolno leczyć Masajów – powiedziałem. – To nie nasza sprawa. Wiem, o co chodzi, Baluu. Ty chcesz leki, bo twój syn przejdzie jutro obrzezanie. Mamy zakaz ingerowania w wasze tradycje.

– On tego nie przeżyje.

Zwiesiła głowę i zaczęła kiwać rytmicznie ciałem, śpiewając swoją modlitwę. Wtedy po raz trzeci odchyliła się zasłona namiotu i wszedł Kunz. Wypił kieliszek wódki i powiedział:

– Tyfus!

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Baluu odskoczyła od stołu i schowała się za moskitierę.

– Jak tyfus? – zapytałem. – Co ty mówisz?

– Psi tyfus. Tak się to nazywa.

– I co teraz?

– Psa trzeba dobić i to szybko, a potem głęboko zakopać. Męczy się jak cholera. Musimy też utrzymać wszystko w tajemnicy, bo jak się dowiedzą chłopaki z rezerwatu, to będzie wielki kłopot. Mogą nas wypieprzyć z Serengeti.

– Mogą, Kunz.

Spod moskitiery wyszedł przebudzony Paul. Usiadł przy stole.

– Widzę, że nasz Żyd robi zadymę – powiedział. – Co się dzieje? Nie gapcie się na mnie. Mówcie, do kurwy nędzy.

Kunz przełamał z trzaskiem palce – zawsze tak robił, gdy się wkurzał.

– Uważaj, Paul! Słowo „Żyd" w szwabskim ryju brzmi niebezpiecznie!

Zanosiło się na kolejną awanturę. Znałem ich obu, jak codzienną rację chleba i wiedziałem, że takie wybuchy kończą się zawsze butelką pojednania. Podobno Kunz uratował życie Paulowi. Nie wiem, tak słyszałem, że niósł nieprzytomnego wiele kilometrów na plecach. Gdzieś nad brzegiem Mekongu, gdy filmowali razem połów pangonodazjana – to jakaś potworna ryba, co jak się wkurzy, to dochodzi do czterystu kilogramów wagi – wpadli w ręce kłusowników. Zresztą, żaden tym się nie chwalił.

– Wy, Żydzi, zawsze rzygacie Niemcom w twarz – powiedział Paul. – By stać się waszym wrogiem, wystarczy być z Westfalii albo innego pieprzonego landu. Gudłaje, kurde!

Wiedziałem, że muszę się wtrącić, bo kłótnia może potrwać do rana, a zanosiło się na mnóstwo roboty.

– Kunz! – zawołałem. – Mieliśmy grać! Prawda? A ty Paul nie przeszkadzaj! Zawiń dupę w śpiwór i wracaj na materac!

Baluu wyszła z namiotu i znowu rozległ się ten niesamowity jęk. Paul nie poszedł spać. Zajął się piciem wódy, a my wróciliśmy do gry. Miałem wielką ochotę sprawdzić, ale niewyraźna mina Kunza mówiła sama za siebie. Wygrzebałem ostatniego dwudziestaka i rzuciłem na stół.

– Twoje dziesięć i moje dziesięć. Co ty na to, Kunz?

– No właśnie. Sam nie wiem, czy warto grać o te pieniądze? Ty, Jerry, jesteś już goły, a moja karta wymaga bardziej dynamicznej licytacji.

Marszczył czoło i udawał, że intensywnie myśli. Wiedziałem, że to kolejny bluff.

– A kto zabije psa? – zapytał.

– Ja jestem Niemcem – powiedział Paul. – Nam nie wolno, nawet psa, bo co by na to powiedział nasz stary Kunz?

– Mam inny pomysł – Kunz uśmiechnął się półgębkiem, a ja wyczułem jakiś podstęp. – Zagramy, Jerry, o twojego psa. Co ty na to?

– Chcesz grać o mojego zdychającego psa?

Jęk Baluu stawał się powoli nie do zniesienia.

– O jego śmierć zagramy – powiedział Kunz. – I to, co na stole.

Wyjął z kieszeni małą strzykawkę. Poznałem, to była jednorazówka morfiny. Głupi Kunz uśmiechał się podejrzliwie i kombinował dalej.

– Możemy skrócić cierpienia psa, albo... Albo pomóc człowiekowi. Co ty na to, Jerry?

– Nie rozumiem, co tam pieprzysz, Kunz – odparłem stanowczym tonem. – Do rzeczy!

– Wygrasz – zaczął bawić się strzykawką – twój pies może umierać szybciej i łagodniej. Przegrasz, Jerry, dam morfinę Baluu. Przynajmniej jej syn przejdzie bez bólu inicjację.

– Jesteś kawał skurwysyna!

Zagraliśmy. A co mogłem zrobić? Miałem dwa mocne asy i nieodkryte trzy karty, co dawało jakąś nadzieję. Dla porządku, Kunz sprawdził za dziesięć dolców i wszystko miało się za chwilę rozstrzygnąć. I znowu odchyliła się zasłona namiotu i weszła Baluu. Z dzikim wyrazem twarzy, zapłakana stanęła za moimi plecami. Poczułem, że rozumiała, o co toczy się gra. Paul przyglądał się wszystkiemu z lekkim rozbawieniem, napełniał co chwilę kieliszek i wypijał. Nie chciał się wtrącać.

– To co? – powiedział Kunz. – Zaczynamy? Odkrywamy po jednej, dobrze?

– Stawiam moje humbaki – wtrącił się Paul. Wychlał pół butelki, ale wiedział, co mówi. – Wygrany jedzie ze mną do Australii filmować humbaki. Stoi?

Przytaknęliśmy jednocześnie. Ja i Kunz. Wyrzuciłem na stół moje dwa asy, a Kunz asa i dziewiątkę. Baluu przykucnęła tyłem do nas i znowu zaczęła się kiwać. Moją trzecią kartą była trójka. Kunz miał dziewiątkę. Czwartą kartą Kunza też była dziewiątka. Ja odkryłem trzeciego asa.

– Ratuje mnie czwarta dziewiątka – powiedział podniecony Kunz. – A ciebie, Jerry, przy karecie dziewiątek nic nie uratuje. Jak widzisz, czwarty as jest u mnie.

– No, który wygra? – Paul zatarł ręce. – Od razu mówię, że wylatujemy z Monachium. Formalności na mojej głowie.

Odwróciłem tę pieprzoną kartę i rzuciłem na stół drugą trójkę. Miałem fula na asach. Kunz, bardzo powoli odgiął róg, spojrzał i syknął nieprzyjemnie.

– Cholerny szczęściarz z ciebie, Jerry – powiedział. – Masz chłopaku fart i zabieraj morfinę, jest twoja.

Szybko zgarnął wszystkie karty i przetasował.

– Ta ja idę położyć się w samochodzie – powiedziała przez łzy Baluu. – Muszę się wyspać, bo czeka nas robota.

– Ja też się położę – westchnął Paul. – Już po przedstawieniu, chociaż było bardzo przyjemnie.

– Tak – przytaknąłem. – Musimy się przekimać. Mam małą prośbę, Kunz, zrobisz coś dla mnie? Nic wielkiego.

– Mów, Jerry.

– Daj mojemu kundlowi ten zastrzyk, co? Wiesz, ja nie mam wprawy i nie lubię.

Kunz, bez wahania wziął ze stołu strzykawkę i odbezpieczył igłę.

– Nie ma problemu, Jerry – powiedział. – W końcu to twoja wygrana. Chętnie ulżę psiakowi.

Gdy Kunz pomagał zdychać mojemu psu, dopiłem resztę wódki. Było tego pół butelki.

Wstaliśmy wraz z upałem, tuż po wschodzie słońca. Obudziła nas Baluu. Weszła do rozgrzanego i dusznego namiotu, podniosła zasłonę i wpuściła do środka falę suchego skwaru. Leżeliśmy zlani potem i zmęczeni wódą, odwodnieni i osłabieni. Po chwili, niczym zgonione hieny, chłeptaliśmy ciepłą wodę zaprawioną odkażającymi tabletkami – dar od Rosjan z Kabulu. Do każdej butelki alkoholu dokładali opakowanie prochów. Wiedzieli, co robią. Baluu zachowywała się zupełnie inaczej niż w nocy. Uśmiechała się i krzątała żwawo wokół namiotu. Siedzieliśmy przy stole, umoczeni potem i każdy z nas myślał o nadchodzącym dniu.

– Zaczyna się piekło – powiedział Paul.

Kunz co chwilę wycierał twarz w brudny ręcznik i ciężko oddychał, silił się na uśmiech i widać było, jak zmęczenie rysuje ostrą kreską zmarszczki wokół jego ust.

– Baluu! – zawołałem. – Co się dzieje na sawannie?

Murzynka weszła do namiotu i powiedziała:

– Przyszły! Sawanna się poruszyła.

Wiedzieliśmy, co nas czeka. Przecież czekaliśmy na antylopy. Nikt z nas nie miał żadnego pomysłu na pozbieranie się w kupę, na zwinięcie namiotu i resztę tej całej pieprzonej roboty. Upał i przepicie obezwładniały nas i odbierały siły. Pomogła nam Baluu.

– Przyprowadziłam ludzi do pomocy – powiedziała. – Już sprzątają na zewnątrz. Przyszli moi synowie z żonami.

Wyszliśmy przed namiot i spojrzeliśmy w kierunku Kilimandżaro.

– Baluu? A co z twoim małym? – zapytał Kunz. – Co z Jakaya?

Kobieta zrobiła minę szczęśliwej matki. Nie, to nie była wczorajsza Baluu.

– Za chwilę będzie miał próbę bólu, proszę pana, a pod wieczór obrzezanie. Mój syn jest dzisiaj bardzo dzielny.

Przed nami poruszała się sawanna. Setki tysięcy antylop, głowa w głowę, szło w stronę rzeki.

– Cholerny upał – powiedział Paul.

Z wielkim mozołem zapakowaliśmy wszystko na samochód, klnąc i utyskując na paraliżujący żar. Musieliśmy wyprzedzić o kilka godzin antylopy i rozbić obóz nad rzeką, ustawić sprzęt i czekać. Gnu szły powoli, wyjadając trawę do ziemi, a za nimi małe stada zebr i gazele Thompsona. Po przejściu dwóch milionów kopytnych ziemia zrobiła się czarna i naga, obdarta z zieleni, do następnej pory deszczowej.

Mieliśmy zaklepane z zarządem Serengeti dobre miejsce, tuż nad rzeką w akacjowym gaju pełnym zbawiennego cienia. Obiecaliśmy sobie, że po zainstalowaniu odbijemy butelkę wódki i wypijemy za pomyślność. To było bardzo obiecujące postanowienie. Baluu po spakowaniu wszystkich klamotów oddaliła się wraz z synami do swojej wsi. Nie zatrzymywaliśmy kobiety, miała dzisiaj swoje wielkie święto – jej upośledzony syn miał stać się mężczyzną. Przed nami był niewielki kawałek drogi, może trzydzieści mil, ale w tak rozpalonym piecu, gdzie nie ma żadnych dróg, podróż wydłuża się w nieskończoność. Moi towarzysze ułożyli się z tyłu, a mi pozostała kierownica – chrapali całą drogę, jak stare prądownice.

Dotarłem na miejsce po prawie dwugodzinnej jeździe, po przepychaniu się pomiędzy zwierzętami, ustępowaniu z drogi, strasząc klaksonem bardziej agresywne grupy. Rzeka, szeroka i wezbrana po deszczach, była metą podróży i ostatecznym celem naszej roboty. Mieliśmy sfotografować przejście antylop przez niebezpieczny nurt. Po dotarciu do akacjowego zagajnika wywlokłem brutalnie towarzyszy z samochodu – dobry sposób na budzenie skacowanych fotoreporterów. Wyglądali jak wszystkie nieszczęścia sawanny wrzucone do wanny wypełnionej ludzkim potem.

– To już? – zapytał Paul. – Tak dobrze się spało.

Do dzisiaj nie wiem, co dobrego było w śnie Paula. W takim upale?

– Ale piekarnik – westchnął Kunz. – Dobrze, że mamy drzewa. Może nie rozbijajmy namiotu? Zrobimy brezentową wiatę i będzie dobrze.

Powoli rozpięliśmy kawał płótna pomiędzy drzewami i ustaliliśmy swoje miejsca. Mój rolleiflex nadawał się na złom, ale wyposażony w najlepsze teleobiektywy Zeisa jakoś nadążał. Paul i Kunz pracowali kamerami.

– To co? – zapytałem. – Odbijamy butelkę?

– Jasne – powiedział Paul. – Przecież to ustalone, nie?

– A ja mam wszystko w dupie i modlę się o koniec tej parszywej roboty – stwierdził Kunz.

Otworzyłem konserwę, na zakąskę – do tej wódki.

– Boże! – Kunz usiadł pod wielką akacją. – Jak ja bym chciał być już w Pemba. Panowie! Mały bajzel z wannami w kolorze indygo, a dookoła chodzą białe dziewczyny. Masują plecy, przypalają papierosa, podają szklaneczkę. Chcesz więcej? Kiwasz małym palcem i masz.

– Pieprzysz, Kunz, jak każdy alkoholik – powiedział Paul. – Dlaczego akurat białe, a nie czarne? Co?

Paul był gejem i nigdy tego nie ukrywał, ale, przy tym, miał wielką zaletę. Umiał zachować się nawet w burdelu.

– Dlaczego? – odparł Kunz. – Dlaczego białe? A dlatego, bo czarne mają średnio po dwanaście lat. Dlatego. Pieprzyłeś białą kobietę w środku Afryki?

Paul, wchodzisz do małego domu, tuż nad oceanem i widzisz raj. Białe, na oko trzydziestoletnie dziewczyny krzątają się wokół ciebie, a każda uśmiecha się, buja biodrami, kusi dekoltem. Powiem wam coś. Nie ma nic lepszego na tym parszywym świecie niż doświadczona, trzydziestoletnia dziwka.

– Myślałby kto – zaśmiał się Paul. – Myślałby kto, że z ciebie, Kunz, taki ogier.

Zrobiłem kanapki z konserwowanym tuńczykiem i włączyłem się do rozmowy.

– Myślicie, że do wieczora skończymy?

– Może tak, ale widzisz... Upał jak diabli – odparł Kunz.

– Kiepsko z nami – dodał Paul. – Niepotrzebny był ten poker i tyle wypitej wódki.

Jedzenie czegokolwiek w takim skwarze przypomina karmienie kormoranów. Trzeba mocno odchylić głowę i wepchnąć kęs do gardła. Gryzienie nie wchodzi w rachubę, bo wszystko smakuje jak trociny.

– Poker był potrzebny – powiedział Kunz. – Ja mam na odwiedziny w Pemba, Jerry ma z głowy psa, a ty, Paul, kumpli na wyprawę do Australii.

– Tak, popracujecie dla mnie – przytaknął Paul.

Przesiedzieliśmy tak może trzy godziny. Wypita wódka przyjemnie krążyła w żyłach i wszystko wydawało się łatwe i przyjemne. I nagle jakaś dziwna siła podniosła nas z trawy i nakazała spojrzeć na drugi brzeg rzeki. Zaczęło się. Ustawiliśmy się na stanowiskach.

– Chłopaki! – zawołał Paul. – Mamy je! Idzie stado!

Po drugiej stronie była kilkumetrowa skarpa, łącząca się bezpośrednio z wodą. Wiedziałem, że antylopy muszą skakać do rzeki z wysoka i dlatego to miał być dobry materiał na fotoreportaż. Pierwsze szeregi zwierząt przystanęły nad urwiskiem i czujnie spoglądały w nurt. Dołem kotłowała się woda i czające się w niej krokodyle. Antylopy napierane przez dalsze szeregi zaczęły spadać ze skarpy. Na chwilę znikały, po chwili wynurzały się i z uniesionymi głowami spływały w stronę drugiego brzegu. Przez skarpę przewalał się nieskończenie wielki i żywy tłum gnu. Gady pozwoliły dopłynąć zwierzętom do połowy i gdy już w wodzie znalazły się setki antylop, krokodyle rzuciły się na żer. Rzeka zabarwiła się na czerwono. Co chwilę rozlegał się plusk, potem wielkie szczęki i kolejna ofiara znikała pod powierzchnią. Krokodyl nie połyka pod wodą, dlatego co kilka sekund nad lustrem pokazywały się obrzydliwie kłapiące gęby, pełne świeżego mięsa. Po chwili pierwsze gnu dopłynęły do brzegu. Wyszły z wody, otrząsnęły się i poszły dalej.

Minęło kilkadziesiąt minut. Krokodyle zrobiły swoje, a przez rzekę, już spokojnie, przeprawiały się kopytne. Natura pobrała należny jej haracz.

– Mam już wszystko! – zawołał Paul.

Wystrzelałem kilkanaście filmów i potwierdziłem Paulowi takim samym okrzykiem. Kunz też był zadowolony. Teraz pozostało nam pakowanie i powrót do Dar Es Salaam.

Przy samochodzie czekała na nas Baluu. Nie była sama. Siedziała na ziemi otoczona grupą Masajów, wśród których rozpoznaliśmy jej synów. Przy nogach kobiety leżał mały chłopiec.

– Oto mój dzielny Jakaya – powiedziała z dumą Baluu. – Przyszłam wam pokazać mojego wojownika i podziękować panu Kunzowi. Mój syn jest już mężczyzną.

Rodzina kobiety zaczęła śpiewać, a malec powstał i pokuśtykał do Kunza. Mówił krótko. Nie zrozumieliśmy żadnego słowa, bo przemawiał w języku maa.

– On wam dziękuje – wyjaśniła Baluu.

Zaintrygowało mnie to cholernie, bo za co miał nam dziękować upośledzony syn starej Murzynki? Wyczułem kolejny szwindel Kunza. Może nic by się nie działo, może nawet bym o tym szybko zapomniał, ale niespodziewanie z krzaków wylazł prosto na mnie mój pies. Tego było za wiele.

– Kunz – zapytałem. – Co jest grane?

– E tam, Jerry – odparł. – Wszyscy zdrowi, nie? Psu nic nie było, a jak wiesz, ja mam morfinę na stanie i muszę pisać protokół użycia. Co miałem wpisać? Że dałem dziecku przeciw bólowi? Toż to granda kryminalna.

– A co napiszesz?

– Jak to co? Pies miał tyfus, nie? Zdechł i został zakopany poza terenem Serengeti.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tą dziwną sytuacją, a potem zawołałem Baluu.

– Weź sobie tego psiaka – powiedziałem. – Jakaya będzie teraz potrzebował przyjaciela. Jest w końcu tym cholernym wojownikiem.

Jerzy Reuter

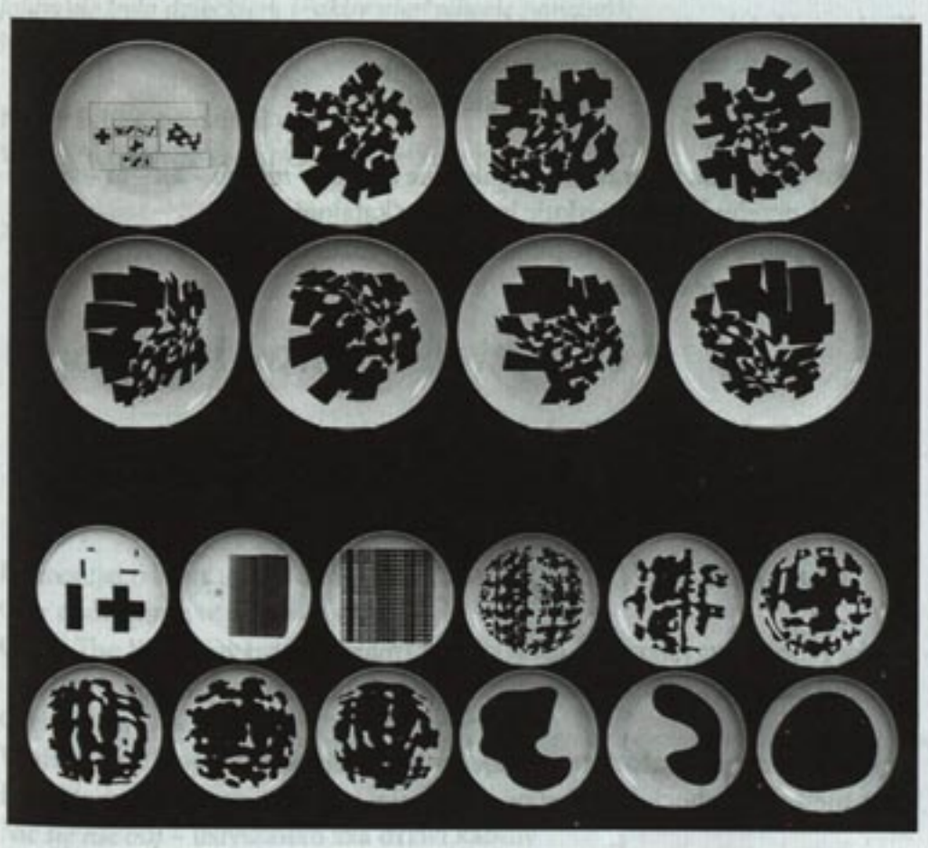

Tadeusz Mysłowski, dwa zestawy ceramiki, Porcelit Pruszków, 1991

MAREK DANIELKIEWICZ

Elegia na odejście kompozytora Adama Falkiewicza (1980-2007)

Nic tu po nas, dlatego nocą piszę wiersze
Umacniając się na pozycji przegranego
Z ulicy zabiorą ciało
Wrzucą do karetki albo karawanu

Kto nie pisze dla Łowicza, ten sam sobie szkodzi
Dylemat Szymanowskiego: *komponować dla Europy czy Łowicza*
Rozstrzygnie się na warszawskim osiedlu

Tęczowe ptaki giną w ciszy
Dzisiaj w cenie utrata dobrego smaku
O którego potędze pisał przed laty poeta
Inność jest przykrą sprawą, życie bywa przykre

Kiedy pieśń *Admeta* unosi się nade mną
Odpływam jak tamtej nocy w klubie *Utopia*
Nic tu po mnie, nic tu – bo tu wielkie *Manitou*

Śnię sen czysty, jak poprawnie zaśpiewane *do – re – mi – fa – sol – la – si – do*
Zaraz po przebudzeniu kartkuję bezpłatne katalogi
Z bronią palną i sprzętem wspinaczkowym: rozdział: *liny*
Nie chcę wiele, ale to i tak za dużo

2008

Portret chłopaka w 16. rocznicę jego urodzin

Matka zrobiła wszystko, by już na starcie zmarnować ci życie
Alkohol zamiast kaszy manny, obcy mężczyźni chuchający w nos

Uciekałeś z domu i całe dni spędzałeś w bibliotece
Ojca nie znałeś, chociaż pozostawił na twojej twarzy autograf alkoholika

Zima 2006 roku nie była mroźna

Przeżyłeś ją w cudzej kurtce i za dużych o dwa numery butach –
Banalne sprawy, oczywiście

Rozmawiając maskowałeś gorycz w głosie
Twoje nadzwyczajnie białe zęby błyszczały na monitorze komputera

Jeszcze dwa lata i ucieknę na zawsze do Anglii – przysięgałeś
Ale tak mówili wszyscy chłopcy w miasteczku

2007

Pożegnanie z Orfeuszem

Orfeo, masz zmęczony wokal
Zbyt głośno powtarzałeś moje imię

Przed nami miesiące odwyku
Wolni chłopcy odlecą na misje do Afryki
Stamtąd przylecą bociany
Każdy z *koksem* w żołądku

Orfeo, kochaj mnie za nic –
Ogrzejemy się w blasku światła wiekuistego

Wiesz, czytam Tomasza Tranströmera:
Jakby się było dzieckiem i jakby niesłychane poniżenie
Nasadzono na głowę jak worek

Nie przytulę się dzisiaj do ciebie
Worek na głowie zasłania mi świetlaną przyszłość.

2006

Opowieści kanterberyjskie (7)

I jaką drogą jechać mi wypadnie,
O czym zamyślam opowiedzieć składnie.
Geoffrey Chaucer

Interesująco brzmią arie
Gdy codziennie wracam z pracy
Obok The Royal Opera House Covent Garden

Gdy byłem w seminarium, to też śpiewałem
Widziałem chłopaków onanizujących się pod prysznicem
Bałem się o swoje zbawienie
Nic się nie bój – usłyszałem zza drzwi kabiny
Brzmiało wiarygodnie

Kiedyś oglądałem *Powiększenie* Antonioniego
I zakochałem się w Dawidzie Hemmingsie
Tak się zmartwiłem, gdy umarł na zawał serca w Bukareszcie
Jakby nie miał gdzie umrzeć

Teraz jestem zaręczony z czarnoskórym barmanem z Soho
Pracujemy nocą
I feel flattered
I love it when people propose to me

2005

Noc barmana

Dotykam błyszczących nakrętek
Jakbym oczekiwał czułości
Na speed racku butelki z brzuchami pełnymi alkoholi
Przytulają się do siebie jak samotni
Na brzegu kieliszka ślad szminki
Rudowłosa zamawia *śrubokręta* – patrzę bezradny
Owady krążą wokół podświetlonej szyby
Po drugiej stronie lady klient obejmuje klienta
Would you to go with me? – pyta
Z niebieskiego shakera przelewam schłodzony gin
Na dnie oliwka otwiera zaspane oko
Wystukuję SMS: *zawsze jakiś tam twój*
Zawsze bardziej, niż wszystkich innych –
Psy mojego języka wysłane do twoich tętnic
Kręcisz mnie, kręci mnie wiele rzeczy w tobie
Lubię myśleć o twojej organiczności
Wyobrażam sobie kolejne zdrady
Plemniki jak karpie, nocne hierofanie
Czuję zbliżający się kryzys, taką retrospektywę z Hitchcocka

2007

Dowody miłości

Chłopak, który niedawno wyszedł z poprawczaka chciał papierosa
Odsłonił swoje drobne nadgarstki –
Każdy ze sznytów przypominał o nieodwzajemnionej miłości
Usiłowałem o wszystkim zapomnieć
Ale zawsze doganiali mnie przyjaciele i wrogowie –
Tłumaczył się, jakby oczekiwał akceptacji
Też się przypalałem papierosem – powiedziałem
Pokazując zagojone blizny

2006

Marek Danielkiewicz

EWELINA WEJBERT-WĄSIEWICZ

Non omnis moriar?
Internet jako miejsce pochówku

Ileż śmierci trzeba nam przeżyć,
by się nauczyć, że i my umrzemy.
Jean Rostand

Śmierć – nie ma nic bardziej nieuchronnego, a jednak pojęcie „naturalnej śmierci" w praktyce życia społecznego już nie istnieje. Szybkie zmiany cywilizacyjne, dynamizm odkryć naukowych, ewolucja obyczajów wytworzyły rzeczywistość chaosu, w której dochodzi do dekonstrukcji uświęconych tradycji i mitów. Najczęściej spotykane kulturowe formy ucieczki od śmierci to: hedonizm, propagujący przyjemność zmysłową jako najwyższą wartość, myśl technologiczna skierowana na opanowanie i przetwarzanie przez ludzi świata przyrody, naturalizm, który opisuje człowieka w kategoriach biologicznych, nie odróżniając go od zwierzęcia. Żyjemy tak, jakby śmierci nie było, i dlatego pojęcie sensu życia stało się najważniejszym problemem współczesności.

Internet jeszcze do niedawna można było traktować jako przestrzeń, w której pewne zjawiska sfery sacrum nie miały prawa bytu. Spowiedź przez Internet, monitoring grobowca i odwiedzających, wirtualne pochówki to tylko niektóre przykłady zawłaszczenia elementów sacrum przez sieć. Zmiany w tej dziedzinie zachodzą niezwykle szybko. Słusznie zauważyła Patricia Wallace, autorka *Psychologii Internetu*, że nie opisaliśmy i być może nigdy nie zdążymy dogłębnie zbadać tego nowego środka komunikacji, by można było spojrzeć na sieć z dystansu, jako na nowy rodzaj środowiska, które może wywrzeć potężny wpływ na nasze zachowanie. Tempo zmian stanowi barierę dla wielu badań empirycznych, które pozwoliłyby poznać i opisać mechanizmy działania społeczeństwa informacyjnego. To, co jest opisywane przez badaczy, w krótkim czasie podlega kolejnym nieuchwytnym modyfikacjom. Ten szybki przelew informacji, ich mnogość, sprawia, że badacze Internetu dzielą się na futurologów albo katastrofistów. Wiara w nieskończoną moc sprawczą techniki staje w opozycji wobec przeświadczenia o nieuniknionej, gwałtownej zagładzie obecnej formy świata i cywilizacji.

Czym są wirtualne cmentarze? Modą, kolejną rewolucją obyczajowo-techniczną, przejawem upadku tradycji kulturowej i religijnej, nowoczesnym sposobem na radzenie sobie z naturą śmierci, nowo odkrytym źródłem biznesu, naturalnym skutkiem rozwoju społeczeństw sieciowych? Kto i z jaką intencją tworzy e-nagrobki? Jakie potrzeby ludzkie kryją się w „nowych grobowcach"? Jaki jest odbiór społeczny obrazów i miejsc funeralnych w sieci?

Wirtualne cmentarze mają różne oblicza. Biorąc pod uwagę ich genezę, wyróżnić możemy całkowicie nowe cmentarne przestrzenie sieciowe oraz obszary, które są wirtualną prezentacją nekropolii rzeczywistych. Te drugie to liczne strony internetowe bardziej i mniej znanych miejsc pochówku, które proponują nam historyczny opis dziejów cmentarza, spisy osób pogrzebanych, plany, trasy zwiedzania oraz fotografie wybranych nagrobków, elementów przyrody, miejsc znajdujących się na obszarze nekropolii. Jednym

z bardziej znanych przykładów może być paryski Père-Lachaise. Sami możemy odbyć wirtualną podróż wybierając kierunek zwiedzania i miejsca, które chcemy zobaczyć. W Polsce to idea, która dopiero zyskuje zwolenników, ale już teraz na wirtualną przechadzkę zapraszają Stare Powązki w Warszawie czy łódzki cmentarz żydowski, prezentujące internaucie tylko wybrane pomniki, groby, rzeźby. Wertując strony biblioteki sieciowej napotykamy na małe i duże cmentarze, o bardziej lub mniej opisowej strukturze wizualnej. Obrazy czy filmy prezentowane są na wzór pocztówek z danego miejsca. Czasem zaciera się granica między cmentarzem sieciowym a prawdziwym. Świat Internetu wpływa na rzeczywistość, powstają strony *www* rzeczywistych nekropolii miejskich, na których zapalić można wirtualną świeczkę, a jednocześnie zlecić sprzątanie prawdziwego grobu.

Człowiek mógłby żyć samotnie przez całe życie, ale chociaż sam mógłby wykopać swój grób, musi mieć kogoś, kto go pochowa – powiedział kiedyś James Joyce. Odwieczna tradycja nakazywała, żeby kwestiami pochówku zajmowali się najbliżsi, nowoczesne wirtualne cmentarze zmieniają ten obyczaj. Dzisiaj można zamówić usługę powiadomienia znajomych o naszej śmierci, zaprojektować e-nagrobek i własne epitafium, zlecić przechowanie filmu (następnie odtwarzanego po śmierci), zamówić kremację ciała, a nawet pochówek w kosmosie czy zamienić szczątki ludzkie na diament. Wszystkie czynności związane z „nowoczesnym pogrzebem" można zaplanować jeszcze przed śmiercią. Pomysły te, podobnie jak idee tworzenia funeralnych portali, przyjmowane są wciąż jeszcze ostrożnie, ale być może w przyszłości będą one traktowane tak samo jak wykupienie placu na tradycyjnym cmentarzu, postawienie już za życia swego pomnika. Wirtualne cmentarze zrywają z ograniczeniem czasowo-przestrzennym, są tańsze od tradycyjnych, a utrzymanie porządku nie wymaga skomplikowanych zabiegów. Obrazy, słowa, informacje zapisywane w tajemnym języku kreatorów internetowych portali stwarzają iluzje „wieczności". Do tej idei niezniszczalności i ponadczasowości odwołują się wszyscy założyciele sieciowych cmentarzysk.

Nowe cmentarze są miejscami, gdzie można wspomnieć bliskich, przyjaciół, zwierzęta czy nawet zjawiska natury – zazwyczaj takie sentencje umieszczone są na pierwszej stronie internetowych nekropolii. Potrzeba tworzenia tego rodzaju serwisów zrodziła się w Ameryce. Choć wirtualna świeczka istnieje od lat i na początku miała formę znaczka ['], to oddawanie czci zmarłym w Internecie rozpoczęło się na szeroką skalę po atakach terrorystycznych na

Strona internetowa *www.wirtualnycmentarz.pl*

wieże WTC w Nowym Jorku. Wówczas na stronach poświęconych ofiarom pojawiły się miliony świeczek. W Polsce jako pierwszy uruchomiony został w 2004 roku portal *zaduszki.com*. Następnie w krótkim czasie powstały kolejne inicjatywy sieciowe o podobnym charakterze. Początkowo zjawisko krytykowano, zarzucając sprowadzanie sacrum do profanum i motywacje zarobkowe. W Kościele katolickim zdania na ten temat są podzielone. Dziś „cybercmentarze" różnią się nie tylko formułą, celem, misją, ale i prezentowanymi w sieci obrazami.

Pierwszy polski portal funeralny – *Zaduszki*, powstał w celu uczczenia w nowoczesny sposób pamięci zmarłych. Serwis utrzymany jest w surowej, szaro-białej, wystandaryzowanej stylistyce graficznej. Opłaty za miejsce pochówku są bardzo zróżnicowane (od 1,25 zł do 50 zł – opłata wieczysta). Wśród ponad dwóch tysięcy dwustu e-nagrobków przeważają pojedyncze, ale trafiają się również grobowce rodzinne. „Internetowe pomniki" wzbogacone są biogramem, a użytkownicy strony mogą zapalić światełko, kupić kwiaty. Przy nazwisku i dacie śmierci ukazuje się liczba zapalonych świec. Jak na prawdziwym cmentarzu, obok nazwisk ludzi znanych znajdują się nazwiska przeciętnych Kowalskich. Jeśli chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o zmarłym, wystarczy kliknąć i od razu znajdziemy się w środku grobowca. W kolejnej odsłonie ukazują się zdjęcia z krótkim opisem, wierszem, epitafium. Pochowane w sieci osoby na pierwszy rzut oka są wyróżnione tylko przez (zapalone bądź nie) znicze. Trudno powiedzieć, kto tak naprawdę tworzy e-nagrobki – najczęściej ktoś z rodziny, ale nierzadko anonimowi użytkownicy. Część pomników, zwłaszcza te poświęcone znanym postaciom, projektują autorzy serwisu. Różnicę zaobserwować można w warstwie obrazowej „internetowego pochówku". W przypadku osób znanych dominują fotografie prasowe, profesjonalne. E-nagrobki osób prywatnych wykorzystują głównie zdjęcia legitymacyjne, dowodowe lub pochodzące z albumów rodzinnych. Patrzą więc na nas z ekranu osoby w trakcie wycieczek, obchodzące jubileusze, siedzące w ulubionym fotelu, na rowerze, z wędką, z wnukami. Takich fotografii nie znajdziemy na żadnym prawdziwym cmentarzu. Pierwszy kontakt z wirtualnym grobowcem budzi przedziwne uczucia. Wędrując po rzeczywistych nekropoliach nierzadko przyglądamy się fotografiom nagrobnym, nazwiskom, możemy odczytać wiek zmarłych. „Cybercmentarze" odsłaniają nam więcej – poznajemy nie tylko nazwisko, ale i miejsce urodzenia, imiona najbliższych, uprawiany zawód, przyczynę śmierci, cechy charakteru, osobowości, ulubione zajęcia, przedmioty, a nawet orientację seksualną. Obraz stanowi zagadkę, którą możemy rozwiązać, jeśli przyjrzymy się towarzyszącym mu danym personalnym, opisom, komentarzom, podpisom.

Wizualne projekcje zamieszczane w sieciowych grobach to najczęściej fotografie zmarłych, ale zdarzają się też obrazy innego rodzaju. Ich charakter zdaje się wynikać raczej z koncepcji narzuconej przez autorów funeralnych portali niż z naturalnej ekspresji użytkowników wirtualnych cmentarzysk. W serwisie *Epitafium*, utrzymanym w żałobnej kolorystyce, przeważają czarno-białe zdjęcia starych nagrobków, aniołów, krzyży cmentarnych, zdarzają się fotografie płyty nagrobnej czy pamiątkowej tablicy cmentarnej, natomiast te przedstawiające zmarłych stanowią mniejszość. Na zaduszkowym portalu oprócz obrazów, dat narodzin i śmierci, krótkiego epitafium i biografii umieścić można kondolencje, wspomnienia, listy do zmarłych. Całość stwarza wrażenie przestrzeni żałobnej, a forma pozostaje powściągliwa. Przy zarejestrowanych w portalu nazwiskach nierzadko w ogóle nie pojawiają się zdjęcia.

Jeszcze oszczędniejszy w słowa i obrazy jest składający się z dwóch wirtualnych alei internetowy cmentarz *Nekropolia*. Stylistyka przywodzi na myśl internetową grę. Na zielonej murawie, pośród nielicznych drzew, w równych

odstępach umieszczone są małe wirtualne pomniki – od razu widać, czy pali się tam znicz i czy złożone są na nich „świeże" kwiaty. Umieszczanie nagrobków jest bezpłatne, a odwiedzający mogą wpisać się do księgi kondolencyjnej. Serwis nie pozwala na dodawanie fotografii zmarłych. Przy opisie okoliczności śmierci można wykorzystać jedynie niektóre motywy i symbole sakralne. Najpopularniejsze to: anioły, Matka Boska, krzyż.

Jedną z najbardziej popularnych internetowych nekropolii na świecie jest amerykański *virtualcemetery*, a w Polsce jego odpowiednik – serwis *www.wirtualnycmentarz.pl*. Jest to również najlepiej rozbudowany portal funeralny pod względem narzędzi sieciowych, jakimi posługiwać się mogą użytkownicy. Wyłaniająca się z ciemności brama cmentarna strzeżona przez lwy, nocny motyl, staruszka sprzedająca znicze i kwiaty, chmurne niebo, muzyka, śpiew ptaków – oto elementy, na które natrafi każdy, kto stanie przed wirtualną bramą. Cmentarz usytuowany jest na środku czarnej sceny z kurtyną po bokach. Odwrócone rośliny sugerują, że spoglądamy pod ziemię i nad ziemię zarazem. Jesteśmy widzami spektaklu, o którego charakterze decyduje cel, jaki nas tu przywiódł.

Na cmentarzach (pogrupowanych według wyznania religijnego) mają groby górnicy z Halemby, ofiary tsunami, dzieci biesłańskie, piosenkarze, aktorzy, sportowcy, ludzie nauki i sztuki, a także zwykli obywatele świata. W jednym grobie spoczywają dyktatorzy XX wieku: Stalin i Hitler, dla których – jak się okazuje – można zapalić znicz. W przypadku nagrobków osób znanych i cenionych lub postaci historycznych najczęściej w albumach e-nagrobkowych zobaczyć możemy fotografie podręcznikowe, portrety malarskie, zdjęcia prasowe.

O wielkiej roli zdjęć na wirtualnym cmentarzu świadczy zachowanie „przypadkowych internautów". W księgach pamiątkowych, oprócz wyrazów żalu, współczucia dla bliskich i opisu zasług nieżyjącej osoby, natknąć się możemy na zdania skierowane wprost do zmarłego. Ta reguła dotyczy również postaci znanych z życia publicznego – aktorom, muzykom, wodzom odwiedzający dziękują za dokonania, opowiadają o emocjach związanych z odbiorem ich twórczości, wystawiają ocenę za całokształt życia, składają życzenia, ofiarowują wiersze i modlitwy. Czytając te krótkie wypowiedzi skierowane wprost do cenionych postaci świata kultury i sztuki, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to korespondencja bardzo intymna w zamyśle, choć w istocie nie będąca niczym innym, jak ogólnodostępnym spektaklem.

Swoista „rozmowa z duchami" odbywa się również w zaciszu grobowców wystawionych przez najbliższych. Krótkie listy, wiersze, modlitwy, wspomnienia, relacje z kolejnego dnia życia oraz refleksje odzwierciedlają żal, rozpacz i bezsilność wobec śmierci. Zdjęcie bardziej niż słowo potrafi wywołać współczucie gości odwiedzających wirtualny cmentarz, którzy piszą: *nie znałem cię, ale…*; *nigdy się nie spotkaliśmy, ale…*; *współczuję ci śmierci kochanej babuni*; *taka piękna… szkoda*.

Na *Wirtualnym cmentarzu* istnieje ponad dwa tysiące siedemset e-nagrobków. Jedynie jedna trzecia z nich poświęcona jest osobom zmarłym. Jaki cel przyświeca ludziom, którzy już za życia tworzą sobie internetowe groby? Dane personalne, mimo że mówią wiele, rzadko odpowiadają na to pytanie. Niekiedy motywacje ujawniają sami autorzy. Oto schodząc do katakumb, można się natknąć na „miejsce spoczynku" młodego ekonomisty ze Szczecina, który załączył własną fotografię wykonaną w samolocie, a w księdze pamiątkowej napisał: *To ja założyłem ten grobowiec. Jak na razie mam się dobrze i pewnie daleko mi jeszcze na tamten świat. Ten grobowiec poświęcić chcę moim bliskim, których groby rozsiane są po całym świecie*. Inny użytkownik cmentarza tak tłumaczył wystawienie sobie pomnika w sieci: *Ja po prostu chciałbym nauczyć się umierać*. Czasem wzniesienie e-nagrobka to ironiczny żart z samego siebie, kawał zrobiony komuś innemu, a niekiedy

próba zwrócenia uwagi otoczenia, przezwyciężenia depresyjnych myśli. W ten sposób interpretowałabym inskrypcje na pomnikach żyjących nastolatków, którzy podają takie przyczyny „śmierci", jak: zwątpienie, zachlanie, tęsknota, beznadzieja.

Spotkać też można nagrobki prowokacyjne – Drag Queen w wyzywającym geście pokazuje, że jest „panią życia". We wspomnieniach zamieszczono autorefleksje: *nie zostawił spadkobierców ani łzy na swoim trupie, bowiem wiele spraw miał w sercu, ale jeszcze więcej w d…e*. Zagadkowy grób skłania do uważniejszego zapoznania się z informacjami personalnymi – odkrywamy, że *zmarły patrzący nam prosto w oczy* żyje, gdyż brak daty jego śmierci. Łatwo możemy sprawdzić, że osoba o podanym nazwisku w rzeczywistości jest redaktorem naczelnym pewnego gejowskiego czasopisma. Komentarze internautów, którzy nie przeprowadzają tak drobiazgowego śledztwa, są na

Fot. Anna Banasiak, z cyklu *Te dzieci, które śpiewają w kamieniu...*

ogół przychylne. Radość, że osoba ze zdjęć żyje, jest większa niż oburzenie na niestosowny żart. Wykupienie miejsca pochówku w katakumbach, gdzie spoczywają zasłużeni ludzie, prowokacyjne wnętrze grobowca, wreszcie sama idea wirtualnego pochówku za życia są sposobem na zaistnienie w sieci. A może nie była to inicjatywa osoby, której nazwisko znajduje się na klepsydrze?

Wpisy pamiątkowe, podobnie jak zdjęcia, nie zawsze zamieszczone są w witrynach sieciowych miejsc spoczynku. Warto jednak zwrócić uwagę na komentarze, które najczęściej pojawiają się wtedy, gdy użytkownik dodał zdjęcie zmarłej osoby. Wyrazy współczucia składane są nie tyle przez bliskich (ci niekiedy chyba nie wiedzą, że obok tradycyjnego grobu istnieje e-nagrobek), ale przede wszystkim przez „przypadkowych przechodniów". Zwłaszcza fotografie dzieci lub młodych osób budzą empatię użytkowników serwisu.

Najczęściej na album pamiątkowy składają się amatorskie zdjęcia, wykonane przez bliskich. Albumy owe nierzadko zawierają fotografie zrobione w okresie dzieciństwa, młodości, z okazji ślubu lub innego ważnego wydarzenia. Zupełnie jakby miały ukazać esencję życia zmarłego. Emocje wywołują sceny zwyczajne – widzimy daną osobę w domu, na nartach, na łące, w sadzie. Fotografia nie pozwala uwierzyć, że to już koniec. Widz, przyglądając się tym obrazom, zawsze podświadomie szuka przyczyny śmierci, próbuje ją odgadnąć. Im zmarli są młodsi lub piękniejsi, tym bardziej niesamowita wydaje się śmierć, jak wtedy, gdy powabna kobieta odsłania uroki swego nieżywego już teraz ciała. W księdze pamiątkowej czytamy: *taka piękna dziewczyna a już jej nie ma*. Jej śmierć jest skandalem, tym bardziej że e-nagrobek nie odpowiada nam: „dlaczego?". Okoliczności są niewyjaśnione, zagadkowy zgon i wspaniałe fotosy wywołują uczucie konsternacji. Nie potrafimy dopowiedzieć historii, nie wiemy, kto i dlaczego postawił nagrobek. Dane metrykalne niewiele wnoszą do interpretacji obrazu, jeśli nie znamy kontekstu, w jakim pierwotnie zaistniał.

Są też zdjęcia, które wyłamują się z opisanej powyżej konwencji. Ktoś umieszcza przy nazwisku zmarłego symbol, herb rodowy, a nawet zdjęcie trupa. Kolorowe i przerażające zaświadcza o prawdziwości wirtualnego cmentarza; to nie fikcja, że ciało po śmierci wygląda źle. Starsza kobieta leży w trumnie – takich zdjęć nie wkłada się nawet do albumów rodzinnych, a tymczasem w sieci pełnią rolę „wizytówki grobu".

Internetowe nekropolie zrywają z zasadą jednego grobu dla jednego człowieka. Osoby publiczne posiadają kilka e-nagrobków w różnych domenach internetowych albo nawet na obszarze tego samego cmentarza. Każdy bowiem może wykupić plac i pochować swojego idola. Fotografie załączane przez fanów różnią się od zdjęć umieszczanych przez administratorów sieci, dążących przede wszystkim do wzbudzenia zainteresowania użytkowników. Autorzy portali rzadko prezentują zdjęcia w albumie pamiątkowym. Wyjątek stanowią plastycy – w internetowych albumach funeralnych możemy zapoznać się z fotografiami dzieł sztuki stworzonymi przez zmarłych artystów. Pierwszy obraz jest najczęściej autoportretem, zdjęciem wykonanym przy pracy: muzyk znajduje się na scenie bądź z instrumentem, literat jest pogrążony w myślach, malarz trzyma pędzel, wódz ma na sobie mundur lub siedzi na koniu, aktor prezentuje się na planie filmu. Są to powielane i wielokrotnie upublicznione zdjęcia osób i przedmiotów z nimi związanych. Nagrobki stawiane przez wielbicieli również zawierają fotografie ogólnie dostępne, przy czym warto zwrócić uwagę na ich odmienność. Można powiedzieć, że aspirują do miana „przedstawień osobistych" z uwagi na ładunek emocjonalny (zostały wybrane z setki ogólnodostępnych), a także dzięki podpisowi. Obrazy te ukazują zmarłą osobę, ale przede wszystkim jej twarz, spojrzenie, gest, mimikę. Opatrzone opisem: *kochałem twoje filmy, obrazy, książki, piosenki...*, są ostatnim hołdem oddanym idolowi przez wiernego fana.

Tradycyjny pochówek jest przywilejem i obowiązkiem najbliższej rodziny zmarłego, tymczasem cmentarzyska sieciowe pozwalają na odstępstwa od tej reguły. Oprócz pomników postawionych przez wielbicieli zmarłym autorytetom, wypatrzeć można groby stworzone przez znajomych z pracy, szkoły, a także przez nigdy niepoznaną osobiście koleżankę, która skrycie kochała się w koledze, przez odrzuconego chłopaka bądź dawno zapomnianą sympatię. Program do cyfrowej obróbki zdjęć pozwala manipulować obrazem, by stworzyć nowy kontekst, nową rzeczywistość. Przeciętnemu obserwatorowi internetowego cmentarza trudno rozróżnić, w jakim stopniu zdjęcia wykonane techniką cyfrową przedstawiają przeszłość, a w jakim zakresie stanowią tylko wizualny projekt, mający źródło w czyjejś wyobraźni. Lektura wpisów i komentarzy czasem jeszcze bardziej rozróżnienie to utrudnia.

Oprócz oficjalnych sieciowych nekropolii istnieją przestrzenie „dla wtajemniczonych", np. cmentarze tworzone przez grupy ludzi połączonych wspólnym doświadczeniem, problemem, zazwyczaj skupione wokół pewnej organizacji społecznej lub wspólnoty sieciowej. Warto przypomnieć, że działają one za zasadzie internetowych grup wsparcia, a inspiracją do ich stworzenia była działalność grup samopomocowych w rzeczywistości. Bardzo często nekropolie owe nie miały szansy zaistnieć w prawdziwym świecie, jak np. założony w 2004 roku cmentarz internetowy stworzony przez fundację wspierającą rodziców po stracie dziecka. Śmierć dzieci w mediach jest wciąż tematem tabu, najczęściej mówi się o niej w kategoriach sensacji. Pomysłodawcy cmentarza wprost informują, jaka idea im przyświecała: *Wspomnij czasem o moim dziecku. Nie udawaj, że nie istniało. Słowa mniej bolą niż uporczywe milczenie*.

Na wirtualny cmentarz można się dostać wybierając opcję „zapal światełko" na forum przestrzegającym przed aborcją lub związanym ze stratą dziecka. Obok dzieci narodzonych i przedwcześnie zmarłych nagrobki mają te, które zginęły wskutek poronienia lub aborcji. Dziecku takiemu bardzo często odmawia się tradycyjnego pochówku, a rodzice niekiedy nawet nie mają prawa żądać od szpitala wydania jego ciała. Jak mówią organizatorzy fundacji, nekropolia internetowa pozwala wyrażać żal i koi ból w myśl słów: *Pamiętaj, nie jesteś sam*. Każdy może tam bezpłatnie zapalić znicz, umieścić zdjęcie, obraz lub epitafium.

Anna Banasiak, autorka cyklu fotografii pt.: *Te dzieci, które śpiewają w kamieniu*, prezentuje liczne obrazy aniołów, matek tulących córki i synów, zapomnianych małych krzyży i nagrobków, porcelanowych fotografii zmarłych dzieci. Warto przyjrzeć się tym pracom, są one bowiem umieszczone w sieciowej galerii i bardzo często bywają wykorzystywane przez osoby „zapalające światełko" zmarłym lub nienarodzonym dzieciom. Szczególne emocje wywołuje zdjęcie, na którym widzimy wielką pluszową maskotkę spoczywającą na grobie dziecka – przynieśli ją rodzice, którzy nie wiedzieli, jak mają się zachować po stracie potomka.

Wchodząc na cmentarz serwisu *republikadzieci*, widzimy czarną otchłań zapełnioną zgasłymi lub zapalonymi zniczami, świecami. Obok światełek figurują imiona, daty urodzin, śmierci, wiek. Klikając na dane światełko, zatrzymujemy się nad grobem dziecka. Oprócz fotografii pociech wykonanych za ich życia lub po śmierci, znajdujemy zdjęcia prawdziwych nagrobków, zdjęcia rodzinne, zdjęcia ultrasonograficzne płodów, dzieła znanych artystów, własne wizualizacje graficzne. Obraz zazwyczaj dopełniony jest krótkim opisem: historią ciąży, narodzin i śmierci, obumarcia płodu, fragmentem poezji oraz utworem własnym, modlitwą, prośbą. Ci, którzy stracili dziecko po urodzeniu, umieszczają zdjęcia ze szpitali lub rodzinnych albumów. Rodzicom dzieci nienarodzonych pozostają zdjęcia ultrasonograficzne lub obrazy, fotografie „czyjeś". Na tym cmentarzu nie ma możliwości dodawania komentarzy, listów, rozległych opisów. Oszczędność w słowach w zestawieniu

z sugestywnym obrazem i świadomością rzeczywistego cierpienia rodziców czyni to miejsce chyba najsmutniejszym spośród polskich wirtualnych cmentarzy.

Sieciowe cmentarze zwierząt, podobnie jak ludzkie, różnią się motywacjami powstania, wysokością opłaty, liczbą zarejestrowanych e-nagrobków. Pochówek zwierząt w Polsce możliwy jest na obszarze siedmiu cmentarzy krajowych, tradycja ta nie cieszy się jednak u nas wielką popularnością. Być może z tej przyczyny internetowe cmentarze zwierząt mają coraz więcej zwolenników. Brama wejściowa *Wirtualnego cmentarza* zawiera małą furteczkę dla ulubieńców, ale istnieją też zupełnie odrębne nekropolie poświęcone wyłącznie zwierzakom. Ludzie „grzebią" na nich ptaki, konie, świnki morskie, chomiki, psy, koty. Nagrobki w zależności od cmentarza mogą być ujednolicone bądź wyróżniają się spośród innych. Największe możliwości wyboru daje internautom portal *wirtualnycmentarz.pl* (pochowano tam ponad siedemset zwierząt), na którym można zlecić indywidualne opracowanie e-nagrobka. I tak, obok zwyczajnych kamiennych płyt, głazów z odciskami łap czy pyska, obejrzeć możemy monumentalne rzeźby przedstawiające pupilów. Zaglądając do wnętrza zwierzęcego nagrobka, oprócz dat narodzin i śmierci, przeczytać możemy krótką sentencję na temat żywota pochowanego stworzenia. Zdjęcia, jeśli w ogóle dodane, są na ogół fotografiami domowymi. Lakoniczne komentarze właścicieli wyrażają zazwyczaj tęsknotę, miłość i wiarę w spotkanie po śmierci. Zwierzęce cmentarze nie są tak atrakcyjne dla internautów jak cmentarze ludzkie – ilość rejestracji na stronach jest znacznie mniejsza, a przypadkowi przechodnie rzadko komentują grób zwierzaka.

Śmierć ludzka dla świata przyrody nie ma żadnego znaczenia, jest prawie niedostrzegalna, tak jak nie dostrzega się płatka śniegu w górskiej lawinie. Wśród wszystkich istnień tylko człowiek ma świadomość, że musi odejść na zawsze. Zwierzęta nic nie wiedzą o swojej śmierci, choć mogą przeczuwać jej nadejście. Człowiek robi zatem zdjęcia, które zatrzymują w obiektywie czas, buduje miejsca pochówku dla siebie, swoich bliskich i towarzyszących mu stworzeń. Wydaje się, że ludzie z zamieszczonym w sieci zdjęciem wiążą najlepsze wspomnienia, uczucia, wyobrażenia. Niestety nie wiemy, czy takie obrazy pomagają zabliźnić rany, czy raczej te rany rozjątrzają. Śmierć fascynuje nadal, forum cmentarne odwiedzają osoby, których strata bliskich jeszcze nigdy nie dotknęła. Pojawiają się także „nowe" sieciowe nekropolie, np.: miejsce pochówku lodów o różnych smakach – cmentarz-żart firmy Benjerry, albo „cmentarz uczuć" czy portal *pojecia.pl*. Ten ostatni można określić jako internetową encyklopedię nieżyjących bohaterów. Na stronach serwisu znajdujemy krótkie adnotacje o dacie narodzin i zgonu, ewentualnie o okolicznościach śmierci znanych osób: papieży, królów, weteranów wojennych, polityków, wszystkich tych, którzy w jakiś znaczący sposób zapisali się w historii ludzkości. Obecnie portal łączy trzy encyklopedie: fotografii, literatury oraz geologii. Formuła funeralna pełni rolę internetowego wabika, bowiem nie znajdziemy tu żadnych świec, kwiatów, grobowców wirtualnych, obrazów.

Dlaczego tak wiele osób decydując się na pochówek bliskich w Internecie i publikuje osobiste zdjęcia? Susan Sontag uważała, że każda fotografia z natury stanowi swego rodzaju „memento mori". Pamięć ludzka musi być wspomagana obrazem. Można powiedzieć, że dopóki posiadamy zdjęcie i potrafimy rozpoznać osobę, która się na nim znajduje, dopóty żyje ona we wspomnieniach. Wraz z zacieraniem się obrazu w naszej pamięci rozpoczyna się proces symbolicznego zaniku kontaktu. Z drugiej strony umieranie i jego szczegóły traktujemy jako sprawę intymną, przykrą i niemal wstydliwą – temat ten stanowi towarzyskie tabu, budzi zażenowanie lub co najmniej mieszane uczucia. Świat Internetu pozwala na odkrycie tego, co wstydliwe, kłopotliwe, głównie dzięki anonimowości użytkowników. Rozgłos, jaki

gwarantują media, stał się synonimem nieśmiertelności. Nie jakość czy forma przekazu jest istotna, ale liczba osób, do których dane informacje, obrazy dotrą. Masowy rozgłos staje się gwarancją trwania, śladem istnienia. A jednak szybkość zaistnienia w masowej świadomości wydaje się wprost proporcjonalna do ryzyka równie nagłego zniknięcia.

Ewelina Wejbert-Wąsiewicz

Źródła:
P. Aries: *Człowiek i śmierć*. Przeł. E. Bąkowska. PIW, Warszawa 1992.
J. Bartuszek: *Między reprezentacją a martwym papierem. Znaczenie chłopskiej fotografii rodzinnej*. Neriton, Warszawa 2005.
Z. Bauman: *Śmierć i nieśmiertelność. O wielości strategii życia*. PWN, Warszawa 1998.
T. Ferenc: *Odrzucony język fotografii mortualnej* (w:) *Przestrzenie fotografii. Antologia tekstów*. Red. T. Ferenc, K. Makowski. Galeria f5, Łódź 2005.
K. Olechnicki: *Antropologia obrazu*. Oficyna Naukowa, Warszawa 2003.
A. Ostrowska: *Śmierć w doświadczeniu jednostki i społeczeństwa*. IFiS PAN, Warszawa 1997.
S. Sontag: *O fotografii*. Przeł. S. Magala. WAiF, Warszawa 1986.
P. Sztompka: *Socjologia wizualna*. PWN, Warszawa 2005.
P. Wallace: *Psychologia Internetu*. Przeł. T. Hornowski. Rebis, Poznań 2001.
Źródła internetowe:
- http://virtualcemetery.com/
- http://www.wirtualnycmentarz.pl/
- http://www.nekropolia.pl/
- http://www.memory-of.com/
- http://www.zaduszki.com/
- http://epitafium.com/
- http://www.mpz.pl
- http://www.vaticanstate.va/
- http://www.relaz.pl/magazyn-artykul.php?id=887
- http://www.pere-lachaise.com/perelachaise.php?lang=en
- http://www.starepowazki.prv.pl/ (strona nieoficjalna)
- http://www.dlaczego.org.pl/
- http://www.jewishlodzcemetery.org/default.asp
- http://www.dognet.pl/ogrod/ogrod.cgi
- http://www.cmentarz.pojecia.pl/
- http://www.findgrave.com/
- http://www.benjerry.com/our_products/flavor_graveyard/
- http://www.republikadzieci.org/problemyiniepokoje/strata/pamiec.htm

Fot. Anna Banasiak, z cyklu *Bajkowe cmentarze*

MAREK LOBO WOJCIECHOWSKI

nieciągłość

Z dzieciństwa zostały skrawki
celuloidu, fragmenty dłuższych
historii. Reszta jest martwa i niebyła.

W najciemniejszych zakamarkach kościoła
pisze na ścianie rzeczy, które miały się zdarzyć.
Ostatnio próbuje uwierzyć w *feng-shui*.

Ludzie są obcy, nawet ci, którzy go zrobili.
Spytałby kiedyś matkę o siebie, ale ona
wstaje wcześnie, a po pracy zaraz zasypia.

formuła

Wciskać się w niepoznane i być
jak metalowa drzazga w skórze dni.

Niech to się kręci razem: ten deszcz,
wiatr neutrino, ta alergia na mgłę,
w której drzewa topią się jak cukier.

Miękkość jest drapieżna i ciemna
jak kawa, która ma tę przewagę,
że wystarczy, by smakowała.

Miękkie jest twarde, jest metalową drzazgą
w skórze. Żąda wysiłku i skomplikowanych
modłów, na które nigdy nie wystarcza czasu.

A wszystko wokół jest przenikaniem
wzajemnych dotyków i muśnięć,
zwodniczym w niepozorności
jak błysk skalpela, iskra supernowej.

Noc pachnie deszczem, ja – tobą,
a na słońcu kwitną plamy,
niczym monstrualne słoneczniki.

wiesz, kim jestem?

Przywiązali mnie do ciała łańcuchami.

Na odległej sawannie rośnie baobab,
który jest kościołem. Mieszka tam
bezimienny bóg.
Dziecko wciela się w kamień, ptaka,
cień; jest echem – rozedrganą falą.
Dorosłość upomina się o nazwy.

Między śmietnikami chodzi coś,
na co wołam: kot, ale nie słucha.
Fruwające wielokropki,
jak byś ich nie określił,
przemkną mimo, jak chwile,
które żyją same.

Buty są moje i piją mnie
po imieniu.
Wczoraj latałem we śnie,
ale ktoś mnie zawołał
i spadłem.

szukać, znaleźć

Klasyczne symptomy, nieprzystające nic
do niczego. Słowo szuka adresata, tego,
który odszedł.

Kromka chleba w dłoni, prawdziwa jak głód.
W snach snują się zdziwione zwierzęta,
pamiętające wszystkie wcielenia.

Dym z ogniska jest żywy, można pogadać
z trzeszczącymi gałązkami lub z młotkiem w ręce
spróbować naprawy starej huśtawki. Odgłosy stukania
są jednoznaczne. Zarasta blizna między dźwiękiem
a rzeczą.

defloracja

Wiesz, takich tekstów jest kilka
na całe życie. Masz: rodzi się pierwsza
myśl, całkowicie własna. Pierwsze

dziecko. Pierwsza zdrada, której
nie miałeś w grafiku. Lub śmierć,
na tyle obca, co swoja.

Słowa też są wtedy obce – mówisz,
słuchając siebie jak listonosza,
który przyszedł nie w porę i gada,
że ten dzieciak, to jego.

z pamiętnika buchaltera

No, i mamy kicz. Niebo jak czarna chusta,
cień kota na krawędzi dachu i księżyc,
kurwa, mówię ci, księżyc jak pyzaty chłopczyk
ubrany w czarną czapeczkę w świetlistej otoczce,
aż żal, że to naprawdę, bo nie da się już nic więcej

zmyślić. Co powiedzieć? Że byliśmy we dwoje
w tej nocy, a ona była w nas? Że podpowiadała nam
słowa zbyt piękne, by je brać na poważnie? Że co?

Zresztą, trwała tak krótko, jak może trwać tylko coś
z pogranicza tęczy. Spokojnie więc. Większość czasu
spędzam wśród ksiąg rachunkowych, tu dodać, tam
okno wychodzące na osiedlowe śmietniki, trzepak

służący za przyrząd gimnastyczny, dzieciaki
kręcą się na wyślizganych rurkach, w słońcu
wyglądają jak latające anioły. No, albo jakoś tak.

Marek Lobo Wojciechowski

Książki nadesłane

Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2009

Małgorzata Szejnert: *Wyspa klucz.* Ss. 315.

Podróże z Ryszardem Kapuścińskim, Cz. 2: *Opowieści czternastu tłumaczy.* Pod redakcją Bożeny Dudko. Ss. 255+4 nlb.

Dariusz Żukowski: *Miłość morderców.* Ss. 177.

GRZEGORZ FILIP

Entropia zero

I

– Podobno masz ciekawą Litwinkę na doktoranckich – dyszał w ucho Jakoba Rittera profesor Otto Ultsch, ukrainista, w czasie porannej przebieżki nabrzeżem Dunaju, którą zwykle odbywali razem. Obaj tuż po pięćdziesiątce, uważali tę gimnastykę za obowiązek człowieka, który większość czasu spędza w bibliotece, w gabinecie za biurkiem lub na katedrze w sali wykładowej.

– Ingrid ci powiedziała? Zwierzałem się jej... któregoś dnia... przy obiedzie – wysapał Ritter.

Biegli wolno, mijając innych biegaczy i puste o tej porze stylizowane ławki ze srebrzystymi, metalowymi poręczami. Jakob dość wysoki, w wysłużonych adidasach i ulubionym, granatowym dresie, Otto niższy – w brązowym, niedawno kupionym. Mieli za sobą kilka kilometrów, ale biegło się dobrze, póki rytm nóg i oddechu pozwalał się oddać przyjemności niemyślenia o niczym. Rozmowa, którą zaczął Ultsch, wytrącała z rytmu i z błogiego spokoju, wtedy zaczynało się czuć zmęczenie.

Statki kursowały już pracowicie po rzece, od rana przewożąc grupy turystów, pragnących przeżyć ostatnią przed końcem sezonu wiedeńską przygodę, łaknących pożegnalnych promieni słońca, które w tym roku, mimo października, przygrzewało jak latem. W szarobrązowej wodzie odbijała się latarnia rzeczna.

– I co? Naprawdę taka wyjątkowa? – Rozmowa podczas biegu nie sprawiała Ultschowi trudności.

– Nie uwierzysz, Otto – Ritter zatrzymał się, pochylił i oparł o ławkę. – Ona mnie próbuje nawrócić na muzykę współczesną! Pytam ją, czy widziała już Angelę Gheorghiu w *Fauście* Gounoda... Wiesz, w samorządzie studenckim mają tańsze bilety do opery...

– Jakob, to jest pokolenie Socratesa! – Zaśmiał się Otto. – Nie musisz jej namawiać. Oni są przyzwyczajeni brać, co im dają.

– No tak, tak... Nie, ale ona mi mówi, że wczoraj widziała operę jakiegoś Heinera Goebbelsa i żebym też poszedł, bo dzisiaj ostatni spektakl.

– Kto to ten Goebbels? Kojarzy mi się niedobrze.

– No właśnie... Ale to podobno bardzo udana opera... jak na postmodernizm. Wybieram się. Nie wiem tylko, czy... A może pójdziesz ze mną?

Pobiegli dalej. Obok nich zerwało się do lotu stadko gołębi, zakręcając zaraz pod słońce i pokazując ostrą biel oświetlonych nagle od spodu skrzydeł.

– Nie, dziękuję – oznajmił szybko Ultsch. – Szkoda, że nie poszedłeś z... Jak ona ma na imię?

– Lina. Od lnu...

– Jesteś z nią na ty?

– Nie! To od lnu. Wiesz, że Litwa jest pierwszym producentem lnu na świecie? Słuchaj, umówiliśmy się na wycieczkę rowerową. Pokażę jej Wiedeń.
– Uważaj, kolego, dzisiaj młode kobiety są nieprzewidywalne. Lecę, spotkamy się po radzie wydziału?

Była bardzo zdolna. Tak zdolnej doktorantki nie miał dawno, może nigdy, choć na wiedeńskiej slawistyce pracował od dwudziestu kilku lat. Lina Baranauskaite, młoda Litwinka z Wilna, opowiadała osobliwą historię o swoim tatarskim pochodzeniu. Podobno po bitwie pod Grunwaldem książę Witold zatrzymał i osiedlił pod Wilnem i w okolicach Trok cztery tatarskie pułki konne sułtana krymskiego, które walczyły z Krzyżakami. Tatarzy mogli się tu bez przeszkód żenić, uprawiać ziemię, w czasie wojny musieli jednak solidarnie stawać do obrony kraju i dostarczać wojsku koni. Wyżej urodzeni otrzymali szlachectwo, przywileje i majątki, z litewską szlachtą asymilowali się łatwo, lecz dzieci wychowywali w wierze muzułmańskiej. Na Litwie zbudowano wkrótce kilkanaście meczetów. Ożeniwszy się z Litwinką jeden z takich nobilitowanych dowódców tatarskich przyjął nazwisko Tuhan-Baranauskas. Miał to być właśnie praszczur Liny. Część szlachty tatarskiej, w jej liczbie i Baranauskasowie, przekształciła się w XIX wieku w inteligencję. Podczas gdy ziemiaństwo litewskie wciąż się polonizowało, inteligencja zaczęła wyraźnie zaznaczać swoją odrębność narodową, przestawała się przyznawać do idei jagiellońskiej, ulegała antypolonizmowi. Baranauskasowie, zapomniawszy o tatarskich korzeniach, także zaangażowali się w litewski ruch narodowy, dzięki któremu powstała nowoczesna kultura litewska. Był między nimi Jonas Baranauskas, pradziadek Liny.
– Gdzie się tak pani nauczyła polskiego? – Pytał w czasie jednego z pierwszych spotkań ujęty jej opowieścią Ritter.
Siedzieli, przedzieleni dębowym biurkiem, w wygodnym gabinecie na trzecim piętrze głównego budynku uniwersyteckiego przy Ringstraße. Profesor zanurzony w fotelu, zadbany, prężny i elegancki, pozbawiony wyraźnych oznak starzenia się, dystyngowany. Dziewczyna urodziwa, niezbyt wysoka, o ruchach trochę nerwowych. Mogli mówić po niemiecku, ale Jakob Ritter lubił się przyznawać do swoich korzeni i gdy tylko mógł z kimś rozmawiać po polsku, robił to.
– Dobrze mówię? – Dopytywała się niby naiwnie, świetnie znając odpowiedź.
– Wybornie! I nie tylko „jak na Litwinkę" – chwalił ją, przecierając bibułką okulary.
– Dziadek czytał literaturę polską w oryginale, ten język był w moim domu obecny, a ja studiowałam polonistykę w Warszawie, dopiero teraz przeniosłam się tu, do Wiednia – opowiadała z promiennym uśmiechem.
– Czemu nie zrobiła pani doktoratu w Polsce?
– Wie pan, panie profesorze, Wiedeń jest jednak atrakcyjniejszy. Silniejsza kultura wygrywa. Myślałam też o uniwersytecie w Salzburgu, ale jednak Wiedeń...
– Miasto, które czerpie soki z wielości kultur? I właśnie o tym chce pani napisać doktorat – konkludował z zadowoleniem, nie spodziewając się różnicy zdań.
– Owszem, ale to nie takie proste – zauważyła poważniejąc.
– Tak?

– Nie jestem pewna, czy te soki nie są trujące.
– Odkryła tu pani jakieś kulturowe miazmaty? – Zażartował.
– Zastanawiam się, czy wielokulturowość takich miejsc jak Wiedeń nie jest tylko barwną mozaiką bez wartości? – Odparła, znosząc mężnie jego kpinę.
– Może ona osłabia, a nie wzmacnia kulturę jako całość, będąc chaosem przeciwstawnych tendencji? Raczej tak chciałabym do tego podejść.
Ritter nie przejął się tym, że sceptycznie oceniała mieszanki kultur. Zauważył ten akcent w jej wypowiedzi, ale puścił go mimo uszu. Młodzi, niedoświadczeni badacze często formułowali zaskakujące hipotezy, by zwrócić na siebie uwagę albo z przekory, do której skwapliwie teraz zachęcano w szkołach, kiedy jednak przychodziło do pisania doktoratu, uginali się pod ciężarem literatury przedmiotu, doświadczenia promotorów i wycofywali ze zbyt wyrazistych opinii i tez. Zwyciężała przeciętność i bezbarwność. Nie przypuszczał, że tym razem będzie inaczej.

Lubił myśleć o tym, że jest profesorem, mianowanym przez prezydenta republiki, że pracuje na założonym w XIV wieku uniwersytecie, który szczycił się dziesięcioma noblistami pośród absolwentów, a były to tak wielkie postaci, jak Erwin Schrödinger, Konrad Lorenz czy Friedrich Hayek. Ostatnie lata jednak nie należały do tłustych. Walkę o utrzymanie polonistyki, prowadzoną z szefem instytutu, gburowatym rusycystą Litmannem, przegrał tracąc katedrę. To był cios, który mógł go unicestwić. Na szczęście już wcześniej Ritter przewidział nadchodzące tendencje i ukierunkował się na kulturoznawstwo, dzięki czemu pozostał na powierzchni. Dał się poznać jako zwolennik nowego, szerszego podejścia do wiedzy o krajach słowiańskich. Tradycyjny podział slawistyki na badania literackie i językoznawcze uważał za anachronizm, głosił, że slawiście potrzebne są szerokie horyzonty i swoboda poruszania się w dziedzinie sztuki, literatury, teatru, muzyki, mediów.
Wszędzie, nie tylko w Austrii, likwidowano polonistyki, a także filologie bułgarskie, słowackie i czeskie. Jakob Ritter zgrzytał zębami. Kiedy środkowoeuropejskie kolonie wyzwoliły się spod dominacji sowieckiej, Europa straciła dla nich zainteresowanie. Komunizm pozostawał w centrum uwagi Zachodu, gdy można było demonstrować przeciwko łamaniu praw człowieka. Jako zjawisko zamknięte okazał się nieciekawy, a same kraje postkomunistyczne odpychały biedą i zacofaniem. Tego, że się modernizują i chcą być w Europie, nie zauważano. Utrzymała się za to stara fascynacja Rosją i rusycyści tryumfowali. Ritter uważał ich nie tyle za ambasadorów kultury rosyjskiej, co za agentów wpływu. Nie znosił Litmanna, naukowca ograniczonego, używającego przestarzałych metodologii. Może Lina Baranauskaite ma rację – myślał – że Europa Środkowa zbudowana jest na sprzecznościach, które się wykluczają, i na jej wielokulturowym osłabieniu korzysta Rosja, do bólu monokulturowa, choć wielonarodowa. Dla Rittera uosobieniem Rosji był właśnie podobny do Breżniewa, słoniowaty Litmann.

Jeszcze tego samego dnia spotkał ją na obiedzie. Siedział sam, Lina Baranauskaite wyłoniła się niespodziewanie zza ustawionego przy wejściu do stołówki kwietnika, zobaczyła Rittera od razu, z daleka machnęła ręką, podeszła i przysiadła się bez pytania. Oniemiał zaskoczony jej bezpośredniością. W stołówce nie obowiązywały kawiarniane reguły, ale był przecież starszy i był profesorem...

Uraza szybko minęła, gdy skupił uwagę na jej kształtnych ustach, które poruszały się miękko i zarazem sprężyście pod cienką warstwą szminki i na pewno coś do niego mówiły. Pochłonięty zewnętrznością kobiety, zrazu jej nie słuchał, jedynie patrzył, jakby tylko to miało znaczenie. Więc trzeba było dopiero spotkania przy obiedzie, żeby dostrzegł, jaka jest ładna? Ale też ubrała się inaczej niż na seminaria: żadnych granatowych spodni w kant, żakietów i biurowych bluzek, które upodabniały ją do modelu elegancji urzędniczek z dziekanatu. Teraz włożyła jasną sukienkę, podkreślającą krągłości sylwetki, uzupełnioną fantazyjną czerwoną apaszką, świetnie kontrastującą z jej krótkimi czarnymi włosami. Smagła cera, ciemne oczy, wydatne kości policzkowe – może spadek po tatarskich przodkach? – wszystko to robiło na profesorze wyjątkowe wrażenie, choć nic nie było w niej idealne. Poufałości już nie miał jej za złe.

Jedli dobrze rozbity, lekki sznycel z pikantną sałatką ziemniaczaną i surówkami, i popijali sokiem pomarańczowym. Ritter lubił jeść, sam trochę gotował, zdarzało się, że zapraszał do domu na kolację Ingrid Carstensen, koleżankę z instytutu, która podzielała jego kulinarne zainteresowania. Nie chodził jednak na obiady do restauracji, na co było go przecież stać, wolał swoją poczciwą stołówkę akademicką, serwującą zupełnie niezłe dania. Przy tym nie podawano tu piwa, którego się wystrzegał, a gdyby jadał na mieście, zawsze by się na nie skusił.

Lina Baranauskaite gestykulując żywiołowo mówiła o jakichś koncertach, więc spytał, czy korzysta z oferty samorządu studenckiego, który rozprowadza także dla doktorantów tańsze bilety na Filharmoników Wiedeńskich pod batutą Barenboima.

– Ach tak, korzystam, ale nie z Barenboima. Trwa festiwal Wien Modern, a w tym roku główną postacią jest György Kurtàg i na te koncerty teraz chodzę – zorientowawszy się, że nie słuchał, powtórzyła cierpliwie w skrócie to, co mówiła wcześniej.

– No tak, tak... Chciałem pani proponować Beethovena, Haydna (Mozarta mniej lubię), ale widzę, że pani się interesuje muzyką współczesną...

– Słucham Beethovena i Haydna – usprawiedliwiała się z ociąganiem. – Ale dla mnie ważni są również inni klasycy wiedeńscy: Schönberg, Webern i ta linia, która się od nich wywodzi. A pan? Słucha pan czasem muzyki nowej?

W pytaniu zabrzmiała potencjalność odpowiedzi negatywnej, więc Ritter z przekory szukał w pamięci nazwisk kompozytorów współczesnych i okazji, przy których mógł słyszeć ich muzykę. Niewiele znalazł, ale pomyślał przy tym, że daje się wciągać jak dziecko w grę, którą ona narzuca.

– No, wie pani... – zaczął bez przekonania – słyszałem Cage'a, pamiętam festiwal Ligetiego... Kiedyś byłem w kościele św. Michała na recitalu organowym z muzyką Messiaena, ale to dawno...

– Oni wszyscy już nie żyją – przerwała. – Ich miejsce zajęły nowe pokolenia. Tu, w Austrii, tworzą świetni kompozytorzy Beat Furrer, Olga Neuwirth, Georg Friedrich Haas... Nasi, litewscy, są przy nich tacy anachroniczni!

Skończyli obiad, ale siedzieli dalej zwróceni do siebie twarzami jak szachiści pod koniec partii. Ona podniecona swoją przewagą w dziedzinie, w której profesor nie mógł jej dorównać, on wycofany i zawiedziony tym, że stracił pozycję. Postanowił ją odzyskać.

– Nie miałem okazji poznać ich muzyki, ale słyszałem Pendereckiego. Pani pewnie go zna. U niego jest dramatyzm, którego brakuje mi w muzyce modernistycznej, skupionej na badaniu głębi dźwięku, na wyspekulowanych teoriach...

– Sądzę, że tu się pan myli, panie profesorze – przerwała jego wywód. – Proszę posłuchać Xenakisa, który opierał kompozycje na strukturach matematycznych. Czy u niego brak dramatyzmu? Albo Helmut Lachenmann... Wie pan, jak gorąco był ostatnio przyjmowany w Warszawie? A Grisey? Obok tej muzyki nie można przejść obojętnie!

– No tak, tak... Chciałbym podzielać pani entuzjazm – zapewnił chłodno Ritter, mając ciągle w uszach owo „myli się pan", którym go przed chwilą ukłuła. – Swobodniej poruszam się jednak po muzyce klasycznej. Teraz dużo słucham Schuberta, zna go pani? To pierwszy prawdziwy tragik w muzyce. U Beethovena istniał dramat, ale nie było tragizmu. Za to w *Podróży zimowej* mamy strukturę i charakter tragedii – referował Ritter za muzykologiem, którego niedawno czytał. – Zna pani *Kwartet c-moll*? To poemat o tragizmie, pęd ku zagładzie. Tak... Schubert zna tragiczny koniec. Czy pani bliski jest tragizm?

– Ten romantyczny, rozumiany jako splot nieprzezwyciężonych sprzeczności, tragiczny konflikt między dążeniami a możliwością ich spełnienia? Tak. Czuję to. Oczywiście. Sprzeczność pomiędzy świadomością skończoności i wolą nieskończoności...

Znów jej nie słuchał, bo patrzył i patrzył, i myślał, że to ona składa się z przeciwieństw. Kiedy mówiła, oczy się śmiały, a usta, pełne, ale delikatne zarazem, poruszały się dostojnie. Umiała być jednocześnie poważna i radosna. To było takie dziecięce! Miała w sobie gracje i szorstkość. Przyciągała i odpychała. Zbudowana była ze sprzeczności. Ale i on zmieniał się przy niej: jedna jego część chciała dominować, prowadzić, narzucać, druga ulegała, pozwalała się podporządkować. Lina wyzwalała go z roli profesora, co w murach uniwersytetu nie bardzo mu się podobało, ale nęciło możliwością przekroczenia jakiejś granicy.

W kolarskich spodenkach i tak samo obcisłej, żółtej bluzie wysportowana sylwetka Liny wyglądała wspaniale. Kostium podkreślał niespokojną urodę dziewczyny, wzbudzając w Ritterze niejasne jeszcze, ale coraz mocniej uświadamiane tęsknoty. Różnili się wszystkim: wiekiem, pozycją, temperamentem, zainteresowaniami. Czym zwróciła jego uwagę? Tą innością?

Jeszcze zanim ruszyli, poprosiła go o naciągnięcie linki hamulca, pochylił się nad rowerem, wymieniali fachowe uwagi i sam nie wiedział, kiedy przeszli na ty. Za chwilę poczuł, że trzeba ten stan oficjalnie zalegalizować, ale sama rzecz stała się niespodziewanie. Przypomniał sobie, jak wiele czasu zabrało mu to na początku znajomości z Ingrid Carstensen. Gdy kilka lat temu poznał tę sympatyczną, ciepłą kobietę, podobną do Ingrid Bergman, był nią onieśmielony. Nieprędko zaczęli sobie mówić po imieniu, może dopiero po roku. Nawet później, kiedy już zostawała u niego na noc, nie pozbył się całkowicie tego nieokreślonego zakłopotania. A teraz, z Liną, w mgnieniu oka byli starymi przyjaciółmi.

Wspinali się ulicami w stronę Kahlenbergu, chcąc z góry popatrzeć na miasto. Po chłodnym poranku, znów – jak w ostatnich dniach – przyszło ciepło przedłużonego jakby lata, choć październik był już w pełni. Jadąc obok Liny Jakob instruował ją, że w Wiedniu można jeździć rowerem jednokierunkowymi ulicami pod prąd, pokazywał jej znaki dla rowerzystów, opowiadał o zautomatyzowanych wypożyczalniach ulicznych, w których można tanio pożyczyć rower na godzinę czy dwie i oddać w innym punkcie miasta. Wszedł w rolę rowerowego eksperta.

Zobacz. Tutaj skręcasz ze ścieżki, bo masz strzałkę w lewo i dalej możesz jechać ulicą...

– Ale z ciebie mentor! – Śmiała się. – Nawet na rowerze robisz wykłady.

Nie lubił tych jej lekceważących uwag, wytrącała go nimi z roli przewodnika: najpierw po nauce i po muzyce, teraz po Wiedniu...

Mijali zbudowany niedawno kościół, obłożony czarną płytą o zmatowiałym połysku. Gładką powierzchnię ścian nakrapiały drobne, okrągłe okienka, jak iluminatory na statku. Twórcom chodziło pewnie o wywołanie skojarzeń z arką, ale wrażenie było inne: jakby wnętrze chciało się hermetycznie odciąć od świata. Budynek miał przy tym formę pudełka po butach. Lina się śmiała, że wertykalizm dawnych kościołów zastępuje teraz forma pozioma, oddająca ducha naszych czasów, a Jakob myślał, że choć, jak na nią, zaskakująco tradycjonalistyczna, uwaga ta jest trafna. Skręcili znów pod górę, natykając się tym razem na świątynię buddyjską i kiczowatą spalarnię śmieci Hundertwassera.

– Wiedeń jest pełen kontrastów, ale przyjemnie się tu mieszka – oznajmił Jakob. – Może się zatrzymamy i czegoś napijemy?

Szukali dogodnego miejsca. Znów przyglądał się jej biodrom, smakował linię nóg, studiował harmonię ciała, kontrastującą z niezręcznością zachowań. Jedna część Jakoba była oczarowana jej urodą, ale onieśmielona i zarazem pozostawała w stanie wzbudzonej wyobraźni, druga – zdystansowana i pełna rezerwy. Coś go ostrzegało i powstrzymywało przed przekroczeniem granicy, za którą spodziewał się niewiadomego.

Usiedli w ulicznej kawiarence przy szklance soku. Rozmawiali o pokoju, który wynajęła niedrogo w dzielnicy Brigittenau.

– To tylko kilka przystanków od Ringu – mówiła – i zupełnie tam spokojnie. Mam sąsiadów z Chorwacji i z Bliskiego Wschodu. Może chciałbyś zobaczyć, jak mieszkam?

– Chętnie kiedyś cię odwiedzę – Jakob niewyraźnie kiwnął głową, spłoszony tym niespodziewanym zaproszeniem.

Żeby odwrócić uwagę od swego zmieszania, mówił o Brigittenau, że przed wojną to była dzielnica robotnicza, że mieszkało tam wiele rodzin żydowskich, a na początku wieku w noclegowni dla samotnych mężczyzn malował tam swoje pocztówki Adolf Hitler.

Przyglądał się jej dłoniom, niezbyt wąskim, ale silnym i zgrabnym. Miał praktykę, bo swego czasu studiował kształty, typy i cechy dłoni na obrazach w wiedeńskich muzeach. Na palcu Liny zauważył oryginalny pierścionek z czarnym bursztynem i zwrócił nań uwagę. Opowiedziała mu o litewskich poławiaczach bursztynu, o szlifierzach i grawerach. Trochę słuchał, czasem się oddalał, dryfując na jej słowach. Zastanawiał się, dlaczego właśnie ona? Jak to się stało, że zamiast siedzieć w bibliotece i wertować nowe zeszyty czasopism kulturoznawczych był tutaj z nią, chciał jej słuchać, podziwiać kobiecość, zżymać się na arogancję z jej strony.

Gdy się dostali na szczyt wzniesienia, było już po południu. Patrząc na przymgloną panoramę miasta i pociętą mostami, rozdwojoną wstęgę rzeki mieli słońce w oczy. Zmęczeni jazdą przysiedli i podziwiali niską zabudowę naddunajskiej metropolii, z której przyziemną domeną kontrastowały bez przekonania wysokie wieżowce Donaustadt. Ritter wybrał jeden ze ściętym szczytem, wyobrażając sobie, że to on, i szukał drugiego dla Liny, po chwili dopiero zdał sobie sprawę, jak dziecinna to zabawa i zawstydził się, choć nikt przecież niczego nie mógł się domyślić.

Nie miał zwyczaju analizowania siebie i świata w każdej chwili życia, dlatego dopiero teraz zrozumiał, że to już nie tylko fascynacja pięknem, że ta dziewczyna go pociąga i wydawało mu się, że być może ona o tym wie i okręca go sobie dookoła palca. Ale szybko porzucił tę myśl, by się poddać nastrojowi.

Przed wieczorem, zjeżdżając z Kahlenbergu między ukrytymi w winnicach stylowymi willami, zjedli obiad w jednej z licznych przydrożnych winiarni w Grinzingu, pełnej turystów i cygańskiej muzyki. Lubił tę porę, gdy światło stawało się niebieskawe i otoczenie nabierało barw, jakich nigdy nie mogło uzyskać w ciągu dnia. Przywykł jednak chłonąć tę osobliwość w ciszy, a tu miał przed sobą arenę wypełnioną ruchem, życiem, zapachem potu. Siedzieli przy murku okalającym obszerny, wyłożony jasną kostką taras otoczony pergolą, na którym ustawiono rustykalne stoły i ławy. Mogli wyglądać jak ojciec i córka – przystojny, szpakowaty, dość wysoki mężczyzna w sile wieku, o bladej, wydłużonej twarzy i zupełnie do niego niepodobna dziewczyna, na swój sposób piękna, w kanarkowym kostiumie do jazdy na rowerze, na tle krzewu winobluszczu o przebarwiających się już jesiennie, czerwonych liściach. Pili wino, było głośno, Lina dokazywała jak dziecko, wyciągała go do tańca, on oponował, potem jednak poszedł, manewrowali w tłumie rozbawionych, tańczących, zgrzanych, flirtujących ludzi i odniósł wrażenie, jakby się cofnął o trzydzieści lat.

II

Nie był tu obcy, urodził się w Wiedniu.

Okna gabinetu wychodziły na Ring, okazały bulwar zbudowany w drugiej połowie XIX wieku według projektu jego pradziadka. Czy to wystarczało, żeby mógł się czuć w naddunajskiej stolicy jak u siebie? Nie, ale w porównaniu z innymi mieszkańcami Wiednia to było jednak dość dużo. Co mieli powiedzieć przebywający tu Chińczycy, Arabowie czy Kubańczycy? Innej ojczyzny Jakob Ritter nie miał. Polska była krajem dalekich przodków. Odwiedzał ją i badał, uczył o niej studentów, ale jej nie pojmował.

„Umiesz, ale nie rozumiesz!" – miała zwyczaj mówić jego nauczycielka matematyki, gdy ktoś wykuł lekcję na pamięć, lecz nie potrafił wykorzystać posiadanej wiedzy.

Analizował kulturę polską, która odklejała mu się od samej Polski. Każda wizyta w tym kraju unaoczniała przepaść między twórczością i życiem. Wracał stamtąd pełen zwątpienia w sens swojej pracy naukowej i dopiero długie rozmowy z Ingrid przynosiły mu równowagę. Jej szwedzkie poczucie dystansu ustawiało zjawiska w ich właściwych proporcjach.

W kulturze polskiej najlepiej rozumiał to, co powszechne, europejskie, uniwersalne. Ojczyzną Rittera była Austria, a właściwie Wiedeń, jego szum, architektura, teatry i sale koncertowe. Z plebejską prowincją czuł już mniejsze pokrewieństwo.

Zamknął okno i hałas uliczny nagle stopniał.

– Czytałaś *Powiązania transnarodowe* Ulfa Hannerza? – Zwrócił się do siedzącej po drugiej stronie biurka Liny.

– Nie, tego nie. Tylko *Antropologię miasta* – przyznała.

– No właśnie. On tam dość przekonująco pisze o tym, co się dzieje, gdy ludzie i kultury przemieszczają się i mieszają.

– Hipoteza wzajemnego wzbogacania kultur wydaje mi się oszustwem opartym na mitach i bezrozumnym zachwycie – powiedziała z naciskiem.

Pogranicze jest powierzchownie atrakcyjne przez swą egzotyczność, ale zamiast się entuzjazmować trzeba je efektywnie badać.

Jakże jej zazdrościł tej pewności wypowiadania tez! Przypominał sobie swoje tyrady, gdy jako młody badacz kultur słowiańskich z podobnym przekonaniem wygłaszał opinie przy promotorze. Ale pomiędzy jego postawą z młodości i nią teraz była jedna różnica: ona mimo znaków ostrzegawczych parła do przodu, on miał wtedy coraz więcej obiekcji, ulegał tym, którzy tłumaczyli, że jeszcze nie czas na własne poglądy, i przez to się w końcu pogubił.

– Co się dzieje według ciebie na pograniczu kultur? – Zapytał.

– Trwa walka o dominację, ale jej przejawów po wierzchu nie widać. Artystyczna płodność miejsc, w których się spotykają różne kultury, wynika nie tyle z ich współżycia, ile z rywalizacji. One się okopują na swoich pozycjach w stanie pozornej równowagi, a podskórnie zmagają.

– W końcu jedna z nich zatryumfuje i nierównowaga, czyli dominacja, zostanie przywrócona?

– Tak. Tutaj równowaga może być tylko stanem przejściowym.

– A jeśli żadna strona nie jest na tyle silna by dominować? – Drążył Ritter.

– To chaos przeciwstawnych tendencji trwa, osłabiając cały układ, aż do chwili, gdy pojawi się element dominujący. Wtedy on się staje pasożytem, żerującym na innych. Kulturze zdominowanej pozostaje naśladownictwo.

– No tak, tak... Czyli nie istnieje wzajemne wzbogacanie?

– Istnieje wzbogacanie przez połykanie. Tylko dominująca kultura wzbogaca się na pozostałych, nie wszystkie. Rekin tuczy się zjadając płaszczki, ale co one z tego mają?

– Uważasz, że kultura polska przez wieki ciągnęła soki z Litwy, a litewska w tym czasie niczego nie uzyskała?

– Kultura litewska imitowała polską, kopiowała ją. Nasza szlachta upodabniała się do polskiego ziemiaństwa. Ale, widzisz, tak daleko posunięte naśladownictwo hamuje rozwój. Dlatego kultura litewska rozwinęła się naprawdę dopiero wtedy, gdy poprzez nacjonalizm zaznaczyła swoją odrębność od polskiej.

– Odrzucasz teorię tygla, w którym przetapiają się różne wartości, by stworzyć cenny stop? – Upewniał się Ritter.

– Tak, i proponuję teorię dominacji. Ktoś musi być najsilniejszy. Tak jest w przyrodzie, tak jest w społeczeństwach, tak musi być też między kulturami. Teraz trzeba by zebrać fakty, część pracy mam już zresztą za sobą, i to zobrazować.

Imponowała mu jej pewność siebie. Nie wiedział, czy teorię tę uznać za trafną, ale bez wątpienia była niebanalna. Myślał jednak, że woli Linę jako kobietę i swoją studentkę niż twórczynię nowatorskich wizji. Wydawała się naraz taka odległa i zasadnicza, umykała mu. Czy chciał przyjmować odkrywcze ujęcia, szczególnie te proponowane przez obiecującą może, ale przecież nieopierzoną nowicjuszkę? Czy był gotowy na nowe idee ze Wschodu? On, zasiedziały na sytym i zadowolonym Zachodzie, na tym starym uniwersytecie, on, który okres niezaspokojonej ciekawości badawczej miał już raczej za sobą. Zazdrościł tej młodej dziewczynie, a jednocześnie obawiał się o nią, o jej przyszłość, jeśli zechce dalej pracować naukowo. Świat uniwersytecki był bezwzględny i nie tolerował wyróżniających się jednostek. Ritter wiedział, że jeśli bezwarunkowo nie poprze tej dziewczyny i jej koncepcji, nie będzie

miała szans. Ale czy czuł się na tyle silny, żeby jej pomóc, żeby forsować ryzykowny temat? Mogło mu to zaszkodzić, a przecież jego pozycja i bez tego była zagrożona. Litmann...

Trwało milczenie. Ritter chodził po gabinecie rozważając argumenty, a Lina wodziła za nim oczami.

– Muszę się nad tym wszystkim zastanowić – powiedział wreszcie. – Ach, mam dla ciebie propozycję. W przyszłym miesiącu jadę do Innsbrucku na konferencję o metodologii badań kulturoznawczych. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną, poznasz kilka osób.

Była zdania, żeby trochę ukierunkować doktorantkę, osadzić ją mocniej w literaturze przedmiotu i w materiale, który zbierze. Niech swojej teorii tak nie eksponuje, mówiła. Można wycieniować tę zbyt mocno zarysowaną opozycję: silny – słaby. To dopiero doktorat, ona ma jeszcze czas na pokazanie rogów. Zalecała więcej umiaru.

Znał te argumenty, tak samo było kiedyś z jego doktoratem, ale dzisiaj musiał im przyznać rację.

Zaprosił Ingrid, bo chciał porozmawiać o pracy doktorskiej Liny, poradzić się, co z nią dalej robić. Nie chciał mówić o tym, że się boi o swoją pozycję, zreferował tylko w zarysie hipotezę Liny. Ale Ingrid szybko się zorientowała, że temat jest wybuchowy i stąd jego obawy.

Przygotował kolację niezbyt wykwintną, ale podaną atrakcyjnie i smaczną. Spaghetti, które robił, było potrawą daleką od banału upowszechnianego pod tą nazwą. Jego tajemnica polegała nie tylko na szczególnym potraktowaniu wieprzowiny, użyciu specjalnego rodzaju oliwek i odpowiedniej dawce czosnku, ale przede wszystkim na udziale domowego wyciągu z pewnego gatunku drobnej, włoskiej papryki. Ona dawała ten intensywny, przenikliwy odcień smakowy, który i tym razem udało się Jakobowi uzyskać.

– Może kluczem do tych problemów jest sprawa wymuszanych tożsamości grupowych? – Zastanawiała się Ingrid przełykając ostatnie nitki makaronu. Żyjemy w czasach sekt, gdy nawet najmniejsze środowiska walczą usilnie o własną tożsamość. Potrzeba odróżnienia się jest tak wielka, że one silniej odczuwają przynależność grupową niż na przykład narodową. Obserwujesz te zjawiska. Poczekaj, mam książkę... Przypomnij mi w instytucie.

Skończyli kolację i przesiedli się na fotele. Ritter chciał włączyć Schuberta, ale zrezygnował z tego pomysłu. Wolał porozmawiać bez przymusu koncentrowania się na muzyce.

– Napijesz się brandy? – Zaproponował, chcąc ją zatrzymać dłużej.

Siedząc naprzeciwko, szybko zlustrował jej doskonałe nogi.

Jak zawsze dobrze ubrana, Ingrid potrafiła zachować ów trudny balans między powściągliwą elegancją i swobodą. W czasach nonszalancji obyczajowej i zepsucia wzorów Jakob niezwykle cenił gust i wyczucie przyjaciółki. Prawie o dziesięć lat od niego młodsza, jeśli nie była piękna, to na pewno bardzo interesująca. Z przyjaznością błękitnych oczu kontrastowała surowa linia ust, a miękkość zarysu twarzy kontrapunktował zgrabny, ostro kreślony nos.

– Owszem, tylko nalej mi niedużo – poprosiła. – Więc sprzeczności nie muszą osłabiać, czasami wzmacniają – dodała wracając do tematu. – Wielość jest płodna.

– Tak mi się wydawało, ale Lina twierdzi, że nie. Wiesz, Ingrid, ona też jest złożona ze sprzecznych pierwiastków, które dają jej siłę. Ma tatarską krew, zupełnie nielitewski temperament...

– Mówisz o niej z błyskiem w oku. W niedzielę widziałam was na rowerach. Nie przypuszczałam, że spotykasz się z nią poza uczelnią. Mówił mi Otto...

– Byliśmy na Kahlenbergu – przerwał – pokazywałem jej panoramę miasta.

– A może ona chce się tobą posłużyć? Nie przyszło ci to do głowy? Bliskie stosunki z profesorem mogą wiele ułatwić.

– Żartujesz? Czy na uniwersytecie możliwa jest bliskość? – Rozważał Jakob. – Pomyśl, relacje między profesorami i studentami przeniesione są tu ze szkoły, choć przecież studenci nie są już dziećmi. Tytuły naukowe i cały ten ceremoniał stwarzają niepotrzebny dystans. Ja sam... Wiesz, że jeszcze niedawno miałem jej za złe, gdy przysiadła się bez pytania w stołówce? Zachowania spontaniczne brałem za nieuprzejmość. Między doktorantem i profesorem na bliskość nie ma miejsca. Jeśli nawet ona się narodzi na gruncie osobistym, to uniwersytet ją zabije.

– Napisz o tym esej! A zastanawiałeś się kiedyś nad bliskością między nami? – Pytanie Ingrid zabrzmiało dramatycznie. – Pomyślałeś o nas?

Jakob się zmieszał. Rzeczywiście nigdy nie chciał o tym rozmyślać. Było dobrze tak, jak było. Ingrid zostawała od czasu do czasu po kolacji, ale nigdy nie starali się sformalizować ich związku, który – Jakob nagle to zrozumiał – opierał się na niedomówieniu. Teraz była zazdrosna... Nie miała nikogo innego, o tym wiedział, ale nie spodziewał się, że oczekuje od niego czegoś więcej. Przegapił oznaki, czy nigdy ich nie było? Uważał, że się dobrze rozumieli, rozmowy na tematy naukowe szły im świetnie, mieli podobne poglądy na sprawy instytutu i dominację rusycystów. W wielu rzeczach się zgadzali. Pamiętał, jak go wspierała, nie tylko prywatnie, lecz także na uczelni, gdy walczył o utrzymanie katedry. Wspaniała kobieta. Wydawało mu się, że wiedział to od dawna. Dlaczego ich związek był dotąd tak luźny? Może przegapili jakąś okazję? Co sprawiło, że właśnie teraz doznał oświecenia? Poznanie Liny? Czy nie powinni byli o tym wszystkim porozmawiać? Ale przecież miał głowę zajętą konferencją w Innsbrucku. Musiał się zastanowić.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo już trwa cisza, niezręczna cisza, która zapadła po pytaniu Ingrid.

– Przepraszam – powiedział bez przekonania.

– Nie przepraszaj. Pójdę, już późno – Ingrid odstawiła kieliszek i szybko wstała.

Chciał ją przytulić, ale się uwolniła z jego ramion.

– Musimy porozmawiać – powiedział podając jej płaszcz. – Teraz powinienem to wszystko przemyśleć, ale... – zaczął bezradnie. – Jak wrócę z Innsbrucku...

Wychodząc spojrzała w lustro na ścianie przedpokoju i przestraszyła się swoich oczu.

Na corocznych konferencjach metodologicznych w Innsbrucku Jakob Ritter pojawiał się z nawyku raczej niż z ciekawości czy obowiązku zawodowego. Nikt co roku nie wymyślał nowych metod badania kultur, więc po programie obrad trudno się było spodziewać rewelacji. Jeśli coś się mogło stać, to raczej w kuluarach. Przyjeżdżano tu głównie po to, żeby zobaczyć

znajomych i przekonać się, że wszystko jest po staremu. Czasem tylko ktoś z bywalców, tak jak w tym roku Ritter, przywoził ze sobą młodego asystenta lub obiecującego doktoranta, ale nikt na to specjalnie nie zwracał uwagi. Profesorów interesują tylko rywale, a więc ci młodsi o dziesięć – piętnaście lat, całkiem młodzi naukowcy mają niewielkie szanse stać się rywalami profesorów, nim ci przejdą na emeryturę.

Przez trzy dni Lina czuła się w Innsbrucku jak ryba w wodzie. Co dzień bardziej frapująco ubrana, zabierała głos w dyskusjach, brylowała w czasie przerw na kawę, na obiadach i bankietach. Swoją teorię dominacji kultur najsilniejszych zdążyła niechybnie szeroko rozkolportować, bo już pierwszego dnia od dwóch kolegów z Salzburga Ritter usłyszał, że wyhodował kulturową darwinistkę.

– Według twojej doktorantki przeżywa najsilniejszy – uśmiechali się niby życzliwie, ale Ritter szybko się zorientował, że ta koncepcja nie odniosła w Innsbrucku sukcesu.

Znał różne odcienie ironii, które cechowały kuluarowe plotki uczonych. Była więc ironia świadcząca o aprobacie, a nawet zachwycie nową koncepcją i była ironia gryząca, unicestwiająca. Pierwsza świadczyła o tym, że komentator nie jest w stanie sprostać temu, z czego drwi i dlatego się broni ironicznym gestem. Druga ironia niszczyła nowy pomysł, zabijała go razem z jego twórcą. Jeśli się upowszechniła w kręgu oceniających, adept był skończony. Jakob Ritter obawiał się, że w przypadku Liny może, niestety, chodzić o tę drugą ewentualność. Przywiezienie jej tu stało się zatem prowokującą demonstracją.

Obawy i lęki Rittera przygasły nieco dzięki towarzyszącym konferencji rozrywkom, ale niebawem miały powrócić. Na lodowcu Stubaier Gletscher, gdzie sezon narciarski zaczynał się wcześnie, pojeździli na nartach, przejechali się kolejką linową na Patscherkofer, odwiedzili też skansen tyrolski. Lina nabrała blasku, była zachwycona, poznała młodego Litwina, doktoranta z katedry Litmanna, i dyskutowała z nim o swoich koncepcjach. Nazywał się Jurgis Giedraitis i trudno było zgadnąć, co go przywiało na tę konferencję, wszak Litmann nie prowadził seminarium z kulturoznawstwa. Ritter miał aż nadto powodów, by Giedraitisa w jednej chwili znienawidzić.

Pierwszej nocy, spędzonej w ośrodku konferencyjnym, Jakob przekroczył przy telewizorze granicę snu. Wspinał się po drabinie, a droga ta nie miała końca. Czuł zmęczenie w nogach, drżały mu łydki. Chciał zawrócić. Wysoko w przestrzeni zobaczył wtedy uśmiechającego się dobrotliwie anioła. Za chwilę była to już kobieta. Zatrzymał się, przyjrzał dokładniej i dostrzegł, że podobna jest do Liny. Jej uśmiech nie wydawał się Jakobowi tak łaskawy jak wcześniej, przeciwnie, był raczej ironiczny, kpiący. Dziewczyna zaczęła ostentacyjnie rozpinać guziki sukienki i wtedy Jakob dostrzegł zarys piersi. Chciał się wspiąć wyżej, ale nogi odmówiły, stały się nagle sztywne i martwe. Zorientował się, że spada. Leciał długo, jak w snach z okresu dzieciństwa, i tak samo jak wówczas obudził się przerażony i spocony.

Poczuł woń suchego powietrza. Kaloryfer ustawiono zbyt mocno. Wstał, wyłączył telewizor i przykręcił regulator grzejnika. Myślał o Linie, zastanawiał się, czy śpi i czy nie miałaby ochoty na kieliszek brandy. Jej pokój był tuż obok, więc łatwo mógłby... Przygaszone światło, na tyle jasne, by rozróżnić kształty. Lina przed lustrem powolnym, wystudiowanym ruchem rozpina guziki bluzki. On stoi z tyłu, chce jakoś zasygnalizować swoją obecność, ale nie wie jak. Wreszcie ona dostrzega w tle jego odbicie, odwraca się i mówi: Jesteś? Czekałam...

Ona może być z tym Giedraitisem – pomyślał – albo w ogóle jej nie ma w pokoju, bo z grupą młodych naukowców siedzą na dole w barku przy szklance piwa i obgadują stosunki w swoich instytutach. Wyobrażenie z lustrem prysło.

Nie mógł zasnąć. Myślał o tym, że Lina nie jest dla niego, że powinien przestać sobie nią zawracać głowę. Jak łatwo skupiała uwagę mężczyzn! Cokolwiek zrobiła, czy była to jakaś litewska anegdota opowiedziana przy kolacji, czy zgięty kijek narciarski podczas jazdy wyciągiem, czy też teoria zjadania kultur – wywoływała zainteresowanie. Z Liną będzie szczęśliwy ten, kto ją zdominuje.

A teraz ten Giedraitis! Co on mógł tu robić? Teren, który oznaczył sobie Litmann, nie obejmował kulturoznawstwa, a ten młody Litwin najwyraźniej właśnie nim się zajmował. Ale nie przyszedł do Rittera! Skoro Litmann przyjął temat Giedraitisa, oznaczało to, że ma zamiar rozszerzyć rywalizację.

Poczuł się jak tropiony zając w nagonce i tak jak zając pod miedzą nad ranem usnął.

Brakuje chyba tylko stylowego kominka, przy którym można by się komfortowo wyciągnąć. Jakob miło się urządził! – Myślała Lina, lustrując wnętrze gabinetu. Bywała tu przecież wiele razy, ale po raz pierwszy czuła się w nim tak swobodnie. Pokój wypełniały głównie książki, które profesor gromadził od lat na regałach z surowego drewna, wiedeńskie pamiątki obok małego popiersia Franciszka Józefa, obrazy i fotografie w starych ramach, wszystko w dawnym stylu. Nawet fotele, choć wciąż pełniły swą funkcję, czuły patynę czasu. Pachnie tu nieco starzyzną – zauważyła po cichu.

Po sympozjum w Innsbrucku zostały jej wspomnienia dyskusji naukowych i miłych spotkań towarzyskich, obiecujące kontakty, poszerzone nagle perspektywy, rozbudzone nadzieje. Tylko Jakob wrócił jakiś nadąsany i skrzywiony. Teraz z założonymi rękami chodził po gabinecie, otwierał i zamykał okno, za którym mknęły samochody, przestawiał bez celu przedmioty na półce.

– O co chodzi, Jakob? – Spytała ostro, chcąc wyjaśnić sytuację.

– Twoja teoria brzmi niewiarygodnie – zaczął – świat naukowy jej nie przyjmie, będziemy mieli trudności na radzie instytutu i kłopot z obroną tego doktoratu.

– My? Chyba ja! I cóż to jest ten „świat naukowy"? – Warknęła agresywnie.

– Zobaczysz, gdy do niego wejdziesz.

– Czuję, że uchylasz mi rąbek tego świata!

– Posłuchaj, wiem, że chcesz być kimś w nauce, ale nie zaczynaj w taki sposób. Trochę pokory!

– Przecież zbieram materiał empiryczny, większość już mam – broniła się, nie rozumiejąc tego nagłego zwrotu.

– Według mnie nie jest przekonujący. Recenzenci nie ocenią go pozytywnie.

– To co mam robić? – Lina straciła orientację.

– Chciałbym, żebyś zmodyfikowała temat, jest jeszcze na to czas.

– Wykluczone – odparła bez namysłu. – A gdzie wolność badań? Gdzie swoboda wyboru tematu? Przecież to, co robię, może być całkiem ciekawe w myśleniu o przyszłości Europy.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Wciągnął dobrze sobie znany zapach tego wnętrza, woń spokoju i umiaru, która była tu, zanim się pojawiła ta Litwinka ze swoimi drapieżnymi, choć musiał przyznać, ponętnymi perfumami. Była tu i pozostanie – pomyślał. Machinalnie wyjął z półki jakąś książkę i otworzył na chybił trafił. Spomiędzy kartek wypadło zdjęcie przedstawiające kobietę na tle alpejskiego pejzażu. Jakob schylił się, podniósł fotografię zasłaniając ją przed dziewczyną i popatrzył w błękitne, śmiejące się do obiektywu oczy Ingrid. Miała na sobie spodnie do turystyki górskiej, odsłaniające zgrabne łydki, i czerwony polar, który odcinał się ostro na tle błękitu nieba i stalowej szarości skał. Pamiętał ten pobyt w Alpach poprzedniego lata, pamiętał go...

Sam nie wiedział, skąd nabrał takiej pewności, ale był już zdecydowany. Lina pochwyciła jego spojrzenie, w którym dostrzegała dziwną satysfakcję. Przypatrywała mu się badawczo a potem rozejrzała po gabinecie, by zrozumieć, co się mogło stać.

– Lino, obawiam się, że nie będę mógł pokierować tak zaplanowaną pracą – wycedził.

Odwrócony do dziewczyny plecami zabrał się do wstawiania książki z powrotem na półkę. Trwało to dłuższą chwilę, bo musiał rozchylać i podtrzymywać sąsiednie tomy, które zwarłszy szereg broniły wstępu. Dopiero za moment popatrzył znów na Linę, by się przekonać, że jej zdumienie przekroczyło poziom, którego miał prawo się spodziewać.

Zaniemówiła, nie była przygotowana na taki obrót spraw. Słowa nie przychodziły jej do głowy, patrzyła tylko dziko zwężonymi oczami i zaciskała palce. Zdumienie szybko się przekształciło we wściekłość. Pohamowała ją, by nie wybuchnąć.

– Boisz się! – Wydusiła. – Boisz się o swoją karierę! O stanowisko!

– Nie bądź śmieszna! – Powiedział cynicznie, w duchu przyznając jej rację.

– Dobrze – oznajmiła kategorycznie. – Poszukam innego promotora.

Powiedziała to bez namysłu, jakby miała przygotowaną koncepcję odwrotu. Wydawało się, że nie chce dyskutować, rozważać, co jest lepsze w tych okolicznościach. Do takich konwersacji nie miała już w nim partnera. Chciała to zamknąć. Zakończyć tę rozmowę, tę współpracę i znajomość. Ściągnięta skurczem twarz stała się obca, a w oczach zagościł nieopanowany, zły błysk. Zaśmiała się kpiąco, niemal wulgarnie.

Jak mogła mi się dotąd tak podobać? – Pomyślał.

Dopiero teraz wstała, zebrała z biurka notatki i wyszła już bez słowa, a on jej nie zatrzymywał.

Miał wreszcie spokój, święty spokój. Przeżyta z nią przygoda wydawała się snem, złudzeniem. Była tak lekka, że jej wagi nie czuło się ani na paznokieć. Jeśli mogła to być gra, to wygrał. Bez satysfakcji, ale wygrał. Może rację miała Lina twierdząc, że kultura silniejsza dominuje?

Wyglądało to zawsze tak samo. Na początku biegli w milczeniu, dość szybko, i to nie kto inny jak Otto Ultsch narzucał tempo, a potem, gdy już Jakob wpadł w motoryczne ostinato kroków wyzwalające stan spokoju i harmonii, kiedy nie czuje się zmęczenia i nie myśli o niczym, wtedy Otto zaczynał pogawędkę. Zwalniali, rytm się załamywał, Jakob wypadał z transu, pryskało ukojenie i cała przyjemność.

Łykali ostre powietrze grudniowego poranka, złagodzone nieco bliskością rzeki. Spowolnione chłodem i pochmurnym niebem, w które nie chciało się wzlatywać, gołębie łaziły niemrawo po płytach chodnika. Niewielu było biegających w taką pogodę. Za wygraną nie dali tylko najwytrwalsi.

– Pozbyłeś się swojej Litwinki – Stwierdził raczej, niż spytał Otto.

– Już wiesz?

– Wszyscy wiedzą! Ona opowiada, że odrzuciłeś jej temat.

– No tak.

– Przecież jeździliście na rowerach... Nie mogłeś na nią wpłynąć, jakoś się dogadać?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Jakob nie rozmawiałby dziś w ogóle na ten temat, gdyby nie to, że chciał się dowiedzieć, co mówią na wydziale, a Otto był zwykle dobrze poinformowany.

– Poszła do Litmanna. Rosja anektuje Litwę, kolego – zażartował Otto.

– Jednak? Tego się spodziewałem.

– Jakob, on ma teraz dwoje zdolnych Litwinów kulturoznawców i pewnie będzie chciał ich zatrzymać. Może powoła jakiś nowy zespół? Radę ma po swojej stronie. Chyba cię to nie cieszy?

– Nic na to nie poradzę, Otto. Mam przynajmniej spokój – oznajmił zrezygnowany.

– Spokój? Nie rozumiem. Mówiłeś, że jest przenikliwa i dobrze się zapowiada, a teraz oddajesz ją temu pacanowi?

– Męczyła mnie rojem sprzecznych pierwiastków. Sfrunęła jak motyl, a potem chwyciła w kleszcze jak pajęczyca.

– O czym ty mówisz? – Przestraszył się Otto Ultsch.

– Nic, nieważne – machnął ręką. – Cenię umiar i harmonię, nie mogłem z nią pracować.

– Umiar to zerowa entropia.

– Co?

– Entropia, kolego. Zero, to całkowita przewidywalność sygnału, jak w przemówieniach polityków.

Nie mając żadnej sensownej odpowiedzi, Jakob przestał się angażować w rozmowę. Biegli dalej, ale już teraz wolno i bez przekonania. Bez poczucia przyjemności. Zimne powietrze kłuło w nosie i w gardle.

Jego wzrok pochwycił wieżowiec TechGate, dla którego wymyślono kształt wiszącego nad miastem topora.

Mam nadzieję, że to nie znak ani przepowiednia dla mnie – pomyślał.

– Co nowego u naszej pięknej Ingrid? – Pytanie kolegi wdarło się jak topór w środek myśli Jakoba.

– Wybieramy się na tydzień w Alpy.

– Świetnie! – Promieniał Otto. – Trzeba korzystać z lodowców, zanim się roztopią.

Pożegnali się tam, gdzie zwykle.

Biegł dalej, tocząc z ust parę. Nie myślał już o Linie, Litmannie, entropii ani topnieniu lodowców. Myślał o Ingrid. O zapachu jej porannego ciepła.

Grzegorz Filip

IZABELA KAWCZYŃSKA

Powrót

Nie idźmy do łóżka. Połóżmy się obok siebie jak zwinne węże. Tej nocy jesteśmy sensacją wśród traszek, które wyszły z wody, dźwigając brzemię plamek. Nadszedł czas powrotu. Moja szyja to kryształ; chcesz ją pochwycić, nie raniąc palców; kochany, jestem łasicą, gryzę do krwi, jeśli muszę. Morze rozchyla uda, pokazując łono pełne kałamarnic o wyłupiastych głowach.

Toń to rozpacz pijanych żeglarzy na śmierć zakochanych w trytonach, ale, oboje wiemy, oni nie powrócą. Połóżmy się obok, skuleni jak węże; jak białe żmije wpełznijmy na siebie, odprawiając rytuał milczenia, jakby ta śmierć nie była naszą śmiercią. Fala wbije się w nas łkaniem żałobników. Morze pozostanie gościńcem przypływu. Czarne serce toni będzie kontrastem dla naszej bladości.

Potem, obracając się w kamień, możemy patrzeć na zwierzęta, które usiądą na nas bez wstrętu; one nie widzą różnicy. Fala choruje, pluje wścieklizną; cofa się pokazując podbrzusze; jest sine, pełne glonów i skrzepów. Noc więdnie. Podwodne bóstwa nie robią wyjątków. Ślimaki kryją się w połyskliwych muszlach, próbując przechytrzyć słońce. Lunatyczne ryby konają; obracają się w kamień wciąż patrząc i patrząc.

Phobos

Strach tkwił we mnie jak drzazga. Palce rzucały cień na podbrzusze, w którym głód wiercił się jak robak. Iguany rozkładały bibułki i kryzy; urządzały przegląd języczków i serc. Wzbudzały we mnie czułość. Pod skórą tętniły rachityczne kwiaty; nenufary więdły, dławiąc się krwią i błękitnym śpiewem. Były zatrważająco leniwe.

I byłam do nich podobna, niczym figurka z kamienia, gładka i drogocenna, z cętkami sutków błyszczących jak perły. Kościany tygrys, o kłach drobnych niczym żebra kociąt, złączył powieki

i śnił o księżycu. Pożarte myszy pobrzękiwały jak srebrne dzwonki.
Sam widzisz, nie mam się dobrze; zatykam usta, żeby nie krzyczeć.

Mogłabym leżeć na dnie, pomiędzy brzuchami drapieżnych ryb,
gotowych pokąsać serce, gotowych przypłynąć i pogrzebać wszystko.
Patrzeć jak ciekawskie trącają mnie nosami, jakbym była mięsem,
rośliną albo latarnią w skorupce ślimaka. Zawsze byłam wężem.
Nie umiem trafić z powrotem do raju. Szukam schronienia albo wyjścia.

Sfery intymne

Przedmieścia, a jednak gęstość lasu. Sarny
w jedwabiach skóry, zabite, niosą swój
ciężar. Ruchliwość powietrza, gdy dziewczyny
w organzynowych sukienkach pokazują

pośladki. Wilgotniałem. Biel wgryzała się
we mnie. Gorączka, rtęć i psy za zakrętem.
Wśród wyschniętych traw dojrzewaliśmy,
pozwalając, by kołysano nas do snu, do płaczu.

Wodnice

I kiedy zdejmujesz zasłonę giętkim ruchem cyrkówki,
wiem to na pewno. Edith, twoja twarz jest szkiełkiem,
w którym przeglądałem się niezliczoną ilość razy.
Brałem zbyt wiele na swoje barki. Nas dwoje i tybetański
kredens, co mówił: jestem, jestem. Oczy wypchanej sowy
świeciły trupim blaskiem, a ja nie potrafiłem cię kochać.

Z ogrodu nadciągał szum skrzydeł, miękki jak szept.
To owady spalały się w powietrzu, kiedy twoje ciało
nasiąkało barwą. Niepotrzebna czułość. Serce w kształcie
dzwonu. Przywykłem. A teraz trudno jest odejść. Nocą
płoszy mnie krzyk sowy. Owady w każdej chwili gotowe są
przerwać swój czujny sen, Edith, i teraz wiem to na pewno.

Izabela Kawczyńska

BOHDAN DZIEMIDOK

Teoretyczne i praktyczne kłopoty ze szczęściem

Pisanie o szczęściu w Polsce nie jest sprawą łatwą, bo w Polsce mamy dzieła dwóch myślicieli, których wiedza i refleksja poświęcona szczęściu wzbudzają uznanie i szacunek, także mój. To filozof Władysław Tatarkiewicz, autor książki *O szczęściu*, i psycholog Janusz Czapiński, twórca „cebulowej teorii szczęścia" oraz autor wielu prac teoretycznych i badań empirycznych poświęconych tej tematyce. Nie byłem studentem prof. Tatarkiewicza, ale słuchałem jego wykładów o szczęściu właśnie oraz z estetyki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley w 1967 r. Udało mi się wówczas bliżej poznać Profesora. Miał wtedy 81 lat. Był wytwornym i eleganckim przedwojennym dżentelmenem, a wykładał dla kalifornijskich „dzieci kwiatów". Trudno sobie wyobrazić większy kontrast. Studenci przychodzili na wykłady często nadzy do pasa, bosi, z paciorkami i kolczykami w różnych częściach ciała. Bardzo pouczające dla mnie było obserwowanie, jak te dwa różne światy nawiązują ze sobą harmonijne, a nawet ciepłe kontakty, przede wszystkim dzięki wiedzy Profesora, jego otwartości, życzliwości, tolerancyjności i dobroci. Przekonałem się wtedy, że mając ponad 80 lat, można być nie tylko mądrym, ale życzliwym i autentycznie szczęśliwym człowiekiem. Od tego czasu prof. Tatarkiewicz stał się i pozostał dla mnie kimś więcej niż nauczycielem – wzorcem uczonego i człowieka.

W książce *O szczęściu* Profesor występuje, tak jak w większości swoich prac, przede wszystkim jako historyk myśli filozoficznej, porządkujący i klasyfikujący wcześniejsze teorie. Choć nie stworzył rozwiniętej teorii szczęścia, podaje przecież własną jego definicję, a omawiając różne koncepcje dzieli się swoimi trafnymi spostrzeżeniami, uwagami i komentarzami. Książka *O szczęściu* powstała w czasie II wojny światowej, w latach 1939-1943. W przedmowie do pierwszego wydania autor wyjaśnia, dlaczego pisał ją wtedy, gdy ludzi spotykały największe nieszczęścia. *Jest to zrozumiałe, bo w nieszczęściu więcej się o szczęściu myśli niż w szczęściu* (s. 10).

Jeśli poczucie nieszczęścia jest warunkiem koniecznym pisania o szczęściu, to obecnie spełniam ten warunek znakomicie, jak nigdy w życiu. Chociaż dobrze wiemy, że warunek konieczny nie zawsze jest warunkiem wystarczającym.

Tatarkiewicz wyróżnia cztery zasadnicze znaczenia pojęcia szczęścia. Pierwsze dwa występują w języku potocznym: 1) to pomyślne wydarzenie, np. wygranie losu na loterii; 2) to przeżycie szczególnie radosne, które może być stanem intensywnej radości, rodzajem upojenia, błogości (ss. 16-17). Nie są to właściwe rozumienia pojęcia szczęścia, ponieważ mogą być zastąpione słowami: pomyślność, powodzenie lub intensywna radość. Pierwsze znaczenie określa autor „życiowym", a drugie „psychologicznym". Trzecie znaczenie

zawdzięczamy Arystotelesowi, który przez eudajmonię rozumiał posiadanie najwyższych dóbr dostępnych człowiekowi. Niektórzy myśliciele starożytni, mówiąc o dobrach, mieli na myśli dobra moralne, inni dobra hedoniczne, czyli przyjemności. Jeszcze inni – „równomierny zespół wszystkich dóbr". Sam Tatarkiewicz uważa, że żadne z tych trzech rozumień nie definiuje właściwie szczęścia, czyli „pełnego i trwałego zadowolenia z całości życia" (s. 31). Takie rozumienie szczęścia jest we współczesnej filozofii i psychologii najbardziej popularne. Tatarkiewicz nie próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak szczęście osiągnąć, wyraża jednak optymistyczne przeświadczenie, że jest ono osiągalne: *że od przeciętnego stanu ludzkiego nie jest (...) do szczęścia dalej niż do nieszczęścia* i z aprobatą cytuje Epikura, który *mówił, że jedną z przyczyn, że ludzie nie są szczęśliwi jest to, iż sobie wyobrażają, że szczęśliwi być nie mogą* (s. 9).

Kwestia relacji między szczęściem a przyjemnością z jednej strony, a szczęściem i cierpieniem z drugiej, to ważny element każdej rozwiniętej refleksji o szczęściu. Dość często uważa się, że szczęście jest ściśle powiązane z przyjemnością, a nieszczęście z cierpieniem. Pogląd, według którego szczęście sprowadza się do doznawania przyjemności, nazywany jest hedonizmem (od greckiego słowa *hedone* = przyjemność, rozkosz). Hedonizm występuje w skrajnej i umiarkowanej postaci. Hedoniści skrajni skłonni są utożsamiać szczęście z przyjemnością, najbardziej ceniąc przyjemności intensywne, czyli zmysłowe. W starożytności taki skrajny hedonizm reprezentowany był przez Arystypa z Cyreny i jego szkołę. Uczniowie Arystypa byli podobno bardziej umiarkowanymi hedonistami niż sam Arystyp. Natomiast umiarkowaną wersję hedonizmu głosił Epikur. Epikurejczycy cenili nie tylko przyjemności zmysłowe, lecz także – jeszcze bardziej – duchowe, m.in. ze względu na ich większą trwałość. Nawoływali do umiaru w dążeniu do przyjemności i uważali również, że przyjemnością jest nawet przerwa w cierpieniu.

W średniowieczu hedonizm nie miał kontynuatorów w filozofii. Jego odrodzenie nastąpiło dopiero w XVIII wieku. Zwolennikami tej koncepcji byli francuscy materialiści: La Metrie, Helwecjusz, Holbach i inni oraz przede wszystkich angielscy utylitaryści Jeremy Bentham i John Stuart Mill. Bardziej radykalną wersję reprezentował Bentham, który nie przyjmował podziału na przyjemności cielesne i duchowe. Uważał, że o wartości przyjemności decydują tylko ilościowe jej parametry, takie jak intensywność, trwałość, zasięg itd. *Jeżeli szpilka do krawata daje tyle samo przyjemności co dzieło sztuki, to jest równie wartościowa*. Bentham nie sprowadzał jednak hedonizmu do jego egoistycznej postaci, twierdził, że przyjemności innych ludzi są równie ważne jak własne. Ideałem dla niego była jak największa suma szczęścia dla największej liczby ludzi. John Stuart Mill podzielał pogląd, że szczęście jest dobrem najwyższym i stanowi kryterium oceny innych dóbr. Uważał jednak (w odróżnieniu od Benthama), że przyjemności duchowe są wyższe i lepsze od przyjemności zmysłowych. Przyjemności powinny więc być hierarchizowane nie tylko pod względem ilościowym, lecz także jakościowym. Pogląd ten znalazł wyraz w jego słynnej wypowiedzi, że „lepiej być niezadowolonym Sokratesem niż zadowolonym głupkiem". W teorii większość zgadza się z tą efektowną formułą, w praktyce życiowej daleko nie wszyscy.

Utylitaryści nie mieli wątpliwości, że przyjemność jest jednym z najwyższych dóbr dla człowieka. Jest to bowiem jedyne dobro, do którego ludzie dążą dla niego samego, a wszystkie inne dobra czynimy, ponieważ sprawiają nam przyjemność.

Władysław Tatarkiewicz podziela pogląd, że „przyjemność jest dobrem", odrzuca też antyhedonizm sugerujący, że każda przyjemność jest moralnie podejrzana, równocześnie jednak kwestionuje hedonizm. *Przyjemność jest dobrem, ale hedonizm nie jest prawdą, jest nieuzasadnionym rozszerzeniem tej prawdy, że przyjemność jest dobrem* (s. 522). Ludzie potrafią wyrzekać się niektórych przyjemności, ale *czynią to najczęściej po to, by uniknąć przykrości lub osiągnąć inne przyjemności. Niektórzy nawet wyrzekają się przyjemności dla swoistej przyjemności, jaką im sprawia samo wyrzeczenie* (ss. 521-522).

Od przykrości do cierpienia już tylko jeden krok, bo bardzo intensywna przykrość staje się cierpieniem. Ból i cierpienie mogą sprawiać przyjemność tylko masochistom i to tylko w określonych sytuacjach. W pozostałych przypadkach cierpienie i przyjemność wykluczają się wzajemnie, ale cierpienie wcale nie wyklucza szczęścia. Zygmunt Bauman zwraca uwagę (za Johnem Bowkerem) na fakt, że w niektórych wielkich religiach, takich np. jak judaizm i chrześcijaństwo, podejmowane są próby „usensowienia cierpienia". Idea cierpienia służącego wyższemu celowi (wiecznemu zbawieniu bądź dobru zbiorowemu), a więc szczęściu wiekuistemu lub społecznemu szczęściu (s. 169) przyszłych pokoleń, znajduje zwolenników zarówno w niektórych religiach, jak też w ruchach społecznych. Doznawanie przyjemności nie gwarantuje więc szczęśliwości, a doznawanie cierpień nie wyklucza poczucia szczęścia, może je nawet w pewnych sytuacjach wywoływać i to nie tylko w teorii, lecz także w praktyce życia ludzkiego. Tatarkiewicz słusznie odróżnia teorię hedonistyczną od hedonizmu praktycznego: *ludzie częstokroć żyli jak hedoniści, nie umiejąc i nie próbując sformułować teorii hedonizmu, a bywało i odwrotnie, że rozwijali teorię, a nie umieli czy nie chcieli stosować jej w życiu* (s. 507).

Odróżnienie hedonizmu teoretycznego od hedonizmu praktycznego nabiera szczególnego znaczenia w naszych czasach. W teorii szczęścia hedonizm został prawie całkowicie odrzucony – zarówno w filozoficznych, jak i psychologicznych koncepcjach. Prof. Czapiński sugeruje jednak, że reprezentantem hedonizmu jest wybitny uczony amerykański, laureat Nagrody Nobla z ekonomii, Daniel Kahneman. Kahneman utrzymuje, że mózg ludzki tworzy nieustanne „hedonistyczne komentarze" do różnych wydarzeń oraz doświadczeń i możliwa jest retrospektywna ocena jakości życia – byłby to swoisty raport z tych komentarzy (Czapiński, *Psychologiczna teoria szczęścia*, ss. 68-69). Przeważająca większość teoretyków nie uważa jednak, że szczęście można osiągnąć goniąc za przyjemnościami lub że jest ono dodatnim bilansem przyjemności i przykrości doznawanych w życiu.

Oczywiście, jak słusznie zauważa Bauman, *prawdziwe szczęście zawsze sprawia przyjemności, lecz nie wszystkie przyjemności czynią człowieka szczęśliwym*. Co więcej, nawet *przyjemność może odwodzić człowieka od celu* (s. 149). W dodatku *przyjemność trwa krótko. Inaczej być nie może. W naturze przyjemności leży ulotność, zwiewność, nieuchwytność (...) Natomiast szczęście przeciwnie można znaleźć wyłącznie w stałości* (s. 150).

Psychologia współczesna podważyła hedonizm empirycznie potwierdzoną koncepcją hedonistycznego młyna (hedonic treadmill) czy – ujmując inaczej – kołowrotu, według której bardzo szybko przyzwyczajamy się do poprawy naszej sytuacji życiowej i przestajemy ją odczuwać jako przyjemną, tym bardziej że nasze wymagania ustawicznie wzrastają. W rezultacie więc nasz bilans przyjemności pozostaje taki sam. Pomimo obiektywnej poprawy

naszej sytuacji życiowej, wciąż czujemy się tak samo. Kolejnym istotnym argumentem przeciwko hedonizmowi jest ustalenie Martina Seligmana (twórcy psychologii pozytywnej), że emocje pozytywne nie sprowadzają się do przyjemności. Ważniejszą i trwalszą formą emocji pozytywnych są gratyfikacje. *Gratyfikacje to druga klasa emocji pozytywnych odnoszących się do teraźniejszości, ale w odróżnieniu od przyjemności, nie są one uczuciami, lecz czynnościami, które lubimy wykonywać, na przykład czytaniem, wspinaczką wysokogórską, tańczeniem* (2005, s. 335), grą w siatkówkę lub brydża. „Gratyfikacje całkowicie nas pochłaniają, angażują" (s. 335), „powodują stan uskrzydlenia, kiedy czas przestaje istnieć" (s. 336). Gratyfikacje, jak pisze inny przedstawiciel psychologii pozytywnej Jonathan Haidt, *to czynność, która całkowicie nas pochłania, wymaga określonych umiejętności i sprawia, że przestajemy skupiać się na sobie* (s. 177).

Z odrzucenia hedonizmu jako teorii szczęścia nie wynika jednak wcale fiasko hedonizmu praktycznego. Można nawet przypuszczać, że w epoce konsumpcyjnej hedonizm praktyczny ma się bardzo dobrze, a nawet rozkwita. Zygmunt Bauman słusznie zauważył, że *osią nowoczesnego dyskursu o szczęściu była opozycja między posiadaniem a byciem. Alternatywa „mieć albo być" rozdzielała konkurencyjne modele szczęścia* (s. 175). Posiadanie, a zwłaszcza posiadanie dóbr materialnych postrzegano *jako zagrożenie dla pełni „bycia"*. „Posiadanie" koncentrowało się na rzeczach, a „bycie" na ludziach. Obecnie ta opozycja nie funkcjonuje, żadna z tych opcji nie zadowala ludzi. Nie tylko zależność od majątku, ale także zależność od innych traktowane są jako skrępowanie. Po odrzuceniu alternatywy mieć lub być wiele osób preferuje trzecią możliwość: u ż y w a ć . Używać jak najwięcej, jak najszybciej i jak najintensywniej. *Konsumpcjonizm nie polega na kolekcjonowaniu i gromadzeniu dobytku. Polega w istocie na gromadzeniu wrażeń (niekoniecznie przyjemnych, a przynajmniej niekoniecznie przyjemnych z natury; jest posiadaniem wrażeń, a nawet pielęgnowaniem nadziei na nowe wrażenia, które już odczuwa się jako przyjemność). Ani „posiadanie", ani „bycie" nie za bardzo liczy się w funkcjonujących modelach szczęśliwego życia. Liczy się natomiast użycie. Natychmiastowe „na miejscu" użycie, które nie trwa dłużej niż radość, jaką sprawia* (s. 180).

Jednak obserwacja życia ludzkiego wskazuje, że w tej kwestii praktyka potwierdza teorię: pogoń za przyjemnościami na dłuższą metę nie uszczęśliwia, może nawet unieszczęśliwić, rodząc uzależnienie od różnych form przyjemności lub zmniejszając ich intensywność w rezultacie częstotliwości ich doznawania.

By przyjemności nie utraciły smaku i uroku, trzeba korzystać z nich z umiarem, nauczyć się je dawkować i delektować się nimi. Wtedy mogą się one stać jednym (ale nie jedynym) z czynników dających poczucie szczęścia.

Nie ulega jednak wątpliwości, że większość ludzi pragnie szczęścia, chociaż być może nie wszyscy. Z całą pewnością nie wszyscy do pragnienia szczęśliwości się przyznają. Dla jednych szczęście wydaje się czymś wstydliwym, wręcz grzesznym lub co najmniej moralnie podejrzanym (dość dobrze znam taki kraj), dla innych czymś pospolitym, niegodnym prawdziwego intelektualisty. Umberto Eco np. twierdzi: *nie wierzę w szczęście. Wierzę w twórczy niepokój. Nigdy nie jestem do końca szczęśliwy. Zgadzam się jednak, że w życiu przytrafiają się chwile szczęścia mogące trwać dziesięć sekund, może nawet pół godziny. (...) Wolę czuć niepokój mobilizujący do działania niż szczęście* (s. 43).

Nie mam powodów, by nie wierzyć temu wybitnemu pisarzowi i filozofowi. Jednak brak chyba dostatecznego uzasadnienia, by uniwersalizować subiektywną prawdziwość tego poglądu. Znam wielu ludzi, których szczęście trwało dłużej niż pół godziny, a nawet dłużej niż miesiąc, chociaż oczywiście nie trwało wiecznie. Znam też wielu ludzi (do których sam się zaliczam), którzy wolą szczęście od niepokoju, co więcej, nawet właśnie poczucie szczęścia a nie niepokoju mobilizuje ich do działania czy wręcz uskrzydla.

W rozważaniach o szczęściu nie można pominąć kwestii relacji między dochodami a poczuciem szczęścia. Jedni uważają, że szczęścia kupić nie można, drudzy, że pieniądze dają szczęście. Z badań przeprowadzonych przez amerykańskich psychologów i ekonomistów wynika, że jedni i drudzy mają rację, ale tylko częściowo. Punktem wyjścia może być, słuszne jak sądzę, twierdzenie amerykańskiego ekonomisty Roberta H. Franka, który uważa, że *istnieją naprawdę nieszczęśliwi bogacze. Są też biedacy, którzy są nieustannie szczęśliwi. Ale nieszczęśliwy bogacz i tak będzie szczęśliwszy, niż gdyby byłby biedny*.

Wzrost dochodów przekłada się na wzrost poczucia szczęścia, ale tylko do pewnego poziomu dostatku. U niektórych ludzi ten proporcjonalny wzrost kończy się po zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych, u innych na wyższym poziomie. Wysokość tego poziomu uwarunkowana jest zarówno przez jednostkowe (osobowościowe), jak też społeczne czynniki.

We wszystkich społeczeństwach ludzie bardzo szybko przyzwyczajają się do wzrostu dochodów i poprawy warunków życia i zaczynają uznawać ją za normę. Z reguły też aspiracje większości ludzi wyprzedzają rzeczywisty wzrost dochodów. W rezultacie więc bogacenie się krajów i poprawa koniunktury ekonomicznej nie przekłada się bezpośrednio i proporcjonalnie na wzrost szczęśliwości. Po osiągnięciu pewnego poziomu zamożności słabnie związek między bogactwem a szczęściem. Dlatego wzrost dostatku częściej i bardziej bezpośrednio powoduje wzrost poczucia szczęścia w krajach biednych niż w krajach bogatych. Psycholog Michael Argyle słusznie zauważa, że *przeciętna szczęścia jest większa w tych krajach, w których ogranicza to możliwości dokonywania niekorzystnych dla siebie porównań* (s. 178).

Dlatego nie powinno dziwić, że z porównawczych badań międzynarodowych (przytaczanych przez Martina Seligmana) wynika, że poziom zadowolenia z życia w skali od 1 do 10 jest wyższy w Danii (8,16) i w Szwajcarii (8,36) niż w USA (7,73).

Dziwić natomiast może, że w bogatej Japonii, w której rzeczywisty dochód na głowę mieszkańca w 1991 r. był sześć razy większy niż w 1958 r., poziom szczęśliwości w czterostopniowej skali pozostał taki sam 2,7. Co więcej nawet poziom zadowolenia z życia w skali od 1 do 10 wynosił w Japonii 6,53 (przy sile nabywczej 87), gdy w Nigerii – 6,59 (przy czterokrotnie mniejszej sile nabywczej 6) oraz Indiach – 6,7 (siła nabywcza piętnaście razy mniejsza 5). W świetle tych badań pogląd Seligmana, że między bogactwem *a poziomem szczęścia istnieje zadziwiająco słaba współzależność*, a *ludzie bogaci są średnio tylko szczęśliwsi od biednych* (s. 76), wydaje się wystarczająco uzasadniony.

Można dokonać częściowego podsumowania dotychczasowych rozważań. Nie ulega wątpliwości, że szczęście jest wartością pożądaną przez wielu ludzi. Czy jest jednak wartością najwyższą? Czy można uznać, że dążenie do szczęścia jest celem życia ludzkiego, czymś co nadaje sens temu życiu? Mam co do tego wątpliwości. Zgadzam się z tymi teoretykami, którzy, jak

Magdalena Środa, uważają, *że szczęście jest poniekąd skutkiem sensu życia a nie jego przyczyną. To nie szczęście czyni życie sensownym, lecz sens życia, ład i celowość czynią je szczęśliwym* (s. 83).

Szczęście nie istnieje samo w sobie, jest to wypadkowa wielu czynników. Podoba mi się określenie Małgorzaty Baranowskiej, która uważa, *że szczęście jest produktem ubocznym miłości, przyjaźni, zachwytu – różnych rzeczy niematerialnych* (s. 7).

Pokrewne stanowisko zajmuje psycholog amerykański Jonathan Haidt, który proponuje następującą hipotezę dotyczącą szczęścia: *szczęście pochodzi spomiędzy. Szczęście nie jest czymś, co możesz zdobyć, znaleźć lub bezpośrednio osiągnąć. Musisz stworzyć odpowiednie warunki, a potem cierpliwie czekać. Niektóre z tych warunków mieszczą się w Tobie – są to właściwe relacje między częściami i poziomami Twojej osobowości. Inne są poza Tobą (...) żeby się rozwijać (...) ludzie potrzebują miłości, pracy i łączności z czymś większym niż oni sami (...) Jeśli zdołasz osiągnąć w życiu taką spójność, to wkrótce zaczniesz doświadczać szczęścia i poczucia sensu* (s. 409).

Nie sposób nie zgodzić się z prof. Czapińskim, że Martin Seligman mimo że *swoimi ideami nadaje ton głównemu nurtowi psychologii pozytywnej i wniósł niewątpliwy wkład do teorii szczęścia sam nie stworzył żadnej spójnej, podlegającej weryfikacji teorii dobrostanu psychicznego* (s. 77). W książce *Prawdziwe szczęście* podaje jednak formułę szczęścia:

S = U + O + W

gdzie S oznacza stały poziom odczuwanego przez ciebie szczęścia, U – ustalony zakres emocji pozytywnych, O – okoliczności twojego życia, W – czynniki znajdujące się pod kontrolą twojej woli (s. 77).

Mniej ogólnikowa jest propozycja kontynuatorów Seligmana – Kennona M. Sheldona oraz Sonji Lyubomirsky, którzy uważają, że bieżący poziom szczęścia zdeterminowany jest przez następujące czynniki: 1. „wrodzony potencjał danej osoby" (determinujący poziom szczęścia w 50%), 2. „czynniki sytuacyjne/ kontekstowe, które występują w jej życiu" (10%) oraz 3. „czynniki wolicjonalne, związane z działaniami, które to osoba podejmuje" (40%) (s. 93).

Samo pojęcie szczęścia, używane zamiennie z pojęciem dobrostanu psychicznego, rozumiane jest na gruncie psychologii pozytywnej *jako ogólne cieszenie się swoim życiem jako całością* (Ruut Veenhoven, s. 42) lub *jako poznawcza i emocjonalna ocena własnego życia. Ocena ta obejmuje zarówno emocjonalne reakcje na zdarzenia, jak i poznawcze sądy dotyczące zadowolenia i spełnienia* (E. Diener i inni, s. 35). Określenia te nie odbiegają w sposób istotny od definicji szczęścia zaproponowanej przez Władysława Tatarkiewicza.

W polskiej literaturze przedmiotu najbardziej rozbudowaną teorię szczęścia zaproponował prof. Janusz Czapiński. W pracach z lat dziewięćdziesiątych (1992 i 1997) w cebulowym modelu szczęścia wyróżnił trzy zasadnicze warstwy. Warstwę najgłębszą (jądro) „cebuli" stanowi wola życia, obiektywny (niezależny od świata zewnętrznego) standard dobrostanu psychicznego jednostki. Najbardziej zewnętrzną – cząstkowa satysfakcja z życia, dotycząca różnych zasadniczych jego aspektów (rodzina, praca, zdrowie, dochody). Warstwa wewnętrzna to p o c z u c i e s z c z ę ś c i a, czyli „ogólny dobrostan subiektywny", ogólne zadowolenie z życia i jego całościowa ocena, *zależne z jednej strony od zmiennych satysfakcji cząstkowych, z drugiej zaś od niezmiennie pozytywnej woli życia* (1997, s. 16).

Teoria ta zakłada też, słusznie jak sądzę, istnienie „asymetrii w procesach wartościowania", polegającej na tym, że bodźce negatywne silniej wpływają na nasze oceny i emocje niż bodźce pozytywne. Na tej przesłance m.in. opierała się moim zdaniem kontrowersyjna konkluzja, *że szczęście rozumiane jako względnie trwałe zadowolenie z życia jest jednostronnie podatne na zrządzenia losu i nasze intencyjne działania: może pod ich wpływem jedynie słabnąć lub się stabilizować. Nie może rosnąć* (s. 14). *Jedyne, co świadomie możemy zrobić w sprawie własnego szczęścia, to zapobiegać nieszczęściu* (...). Próby zwiększania szczęścia są jednak bezowocne.

W pracach publikowanych dziesięć lat później (2004 i 2007) „cebula szczęścia" utraciła kształt cebuli. Ogólny dobrostan subiektywny (czyli poczucie szczęścia) zależny jest nie od dwóch warstw, lecz od trzech czynników: woli życia (atraktora szczęścia), „surowych doświadczeń afektywnych i satysfakcji cząstkowych" (nazywanych przez autora „polem hedonizmu") oraz także od „pola eudajmonizmu", czyli „poznawczych procesów wyjaśniania, integracji i interpretacji zdarzeń" (2004, s. 90). Pod jednym istotnym względem teoria cebulowa nie uległa zmianie. Autor w dalszym ciągu uważa, że wola życia, czyli „niezależny (od świadomości) standard dobrostanu psychicznego" jest wartością stałą i może być zmieniony tylko farmakologicznie lub chirurgicznie, w inny sposób nie można go przekroczyć, „nie można być trwale bardziej szczęśliwym niż dyktuje to wrodzony standard" (s. 89).

„Szczęśliwy" atraktor tym się różni „od potencjalnego poziomu szczęścia (set point) w teorii Lykkena", że ma „siłę przyciągania". Główną jego funkcją *jest zapobieganie obniżeniu się subiektywnego wyrazu woli życia (osłabieniu chęci życia, skłonnościom samobójczym)* (2007, s. 10). Atraktor ten ratuje nas przed załamaniem psychicznym. Nawet po bardzo tragicznych i wyczerpujących zmianach w życiu po pewnym czasie odzyskujemy ten sam, właściwy nam poziom poczucia szczęścia. *Większość ludzi bywa w dłuższym przedziale czasu tak szczęśliwa, jak tylko może – na ile pozwalają im wrodzone predyspozycje* (2004, s. 87).

Wbrew optymistycznym poglądom Martina Seligmana oraz innych przedstawicieli psychologii pozytywnej Czapiński uważa, że szczęścia nie można *ani nauczyć się, ani zwiększyć ponad pewien poziom. Można jedynie nauczyć się unikać sytuacji, które poczucie szczęścia obniżają, oraz sposobów stabilizowania dobrostanu właściwych dla danej osoby* (s. 87).

Prof. Czapiński słusznie zalicza swoją teorię do grupy teorii „pocieszających". W odróżnieniu od teorii „zachęcających" i „zniechęcających" (2007, s. 7) jest to teoria pocieszająca, ponieważ mówi o możliwości odbudowania dobrostanu psychicznego po negatywnych zmianach życiowych; poczucie nieszczęścia jest zazwyczaj stanem przejściowym i większość ludzi ciężko doświadczonych przez los odzyskuje pozytywną postawę wobec życia w stosunkowo niedługim czasie (s. 99). Teoria ta podkreśla również, że dobrostan psychiczny, czyli poczucie szczęścia *nie tyle (lub nie tylko) zależy od kolei losu, ile (także) wpływa na koleje losu* (s. 7). Ludzie o wyższym poziomie poczucia szczęścia osiągają z reguły większe sukcesy w życiu, są zdrowsi i żyją dłużej.

W odróżnieniu od optymistycznych teorii szczęścia, głoszonych przez większość reprezentantów psychologii pozytywnej, teoria cebulowa jest, moim zdaniem, umiarkowanie pesymistyczna. Jest p e s y m i s t y c z n a, ponieważ jej twórca nie widzi możliwości trwałego zwiększenia dobrostanu psychicznego, czyli poczucia szczęścia. Jest jednak u m i a r k o w a n i e pesy-

mistyczna, ponieważ uważa, że dobrostan psychiczny nie może jednak ulec trwałemu pogorszeniu.

W tej właśnie zasadniczej kwestii ośmielam się podjąć polemikę z prof. Czapińskim. Uważam bowiem, że bardziej uzasadniony niż umiarkowany pesymizm jest punkt widzenia, który można określić mianem umiarkowanego optymizmu.

Nie mogę, niestety, bronić radykalnego optymizmu reprezentowanego np. przez Liz Hoggard, autorkę książki *Jak być szczęśliwym* (2007), która uważa, że *szczęście jest umiejętnością, którą można przyswoić jak grę na skrzypcach albo jazdę na rowerze* (s. 9), *że szczęście jest stanem umysłu, który każdy z nas może osiągnąć* (s. 48). Co prawda, nie umiem grać na skrzypcach, sądzę jednak, że przynajmniej nauka jazdy na rowerze jest prostszym zadaniem i wymaga mniejszego wysiłku niż umiejętność osiągnięcia autentycznego poczucia szczęścia. Reprezentuję u m i a r k o w a n y optymizm, ponieważ nie kwestionuję empirycznych badań, z których wynika, że nasze poczucie szczęścia jest w około 50% genetycznie uwarunkowane, gotów jestem zgodzić się, że tylko 10% naszego dobrostanu zależy od okoliczności życiowych. Zostaje jednak 40%, o które można i, jak sądzę, warto walczyć. Nie tylko Martin Seligman, ale także chyba wszyscy inni reprezentanci psychologii pozytywnej są zdania, że optymizmu można się nauczyć, mimo takich genetycznych uwarunkowań jak ekstrawertyczność i neurotyczność. Nie jesteśmy i nie powinniśmy być niewolnikami genów, aczkolwiek ograniczają one w znacznej mierze możliwości kształtowania światopoglądu, charakteru i systemu wartości, a co za tym idzie – możliwości osiągania szczęścia. Genetycznie uwarunkowany jest nie stały poziom osiągania szczęścia, lecz także zakres: *każdy z nas może osiągnąć szczęście tylko w pewnym zakresie* (Seligman, 2002, s. 14).

Potwierdzają to również inni reprezentanci psychologii pozytywnej, np. Kanon Sheldon i Sonja Lyubomirsky. *Poziom potencjalny nie jest tak na prawdę poziomem, ale raczej zakresem. Oznacza to, że ludzie mogą mieć dużą swobodę, aby umiejscowić się na wymiarze szczęścia p o w y ż e j punktu centralnego w ramach wrodzonego potencjalnego zakresu* (s. 94). Jeśli tak, to „szczęście może ulec trwałemu zwiększeniu" (s. 91). *Na nasze poczucie szczęścia ma wpływ nie tylko to, kim jesteśmy, ale również to, jak myślimy o swoim życiu* (Ed Diener i inni, s. 44). Różnice w dobrostanie psychicznym wynikają nie tylko z takich wrodzonych cech jak np. ekstrawertyczność, lecz także *z trwałych indywidualnych różnic w nastawieniu na informacje przyjemne i przykre, a także w dokładności i w sprawności, z jaką ludzie przetwarzają informacje przyjemne i przykre* (s. 43). O ważnej roli pozytywnego nastawienia piszą także inni psychologowie amerykańscy. Podkreślając równocześnie, że *pozytywne nastawienie jest czynnikiem przynajmniej częściowo uwarunkowanym kulturowo (...). To kulturowo uwarunkowane „pozytywne nastawienie" wpływa na lepszą ocenę zadowolenia z życia niż wynikałoby z cząstkowych ocen zadowolenia z życia* (s. 27).

Gdyby prawdę dało się ustalać większością głosów, to można by uznać, że prof. Czapiński został już przegłosowany. Jak jednak dobrze wiemy, w nauce większością głosów nie można rozstrzygać, która teoria jest słuszna, a która mniej lub wcale. Zasadne jest jednak stwierdzenie, że Amerykanie mają kulturowo uwarunkowaną skłonność do nadmiernie optymistycznych ocen swojego życia, może więc ten nadmiar optymizmu ujawnia się także w ich koncepcjach szczęścia. Psychologowie innych narodowości bynajmniej nie są odmiennego zdania w tej sprawie. Holender Ruut Veenhoven sądzi, „że

poziom szczęścia można systematycznie zwiększać" (s. 434). Podobne poglądy głoszą psychiatrzy francuscy: Boris Cyrulik i Etienne Jalenques – autor książki *Jak nauczyć się być szczęśliwym* (2007). Boris Cyrulik podkreśla, że uwarunkowania genetycznie nie są jedynym czynnikiem decydującym o naszym poczuciu szczęścia. Ogromne znaczenie mają dzieciństwo i okres dojrzewania (s. 27). Etienne Jalenques wypowiada się nie tylko bardziej zdecydowanie, lecz również przekonująco: *Jestem przekonany, że szczęście można przekazać, że można się go nauczyć. Potrzeba oczywiście cierpliwości, wysiłku i woli (...) To długi proces, który może trwać nawet całe życie* (s. 51). Na uwagę zasługuje w szczególności następująca jego wypowiedź: *Nie możemy zmienić rzeczywistości, ale możemy zmienić s p o s ó b, w j a k i j ą p o s t r z e g a m y* (podkr. B.D., s. 72). *Szczęście byłoby tylko innym spojrzeniem na tę samą rzeczywistość* (s. 56).

W cebulowej teorii szczęścia brakuje mi jeszcze jednej warstwy, która, choć też w jakiejś mierze uwarunkowana genetycznie, jest kształtowana przez całe życie i może ulegać istotnym, często bardzo radykalnym zmianom. To światopogląd, system wartości i charakter człowieka. Światopogląd rozumiem nie tylko jako sposób widzenia, rozumienia i interpretowania rzeczywistości i samego życia, lecz także sposób emocjonalnego reagowania na różne zjawiska świata zewnętrznego. Czynniki te, w sposób istotny wpływające na nasze poczucie szczęścia, są kształtowane przez całe życie i mogą ulegać zmianom. Przecież możemy np. utracić wiarę w Boga lub odwrotnie, stać się osobą religijną. Z badań amerykańskich psychologów wynika, że wiara „skutecznie zapobiega depresji i zwiększa poczucie szczęścia". Co więcej, okazuje się, że *im bardziej fundamentalistyczna jest dana religia, tym większymi optymistami są jej wyznawcy. Ortodoksyjni Żydzi oraz fundamentaliści chrześcijańscy i muzułmańscy są o wiele większymi optymistami niż Żydzi reformowani i unitarianie, którzy średnio biorąc są bardziej skłonni do ulegania depresji* (Seligman 2005, s. 90).

Nie sympatyzuję z fundamentalizmem religijnym, nie uważam też, że jedynie fundamentalistyczny światopogląd pozwala zwiększyć poziom szczęścia. Posłużyłem się tym argumentem, ponieważ jest potwierdzony przez badania naukowe. Odwołam się na koniec do jeszcze jednej wypowiedzi psychologa i doświadczonego psychoterapeuty. Ewa Woydyłło podkreśla, że nawet ludzie, którzy *wykazują pewne skłonności do smutku, czarnowidztwa i impulsywnych zachowań, zawiści, ale pracują nad sobą – mają szansę te skłonności skorygować, wyciszyć, nauczyć się je rozbrajać, żeby nie szkodziły ani im samym, ani innym* (2008, s. 42).

Gdyby miał rację prof. Czapiński, że *ktoś, kto urodził się ze słabszym atraktorem szczęścia, nie jest w stanie inaczej niż farmakologicznie (prozak, narkotyki) wykrzesać w sobie na dłużej bardzo pozytywnego stosunku do życia* (s. 87), to nie ma żadnego sensu nie tylko psychoterapia, ale cały proces wychowania dzieci, młodzieży i dorosłych. Ani psychoterapia, ani pedagogika nie mogą nie uwzględniać genetycznych predyspozycji człowieka, jednak i psychoterapia, i wychowanie oparte są na założeniu, że można w sposób i s t o t n y i t r w a ł y zmieniać wrodzone predyspozycje. Oczywiście są osobnicy, wobec których dziedziny te okazują się bezradne, ale to wyjątki (najczęściej patologiczne).

Teraz pozwolę sobie wyciągnąć asa z rękawa. Tym asem jest wybitny filozof Bertrand Russell, autor książki *Podbój szczęścia* (*The Conquest of Happiness*, 1930). Ważne są dla mnie nie tylko poglądy tego wybitnego myśliciela, ale

także jego wyznania autobiograficzne, które w znacznej mierze weryfikują i potwierdzają jego koncepcje. Nie ma podstaw, by kwestionować prawdomówność Russella. Jego autobiograficzne wypowiedzi są moim zdaniem nie mniej wiarygodne niż badania, jakie przeprowadzono na kilkudziesięcioosobowej grupie studentów na jakiejś uczelni amerykańskiej.

Russell podejmuje próbę odpowiedzi na dwa fundamentalne pytania: 1. Dlaczego ludzie są nieszczęśliwi? oraz 2. Jak osiągnąć szczęście?

Na pierwsze odpowiada następująco: *Wierzę, że ten brak szczęścia jest w bardzo poważnym stopniu spowodowany fałszywym światopoglądem, fałszywą etyką i fałszywym trybem życia, które burzą w człowieku naturalny zapał w pożądaniu rzeczy możliwych do osiągnięcia, a w ostatecznym rozrachunku od tego właśnie naturalnego pożądania zależy szczęście człowieka* (s. 399). Russell udziela także rad, co należy zrobić, *by osiągnąć szczęście w przeciętnie sprzyjających okolicznościach* (s. 399). Podkreśla, że formułując swoją „receptę" na szczęście będzie brał pod uwagę jedynie *ludzi, którzy nie są dotknięci żadną jaskrawą postacią upośledzenia zewnętrznego*, ludzi posiadających *dochód wystarczający do zdobycia pożywienia i dachu nad głowę i zdrowie pozwalające na wykonywanie normalnych funkcji ciała*. Nie bierze też pod uwagę *wypadków tak katastrofalnych dla człowieka, jak utrata wszystkich dzieci albo odwrócenie się odeń z pogardą opinii publicznej* (s. 399). Stawia sobie bowiem zadanie, by podać *rady na zwykły codzienny brak szczęścia, na jaki cierpi większość ludzi w krajach cywilizowanych* (s. 399).

Kiedy Russell napisał książkę o szczęściu, miał 58 lat, zaznał więc już cierpkiego smaku wczesnej starości. Mimo to uważał się za człowieka szczęśliwego, czemu dał bezpośredni wyraz: *Teraz przeciwnie, cieszę się życiem i mógłbym niemal powiedzieć, że z każdym rokiem, który mija, cieszę się zeń coraz bardziej* (s. 399). Tego intensywnego poczucia szczęścia Russell nie zawdzięczał genom, wrodzonemu i niezmiennemu „atraktorowi szczęścia", lecz zmianie światopoglądu i nastawienia wobec życia. Nie był bowiem szczęśliwy ani w dzieciństwie, ani w młodości, co stwierdza explicite i nie mamy powodów, by mu nie wierzyć. *Nie urodziłem się szczęśliwy. Kiedy byłem dzieckiem, ulubionym moim hymnem „Zmęczony światem, przytłoczony brzemieniem grzechu" (...). Gdy miałem pięć lat, obliczałem, że jeżeli mam żyć do siedemdziesięciu, przeżyłem zaledwie czternastą część życia i miałem poczucie, że oczekuje mnie przenikająca wszystko ciężka nuda, niemożliwa prawie do zniesienia. W młodości nienawidziłem życia i byłem ustawicznie na progu samobójstwa, od którego powstrzymywało mnie jednakże pragnienie głębszego poznania matematyki* (s. 399). Jeśli tak było, to znaczy, że w przypadku Russella o wzroście zadowolenia zadecydowała właśnie zmiana nastawienia wobec rzeczywistości zewnętrznej, życia ludzkiego i siebie samego. Russell nie ma wątpliwości, że dla większości ludzi *niezbędnym warunkiem szczęścia (...) są rzeczy proste: pożywienie, dach nad głową, zdrowie, miłość, powodzenie w pracy, szacunek otoczenia. Dla niektórych ludzi ważne jest również posiadanie dzieci. Gdy tych rzeczy brak, szczęśliwy może być tylko człowiek wyjątkowy; gdy jednak istnieją lub mogą być osiągnięte skierowanym w odpowiedni sposób wysiłkiem, a człowiek nie jest mimo to szczęśliwy – przyczyną tego jest jakieś psychiczne nieprzystosowanie, które w wypadkach bardzo poważnych może wymagać pomocy psychiatry, w zwykłych jednak wypadkach może być usunięte przez samego pacjenta, jeżeli zabierze się do tego w odpowiedni sposób* (s. 400).

Filozof wymienia trzy zasadnicze przyczyny, którym zawdzięcza wzrost zadowolenia z własnego życia:

1. *częściowo temu, że uświadomiłem sobie, jakich rzeczy pragnę najwięcej i stopniowo osiągnąłem wiele z tych rzeczy,*

2. *częściowo zaś temu, że udało mi się wyrzec niektórych przedmiotów pożądania – takich jak uzyskanie niewątpliwej wiedzy o tym lub owym – jako zasadniczo nieosiągalnych* (s. 399),

3. *Przede wszystkim jednak zawdzięczam to mniejszemu zajmowaniu się samym sobą. Jak i inni wychowani w duchu purytańskim, miałem zwyczaj rozmyślać o moich wadach, grzechach i szaleństwach. Wydawałem się sobie – niewątpliwie słusznie – nędznym stworzeniem. Stopniowo nauczyłem się obojętności wobec siebie i swoich braków; uwaga moja skierowana była coraz bardziej ku przedmiotom zewnętrznym: sprawom świata, różnym gałęziom wiedzy, osobom, które kochałem* (s. 399).

Russell miał oczywiście świadomość, że zainteresowania zewnętrzne mogą rodzić rozczarowania i zmartwienia (wybuch wojny, trudności w zdobywaniu wiedzy, śmierć przyjaciół). Ale zmartwienia tego rodzaju nie niszczą, jego zdaniem, zasadniczo samej wartości życia, tak jak czynią to rozczarowania i zmartwienia dotyczące samego siebie. *Każde zainteresowanie zewnętrzne prowadzi do jakiejś działalności, ta zaś dopóki zainteresowanie jest żywe – zapobiega zupełnie znudzeniu* (s. 400).

Człowiek więc może, a zdaniem Russella, nawet *powinien osiągnąć szczęście, jeśli tylko jego zainteresowania i namiętności skierowane są ku zewnętrznemu światu* (s. 400), a nie wyłącznie na niego samego.

Z przytoczonych wypowiedzi wynika, że przyczyną wielu nieszczęść człowieka jest egocentryzm. Nie może być według niego szczęśliwy człowiek, który jest więźniem takich swoich namiętności jak: *obawa, zawiść, poczucie grzechu, litowanie się nad samym sobą i uwielbianie samego siebie* (s. 400). Żeby osiągnąć szczęście, trzeba przezwyciężyć egocentryczne zaabsorbowanie wyłącznie sobą samym.

Człowiek szczęśliwy – to człowiek, który żyje aktywnie, ma szerokie zainteresowania i nie tłumi swoich uczuć wobec świata i ludzi. Człowiek *osiąga szczęście dzięki nim właśnie i dzięki temu, że one z kolei czynią go przedmiotem uczuć i zainteresowań wielu innych* (s. 401). Pozytywnych uczuć innych ludzi doznaje się wtedy, gdy tych innych uczuciami bezinteresownie się obdarza.

Jeśli źródłem naszych cierpień jest poczucie grzechu lub poczucie krzywdy, należy, według Russella, przekonać siebie, że są one nieuzasadnione. Jeśli źródłem tym jest strach, trzeba kształtować swoją odwagę. Zdaniem Russella można ją w sobie wyrobić, a nawet wyćwiczyć, co w przypadku chłopców czyniono „od niepamiętnych czasów", przygotowując ich do ewentualnej wojny. O wiele mniej uwagi poświęcano natomiast odwadze moralnej i odwadze myślowej, które są nie mniej ważne i też można je w sobie rozwinąć, stosując określone ćwiczenia. *Przyznawaj się wobec siebie samego codziennie do jednej przynajmniej przykrej prawdy*, np. *do myśli, że życie miałoby wartość nawet wówczas, gdybyś nie był istotą – jaką oczywiście jesteś – nieskończenie wyższą od swoich przyjaciół pod względem charakteru i inteligencji* (s. 401).

Cytowałem Russella tak często i obszernie nie bez kozery, książka jego opublikowana została w 1930 r., kiedy nikomu nie śniło się o psychologii pozytywnej, która powstała ponad pół wieku później. Fundamentalna dla tej orientacji książka Martina Seligmana *Optymizmu można się nauczyć* opublikowana została w 1990 r., a więc dokładnie 60 lat później. Czytając książkę

Russella trudno oprzeć się wrażeniu, że w kilku zasadniczych kwestiach był on prekursorem psychologii pozytywnej. Po pierwsze uważał, tak jak reprezentanci psychologii pozytywnej, że ekstrawertyczność jest czynnikiem sprzyjającym szczęśliwości, że ekstrawertycy są znacznie częściej szczęśliwi niż introwertycy. Po drugie dowodził, powołując się na swój przykład, że aktywność zewnętrzna – jeśli nas angażuje i odpowiada naszym autentycznym zainteresowaniom – może być bardzo ważnym czynnikiem zwiększającym zadowolenie z życia i poczucie szczęścia, dostarczając nam, jak powiedziałby Seligman, „intensywnych gratyfikacji". Po trzecie Russell uważał, że pewne cnoty, ważne dla zadowolenia z życia, można w sobie rozwinąć, a nawet wyćwiczyć przez stosowanie określonych technik. Przypomina to bardzo różne zalecenia i techniki stosowane przez psychologów amerykańskich w badaniach i eksperymentach, zmierzających do podwyższenia dobrostanu. Można mieć nawet, bez wątpienia krzywdzące, wrażenie, że psycholodzy ci czytali Russella znacznie dokładniej niż mogłoby to wynikać z liczby bibliograficznych świadectw w ich tekstach. Mimo tych zbieżności nie ulega wątpliwości, że w koncepcje Russella to filozoficzne spekulacje, które można zlekceważyć w psychologii pozytywnej, gdzie mamy do czynienia z wiedzą opartą na badaniach i weryfikowaną eksperymentalnie.

*

Idąc tropem Russella, rozpocznę od stwierdzenia, że moja własna „recepta" na szczęście nie uwzględnia ani sytuacji ekstremalnych, takich jak śmierć wszystkich bliskich, ani też nie dotyczy osób wyjątkowych – świętych, bohaterów, fanatyków lub masochistów, lecz zwyczajnych przeciętnych ludzi, którzy mając prawo do szczęścia nie potrafią go osiągnąć. Ci zwyczajni ludzie często nie są szczęśliwi dlatego, bo nie „umieją" być szczęśliwi, bywają więc nieszczęśliwi „z własnej winy" lub, inaczej mówiąc, „na własną prośbę". Nim określę warunki, które są – według mnie – konieczne, choć niewystarczające, by osiągnąć szczęście, chcę wskazać sytuacje, w których osiągnięcie poczucia szczęścia dla normalnego przeciętnego człowieka (nie świętego i nie bohatera) nie jest możliwe, co więcej, szczęśliwość w takich okolicznościach byłaby często czymś wstydliwym, moralnie dwuznacznym.

Pierwszą taką sytuacją jest bezradność, odczuwana kiedy człowiek nie może (nie jest w stanie) pomóc swoim najbliższym lub sobie samemu w nieuleczalnej chorobie lub innym bardzo dotkliwym cierpieniu. Uwzględnić tu należy również stan trwałego, nieodwracalnego osamotnienia, czyli takiej odmiany samotności, która nie jest rezultatem wyboru, lecz jest człowiekowi narzucona wbrew niemu. Trudno być także szczęśliwym, gdy ma się głębokie przeświadczenie i silne poczucie (nie zawsze obiektywnie uzasadnione), że jest się nikomu ani do niczego niepotrzebnym. Poczucie niepotrzebności może wykluczać poczucie szczęścia. Szczęście może również wykluczać głębokie i dotkliwie poczucie winy, wywołane uczynkami lub zaniechaniami, które doprowadziły do nieodwracalnych negatywnych skutków. Sądzę także, że szczęście jest nieosiągalne dla tych, którzy uświadamiają sobie, że dla swoich najbliższych są wyłącznie źródłem nieustannych kłopotów, trosk i cierpień. Wreszcie nie można być szczęśliwym, gdy ma się głębokie przeświadczenie, że życie jako całość (lub bardzo istotny jego fragment) zakończyło się całkowitą i nieodwracalną porażką, że było pasmem niepowodzeń, cierpień i upokorzeń i nie ma już żadnej nadziei na znaczącą poprawę negatywnego bilansu.

Zanim przedstawię własne rady, jak być szczęśliwym, warto przypomnieć pomysły innych. Twórca psychologii pozytywnej Martin Seligman zachowuje powściągliwość pod tym względem – w książce *Prawdziwe szczęście* (2005) udziela tylko pięciu dość ogólnych rad, do jakich powinniśmy się zastosować, jeśli chcemy „trwale podnieść poziom swojego szczęścia". Powinniśmy więc:

1. Żyć w bogatym demokratycznym kraju, a nie w ubogiej dyktaturze (silny wpływ).

2. Wstąpić w związek małżeński (silny wpływ, ale być może nie przyczynowy).

3. Unikać negatywnych wydarzeń i emocji (tylko umiarkowany wpływ).

4. Stworzyć sobie bogatą sieć kontaktów towarzyskich (silny wpływ, ale być może nie przyczynowy).

5. Stać się osobą religijną (umiarkowany wpływ) (s. 91).

Bardziej rozwiniętą „receptę" na szczęście przygotowała grupa ekspertów brytyjskich dla eksperymentu przeprowadzonego w maju 2005 r. w mieście Slough w hrabstwie Berkshire (około 40 km od Londynu). Eksperyment trwał trzy miesiące i przeprowadzony został na pięćdziesięciu ochotnikach z przeciętnym poziomem zadowolenia z życia, należących do różnych grup wiekowych, etnicznych i religijnych. Podstawę eksperymentu stanowił opracowany przez ekspertów i realizowany w praktyce przez ochotników i ekspertów *Manifest szczęścia*. Eksperyment przeprowadzony był pod patronatem BBC, a jego rezultaty zarejestrowano w serialu *Making Slough Happy*. Oto dziesięć zasad, które uczestnicy powinni stosować przez dwa miesiące:

1. Ruszaj się. Zafunduj sobie półgodzinną gimnastykę trzy razy w tygodniu.

2. Ciesz się z tego, co masz. Pod koniec dnia pomyśl przynajmniej o pięciu rzeczach, za które jesteś wdzięczny.

3. Poświęć trochę czasu na rozmowę. Co tydzień odbądź godzinną nieprzerywaną rozmowę ze swoim partnerem albo przyjacielem.

4. Posadź jakąś roślinę – choćby w skrzynce na kwiaty albo w doniczce. I dbaj o nią!

5. Czas spędzony przed telewizorem skróć o połowę.

6. Przynajmniej raz dziennie uśmiechnij się do nieznajomego na ulicy i/ lub pozdrów go.

7. Zadzwoń do przyjaciela. Skontaktuj się przynajmniej z jednym przyjacielem lub krewnym, z którym od dawna nie rozmawiałeś i umów się na spotkanie.

8. Serdecznie się pośmiej, chociaż raz w ciągu dnia.

9. Codziennie spraw sobie jakąś nagrodę i daj sobie czas naprawdę się nią nacieszyć.

10. Zrób coś dobrego. Każdego dnia postaraj się zrobić dla kogoś coś dobrego (cyt. za Liz Hoggard, s. 17).

Eksperyment zakończył się pełnym sukcesem: udało się poprawić wskaźnik przeciętnego zadowolenia z życia u badanych o 33%. Kiedy rozpoczynano eksperyment, średni poziom zadowolenia z życia wynosił u badanych 6,4 (w 10-punktowej skali). Po dwóch miesiącach współczynnik ten wzrósł do 8,1 – czyli do poziomu szczęśliwości Danii.

Dziesięć zaleceń proponuje też uczony amerykański polskiego pochodzenia Krzysztof Szymborski (Skidmore College) w artykule *Z łopatą po szczęście. Czy człowieka można nauczyć radości z życia* (Pomocnik Psycholo-

giczny „Polityki" nr 43 z 27.10.2007). W porównaniu do *Manifestu szczęścia* największe różnice występują w punkcie 1 i 7: *Pierwsze: nie unikaj seksu – intymna bliskość z drugim człowiekiem podnosi nasze poczucie własnej wartości. Siódme: wybierz zawód, który lubisz, a w wolnym czasie angażuj się w działalność społeczną – wstąp do chóru lub posadź drzewko na publicznym skwerze* (s. 17).

Po skonfrontowaniu swego życia z tymi dwoma wariantami 10 przykazań: jak być szczęśliwym? dochodzę do wniosku, że główną przyczyną moich nieszczęść i porażek życiowych jest fakt, że mam ogromne zaniedbania w sadzeniu roślin: nie posadziłem nie tylko drzewka na publicznym skwerze, lecz nawet żadnej rośliny doniczkowej, w tej sytuacji nie mogę być ze swego życia zadowolony. W chórze zresztą też śpiewałem zbyt krótko. Mam natomiast wątpliwość dotyczącą pierwszego zalecenia prof. Szymborskiego. Znam mianowicie jednego siedemdziesięciopięciolatka, który zgodnie z zaleceniem nie zadaje sobie trudu unikania seksu, tylko, z niezrozumiałych dla niego względów, to seks go uporczywie unika.

Moja własna propozycja na szczęście nie jest, niestety, oparta na żadnym z przeprowadzonych przeze mnie badań, chociaż stara się niektóre z nich uwzględnić, ma więc, jak powiedziałby z uzasadnionym lekceważeniem prof. Janusz Czapiński, charakter „poradnikowy". „Receptę" ujmuję w 15 punktach, które uważam za warunki konieczne, choć niewystarczające, by osiągnąć poczucie szczęścia.

1. Jestem głęboko przekonany, że nie można (bardzo trudno) być w sposób trwały szczęśliwym, jeżeli praca zawodowa, którą człowiek wykonuje, jest dla niego wyłącznie źródłem udręki, nudy, a nawet cierpień i upokorzeń, lub jest wyłącznie sposobem zdobywania środków utrzymania dla siebie i swoich najbliższych. Wymieniam pracę na początku z kilku zasadniczych względów. Po pierwsze, zajmuje ona w życiu większości ludzi najwięcej czasu, znacznie więcej niż tzw. czas wolny, więcej także niż czas, który spędzamy z naszymi partnerami życiowymi oraz dziećmi, rodzicami i rodzeństwem. Po drugie dlatego, że właśnie praca może być tą formą aktywności, której dotyczy koncepcja „flow" współtwórcy psychologii pozytywnej Mihaly Csikszentmihalyi, czyli stanu wyjątkowego intensywnego zaangażowania, które pochłania człowieka w takim stopniu, że zapomina on o świecie zewnętrznym, upływie czasu oraz sobie samym, doznając przy tym głębokich satysfakcji, nazywanych przez Seligmana gratyfikacjami. By doznać satysfakcji w pracy, trzeba w niej odnosić sukcesy. Taką pracę łatwiej polubić, a jeśli się ją polubi, to o sukcesy łatwiej. W większości zawodów, aby odnosić sukcesy wystarczy być bardzo dobrym: bardzo dobrym lekarzem, inżynierem, krawcem, fryzjerem czy nauczycielem. Są jednak zawody, w których, jeśli chce się uzyskiwać sukcesy na miarę swoich czasem nadmiernych oczekiwań, trzeba być znakomitym: znakomitym pianistą, skrzypkiem, śpiewakiem operowym, pisarzem, malarzem czy kardiochirurgiem. Co więcej ta znakomitość powinna zostać dostrzeżona przez ekspertów i publiczność bądź klientelę. Czasem zaś bywa tak, że czyjaś znakomitość dostrzeżona jest w pełni dopiero po śmierci, jak było w przypadku van Gogha, Mozarta czy Norwida. Nie każdego też stać na zmianę zawodu, jeśli przekona się, że będzie „tylko" bardzo dobrym pianistą lub „tylko" bardzo dobrym lekarzem, a uważa, że byłby znakomitym prawnikiem lub biznesmenem.

2. Takiego uskrzydlającego zaangażowania możemy na szczęście doznać także przy innych formach aktywności, a mianowicie: w tańcu, przy muzykowaniu, interesującej lekturze, żeglowaniu, wspinaczce wysokogórskiej, grze w szachy lub w karty, ogrodnictwie czy rybołówstwie. Nie należy lekceważyć tych innych, pozazawodowych form aktywności, bo ewentualne sukcesy odnoszone w tych dziedzinach mogą być potrzebne dla zachowania równowagi wewnętrznej i dobrego samopoczucia, mogą też, przynajmniej częściowo, kompensować brak sukcesów zawodowych. Ważnymi czynnikami warunkującymi nasze poczucie szczęścia i zadowolenie z życia są pozytywne emocje doznawane przez nas w osobistych relacjach z innymi ludźmi: miłość i przyjaźń.

3. Dla większości ludzi podstawowymi formami realizacji życia osobistego są: rodzina, małżeństwo oraz inne przedmałżeńskie i pozamałżeńskie związki i relacje. Trudno mówić o szczęściu i zadowoleniu, jeśli czyjeś życie osobiste zakończyło się całkowitym fiaskiem lub jeśli porażki i rozczarowania wyraźnie przeważają nad satysfakcjami i sukcesami. Niestety, w tej sferze życia nie ma mądrych. Nawet psychologia pozytywna nie stworzyła ani „miłościomierza", ani niezawodnych zasad postępowania, które dawałyby gwarancję sukcesu w miłości. Takich reguł, których konsekwentne stosowanie sprawiłoby, że nasza miłość do małżonków, kochanków, dzieci, rodziców oraz innych bliźnich byłaby zawsze odwzajemniona i to współmiernie do naszego zaangażowania i oczekiwań. Miłość nieodwzajemniona nie daje pełni szczęścia nie przestając być miłością. Gdyby miłość sprowadzała się do współżycia seksualnego, to sprawa byłaby prostsza, w tej dziedzinie można już podobno otrzymać kompetentne rady od seksuologów. Jednak nawet miłość zmysłowa wyłącznie do seksu się nie sprowadza. Co więcej, można kochać bliźnich swoich, jak Matka Teresa z Kalkuty i mieć poczucie zadowolenia z życia, przeżywszy je w celibacie.

4. Drugą, nawet jeszcze ważniejszą od miłości sferą doznawania emocji pozytywnych w relacjach z innymi jest przyjaźń. Można być szczęśliwym człowiekiem nie zaznawszy odwzajemnionej zmysłowej miłości. Jestem jednak głęboko przekonany, że nie można być szczęśliwym bez przyjaciół. W odróżnieniu od miłości przyjaźń nie może być przez dłuższy czas nieodwzajemniona. Prawdziwa przyjaźń wymaga obustronnych wysiłków, zmierzających do jej podtrzymywania. Bez przyjaciół trudno mieć pełne poczucie zadowolenia z życia. Mówi się, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, to prawda, ale nie tylko w biedzie i w nieszczęściu, lecz także w sukcesie, w chwilach pomyślności. Prawdziwy przyjaciel to ktoś, kto będzie znosił twoje sukcesy, nawet wtedy, gdy są one permanentne oraz nadmierne i nie zawsze w pełni zasłużone. Potrafi je znosić bez zazdrości, a nawet z radością (tu już przesadziłem). Prawdziwy przyjaciel nie musi być jednak twoim bezkrytycznym wielbicielem, to ktoś, kto zdobędzie się na uwagi krytyczne i przestrogi, jeśli popełniasz błędy lub możesz je popełnić. To ktoś, od kogo przyjmiesz te uwagi nie podejrzewając go o złe intencje, komu zaufasz nie tylko wtedy, gdy cię podziwia i chwali, lecz także wtedy, gdy ma wątpliwości wobec twojej postawy, zamiarów i zachowań.

Następne cztery warunki dotyczą naszych oczekiwań i wymagań wobec: życia, ludzi, naszych partnerów i wreszcie nas samych. Według mnie znacznie rzadziej szczęśliwi bywają maksymaliści, mający nadmierne wymagania we wszystkich tych dziedzinach, niż realiści, którzy mają umiarkowane, to znaczy bardziej uzasadnione i realistyczne wymagania wobec świata i ludzi.

5. Nie wymagaj zbyt wiele od życia, życie nie jest sielanką i nie składa się z pasma sukcesów, satysfakcji, przyjemności i radości. Nikomu nie udaje

się uniknąć porażek, rozczarowań, chwil smutku, a nawet rozpaczy. Są one nieuniknioną częścią życia każdego człowieka, także tych najszczęśliwszych ludzi. Nie należy więc tragizować w przypadku każdego niepowodzenia, a nawet katastrofy życiowej. Nie tylko ciebie spotykają nieszczęścia, są one udziałem wszystkich ludzi. Pamiętaj, że zawsze mogłoby być jeszcze gorzej. Najbardziej pouczająca i mądra w tym kontekście jest żydowska przypowieść o drugiej kozie wprowadzonej do ciasnego mieszkania – co za szczęście gdy się jej pozbędziemy!

6. Nie powinniśmy też zbyt wiele wymagać od ludzi. Nie zgadzam się z Freudem, że człowiek jest z natury zły. Człowiek jednak potrafi być zły, agresywny, okrutny, złośliwy, wyrachowany, egoistyczny i obłudny. To nie znaczy jednak, że wszyscy ludzie są tacy. Ludzie potrafią być dobrzy, a nawet wspaniali; odważni, ofiarni, bezinteresowni, życzliwi, wspaniałomyślni, hojni i czuli nie tylko wobec swoich ulubionych kotków i piesków, ale także wobec innych ludzi. Ludzie jednak nie są aniołami. Nie mamy więc prawa i nie powinniśmy wymagać od nich świętości, bohaterstwa i bezgranicznego poświęcenia. Mamy natomiast prawo oczekiwać przyzwoitości, uczciwości, a nawet liczyć na dobroć niektórych z nich. Pamiętać jednak należy, że nawet przyzwoici i w zasadzie uczciwi ludzie mogą od czasu do czasu zachować się nieprzyzwoicie lub kogoś skrzywdzić. Jeśli jednak ktoś wyrządził nam świństwo, to nie znaczy wcale, że wszyscy ludzie są podli. To nie znaczy nawet, że nasz krzywdziciel jest świnią. Być może on sam lub z naszą pomocą zreflektuje się i zechce naprawić to, co uczynił. Jeśli jednak tak się nie stanie, bo okazał się rzeczywiście złym człowiekiem, to nie znaczy, że wszyscy są tacy.

7. Nie wymagaj także zbyt wiele od swego partnera życiowego i partnerki. Mamy wobec naszych partnerów nie tylko wygórowane, ale niebywale zróżnicowane wymagania. Nie zawsze zresztą znajdujemy odwagę, by je wyartykułować, to on sam (czy ona) powinien się domyślić, czego od niego w tym momencie oczekujemy. Mężczyzna, zdaniem wielu kobiet, np. powinien być silny jak Pudzianowski, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie; powinien dawać poczucie bezpieczeństwa, a równocześnie być na tyle słaby i w pewnych sprawach życiowo bezradny, by partnerka miała świadomość, że bez niej zginie. Powinien być dobry i bezinteresowny jak święty Franciszek, ale równocześnie bogaty jak Rockefeller, choć oczywiście nie natrętnie bogaty, dyskretnie, tak od niechcenia. Powinien być elegancki, zadbany i pachnący, a jako kochanek delikatny i czuły, ale od czasu do czasu powinien być brutalny, jak kierowca tira w przepoconym podkoszulku, żeby nie było wątpliwości, że, to kawał chłopa, a nie jakieś „ramiączko".

Podobnie zróżnicowane wymagania mają mężczyźni wobec swoich kobiet. Powinna być piękna i seksowna jak Sophia Loren lub Marilyn Monroe, ale dobra jak Matka Teresa z Kalkuty. Oczywiście inteligentna i mądra, ale bez przesady, by nie wpędzała partnera w kompleksy. Władcza jak Kleopatra lub co najmniej królowa angielska, ale równocześnie uległa i domyślna, czego od niej się oczekuje. Powinna być oczywiście prawdziwą damą, która nie przynosi wstydu w wytwornym towarzystwie, czasami jednak powinna być jak dziwka, bezwstydna i wyuzdana, i żeby jej się nie pomyliło, kiedy ma być damą, a kiedy dziwką.

Takich kombinacji cech nie możemy się, co oczywiste, spodziewać na co dzień.

8. Nie wymagaj wreszcie zbyt wiele od siebie. Nie możesz we wszystkim, co robisz lub w czym bierzesz udział, być najlepszym, być numerem 1. Wystarczy, że jesteś bardzo dobry w jakiejś dziedzinie swej aktywności, a wcale nie we wszystkich. W pozostałych postaraj się nie być najgorszy, to przecież realne. Nie stawiaj sobie poprzeczki zbyt wysoko (ani dosłownie, ani w przenośni), bo będziesz sfrustrowany. Nie mierz siły na zamiary, lecz raczej zamiar według sił. Jak masz 165 cm wzrostu, nie staraj się zostać mistrzem olimpijskim w skoku wzwyż. Przecież możesz grać w ping-ponga lub szachy, lub zająć się polityką. Jak dobrze pójdzie, możesz nawet zostać prezydentem, bo w polityce wzrost nie jest taki ważny. Nie musisz też być ani najpiękniejszy, ani najbogatszy, wystarczy, jeśli nie jesteś biedny i nie jesteś brzydki. Możesz być bardzo dobrym aktorem filmowym nie dostając Oskara, możesz być także dobrym, a nawet bardzo dobrym pisarzem lub uczonym nie dostając Nagrody Nobla, przecież nie zawsze ci, co dostają, są rzeczywiście najlepsi.

Trzy następne rady dotyczą zazdrości i zawiści. Zawiść jest uczuciem destrukcyjnym wobec przedmiotów zawiści i autodestrukcyjnym wobec podmiotów zawiści.

9. Nie będziesz szczęśliwy, jeśli nie uda ci się wyeliminować zawiści. Zawiść jest uczuciem autodestrukcyjnym, zatruwającym życie tego, kto doznaje zawiści. Jeśli nie potrafisz cieszyć się z sukcesów innych ludzi (nawet bliskich tobie – znam takie przypadki), postaraj się przynajmniej nie cierpieć z powodu każdego sukcesu odniesionego przez innych, bo życie twoje będzie piekłem, które sam sobie fundujesz. Zawsze będą w twoim otoczeniu lub środowisku ludzie, którzy są bogatsi od ciebie, sławniejsi od ciebie, piękniejsi od ciebie, będą odnosić większe sukcesy od ciebie, mieć lepsze samochody, przystojniejszych mężów, piękniejsze domy. Musisz się z tym pogodzić i nie cierpieć z tego powodu.

10. Unikaj ludzi chorobliwie ambitnych, którzy nie osiągnęli sukcesów na miarę swoich marzeń, oczekiwań i aspiracji. Są z reguły sfrustrowani, agresywni i niebezpieczni dla otoczenia. Możesz stać się ofiarą ich zawiści nawet wtedy, gdy twoje sukcesy są umiarkowane, ale większe niż oni mogą znieść.

11. Nie prowokuj ludzkiej zawiści swymi cnotami i sukcesami (rzeczywistymi lub pozornymi). Jeśli nie masz żadnych widocznych słabości (np. skłonności do alkoholu lub hazardu) i nie spotykają cię żadne niepowodzenia (np. nie zwolniono cię z pracy, nie ukradziono ci samochodu, żona cię nie zdradza), to jak najszybciej wymyśl jakieś słabości lub niepowodzenia (np. jesteś babiarzem, rozbiłeś samochód, nie możesz spłacić kredytów) i rozpowszechniaj wiadomości na ten temat. Brak słabości i wyzywająca cnotliwość może drażnić innych ludzi, a stosunkowo niewinne słabości i wady, i wszelkie porażki pozwolą ci pozyskać sympatię bliźnich. Jeśli opuścił cię instynkt samozachowawczy i nie rozpowszechniasz wiadomości o twoich rzeczywistych czy pozornych wadach, rozczarowaniach i porażkach życiowych, to ludzie i tak ci nie uwierzą i sami ci przypiszą jakieś słabości. Możesz być przy tym pewien, że będą one bardziej dotkliwe i kompromitujące niż te rzeczywiste czy wymyślone przez ciebie.

Dwa kolejne „przepisy na szczęście" dotyczą tak pozytywnych uczuć, jak życzliwość i wdzięczność.

12. Postaraj się żywić chociaż trochę życzliwości wobec innych ludzi i nie wstydź się tej życzliwości im okazywać. Uwierz mi, staremu: życzliwość to zdrowe i przyjemne uczucie i chociaż z tego powodu warto go doznawać. Jeśli twoja żona szydzi z ciebie, nazywając twoją życzliwość „dobrodupnością", nie przestawaj być sobą. Życzliwość i dobroć nie zawsze i nie dla wszystkich są świadectwem słabości. Co więcej, warto być życzliwym nawet z egoistyczne-

go punktu widzenia. Jeśli dziesięciu ludziom okażesz życzliwość, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że pięciu, a może sześciu lub siedmiu odpłaci ci tym samym.

13. Nie wymagaj od ludzi wdzięczności za życzliwość czy dobroć im okazaną. Nie licz, że ludzie odpłacą ci dobrem za zło. Nie oczekuj, że ludzie odpłacą ci dobrem za dobro. Jeśli zrobiłeś coś dobrego, nie oczekuj wdzięczności i nie wystawiaj za to rachunku. Nic ci się nie należy poza twym własnym zadowoleniem z siebie, to jest jedyna i g o d z i w a nagroda. Jeśli ludzie, dla których zrobiłeś coś dobrego, nie odpłacili ci za to złem, bądź im i losowi wdzięczny, bo trafiłeś na bardzo przyzwoitych ludzi. Pamiętaj, że ludzie bardzo ambitni nie znoszą swych dobroczyńców. Nie oczekuj, że twoje własne dzieci odpłacą ci za twoją troskę i poświęcenie tym samym, kiedy będziesz stary. Relacje uczuciowe między rodzicami a dziećmi nie są symetryczne. Znacznie więcej daje się dzieciom niż można od nich otrzymać w zamian, dotyczy to wszystkiego: uczuć, wysiłku fizycznego, czasu itd. Nie musisz się bezgranicznie poświęcać swoim dzieciom, rezygnując ze wszelkich swoich aspiracji, oczekiwań i marzeń. Jeśli jednak tak postąpiłeś, to nie oczekuj pełnego rewanżu, taka jest kolej rzeczy. Za okazywanie swoim dzieciom uczucia i troski twoje dzieci odpłacą swoim dzieciom. Nie narzucaj swojej woli dorosłym dzieciom. One same projektują własne życie, ty możesz najwyżej im radzić i wspierać je, jeśli oczekują tego od ciebie. Twoje dzieci nie muszą realizować twoich niezrealizowanych aspiracji i marzeń. Mają swoje aspiracje i marzenia. Naucz się cieszyć, kiedy udaje im się je realizować. Naucz się cieszyć z faktu, że dają sobie radę same i żyją tak, jak chcą, jeśli ich życie daje im zadowolenie i nie zasługuje na moralną dezaprobatę.

14. Naucz się cieszyć drobnymi radościami, powodzeniami i sukcesami chwili bieżącej, one też nadają barwę i smak życiu, nie wracaj bez przerwy myślami do swoich cierpień, rozczarowań i porażek z przeszłości i nie martw się z góry z powodu niepowodzeń, które mogą ci się przytrafić. Może nie będzie tak źle, jak ci się wydaje.

Jeden z najmądrzejszych i najszczęśliwszych ludzi, jakich spotkałem w życiu, prof. Władysław Tatarkiewicz, autor książki *O szczęściu*, żył 94 lata i do końca swoich dni nie tracił zadowolenia z życia. Na pytanie, czy był szczęśliwy, odpowiedział: *Raczej tak i przyczyniły się do tego dwie moje właściwości: słaba pamięć i słaba zdolność przewidywania. Dzięki temu krótko pamiętałem zło, jakie mnie spotkało. A także nie oczekiwałem zła, jakie mnie czekało i przeto nie cierpiałem przedwcześnie* (s. 181). Przy okazji warto powiedzieć, że Bertrand Russell, który na starość stał się szczęśliwy – żył 98 lat.

15. Postaraj się mieć poczucie humoru i nie trać go także wtedy, gdy spotykają cię w życiu rozczarowania, niepowodzenia, a nawet nieszczęścia.

Nieprzypadkowo Władysław Tatarkiewicz pisał o humorze w książce *O szczęściu*: *To nie wesołość, ile humor przyczynią się wybitnie do szczęścia, humor rozumiany nie jako zdolność i skłonność do robienia żartów i dowcipów, lecz także jako postawa tych, co życie „biorą z humorem" w przeciwieństwie od tych, co je „biorą tragicznie". Objawia się naprawdę nie wobec cudzych przygód, lecz wobec własnych, nie wobec wesołych i pomyślnych, lecz właśnie smutnych i niepomyślnych. Humor to zdolność nieprzejmowania się niczym, nawet niepowodzeniami i obracania ich w żart. Kto tę zdolność posiada, ma niewątpliwie więcej od innych szans, że będzie szczęśliwy* (s. 114).

Rzeczywiście, umiejętność spojrzenia z humorem na nasze własne niepowodzenia i przewrotność losu jest bardzo ważna. Humorystyczna postawa

wobec życia jest przezwyciężeniem skrajności pesymizmu i malkontenctwa z jednej strony i naiwnego optymizmu z drugiej. Tacy ludzie nie mają nadmiernie wygórowanych wymagań wobec innych i świata, nie mają też skłonności, by wszystko widzieć w czarnych barwach i martwić się na zapas, przewidując zawsze najgorsze. Nie przeżywają ogromnych rozczarowań i tragedii z powodu błahych i przezwyciężalnych niepowodzeń. Ludziom z taką postawą łatwiej się żyje, łatwiej też współżyć z nimi. Humorystyczne podejście do życia może być skuteczną formą samoobrony przed atakiem z zewnątrz, jak też przed samym sobą – przed załamaniem, depresją, pesymizmem, ułatwia przetrwanie w trudnych czasach i sytuacjach przez dostrzeżenie w nich zabawnych elementów. Jest to dość popularna i skuteczna forma samoobrony przed silniejszymi zaborcami, okupantami, władzą. Człowiek, który potrafi śmiać się ze swoich prześladowców, zyskuje poczucie większej siły i wartości.

Poczucie humoru jest sprawą indywidualną. Nie wszyscy je posiedli w jednakowym stopniu. Mam nadzieję, że moi czytelnicy posiedli tę sztukę i odniosą się z dystansem także do wszelkich recept na szczęście. Uniwersalnej i niezawodnej recepty na szczęście nie ma i być nie może. Najmądrzejsze nawet rady i dyrektywy nie dają gwarancji na szczęście i nie mogą uchronić od rozczarowań, porażek, frustracji, depresji, a nawet myśli samobójczych. Jeśli jednak będą to przemyślane rady, to warto je rozważyć, może są na tyle sensowne, że pomogą nam żyć tak, by zminimalizować liczbę nieszczęśliwych chwil, złagodzić intensywność cierpień i osiągnąć zadowolenie z życia.

Bohdan Dziemidok

Bibliografia:

M. Argyle (2004), *Przyczyny i korelaty szczęścia*, w: J. Czapiński (red.) *Psychologia pozytywna*, ss. 165-203.

Z. Bauman (2006), *Społeczeństwo w stanie oblężenia*, Warszawa, rozdz. 4 *(Nie)dole związane z niepewnymi przyjemnościami*, ss. 143-184.

M. Baranowska (2008), *Skutek uboczny*, „Więź" nr 11-12, ss. 6-7.

M. Csikszenmilholyi (2005), *Przypływ. Psychologia optymalnego doświadczenia*, Warszawa.

B. Cyrulik (2006), *Szczęście dla opornych*, wywiad przeprowadzony przez Claude Weill, „Forum" nr 47, ss. 22-29.

J. Czapiński (1992), *Psychologia szczęścia. Przegląd badań*, Warszawa.

J. Czapiński (1997), *Cebula szczęścia*, „Charaktery", nr 11.

J. Czapiński (2001), *Szczęście – złudzenie czy konieczność? Cebulowa teoria szczęścia w świetle nowych danych empirycznych*, w: M. Kofta, T. Szustrowa (red.), *Złudzenia, które pozwalają żyć. Szkice ze społecznej psychologii osobowości*, Warszawa, ss. 266-306.

J. Czapiński (2004a), *Psychologiczne teorie szczęścia*, w: J. Czapiński (red.) *Psychologia pozytywna. Nauka o szczęściu, zdrowiu, sile i cnotach człowieka*, Warszawa, ss. 51-102.

J. Czapiński (2004b), *Czy szczęście popłaca? Dobrostan psychiczny jako przyczyna pomyślności życiowej*, tamże, ss. 235-254.

J. Czapiński (2004c), *Osobowość szczęśliwego człowieka*, tamże, ss. 359-379.

J. Czapiński (2007), *Dobre życie, czyli jakie?*, „Style i Charaktery" nr 3, ss. 4-10.

Ed. Diener, R. E. Lucas, S. Oishi, *Dobrostan psychiczny. Nauka o szczęściu i zadowoleniu z życia*, w: J. Czapiński (red.) *Psychologia pozytywna*, wyd. cyt. ss. 35-50.

U. Eco (2008), *Prawie szczęśliwy staruszek*, „Forum" nr 18, ss. 42-45.

R. H. Frank (2004), *How not to Buy Happiness*, „Daedalus" nr 2.

R. H. Frank (1999), *Luxury Fever: Why money fails to satisfy in an era of excess*, New York.

J. Haidt (2006), *Szczęście. Od mądrości starożytnych po koncepcje współczesne*, Gdańsk.
L. Hoggard (2006), *Jak być szczęśliwym*, Poznań.
E. Jalenques (2007), *Jak nauczyć się być szczęśliwym*, Warszawa.
D. Lykken (2000), *Happiness: the nature and nurture of joy and contentment*, New York.
A. Linley, S. Joseph (2007) (red.) *Psychologia pozytywna w praktyce*, Warszawa.
B. Russell (1991), *Podbój szczęścia*, cyt. na podstawie S. Jedynak (red.) *Wartości, etyka i estetyka*, Wrocław, ss. 397-402.
M. Seligman (2005), *Prawdziwe szczęście. Psychologia pozytywna – urzeczywistnienie naszych możliwości trwałego spełnienia*, Poznań.
M. Seligman (2007), *Optymizmu można się nauczyć*, Poznań.
K. Sheldon, S. Lyubomirsky (2007), *Trwały wzrost poziomu szczęścia: perspektywy, praktyki i zalecenia*, w: A. Linley i S. Joseph (red.) *Psychologia pozytywna w praktyce*, wyd. cyt. ss. 87-111.
M. Środa (2002), *Otwarta brama*, „Newsweek" nr 3103, ss. 82-83.
K. Szymborski (2007), *Z łopatą po szczęście. Czy człowieka można nauczyć radości z życia*, Pomocnik Psychologiczny „Polityka" nr 43.
K. Szymborski (2008), *Pigułki szczęścia nie dają*, „Charaktery" nr 4, s. 135.
W. Tatarkiewicz (2008), *O szczęściu*, Warszawa.
R. Veenhoven (2007), *Szczęście jako cel polityki społecznej: zasada najwyższego szczęścia*, tamże ss. 413-441.
R. Veenhoven (1981), *Conditions of happiness*, Dordrecht.
W. Woydyłło (2008), *Pielęgnowanie szczęścia*, rozmowa, „Więź" nr 11-12, ss. 40-48.

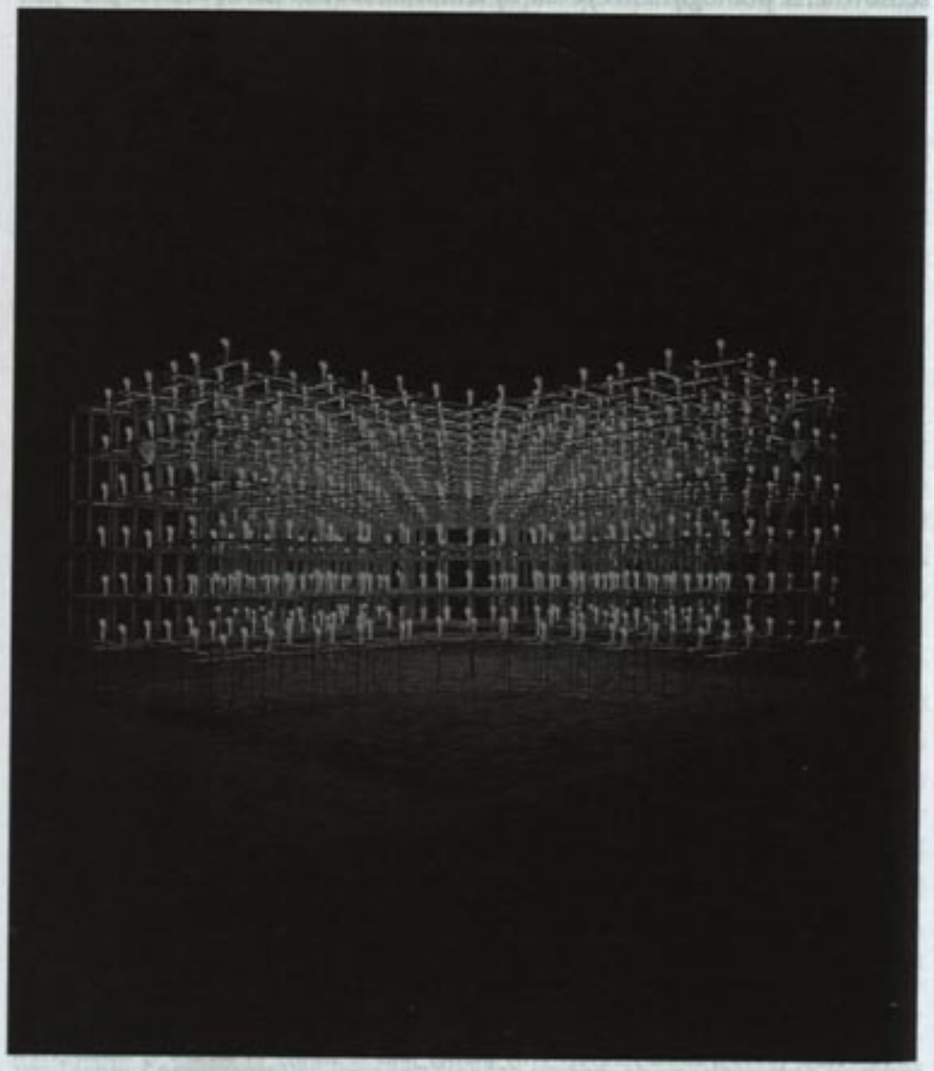

Tadeusz Mysłowski, krzyż świetlny z tysiąca świec, Japonia 2000

DANUTA KURCZEWICZ

Algebra nasz słaby punkt

iks
igrek

długość drogi oblicza się
ilością wspólnych niewiadomych
nawierzchnie wyrównuje
potęgą do potęgi dążeń

jak wykolei się
suma nas
iloczyn spadnie
niżej stóp
wpadniemy w ciąg matematyczny
– skończony

Czyste intencje

gdy patrzysz zamykam oczy
kiedy upajasz się
(naiwność jest piękna)
otwieram by obliczyć mrugnięcia rzęs
(wyrafinowany trzepot)

kiedy mówisz
myślę o konstrukcji zdania
jak wyglądało zanim
zmieściło się w
szczelinie wydechu

a szept
to szelest butwiejących liści
zapach noszę w sobie

Czekoladki

Widzę ciebie na odległość wiązań szosy
smugi samolotu
gonię kilwater i ukośne czucie chwili

śpiewam gdzie chowają smutki
tam jesteś
drepczę w miejscu – receptory
ładowane twoją ciszą

mieszam kolory – ugniatam plastelinę
wiarygodność bez czerni i bieli

mistrzu udziel lekcji
chcę czuć w popiersiu puls
w oczodołach mirrę i kadzidło by łzy
nie miały mocy ujścia

Widzę ciebie gdy sznuruję resztki i
ustawiam noskami do słońca
opalone – czekoladki słodkogorzkie

Piątek

zdziwienie kwiaciarki sięgnęło szczytu poręczy krzesła
obudzonego niecodziennym obrazem

sześć – w listopadowy wieczór
„pełnomłodym" gestem sprzed
czterdziestu lat (w kieszeni marynarki)
sześć – czerwonych jak migacze samochodu

na stoliku obok dziesięciu gorzkich kaw
gdzie powonienie rysuje znak zapytania
a barman wzdycha zaparzoną czerwienią

ona błądzi
szukając w kraterze chłodniejszego odniesienia
myśl zawiesza się na dwuznaczności i odchodzi
z ofiarodawcą

Obiad

To był głód nie do opanowania
Magdalena Abakanowicz

przystawką były abakany
pomijano obiad

dopiero wykwintnie zastawiony stół
w parku Granta gdzie
sto sześć dań podano na tacy
zaspokoił głód duszy

„tłum" stał w rozkroku
trzy metry to dobra wysokość
nawet bez oczu

chicagowskie obiady...
u nas na deser – *Nierozpoznani*

Przy rzece Usz

(1986 r.)

powietrze jak przedtem
mieści się w dłoni

a jednak
przekaz oszczędny
piąte miejsce gdzie na pierwszym
reklama papieru toaletowego

wiatr roznosi małe dawki
za wielkie pieniądze

matki zamykają dzieciom usta
zasłaniają okna – hermetyczność
odruch by nie stać bezczynnie

ktoś pojechał nad morze
po wiaderko jodu
przywiózł za mało
czas naglił

jagody zaczęły świecić jak
oczy zająca – spłoszonego
sałata dostała gratis makijaż
nigdy nie była tak
przezielono-duszna

i ręce
splecione tajemnicą prawdy
szeptem opuszek
„...nie opuszczaj nas Panie"

Danuta Kurczewicz

MARCIN KRECZMER

Karciane opowieści

Spotkaliśmy się tam, gdzie Małgorzata ćwiczyła zwykle latanie na miotle. Lubiłem leżeć pośród łopianów, słuchając jej dzikiego śmiechu, podziwiać jej profil, który podkreślało światło księżyca. Nie będę ukrywał, że najbardziej pasjonował mnie jej zadarty nosek.

Czasami czekałem na darmo. Ze smutkiem wczołgiwałem się wtedy do tunelu czasoprzestrzennego, który prowadził mnie obok jabłonki, przez strumyk i norę jeża, z powrotem pod kołdrę. Później leżałem godzinami patrząc w sufit, zazdroszcząc Mistrzowi i paląc niedopałki wygrzebane z popielnika.

Którejś nocy, wyjątkowo srebrzystej oraz pachnącej rumiankiem i ziemią, kiedy nosek Małgorzaty wydawał mi się szczególnie pięknie zadarty, usłyszałem obok siebie szelest rozsuwających się łopianów. Zdziwiony obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem czołgającego się w moją stronę starszego, kościstego pana, w piżamie, z zeszytem w jednej ręce i jak mi się wydawało, z talią kart w drugiej. Mając obie dłonie zajęte, przesuwał się głównie za pomocą łokci, sapiąc przy tym niemiłosiernie.

– Tss – syknąłem karcąco, przykładając do nosa palec i wskazując na niebo.

Starszy pan zrobił przepraszającą minę i, tym razem już o wiele ciszej, podczołgał się do mnie. Położył zeszyt i karty (z bliska mogłem rozpoznać talię tarota) na wygniecionej przeze mnie trawie i wyciągnął rękę.

– Mistrz – powiedział szeptem. – Pisarz – dodał nieśmiało.

– Eee... Marcin – wydukałem z trudem, w kompletnym zaskoczeniu. Mistrz usadowił się wygodniej, przyklepując dłońmi trawę i liście wokół siebie. Oddychał już spokojniej. Rozchylił dwa łopiany i przez chwilę przyglądał się podniebnym akrobacjom Małgorzaty. Tymczasem ja próbowałem zapaść się pod ziemię, a kiedy to nie poskutkowało, zacząłem wymacywać stopą końcówkę mojego czasoprzestrzennego tunelu.

– Piękna, nieprawdaż? – Mistrz przerwał milczenie i odwrócił się do mnie, jakby oczekując potwierdzenia. Przestałem gmerać stopą. Śmiech Małgorzaty zabrzmiał jak brzęk rozbijających się na kawałki butelek najsłodszej lemoniady. Uświadomiłem sobie, że jestem zwykłym, paskudnym podglądaczem. Mistrz, widząc jak pogrążam się w czarnych myślach, sięgnął do kieszeni piżamy i wyciągnął z niej srebrną piersiówkę.

– Niech pan sobie pociągnie – wyciągnął do mnie rękę. – Swojska śliwowica.

Z wdzięcznością przyjąłem poczęstunek. Trunek rozlał się gorącem po całym ciele. Oddałem mu piersiówkę.

Następnie dodał:

– Jeśli chodzi o tę sytuację, to proszę się w ogóle nie przejmować. Mogę widzieć, że jest pan człowiekiem subtelnych doświadczeń i sztuki, dlatego nie posądzam go o zdrożne myśli dotyczące mojej gołej małżonki. Tak więc jak prawdziwi dżentelmeni, możemy uznać ten temat za niebyły. Zgadza się pan?

Uśmiechnąłem się blado i kiwnąłem głową.

– To dobrze – powiedział Mistrz i pociągnął zdrowo z piersiówki. Następnie schował ją z powrotem do kieszeni, sięgnął po karty i wyciągnął je w moją stronę.

– Niech pan wybierze jedną kartę, młody człowieku.

Wyciągnąłem rękę.

– Lewą, lewą proszę.

Wybrałem kartę. Chciałem podać ją Mistrzowi, ale zasygnalizował mi głową, żebym najpierw sam ją obejrzał. Dwójka pucharów. W parku na ławce siedzi zakochana para. Mężczyzna wydaje się słuchać uważnie słów czarnowłosej dziewczyny, patrząc jej przy tym w oczy jednoznacznie cielęcym wzrokiem. Rumieniec na nowo oblał mi twarz, ale Mistrz taktownie schował kartę z powrotem do talii, tylko pobieżnie na nią zerkając.

– Pan często tutaj przychodzi? – Spytałem, żeby zatrzeć zmieszanie.

– Od czasu do czasu. Ale zwykle siedzę w tamtych krzakach, pod wierzbą – odpowiedział, wskazując na drugą stronę polany.

– Aha.

– Przepraszam, że nigdy nie przyszedłem się przywitać i przedstawić, ale nie chciałem pana niepotrzebnie niepokoić. Dopiero dzisiaj...

Małgorzata spikowała wyjątkowo ostro i musieliśmy zagrzebać się głębiej w łopianach.

– Bestyjka – pokręcił głową Mistrz, uśmiechając się z podziwem, po czym wrócił do tematu: – No więc dzisiaj wpadłem na pomysł nowej książki i stwierdziłem, że pan, jako człowiek inteligentny i wrażliwy, mógłby mi podać pomocną dłoń.

– Pochlebia mi pan, Mistrzu, ale myślę, że przecenia pan moje zdolności. Jestem zwykłym włóczęgą po snach, nikim więcej. Co do moich zdolności pisarskich... – machnąłem ręką.

Mistrz położył mi dłoń na ramieniu.

– Wiem, wiem, jak to jest – powiedział ze współczuciem. – Niespełnione ambicje, niebosiężne marzenia, paląca szarość rzeczywistości.

– No właśnie...

– Ale to nic! – Przerwał mi z entuzjazmem, szybko jednak ściszył głos i dodał prawie szeptem: – To właśnie pan jest doskonałą osobą, żeby pomóc mi w moim projekcie. To nie jest przypadek, że spotkaliśmy się tutaj, za podszewką rzeczywistości. Musi się pan zgodzić. Proszę.

– W takim razie...

– Dziękuję, dziękuję kochany! – Wykrzyknął z wdzięcznością i ucałował siarczyście w policzek.

Rozejrzałem się z niepokojem po niebie, ale na szczęście Małgorzaty już nie było. Musiała zniknąć niezauważenie, kiedy rozmawiałem z jej mężem. Mistrz również dostrzegł jej nieobecność. Stanąwszy na nogi, otrzepał się z trawy i błota. Następnie wskazał na płaski głaz na środku polany.

– Tam powinno nam być o wiele wygodniej – stwierdził i ruszył dziarskim krokiem w kierunku kamienia. Podniosłem z trawy najwidoczniej zapomniane przez niego karty i zeszyt, po czym pobiegłem za nim, potknąwszy się jeszcze o wystający korzeń. Mistrz rozsiadł się przy kamieniu, który mógł śmiało służyć jako stół.

Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem, że w jego ogólnej aurze nastąpiły pewne zmiany. Zniknęła gdzieś skromność i roztargnienie. Już nie patrzyłem na roztrzepanego, starszego pana, ale na prawdziwego mistrza. Pokazał mi, żebym usiadł na trawie, naprzeciwko niego.

– Zanim zaczniemy, musimy porozmawiać o tej historii.

– O jakiej historii? – zdziwiłem się.

– No właśnie o tej.

– Coś z nią nie tak?

– Sam zobacz. (Nie zaskoczyło mnie to nagłe przejście na „ty". Miły staruszek był już przeszłością).

Przejrzałem zapisane strony. Nic.

– Nic?

– Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Westchnął, kiwając z dezaprobatą głową.

– Literatura musi mieć smak, zapach, dotyk, kolor. Musi też zaskakiwać, porywać umysł czytelnika, przyciągać jego uwagę. Zgadzasz się?

Przytaknąłem.

– Zacząłeś dobrze. W pierwszym zdaniu wprowadziłeś piękną, nagą dziewczynę, latającą na miotle. W drugim zaatakowałeś zmysły czytelnika: zieleń łopianów, bagienne zapachy, kobiecy śmiech, zadarty nosek. Zaraz później lekki niepokój; dziewczyna się nie pojawia, wracasz do domu za pomocą fantastyczno-naukowej dewizy, przeżywasz męki zazdrości.

Opuściłem oczy.

– Po prostu świetne, wciągające i tak ma właśnie być – podsumował.

Poczułem się mile połechtany.

– Dziękuję.

Mistrz popatrzył na mnie surowo.

– Niestety – jego głos zawisnął znacząco w powietrzu – potem była to już równia pochyła.

Ta uwaga zabolała.

– Przede wszystkim suche dialogi. Chłopcze, jesteśmy dwiema różnymi osobami. Nie możemy mówić tak samo. To już nie jest literatura, ale marny scenariusz brazylijskiego serialu. Po drugie: twoje charaktery są niespójne i płytkie. Raz jestem roztrzepanym staruszkiem...

– Nie napisałem „staruszkiem", ale „starszym panem"!

– Potatoes, patatas, jak zwał tak zwał. Zaraz później jestem aroganckim, władczym guru, który zajmuje się krytyką literacką. Po prostu mi to zgrzyta.

Po kilku chwilach ciężkiej ciszy Mistrz zapytał:

– Czy ty w ogóle wiesz, gdzie idziesz z tą historią?

Rozejrzałem się dookoła, szukając ratunku. Rechotały żaby, a świerszcze grały na skrzypcach (tak jak wtedy, gdy byłem dzieckiem). Czarna ściana lasu kołysała się powoli i majestatycznie. W oddali kołysały się też łopiany. Przez chwilę, zagubiony już w tym wszystkim, zastanawiałem się, czy przypadkiem to nie ja nimi poruszam, obserwując z ukrycia całą tę scenę. Zwróciłem w stronę Mistrza zrezygnowaną twarz.

– Nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– Prawdziwa mądrość zaczyna się od uświadomienia sobie własnej ignorancji – skomentował z uśmiechem i zaczął tasować talię tarota. W końcu wyciągnął ją w moim kierunku.

– Wybierz trzy karty.

Zamknąłem oczy i przywołując Duszę Wszechświata, wyciągnąłem trzy karty. Trójkę kijów, Siódemkę kijów i Maga. Na pierwszej karcie półnagi młodzieniec z lirą stoi między drzewami i obserwuje coś poza kadrem, w oddali. Druga przedstawia skupionego wojownika, broniącego się przed skierowanymi w niego ostrymi włóczniami. Karta Maga pokazuje brodatego mędrca, oświetlonego blaskiem lampy, przed którym leży wielka księga.

W pierwszej i drugiej karcie bez trudu rozpoznałem siebie, z trzeciej patrzyło na mnie starsze odbicie Mistrza. Spojrzałem bezradnie na karty i podniosłem na niego oczy, czekając na pomoc.

– Nie da się ukryć, że karty opowiedziały nam właśnie nasze spotkanie – powiedział wreszcie, ciągle wpatrując się w ilustracje. – Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy zgadnąć, na co gapi się młodzieniec – mrugnął do mnie zawadiacko. – Domyślam się, że Siódemka kijów opowiada o tym, jak czujesz się przez ostatnią godzinę: próbując odnaleźć się w dziwacznej sytuacji i cierpiąc moją krytykę. Co do Maga, to wydaje się, że doskonale uchwyciłeś obecną chwilę, choć ponownie dodałeś mi trochę lat – dodał z przekąsem.

– Co dalej? – Spytałem.

– Powiedzmy, że była to rozgrzewka. Spróbujmy jednak wyjść poza „tu" i „teraz". Poszukajmy nowych opowieści, których jeszcze nikt nie opowiedział. Niech ta piękna noc stanie się matką nowych Hamletów, Frankensteinów i Wilków Stepowych. Znajdźmy nowe Domy Usherów, Atlantydy i Hobbitony, niech karty zatańczą na Umrzyka Skrzyni, a Dzieci Kapitana Granta niech walczą na proce z Chłopcami z Placu Broni. Niech Fox Mulder ma romans z Gnijącą Panną Młodą, a później niech wspólnie uciekną do Saragossy, gdzie znajdzie ich szukająca zemsty Scully... – głos Mistrza urwał się na chwilę, jakby zdał sobie sprawę, że zagalopował się za bardzo. Popatrzył na mnie niepewnie.

– W każdym razie, wiesz co mam na myśli?

– Chyba tak.

– No to do dzieła – powiedział i po raz kolejny wyciągnął do mnie tarota.

– Tak jak ostatnio? – Spytałem. Potwierdził skinięciem głowy. Znów wyciągnąłem trzy karty.

Opowieść o skradzionej miłości

Zawiał nagle gorący wiatr i dobiegły mnie dźwięki bębnów i gitary. Trzymając nieodsłonięte jeszcze karty w dłoni, zdałem sobie sprawę, że Mistrz jest teraz starym murzynem, z długimi dredami, bez koszulki i w słomkowym kapeluszu. Zaciągnął się długim, grubym jak cygaro skrętem, po czym podał mi go, wciąż przytrzymując w płucach dym, uśmiechając się równocześnie mięsistymi wargami. Brakowało mu jedynki. Przyjąłem poczęstunek. Słodki dym natychmiast uderzył mi do głowy. Dźwięki odległej muzyki nabrały głębi. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że świerki zamieniły się w palmy. Zamiast szumieć, zaczęły więc sucho szeleścić, tak jak to zwykle robią palmy. Parsknąłem śmiechem.

– „Tak to zwykle robią palmy" – powtórzyłem na głos. Nie mogłem powstrzymać chichotu.

– Good shit man, nie? – Spytał rastaman.

– Całkiem niezłe – potwierdziłem z uznaniem.

– Te karty, zdaje się, są moje – wyciągnął rękę. Podałem mu je, ciągle się śmiejąc.

– Jak ci na imię? –Spytałem, kiedy przyglądał się wyciągniętym przeze mnie kartom. Podniósł na mnie oczy, których białka były żółtawo-brązowe, poorane popękanymi żyłkami, a źrenice wielkie i czarne.

– Imię? Szybki jesteś. Na razie jednak zachowam moje imię dla siebie. Pasuje ci to?

– Czemu nie? – Odpowiedziałem i znowu zaciągnąłem się marihuaną. – Jeśli o mnie chodzi, to mogę biegać za Białym Królikiem przez wszystkie strony tej historii.

Przy ostatnim słowie zakrztusiłem się dymem.

– W porządku, droga Alicjo, przejdźmy zatem do mojej opowieści.

Nagle, nie wiem dlaczego, przestało mi być zabawnie. Muzyka bębnów nabrała złowieszczych tonów, kojarząc mi się z orkiestrą ludożerców, a odgłos palmowych liści zabrzmiał jak szelest ślubnej sukni zawieszonej na suchym szkielecie. Krew odpłynęła mi z głowy i poczułem mdłości. Murzyński Mistrz musiał zauważyć mój stan, ponieważ zabrał ode mnie ciągle żarzącego się skręta.

– Ty już lepiej nie pal. Oddychaj głęboko i spróbuj się zrelaksować – poradził.

Wciągnąłem głęboko w płuca powietrze, pachnące teraz oceanem, a nie lasem. Poczułem, że powoli wracam do normalności.

Stary rastaman przyglądał mi się przez chwilę z lekką drwiną.

– Jeśli ci już lepiej, pozwól, że zacznę wreszcie moją opowieść.

Rzucił na kamień trzy karty, wyciągnięte przeze mnie wcześniej. Ujrzałem Kochanków, Diabła i Sprawiedliwość, która zrzucała ze skały demona. Bębny zagrały głośniej. W palmowym gaju zaskrzeczał złowrogo jakiś ptak. Przenikliwe oczy starego rastamana wwierciły się w moją duszę. Kiedy usłyszałem cichy, ochrypły głos, nie wiedziałem, czy wydobył się on z jego ust, czy to same karty dostroiły się do moich myśli i zaczęły przemawiać językiem snów. Po chwili jednak przestałem już rozróżniać jakiekolwiek słowa. Sam stałem się opowieścią...

*

Urodziłem się w wiosce Maroonów[1]. Matka wybrała dla mnie imię Kamau. Moi rodzice, dziadkowie i ich dziadkowie byli wolnymi ludźmi w świecie, gdzie czarny człowiek traktowany był gorzej niż bydło. Naszą wioskę, podobnie jak wiele innych ukrytych w dżungli społeczności, stworzyli zbiegli niewolnicy, nie będący w stanie znieść bata i zniewolenia. Bakra[2] nienawidził nas z całego serca, bo przypominaliśmy mu, że jesteśmy ludźmi. Dlatego biały człowiek, kiedy tylko mógł, próbował utrudnić życie mojemu ludowi, wysyłając do dżungli swoich ludzi, z karabinami oraz truciznami, które na lata zanieczyszczały nasze studnie.

Mimo wszystko moje dzieciństwo było szczęśliwe i jasne. Urodziłem się jako wolny człowiek i moja dusza nie znała cienia upokorzenia i złamanej woli. Jako że nasza wioska była ukryta głęboko w dżungli, w dzieciństwie nigdy nie widziałem białego człowieka, którego znałem tylko z opowieści starych kobiet, kiedy próbowały napędzić stracha niegrzecznym chłopcom. Spędzałem dni na bieganiu po dżungli, dzikim śmiechem płosząc zwierzęta albo zbierając leśne owoce, którymi dzieliłem się później z moimi ośmioma braćmi i czterema siostrami.

[1] Maroon – wolna społeczność czarnych wojowników, którym udało się oprzeć brytyjskiej hegemonii w osiemnastym i na początku dziewiętnastego wieku. Słowo pochodzi od hiszpańskiego „cimmaron" – niepowstrzymany, dziki.
[2] Bakra (jam.) – biały władca niewolników, członek klasy rządzącej w czasach kolonialnych.

Dziewczyna nazywała się Lateica. Jesteśmy ludźmi natury, nigdy nietracącymi z oczu tej nici, która wiąże nas z duszą. Dlatego od początku wiedziałem, że moje serce należy do niej. Choć byłem małym chłopcem i ogień nie wypełnił jeszcze mojego ciała, wiedziałem, że ją kocham. Tak samo ona kochała mnie. Spędzaliśmy całe dnie na dzikich gonitwach, czasami zapuszczając się tak daleko od naszej wioski, że nie wracaliśmy przed świtem. Rankiem poznawałem twardą rękę ojca, ale słodycz wspomnień, w których przemierzamy noc w świetle księżyca, nawołując się głosami ptaków i chowając przed złymi duchami, łagodziła silne razy, wymierzane przez ojcowską dłoń. On zresztą też robił to z miłości do mnie, jak więc mógłbym mieć mu za złe?

To, co na początku budziło śmiech i prowokowało żarty dorosłych, stało się wreszcie ogólnie akceptowanym faktem: Kamau i Lateica nigdy się nie rozstaną. Kiedy dorosną, zostaną pobłogosławieni przez starszych, jako mąż i żona, a później ich liczne potomstwo pobłogosławi wioskę nową siłą, śmiechem i radością. To były beztroskie dni.

Kiedy osiągnęliśmy wiek, w którym lędźwie palą, jakby pokąsały je czerwone mrówki, i niejeden sen kończy się gorącą powodzią, nasi rodzice postanowili, że nie wolno nam już spotykać się samotnie. Od tamtego dnia mogliśmy widywać się jedynie w świetle dnia, pośród innych ludzi, w środku wioski, gdzie nigdy nie przestawały nas obserwować czujne oczy braci Lateici.

W wieku piętnastu lat była ona już prawdziwą kobietą, dumną księżniczką, godną córką swojej rasy. Była wysoka i kształtna. Szerokie biodra odcinały się od smukłej talii, podobnie jak pełne, stojące wysoko piersi. Takie biodra mogły bez trudu dać narodziny dziesiątkom dzieci, a takie piersi mogły je wszystkie bez trudu nakarmić. Uwielbiałem jej szeroki uśmiech, który odsłaniał białe, równe zęby, a duże, czarne oczy, czarniejsze jeszcze niż jej hebanowa skóra, potrafiły zmienić mnie w potulną owcę. Choć bardzo próbowałem to ukrywać, ona dobrze o tym wiedziała, nigdy jednak nie wykorzystywała tego przeciwko mnie. Na cóż byłby jej mężczyzna, który jest jak owca? Lateica potrzebowała kogoś takiego jak ona sama – dumnego, niezależnego i dzikiego. Burzyła się we mnie młoda krew i w tamtych dniach wznieciłem niejedną bójkę, żeby jak kogut szczycić się przed nią męskością.

Kochałem Lateicę i pożądałem jej coraz bardziej. Nie mogłem czekać dłużej, ale rodzice mówili nam, że jesteśmy za młodzi na ślub. Ogień w brzuchu palił coraz dotkliwiej. Gorąca nie łagodziły ani kolejne pojedynki, ani godziny samotnego ścigania się z wiatrem. Po tym jak ona patrzyła na mnie, wiedziałem, że czuje to samo.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Na chwilę udało nam się zniknąć z zasięgu szpiegujących nas oczu i uszu. Powiedziałem jej, co czuję. Powiedziałem, że musimy się spotkać. Niech w nocy wymknie się z domu i niech pobiegnie do dżungli, nad jeziorko, gdzie zwykliśmy się bawić jako dzieci. Będę tam na nią czekał.

Nic nie mówiła, tylko jej oczy lśniły, jakby odbijał się w nich ogień moich lędźwi. Kiedy skończyłem przedstawiać jej swój plan, uśmiechnęła się i pierwszy raz w życiu nadstawiła do pocałunku usta. Mogłem słyszeć, jak szybko oddycha i jak mocno bije jej serce. Nie zdążyłem jednak przyjąć jej podarunku. Usłyszeliśmy głosy nawołujących ją braci. Lateica wyrwała się z moich objęć, wyszeptawszy tylko: „dziś w nocy" i uciekła.

Co wy, biali ludzie, wiecie o takiej miłości? Odgrodziliście się od swoich dusz, nawet od swoich ciał, nadaliście wszystkiemu nazwy, które ukradły rzeczom prawdziwe znaczenie. Widziałem waszą miłość, odwiedziłem wasze kraje i czuję tylko litość. Święconą kredą narysowaliście linię: po jednej stronie miłość duszy, po drugiej – pożądanie ciała. W swojej arogancji nie widzicie, że w ten sposób nie możecie teraz odczuwać ani jednego, ani drugiego. Błąkacie się po zimnych pokojach abstrakcyjnych słów, nie będących w stanie ogrzać waszych serc, albo rzucacie się na samicę jak na przedmiot, wylewając z siebie zimne, bezpłodne nasienie, dziwiąc się, dlaczego wasze serce staje się coraz bardziej suche.

Tajemnica leży w harmonii ducha i ciała, ukryta jest w dźwiękach zapomnianych snów, z czasów, kiedy nasza dusza zamieszkiwała ciała zwierząt, i jeszcze wcześniej, kiedy mieszkaliśmy w pałacach bogów. Bo tylko zwierzęta, bogowie i czarni ludzie żyją zgodnie ze swoją naturą.

Wtedy nie myślałem o tym, jedynie to czułem. Byłem pijany pożądaniem i pragnieniem. Zataczając się pobiegłem do lasu, powtarzając sobie jej ostatnie słowa: „dziś w nocy". Choć dzień był jeszcze w pełni, zjawiłem się na miejscu schadzki i usiadłem w zaroślach, niedaleko jeziorka.

Nie wiem, jak długo czekałem i nie wiem, kiedy zmorzył mnie sen. Nie był to sen, jakiego doświadczałem co noc, ale raczej ciężka, żelazna zasłona, przez którą nie było w stanie przebić się ani jedno marzenie, ani jedna myśl. Przebudzenie było jak podniesienie czarnej kurtyny. Otworzyłem oczy. Nad głową, pomiędzy liśćmi mogłem widzieć gwiazdy. Czy to już noc? Zerwałem się na nogi i odwróciłem w stronę jeziora.

To, co ujrzałem, zmroziło mi serce. W piasku, na brzegu, wiły się, zmagając w walce, dwa ciała. W świetle księżyca zobaczyłem pot lśniący na ich skórze i usłyszałem jęki. Chciałem poruszyć się, pobiec na pomoc Lateice, która, jak się domyśliłem została zaatakowana przez jakiegoś złoczyńcę. Niestety, nie mogłem uczynić najdrobniejszego ruchu. Nie wiem, czy to moja wola została sparaliżowana, czy moje ciało, ale byłem niczym kłoda drewna: martwy i sztywny. Tylko moje oczy mogły się poruszać.

Ach, ile bym dał, żeby moje oczy też były wtedy martwe! Patrząc bezsilnie na walczące postacie, nagle ujrzałem twarz Lateici. Nie była to jednak twarz skręcona bólem i zmaganiem, ale rozkoszą. Nagle zrozumiałem, co oznaczały jej jęki. Nie były to jęki cierpienia, o nie!

Zacząłem walczyć z opinającymi moje ciało niewidzialnymi więzami. Szarpałem się, jak zając złapany we wnyki, wyjąc bezgłośnie, nie będąc w stanie zamknąć oczu. Teraz jednak myślę, że nawet gdybym mógł, pewnie nie oderwałbym wzroku od tej sceny. Lateica wiła się z rozkoszy, drapiąc spocone plecy nieznajomego, pod którego skórą wiły się stalowe muskuły. Odpowiadała na każdy jego ruch uległym jękiem i poruszeniem bioder.

Nie wiem, ile to trwało, ale tamtej nocy wiele razy przeszedłem na stronę szaleństwa. Choć jakaś część mnie chciała tam zostać, chroniąc się w ten sposób przed bólem, to mój gniew był silniejszy niż tchórzostwo; byłem w końcu prawdziwym dzieckiem mojej ziemi. Zrozumiałem wtedy, że nienawiść potrafi być bardziej paląca niż miłość.

W końcu porzuciłem walkę i z dzikim skupieniem wpatrywałem się w kopulującą parę. Chciałem zobaczyć twarz tego mężczyzny. Chciałem ją zapamiętać, a później zabić tego, kto ją nosił. Nigdy wcześniej nie byłem tak bardzo skoncentrowany i żądny czyjejś śmierci.

Wreszcie ich miłosny pojedynek dobiegł końca. Lateica, po godzinach rozkoszy, zapadła w sen. Nieznajomy mężczyzna stanął na nogi. Był wysoki i harmonijnie zbudowany. Ciągle jednak nie widziałem jego twarzy. „Odwróć się, odwróć się", powtarzałem w myślach, niby zaklęcie. W końcu, niczym sztukmistrz, pokazujący ostatni fragment magicznego triku, ukłonił się on niewidocznej publiczności i zwrócił twarz w moim kierunku.

To byłem ja. Mężczyzna, który przywłaszczył sobie moją kobietę, ukradł też mój wygląd. Ciągle nagi, zaczął się do mnie zbliżać. Kiedy znalazł się tuż przy mnie, przysunął swoją twarz do mojej i zaśmiał się drwiąco.

– Odwaliłem za ciebie najcięższą robotę Kamau – powiedział. – Mam nadzieję, że jesteś mi wdzięczny.

Patrzyłem mu w oczy. W tamtym momencie byłem czystą nienawiścią. Wszystko było ostre, jasne i wyraźne.

– Jeśli jednak znów kiedyś będziesz chciał sobie uciąć drzemkę, zamiast dogodzić swojej samicy, przywołaj moje imię. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Następnie sobowtór pokiwał mi ręką i odszedł. Kiedy zniknął w zaroślach, paraliżujące mnie zaklęcie przestało działać. Upadłem na kolana i kiedy go zawołałem, mój głos zabrzmiał jak skowyt oszalałego z bólu zwierzęcia:

– Jakie jest twoje imię?!! Powiedz mi swoje imię!

Odpowiedział mi szyderczy śmiech. Po chwili, jakby płynący z innego świata głos dodał:

– Anansi[3]. Nazywają mnie Anansi.

Wiedziałem, że nie uda mi się go doścignąć. Jak mógłbym doścignąć Anansiego, boga–pająka, mistrza kłamstwa? Zaszlochałem z bezsilności i zataczając się, podszedłem do śpiącej Lateici. Oddychała równo, uśmiechając się przez sen. Ziarnka piasku przykleiły się do jej spoconej skóry. Na udach dostrzegłem kilka rozmazanych kropel krwi. Dotknąłem jej ramienia. Westchnęła przez sen i położyła swoją dłoń na mojej. Nagle zesztywniała i otworzyła powieki. Wbiła we mnie wzrok, który był lśniący i zimny niczym stalowy nóż. Moje oczy, skierowane na nią, były tak samo zimne i obojętne jak jej. Cofnąłem powoli rękę. Zrozumiałem, że tak patrzą na siebie obcy ludzie. Anansi ukradł mi nie tylko jej ciało; skradł również naszą miłość.

Zostawiłem ją tam, w lesie i zacząłem biec. Nigdy jeszcze tak nie biegłem. Moje płuca, podobnie jak serce, stały się niczym metalowe maszyny białego człowieka: silne i niezawodne. Moje nogi niosły mnie przez dżunglę, wzgórza i rzeki. Nie myślałem, nie czułem. Mełłem tylko w ustach jedno słowo, imię: Anansi. Wreszcie, zmęczony, zatrzymałem się i położyłem tam, gdzie stałem. Natychmiast zapadłem w sen.

Znalazłem się w wielkim domu. Nigdy wcześniej nie widziałem tak wielkiego budynku. Dopiero później, kiedy udałem się w szeroki świat i zobaczyłem pałace hinduskich radżów oraz europejskich królów, mogłem powiedzieć, że znalazłem coś, co można było porównać do pałacu z mego snu. Jednakże nigdy nie natknąłem się na nic, co dorównywałoby jego ogromowi i przepychowi. Kopulaste sufity pokoi ginęły wysoko, w chmurach. Gigantyczne witraże pokazywały ruchome sceny z legend ludzi i bogów, a przez okna, które były ich pozbawione, widziałem planety i gwiazdy, pośród których na pojazdach z kwiatów krążyły piękne anioły i upiorne demony. Słyszałem

[3] Anansi – (Pan Pająk), postać mitologiczna z legend Afryki Zachodniej, bóg trickster – wielki oszust.

dźwięki niebiańskiej muzyki, piękniejszej niż wszystko, czego wcześniej doznałem w swoim życiu i piękniejszej niż wszystko, czego doświadczyłem później. Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie mój czas i dobry Jah zabierze mnie do swojego królestwa, będę mógł go o coś poprosić. Jeśli się zgodzi, poproszę go o to, żebym jeszcze raz mógł usłyszeć tamtą melodię.

Piękno i niezwykłość tego miejsca nie ugasiły jednak mojej nienawiści. Z nadzieją rozglądałem się dookoła, myśląc, że być może we śnie trafiłem do domu mojego wroga, Anansiego.

Nagle kogoś zobaczyłem. W kącie komnaty siedział na drewnianym, nie pasującym do całości, skromnym krześle, mężczyzna. Był czarny jak ja, ale w jakiś sposób wiedziałem, że jest on ponad kolorami skóry i tak naprawdę ponad wszystkim, co mogłem sobie wyobrazić. Choć siedział przygarbiony, ciągle widziałem, jaki jest wysoki. Ubrany był w czarny płaszcz i proste, czarne spodnie. Kiedy go dostrzegłem, jego głowa była pochylona, nie mogłem więc zobaczyć jego twarzy, tym bardziej że czarne, długie włosy, tworzyły gęstą zasłonę.

Nie bałem się. Przez chwilę myślałem, że to Anansi, odpoczywający w zaciszu swojego domu, w krainie bogów. Zacząłem powoli iść w jego stronę, pochylony, wstrzymując oddech, jak zwykłem robić, gdy polowałem z nożem na dziki. Nie miałem żadnej broni, ale nie miało to znaczenia. Miałem swoją nienawiść i to mi wystarczyło. Nagle mężczyzna podniósł głowę. Patrząc na jego twarz, zrozumiałem swoją pomyłkę.

Kiedy wcześniej spojrzałem w oczy Anansiego, choć pokazał mi moje własne oblicze, to przez małą chwilę mogłem zobaczyć, że nie jest człowiekiem, ale istotą starszą niż nasza wioska. Gdy zobaczyłem oczy tego mężczyzny, poczułem że spadam w otchłań, że pochłaniają mnie eony lat, nieskończoność czasu i przestrzeni. W jego oczach zobaczyłem gwiazdy. Zrozumiałem, że jest on starszy niż niebo, starszy nawet niż bogowie. Może był to jeden z pierwszych synów Jah? Nie wystraszyłem się jednak, o nie. Nigdy nie musiałem chylić przed nikim czoła. Nie wiedziałem, kim jest, ale zdawałem sobie sprawę, że jego moc silniejsza jest niż moc Anansiego, oszukańczego boga-pająka.

– Czy możesz mi pomóc? – Spytałem prosto z mostu.

– A ile jesteś gotowy poświęcić? – Spytał mnie cichym głosem.

– Poświęcić? A czy zostało mi jeszcze coś, co mógłbym poświęcić?

Mężczyzna w czerni wstał z krzesła i wydało mi się, jakby to wstał sam Zmierzch.

– Nie spytasz mnie nawet o moje imię, śmiertelniku? Czy dobre wychowanie wśród ludzi stało się już przeszłością?

Nie uląkłem się. Moje serce pozostało mężne. Ale ciekaw byłem imienia mojego gospodarza, więc powiedziałem:

– Nie znalazłem się tutaj z własnej woli, nie prosiłem o gościnę. Jeśli więc chcesz mi powiedzieć, kim jesteś, powinieneś sam się przedstawić.

– Powinienem? – Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i widziałem, że popatrzył na mnie inaczej. Rozpoznał moją krew i dumę.

– Dobrze więc, śmiertelniku – powiedział, ciągle się uśmiechając. – Powiem ci moje imię. Jestem władcą snów. Kiedyś ludzie w krainie filozofów, mędrców i dobrego wina nazywali mnie Morfeuszem. W górzystej Szkocji surowi Celtowie nazwali mnie Angusem, a na kontynencie twoich przodków wołano mnie imieniem Eyengui. Tak naprawdę mam tyle imion, ile jest planet i krain, które się na nich znajdują

– A jak ty nazywasz siebie? – zapytałem.

– Możesz nazywać mnie Sandmanem.

Potrafiłem docenić jego gest. Skłoniłem głowę (uwierz mi, że wcześniej skłoniłem ją tylko przed moim własnym ojcem i Jah).

– Mnie nazywają Kamau.

Choć nie było to łatwe, znów spojrzałem mu w oczy. Pokonałem strach.

– Pomóż mi znaleźć Anansiego.

– Na cóż śmiertelnik poszukuje boga?

– Nie szukam boga. Szukam złodzieja, którego chcę ukarać.

– Cóż takiego skradł ci Anansi?

– Anansi skradł mi miłość, która była moim jedynym skarbem.

– Co zrobisz, kiedy go znajdziesz?

– Zabiję go i odbiorę mu to, co mi skradł.

– Zabijesz boga? – Sandman zaśmiał się drwiąco. – Jak chcesz to zrobić?

– Mój gniew silniejszy jest niż boskie moce. Doznałem niesprawiedliwości i wierzę, że łaska Jah jest ze mną.

Nie opuszczałem wzroku, choć wiedziałem, że jeśli trochę dłużej będę patrzył w dwie studnie jego oczu, mój umysł zagubi się na zawsze w krainach snów.

– Dobrze więc. Pomogę ci, choć nie przeceniaj moich możliwości. Mogę dać ci jedynie informację. To, co chcesz uczynić, musi być jednak tylko twoim udziałem.

Czy żebrak może odmówić jałmużny? Skinąłem głową.

– Jedź do Londynu. Tam znajdziesz swojego wroga.

– Londynu? – Spytałem zaskoczony. – Dlaczego Anansi miałby mieszkać w krainie białego człowieka? Czy nie jest to nasz bóg, którego moi przodkowie przywieźli z Afryki?

– Świat jest o wiele bardziej złożony, niż ci się wydaje, Kamau – powiedział bóg snów i usłyszałem w jego głosie pewną miękkość. Czy jednak mogłem mu ufać? Choć byłem pełen wątpliwości, nie miałem jednak wyjścia. Musiałem przyjąć jego słowa jako prawdę. Rozejrzałem się za wyjściem, niecierpliwy, by rozpocząć podróż. Sandman znów się zaśmiał.

– Widzę, że jesteś kąpany w gorącej wodzie, mój mały Kamau.

Nie odpowiedziałem śmiechem.

– Pokaż mi wyjście z tego miejsca.

– Dobrze więc – powiedział. Upadłem na chłodną posadzkę.

– Pamiętaj to, co teraz ci powiem śmiertelniku. Anansi jest również moim wrogiem. Tak jak ty, pragnę jego śmierci. Niestety, on o tym wie i nigdy nie odwiedzi mojej krainy, mnie natomiast prawo zakazuje zabijania w miejscach innych niż moje królestwo. Tylko dlatego zaprosiłem cię do mojego pałacu i ofiarowałem pomoc. Od teraz jednak jesteś sam.

Jego głos zaczął rozpływać się w ciemności, w której zatonął mój umysł. Zdążyłem jeszcze zaśmiać się w duchu. Czy naprawdę znalazłem pomoc? Czy może stałem się właśnie pionkiem w grze bogów?

Kiedy się obudziłem, nie wątpiłem, że moje spotkanie z bogiem snów było prawdziwe. Nie dlatego, że niczym nasze stare kobiety wierzyłem w każdą zjawę czy sen, ale nie miałem niczego innego, co nadałoby mi kierunek.

Tego dnia zaczęła się moja podróż. Ruszyłem do Kingston. Nie była to łatwa droga. Czarny, młody, zdolny do pracy mężczyzna wzbudzał zainteresowanie. Drogi pełne były bezlitosnych łowców zbiegłych niewolników, szukających zarobku. To wtedy, w drodze do Kingston, zabiłem pierwszego

człowieka. Nie białego, ale czarnego brata, który zaprzedał duszę diabłu i chciał zaprowadzić mnie do swojego białego pana. Miotał się niczym ryba, kiedy zaciskałem dłonie na jego szyi i mogłem czuć, jak ucieka z niego życie. Nie miałem litości. Być może to Anansi ukradł z mojej duszy coś więcej niż tylko miłość. Może to jednak ja sam, z własnej woli stałem się ślepcem. Ta śmierć była pierwszą z wielu.

Nie będę opisywał całej mojej drogi. Powiem tylko, że była ona długa i pełna przemocy i krwi. Zaciągnąłem się na statek korsarzy. Tylko w ten sposób taki Niger jak ja, mógł opuścić Jamajkę. Płynęliśmy od lądu do lądu, mordując, kradnąc i gwałcąc (a w każdej, krzyczącej ze strachem i nienawiścią kobiecie, w którą wchodziłem, widziałem Lateicę). Moja dusza stała się czarna jak morze w środku nocy. Nie dbałem jednak o to. Chciałem jedynie krwi. Chciałem znaleźć Anansiego.

Mijały lata. Nasze statki zawijały do każdego zakątka ziemi, a gdziekolwiek ludzie widzieli nasze żagle, wkrótce rozbrzmiewały krzyki rozpaczy i płacz. Ciągle jednak nie zbliżałem się do angielskiej ziemi, gdzie, jak obiecał mi bóg snów, miałem znaleźć Anansiego. Flota królewska była zbyt silna, żeby opłacało się zbliżać do brzegów Anglii. Gdziekolwiek jednak udaliśmy się, moje oczy zawsze skierowane były w jej kierunku.

Pewnego razu zapuściliśmy się w pobliże kraju, o dotarciu do którego marzyłem. Na horyzoncie wypatrzyliśmy bandery angielskiej floty. Mój kapitan popatrzył przez chwilę na las masztów i odwrócił się do nas, nakazując odwrót. Nie zastanawiałem się ani przez chwilę. Wyciągnąłem nóż i wbiłem go głęboko w jego serce. Gorąca krew zalała mi zaciśniętą na nożu pięść. Skoczyłem za burtę. Jah ocalił mnie od kul współtowarzyszy. Dopłynąłem do angielskiego statku i powiedziałem, co uczyniłem. Skłamałem, że jestem już zmęczony korsarstwem i od teraz chcę służyć królowi Anglii. Słysząc moje słowa, biali oficerowie wybuchnęli śmiechem, a prości marynarze zawtórowali im głośno. Następnie zapędzili mnie do ładowni, pełnej czarnych niewolników.

– Chcesz służyć królowi Anglii? – Zapytał drwiąco pierwszy oficer statku i wręczył mi bat.

– Niech szczury pilnują szczurów – usłyszałem jeszcze, jak zażartował do marynarzy, którzy odpowiedzieli mu wstrętnym rechotem.

Nienawidziłem białego człowieka za to, do czego mnie zmusił, ale jeszcze bardziej nienawidziłem Anansiego. Nie szczędziłem więc bata i wkrótce moi czarni bracia nienawidzili mnie bardziej niż Anglików, choć wcale nie przerastałem ich w okrucieństwie.

Nasz statek nie zawijał jednak nigdy do brzegów Anglii. Prawo białego człowieka głosiło, że na angielskiej ziemi nie może postać noga zniewolonego człowieka. Kursowaliśmy więc pomiędzy Afryką a Ameryką i Karaibami. Angielski król dostawał swój udział z każdego sprzedanego niewolnika.

Znów minęło kilka lat. Moje serce stało się jeszcze czarniejsze, tak czarne jak pustka nocy, gdy na niebie nie widać gwiazd. Jedna tylko myśl prowadziła mnie wtedy: Anansi. A kiedy chwiała się moja determinacja, przypominałem sobie zimne oczy Lateici i krew na jej spoconych udach. Te myśli dodawały mi sił i rozpalały moją nienawiść na nowo.

Wreszcie, któregoś lata nasz statek został wezwany do Anglii, by pomóc w nadchodzącej wojnie. Nasz dowódca pozwolił mi zostać w załodze i służyć jako sprzątacz i pomocnik. Kiedy dobiliśmy do Bristolu, pierwszej nocy uciekłem na ląd. Skierowałem się do Londynu.

Droga zajęła mi wiele dni. Choć podobno stąpałem po ziemi wolnych ludzi, wkrótce zrozumiałem, jakim było to oszustwem. Czarny człowiek nigdy nie będzie wolny na ziemi białych gospodarzy.

Nie spotkałem po drodze ani jednej dobrej duszy, cierpiałem głód i poniżenie. Choć byłem zmęczony zabijaniem, to znów wyciągnąłem nóż i wziąłem sobie pożywienie, trunek i kobiece ciało. Nie potrafiłem jednak ugasić pragnienia serca. Chciałem tylko jednej rzeczy: spotkać Anansiego. Teraz, po latach, znalazłem się wreszcie u celu.

Londyn był ogromy, brudny i zły. Myślę, że był nawet gorszy od statku, na którym spędziłem kilka ostatnich lat. Tam przynajmniej panowały jakieś prawa i choć biali oficerowie nie uważali mnie za jednego ze swoich, to w końcu uznali mnie za członka załogi. W Londynie nie rządziło żadne prawo, oprócz prawa silniejszego i bogatszego. A czarny człowiek był na samym dole drabiny.

Nie martwiłem się tym jednak. Przecież znalazłem się tam, gdzie kiedyś skierował mnie bóg snów, choć sam nie byłem już pewny, czy nasze spotkanie sprzed lat nie było tylko ulotną wizją cierpiącego umysłu. Czy miałem jednak jakieś wyjście? Do czego miałbym wracać? Moja nienawiść była wszystkim, co posiadałem.

Zacząłem więc włóczyć się po ulicach Londynu, żyjąc z tego, co udało mi się ukraść, nie przejmując się przelaną krwią i cierpieniem jakie sprawiałem innym. Każdego dnia spędzałem godziny na cuchnących i wilgotnych ulicach miasta, wpatrując się w twarze przechodniów. Kiedy któryś dostrzegał mój wzrok, szybko odwracał głowę i starał zmieszać z tłumem, próbując otrząsnąć się ze strachu, jaki wzbudziły w nim moje zimne oczy.

Nie pamiętam, ile spędziłem tam czasu. Być może kilka miesięcy, być może kilka lat. Londyn wysysał ze mnie życie szybciej niż morze.

Jednak któregoś dnia spełniły się moje marzenia. Spacerując po ulicy, rozpoznałem jego twarz. Chociaż był teraz biały i choć nigdy nie widziałem go w jego prawdziwej postaci, rozpoznałem jednak jego spojrzenie: wiekowe i złośliwe. Wiedziałem, że zgodnie z obietnicą boga snów, znalazłem Anansiego. Choć z pewnością zobaczył moje wlepione w siebie oczy, nie rozpoznał mnie. Miałem już prawie czterdzieści lat. Grzeszne życie korsarza i bandyty odcisnęło na mnie swoje piętno, wyglądałem więc na więcej. Jego wzrok prześlizgnął się obojętnie po mojej twarzy i Anansi, bóg-pająk, poszedł w swoją stronę. Nie zawahałem się nawet przez chwilę, kiedy ruszyłem w jego ślady. Dopóki szliśmy po dzielnicy biedoty, nie było problemu, ale kiedy zaczęliśmy mijać czyste ulice i parki białej i bogatszej części Londynu, coraz trudniej było mi ukryć się w tłumie.

Kiedy zobaczyłem, że Anansi zbliża się do drzwi jednego z bogatych domów, zawołałem jego imię.

Odwrócił się lekko zdziwiony i zawrócił, żeby lepiej mi się przyjrzeć. To prawda, wyglądał jak człowiek, ale ja byłem w stanie widzieć to, co kryło się głębiej. Może dlatego, że moja dusza stała się tak zła jak jego? Kiedy stanął naprzeciwko mnie, zajrzał mi głęboko w oczy. Znów, tak jak tamtej nocy, wiele lat temu, poczułem te same paraliżujące więzy. Macki jego spojrzenia weszły w moją duszę i odczytały wspomnienia. Wreszcie jego usta rozszerzyły się w szerokim uśmiechu.

– Kamau? Co za niespodzianka! – Zawołał i objął mnie, w imitacji serdeczności. Kilku przechodniów przyjrzało się nam podejrzliwie, zastanawiając

się, dlaczego ten biały gentleman, z taką przyjaźnią obejmuje czarnego, obdartego bandulu[4].

Obejmując mnie, zbliżył swoje usta do mojego ucha i wyszeptał:

– Czyżbyś znów potrzebował pomocy przy rżnięciu tej twojej małej kurwy? Nie potrafiłeś jednak zmieścić się w moich butach?

Poklepał mnie po ramieniu, uśmiechając się drwiąco.

– Nie jest łatwo mi dorównać, wiem – dodał głośno – ale jestem pewien, że ta mała z pewnością podzieliła się z tobą kilkoma sztuczkami, których ją nauczyłem.

– Walcz ze mną, tchórzu – wykrztusiłem z trudnością, próbując wyrwać się z magicznych więzów.

Anansi zagwizdał z udawanym podziwem.

– Muszę przyznać, że ten czarnuch to twarda bestia. Podoba mi się.

Nagle poczułem, że znów jestem wolny. Niewiele myśląc, wyciągnąłem ukryty za pasem nóż i wbiłem go w jego pierś. Anansi nawet nie drgnął. Uśmiech na jego twarzy nie zbladł ani odrobinę.

– Naprawdę myślałeś głupcze, że to takie proste? Że znajdziesz mnie i po prostu wbijesz mi w serce nóż, jak jakiemuś pierwszemu lepszemu przechodniowi, któremu kradniesz portfel? – Parsknął mi w twarz. Nóż z brzękiem spadł na ulicę.

– Musisz wiedzieć, że boga nigdy nie można zabić w jego przybranej postaci, a tylko głupi bóg przechadza się, tak jak go Bóg stworzył – zachichotał, zadowolony ze swojego dowcipu.

Choć mój plan zawiódł, zobaczyłem jednak, że zmienił się lekko wyraz jego twarzy. Czyżbym zobaczył w niej odrobinę podziwu? Czy może było to częścią jakiejś kolejnej, oszukańczej intrygi?

– Czego ty w ogóle ode mnie oczekujesz, Kamau?

– Zabrałeś mi coś cennego, chcę to odzyskać.

– Masz na myśli tak zwaną miłość, pomiędzy tobą i tą czarnulą, jak jej było...

– Lateica.

– A tak, Lateica, pamiętam – westchnął z udawanym rozmarzeniem.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, jakby ważąc jakiś pomysł.

– Co powiesz na pewien układ, Kamau?

– Układ? Dlaczego miałbym ci ufać?

– Choć, jak już pewnie wiesz, nie jestem przykładem uczciwości – mówiąc to mrugnął do mnie ironicznie – to nawet bogowie muszą przestrzegać pewnych praw. Jednym z nich jest bezwzględny nakaz dotrzymania słowa, danego śmiertelnikowi.

– Co proponujesz?

– Nie tutaj. Już i tak wzbudzamy sensację. Nawet na wolnej ziemi czarnuch nie powinien zbliżać się za bardzo do domu swojego władcy – zarechotał i wskazał palcem na pobliski Pałac Buckingham. Ruszyłem za nim.

Była wiosna. Park oczarowywał przechodniów zielenią drzew i krzewów, których urok podkreślały dodatkowo klomby pełne róż. Wiatr przyniósł zapach świeżo skoszonej trawy i dźwięk dziecięcego śmiechu. Spoglądając na plecy idącego przede mną Anansiego, uświadomiłem sobie, że pierwszy raz, odkąd opuściłem swoją wioskę, nie czułem nienawiści. Dlaczego? Czyżbym zdał sobie sprawę, że cały ten czas byłem tylko pionkiem, którego wciągnęły do gry wyższe

[4] Bandulu (jam.) – bandyta, kryminalista.

siły? Że moja zemsta nie była wcale moją? A może zrozumiałem, że nie mogę zabić Anansiego, przez co cała moja wyprawa była pomyłką?

Weszliśmy głębiej w park, który zaczął pustoszeć, choć przecież ciągle był to środek słonecznego dnia. Jakaś siła pchała ludzi do wyjścia. Widziałem, jak nie rozumiejąc swojego strachu, rozglądają się w oszołomieniu dookoła. Umilkł wesoły gwar głosów. Zamilkły nawet ptaki. Po chwili wydało mi się, że jesteśmy w parku sami.

Anansi zatrzymał się w, jak mi się wydawało, najciemniejszym kącie parku.

– Tutaj powinno być dobrze – powiedział wesoło i usiadł na ławce, wskazując mi miejsce obok siebie. – Siadaj Kamau, przebyłeś długą drogę.

Odmówiłem ruchem głowy.

– Twoja sprawa – prychnął z urazą Anansi. – Przejdźmy więc do naszego układu. Co ty na to?

– Mów.

– Mów? Ha, ha, widzę, że nie złamało cię jeszcze życie, choć wiem, że musiałeś sporo przejść, próbując mnie znaleźć. A to wszystko z powodu małej, czarnej dziwki.

Przerwał, przyglądając się mojej reakcji. Nie odpowiedziałem. Czekałem na propozycję.

Rozczarowany pokręcił głową.

– Dobrze więc, skoro chcesz, przejdźmy od razu do interesów. Mam taki stary zwyczaj, o którym być może słyszałeś.

Pokręciłem przecząco głową.

– Naprawdę? – Westchnął. – No dobra, w takim razie wytłumaczę ci, w czym rzecz. Moja propozycja, jak już powiedziałem, jest bardzo jasna: zadam ci trzy zagadki. Jeśli na nie odpowiesz, będziesz mógł mnie poprosić, o co zechcesz. Będę zobligowany do spełnienia twojego życzenia i jeśli chcesz, odzyskasz to, czego tak bardzo pragniesz. Jeśli jednak choć jedno z moich pytań pozostawisz bez odpowiedzi, zostaniesz moim niewolnikiem.

Słowo „niewolnik" zabolało mnie, jak cięcie nożem. Nigdy nie byłem niewolnikiem, nawet kiedy służyłem w angielskiej flocie, pilnując moich czarnych braci. Zawahałem się tylko przez sekundę.

– Dobrze więc, pytaj.

Anansi zaśmiał się tryumfalnie.

– Świetnie, lubię ludzi, którzy nie boją się ryzyka!

– Czy ty nie ryzykujesz?

– Ja? Jeszcze nigdy nie przegrałem – powiedział i wybuchnął śmiechem.

Czy się bałem? Nie jestem pewny. Domyślałem się, że Anansi ma coś w zanadrzu. Coś, co nie pozwoli mi zwyciężyć. Dlaczego więc zgodziłem się na jego propozycję? Wtedy myślałem, że po prostu pragnę wreszcie zakończyć tę historię, nawet jeśli miałaby ona oznaczać moją klęskę. Teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy lat, wierzę, że jakaś część mnie, która zachowała czystość i związek z duszą wszystkich dusz, przeczuwała, że bierze udział w jakimś większym planie.

– Gotowy? Tak? Więc zaczynajmy bez zwłoki... Pierwsze pytanie: „Ten kto to wytwarza, nie potrzebuje tego, ten kto to kupuje, nie będzie tego używał, ten kto będzie to używał, nigdy tego nie zobaczy."

Zdziwiłem się. Czyżby Anansi robił sobie ze mnie kpiny? W mojej wiosce nawet dzieci znały tę zagadkę.

– Trumna.

– Brawo! – Zaklaskał Anansi i ukłonił się w udawanym podziwie. – Wreszcie znalazłem godnego siebie przeciwnika. Gotowy na następne pytanie?

Skinąłem głową.

– Trzymam za ciebie kciuki Kamau. Tak więc: „Mój ojciec ma studnię na podwórzu, którą może zmącić mały pyłek kurzu". Co powiesz na to?

Teraz już byłem pewny, że Anansi bawi się ze mną. Ta zagadka również pochodziła z mojej wioski. Zaczął budzić się we mnie gniew.

– Oko – wyszeptałem.

– Prosimy zawodnika o wyraźne powtórzenie odpowiedzi – zawołał drwiąco.

– Oko – powtórzyłem głośniej.

– Coś niesamowitego. Anansiego ogarniają wątpliwości; czyżby miał go pokonać małowioskowy rogacz? – kpił bóg-pająk, wijąc się ze śmiechu na ławce.

– Zadaj mi ostatnie pytanie – powiedziałem cicho. Chciałem doprowadzić tę grę do końca.

– Chcesz ostatnie pytanie? – Anansi przestał się śmiać. Wstał z ławki i przysunął swoją twarz do mojej. – Pożrę cię żywcem – wyszeptał. W jakiś sposób wiedziałem, że nie mówił tego w przenośni.

– W takim razie niech tak będzie. Może tym razem coś bardziej ambitnego... Słuchaj uważnie Kamau: „Jest taki kraj, do którego wszyscy ludzie, zwierzęta i bogowie udają się codziennie, by napić się wody życia, ale Anansi nie ma tam wstępu. Co to za miejsce?"

Oczy Anansiego lśniły chciwością i złem. Widziałem, jak szykuje się do skoku. Przez chwilę wyglądał jak pająk, który ma właśnie rzucić się na schwytaną w pajęczynę muchę. Był tak pewny wygranej, że pewnie nie zwrócił nawet uwagi na ulgę w moich oczach.

– Ta kraina to Królestwo Snów, którego władcą jest Sandman.

Anansi zadrżał i z sykiem wypuścił powietrze z płuc. Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie przemówił:

– Widzę Kamau, że cię nie doceniałem. Zdaje się, że nie jestem jedynym bogiem, jakiego znasz, czyż nie?

Nie czekając na odpowiedź, dodał niechętnie i zimno:

– No cóż, mój chłopcze, udało ci się dokonać tego, czego pragnąłeś. Możesz wreszcie odzyskać miłość swojej kobiety. Jedyne co musisz teraz zrobić, to powiedzieć: „ja chcę".

– To wcale nie jest to, czego pragnę – odpowiedziałem, po czym zażądałem: – Chcę zobaczyć twoją prawdziwą postać.

W ostatniej sekundzie, kiedy Anansi miał ciągle jeszcze ludzką twarz, ujrzałem w niej strach. Po chwili, spod moich stóp próbował uciec tłusty, czarny pająk. Jego odwłok pękł pod ciosem buta, jak odwłok każdego zwykłego pająka.

Otarłem podeszwę o trawę i usiadłem na ławce. Po chwili usłyszałem pierwsze głosy powracających przechodniów. Znów zaczęły śpiewać ptaki. Jeden ze spacerowiczów zbliżył się do mnie i bez pytania usiadł obok.

– Udało ci się śmiertelniku. Dokonałeś swojej zemsty.

Rozpoznałem ten głos. Obok mnie siedział Sandman, w którego oczach mieszkają gwiazdy.

– Co teraz? – Spytałem.

– Skąd mam wiedzieć? Wy, śmiertelnicy kształtujecie sobie życie własnymi rękami, choć tak często próbujecie zrzucać swoje decyzje i ich skutki na bogów.

Zapadała cisza. Wpatrywałem się w trawę pod moimi stopami, Sandman przyglądał się przechodniom.

– Chciałem cię o coś spytać Kamau, mogę?

Po raz pierwszy nie usłyszałem w jego głosie władczej nuty.

– Od kiedy to bóg potrzebuje pozwolenia śmiertelnika, żeby mówić?

– Nie mówię teraz jako bóg.

– W takim razie jako kto?

– Po prostu, ja... Dlaczego nie poprosiłeś Anansiego, żeby oddał ci twoje uczucie do Lateici? Czyżby potrzeba zemsty była silniejsza niż miłość?

Zacząłem się śmiać. „Oto wielki Sandman, bóg snów" – zakpiłem w myślach.

– Nie rozumiem – powiedział cicho.

– Nie rozumiesz? Ty? – Pokiwałem z niedowierzaniem głową. – Prawdziwej miłości nie można nikomu zabrać.

– Jak w takim razie Anansi...

– Najwidoczniej nie była to prawdziwa miłość.

Znów zamilkliśmy na chwilę.

– Czy teraz ja mogę cię o coś spytać, Sandmanie?

– Pytaj.

– Co Anansi zabrał tobie?

Sandman spojrzał mi w oczy. Przez jedną chwilę nie widziałem boga, ale mężczyznę, jak ja.

– Właśnie uświadomiłeś mi, że nic.

– Aha...

W końcu bóg snów podniósł się ciężko na nogi.

– Pójdę już.

– Idź.

Sandman odszedł kilka kroków i zatrzymał się. Wiedziałem, że chce mi coś powiedzieć, wiedziałem nawet co, ale odezwałem się pierwszy.

– Tamtej nocy, nad jeziorem, kiedy czekałem na Lateicę, to nie Anansi zesłał na mnie sen, czyż tak?

Wydało mi się, że trochę się zgarbił. Nie odwrócił się w moją stronę.

– Użyłeś mnie jako przynęty, żeby załatwić własne porachunki.

Nie odpowiedział.

– Jak na boga, to straszny z ciebie skurwysyn.

Sandman zadrżał i przez jedną, małą chwilę myślałem, że...

– Przepraszam – powiedział cicho i zniknął.

*

Bębny już dawno umilkły. Ucichł nawet wiatr. Otarłem łzę. Stary rastaman odchrząknął flegmę i wypluł ją przez ramię.

– To już koniec? – Spytałem.

– A co jeszcze byś chciał, mój chłopcze? To nie jest seans filmowy z „Piratami z Karaibów" jako gwoździem programu. Przykro mi.

– No ale co stało się później? Co zrobiłeś? Wróciłeś do Lateici?

– Do Lateici? – Prychnął. – Czy ty spałeś, kiedy opowiadałem moją historię? Lateica kaput. Nigdy nie było prawdziwej miłości.

– Ale...

– Czy poczujesz się lepiej, jeśli powiem ci, że wróciłem na Jamajkę, do swojej wioski, gdzie znalazłem sobie dobrą dziewczynę, która dała mi wiele dzieci?

– Czy tak naprawdę było?

– Mogło tak być... Mogę ci jednak powiedzieć na pewno jedną rzecz.

– Tak?

– Od tamtego dnia każdej nocy mam najpiękniejsze sny na świecie. Staremu draniowi zostało jednak trochę sumienia.

– Masz na myśli Morfeusza?

– No dobra, koniec pytań – uciął i wziąwszy do ręki talię tarota, wyciągnął z niej jedną kartę.

– Ta jest specjalnie dla ciebie, białasku – powiedział teatralnie posępnym głosem i rzucił mi ją na kolana.

Z karty szczerzyła do mnie zęby biała czaszka.

– Co to znaczy?! – Krzyknąłem w przestrachu, zrywając się na nogi.

*

– Spokojnie, młody człowieku, spokojnie – śmiejąc się, zawołał Mistrz. Po starym rastamanie nie było ani śladu. Zniknęły gdzieś palmy, a zapach oceanu zamienił się z powrotem w zapach wilgotnego lasu.

– Spokojnie? – Pokazałem na kartę. – Kamau powiedział, że ta jest specjalnie dla mnie!

– Hę? Kamau? A któż to taki? Czyżbyś się na chwilę zdrzemnął? No tak, drzemka w krainie snów musi być ekstra mocnym przeżyciem – powiedział, puszczając oko. – Co do karty, nie masz się czym martwić. Karta Śmierci nie oznacza, a przynajmniej nie musi oznaczać zakończenia życia (choć nie rozumiem, co byłoby w tym strasznego. Nie wydaje mi się, żeby śmierć była mniej przyjemna od snu, a nikt przecież nie robi w portki przed każdym położeniem się do łóżka). W tarocie Śmierć oznacza po prostu koniec czegoś, koniec cyklu, etapu w życiu... koniec opowieści.

Mistrz zadumał się na chwilę.

– Wiesz, Marcin, co jest najlepsze w zakończeniach?

Popatrzyłem pytająco.

– Po każdym zakończeniu, zawsze przychodzi nowy początek.

Obróciłem w palcach kartę z kościotrupem. Skoro tak, to faktycznie nie ma się czego bać.

– Jesteś gotowy na nową historię? – Zapytał Mistrz, pokazując mi ręką, żebym usiadł.

Skinąłem głową. Podał mi talię.

– Może tym razem spróbuj wyciągnąć coś lżejszego...

Marcin Kreczmer

ILONA KULA

Kobiecość

Kobieta zakazany owoc dojrzewa
I przeżywa miasto jako swój kryzys głębiej
Niż sięgają kopalniane szyby
Co prawda dalej lubi zakupy
Ale idąc ulicami widzi czego nie kupi
Co próbują przesłonić rosnące w naiwności
I rozmiarach reklamy i dziwnie drogie restauracje
I konsumenci – chciwsi na swoje
I na cóż zda się pudełko supermarketu
Sklejone naprędce dla dzieci
Gdy kamienice i bloki zrzucają skórę
A ludzie z nich wychodzą bez twarzy
W świat lub choćby do nocnego?
Pokaż swoją twarz a dostaniesz w pysk –
Wypisał ktoś na murze katedry
Która pełźnie w kierunku morza
Na zachód – my już tam wiemy
Czy zdążymy my, młode, ambitne
Zestarzeć się zanim zniknie?
Zanim odda miastu ostatni pełz?

Pierwszy koniec

Czyż byłoby dziwne gdyby oni w sobie ujrzeli
jedyną siłę stwarzającą i jedyne dostępne im Bóstwo?

Witold Gombrowicz: *Dzienniki*

Koniec cywilizacji nie zapowiadał się najgorzej
Jedliśmy w pubie paluszki i piliśmy
Wodę z plasterkiem cytryny (alkohol
odrzuciliśmy wcześniej niż narkotyki)

Rozmawialiśmy spokojnie o tym co minęło
O czytaniu Biblii na przemian z Faustem
Na przemian z Herbertem i Ginsbergiem
Wojaczkiem Świetlickim późnym Dąbrowskim
Nietrudno się zorientować że mieliśmy
Skłonność do tak zwanego zła
Nawet kobiety, Panie, Twoje kobiety
Niektórzy z nas skończyli na dworcu
Nie narzekają. Kradną jakby robili to
Od zarania dziejów – aktorzy
Oklaskiwani przez szczury
Gryzące się po nocach za nich
Pamiętasz? Ach tak! W święta
Nie lubiliśmy wchodzić do kościoła
Staliśmy na zewnątrz zapatrzeni
W wieżę drapiącą za uchem niebo
W kloc katedry niepasującej do nieba
Czuliśmy dreszcze świń złapanych
Na wielką noc zmartwychwstania
I strach kur którym podebrano jaja
Koniec cywilizacji zapowiadał się
Już wtedy, jak zawsze i wszystkim
Jeśli przeżyliśmy nie zbudujemy
Nic wielkiego. Powspominamy i
Pomrzemy z oczyszczającego głodu

Obrona szaleństwa

Zdenerwowany rozbił lustro
Na kilka ostrych opłatków

Co nie znaczy że każda część
Odbija gorzej niż całość

Lepiej: jeden fragment
Odbija ulicę podczas
Gdy drugi oddaje morze a
Trzeci pochłania batonika
Z brudnej rączki dziecka

Tylko fragmenty mogą
Uchwycić całość

***

Łatwo na poezję powiedzieć
To nie poezja

Dlatego mój ojciec
Został budowniczym

Komu by przyszło do głowy
Że dom to nie dom

Staruszka

Kiedy myślę o swojej pamięci
Jaka ona i co w niej jest
Staje przede mną jak żywa
Stara kobieta o zniszczonym ciele
Zgarbiona nad kocykiem rozciągniętym
Na brzegu rzeki rozkłada co przyniosła

Kocyk pełen jest rozmaitości
Oferuje się tu agrafki
Zatyczki do pisaków
Sześć czarnych guzików
I skrawek bodajże kurtki
Z napisem nike

Nie wiem dlaczego moja pamięć
Zaczyna się od tej staruszki
A może to nie pamięć o niej
Tylko już o mnie

Ilona Kula

Książki nadesłane

Wydawnictwo Norbertinum

Pádraig Pearse: *Opowiadania.* Przełożyła z irlandzkiego Anna Paluch. 2008, ss. 125.

Zbigniew S. Siemaszko: *Korespondencja z Jerzym Giedroyciem (1959-2000).* 2008, ss. 403.

Jan Konefał: *Legiony Polskie w Lubelskiem 1914-1918.* 2008, ss. 376+66 ilustr.

Kompania B 1 Pułku AK „Baszta" (1939-1944) pod redakcją Jerzego Kłoczowskiego. 2008, t. 1, ss. 326.

Abp Bolesław Pylak: *Modlitwa Pańska „Ojcze nasz" jako synteza chrześcijańskiej duchowości.* 2009, ss. 215.

Zofia Reklewska-Braun: *Urodziłam się pomiędzy...* Wspomnienia. 2009, ss. 405.

Jan Onoszko: *Syberia – moje dzieciństwo.* 2008, ss. 132.

Maria Przybylska: *Po latach. Wybór wierszy.* 2009, ss. 45.

Stanisława Burda: *Zamyślenia.* Poezja. 2009, ss. 134.

Jadwiga Demczuk: *Spod stopy kamyk.* Poezja. 2009, ss. 41.

Dariusz Włodarczyk: *Na progu świata.* Poezja. 2008, ss. 47.

Piotr Linek: *Bliżej skóry.* Poezja. 2009, ss. 49.

TADEUSZ KŁAK

„Co moje wierszem tylko stoi"
Szkic do portretu Waldemara Michalskiego

Autor *Tryptyku z gwiazdą* uczestniczy w życiu literackim już bez mała od pięćdziesięciu lat. Były to lata owocne, pełne twórczego i zawodowego trudu oraz niemal bezgranicznego oddania sprawom środowiska literackiego – lubelskiego i nie tylko.

Waldemar Michalski urodził się we Włodzimierzu Wołyńskim, gdzie – co warto przypomnieć – kilkanaście lat wcześniej pracował jako nauczyciel Józef Czechowicz. Zawirowania dziejowe sprawiły, iż w 1944 r. Michalski musiał stamtąd wraz z rodziną wyjechać, by po paroletnim pobycie w Uchaniach koło Hrubieszowa (zob. wiersz *Uchanie*), osiedlić się w Chełmie, miejscowości opisanej po latach w utworze *Mój Chełm*. Związek z miastem, w którym pracował Kazimierz Andrzej Jaworski i wychodziła „Kamena", okazał się dla Michalskiego bardzo ważny. Podjęcie studiów polonistycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim umożliwiło mu natomiast wejście w inne środowisko. Zadomowił się tu na dobre, także jako pisarz.

Jego dorobek budzi uznanie. Zadebiutował w 1957 r. reportażem pt. *Polacy Ziemi Lwowskiej*, pisanym jeszcze na fali Października 1956 r. Pierwszy utwór liryczny pt. *poezja starego miasta* ogłosił w 1960 r. w lubelskim „Biuletynie Młodego Twórcy". W tym czasie związał się z grupą poetycką „Prom", a następnie ze studenckim Klubem Literackim „Kontrapunkty". Został też członkiem Koła Młodych przy ZLP, działał w nauczycielskim ruchu literackim oraz w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy. Ogłaszał utwory poetyckie oraz prozatorskie w wielu almanachach i był laureatem licznych konkursów literackich. Stanowił całkowite zaprzeczenie poety-samotnika, najlepiej czuł się bowiem w środowisku partnerskim. Wydaje się, iż bliski był mu sposób bycia i działania, jaki w tamtym czasie reprezentował dwutygodnik „Współczesność", a zwłaszcza środowisko „Orientacji Poetyckiej Hybrydy", któremu wyrazisty styl nadał Jerzy Leszin-Koperski.

Dojrzała biografia zawodowa Waldemara Michalskiego rozłamuje się na dwa równe niemal czasowo okresy: jeden związany z pracą w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL, drugi – z redagowaniem kwartalnika „Akcent". O pewnych aspektach wczesnej części jego działalności wiele mówiła informacja, towarzysząca prasowej prezentacji wierszy:

Ważniejsze momenty w jego życiu:
Od 20 lat mieszka w Lublinie.

Od 15 lat ma nadzieję, że otrzyma mieszkanie w LSM.
Od 10 lat odmownie załatwiane są jego podania o pracę w szkolnictwie („Z braku wolnych etatów").
Od 5 lat Wydawnictwo Lubelskie nie może się zdecydować na wydanie jego tomu wierszy[1].

Uzasadnienie odmowy zatrudnienia w państwowym szkolnictwie było oczywistym wybiegiem. Jakże Michalski mógł otrzymać posadę nauczyciela, jeśli nawet w informacjach biograficznych, towarzyszących prezentacji jego wierszy w „Sztandarze Ludu" i w „Kamenie", do wiadomości, iż ukończył polonistykę w Lublinie, dodawano, że chodziło o Katolicki Uniwersytet Lubelski? Tym bardziej iż od 1962 r. był pracownikiem Biblioteki Głównej tegoż uniwersytetu.

Myślę jednak, iż zamknięcie drogi do szkolnictwa, co spotkało również wielu innych absolwentów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, okazało się ostatecznie dla Michalskiego dobre. Gmach Biblioteki Uniwersyteckiej KUL to może miejsce nie idealne dla poety, ale – jak na tamten czas – zupełnie dobre i w miarę bezpieczne. A że praca w tej instytucji mogła przynieść korzyści, świadczy przykład innych pisarzy, którzy byli tam zatrudnieni przez pewien czas (np. Bohdan Królikowski, Janusz Olczak i Cezary Listowski. Ja sam także nie poczytywałem sobie za krzywdę pracy w bibliotece przy ulicy Szopena). Można tam było zetknąć się z wieloma ludźmi o ciekawych osobowościach, jak dyrektor o. Romuald Gustaw (ze Lwowa) czy jego zastępcy – Witold Nowodworski (z Wilna) i Jan Wiśliński – ten ostatni imponował wiedzą o środowisku młodzieży polonistycznej na KUL-u przed 1939 r. Warto pamiętać, że pierwszym recenzentem wierszy Michalskiego był Andrzej Paluchowski – znakomity polonista i dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL[2]. Rozmowy z nimi dawały bardzo dużo, a oprócz tego przewijało się tam wielu uczonych nie tylko z macierzystego uniwersytetu, ale i z innych ośrodków naukowych.

Korytarze biblioteki pozwalały również na bliskie kontakty koleżeńskie – niejeden raz prowadziłem tam serdeczne rozmowy z przyszłym autorem *Lekcji wspólnego języka*. Praca bibliotekarza umożliwiała ponadto dostęp do publikacji przez władze państwowe zakazanych, tzw. prohibitów, do których należały m.in. książki i czasopisma wydawane na emigracji.

W *Pejzażu rdzawym*, pierwszym zbiorze poetyckim Michalskiego, znajduje się zresztą wiersz poświęcony owemu miejscu:

W tym wielkim akwarium słów
słów piętrami stosami półkami składanych
według grzbietów rodzaju i maści
w tym stosie kolorowych snów
jakże znajduję siebie obecnym?

(Biblioteka)

Ta obecność trwała ponad dwadzieścia lat, a więc wystarczająco długo, by zaważyć nie tylko na życiu oraz postawie, ale i na twórczości literackiej, w tym także poetyckiej. Jeśli do tego dodamy polonistyczną edukację Michalskiego, to widać wyraźnie, jakie było jego przeznaczenie. Wrodzona zażyłość z książkami (otrzymał najwyższe odznaczenie bibliofilskie „Order Białego Kruka ze

[1] Jest to wypowiedź poety w cyklu *Autoportrety*, poprzedzającej publikację jego wierszy w „Sztandarze Ludu" 1972, nr 251.
[2] Andrzej Paluchowski: *O wierszach Waldemara Michalskiego*. „Kontakty". Jednodniówka Klubów Twórczych przy ZO ZNP. Lublin 1972, ss. 16-17.

Słonecznikiem"), widoczna w tylu wierszach, została niewątpliwie umocniona właśnie w okresie, gdy był zatrudniony w bibliotece przy ulicy Szopena.

Więcej – wtedy pojawiły się myśli o pracy naukowej. *W przyszłości marzy mi się jakiś doktorat z powojennego środowiska Lubelszczyzny* – te słowa Michalskiego przywołał Maciej Podgórski przy okazji prezentacji jego wierszy w „Kamenie"[3]. Marzenia poeta co prawda nie spełnił, ale dla lubelskich spraw literackich zrobił w swoim życiu o wiele więcej niż na doktorat wypadało.

Michalski oddał bowiem pióro krytyka i eseisty wszystkiemu, co w zakresie poezji powstało w Lublinie, publikował liczne szkice i recenzje, m.in. w „Kamenie", „Życiu i Myśli", „Akcencie" oraz w dziennikach lubelskich[4]. Na uwagę zasługują zwłaszcza: obszerny szkic ogłoszony w „Nowym Wyrazie" w 1974 r., a poświęcony lubelskiemu ruchowi młodoliterackiemu oraz bogaty, dobrze udokumentowany, sprawiedliwy esej o poezji w Lublinie w latach 1944-1976, zamieszczony w książce zbiorowej *Lublin literacki (1932-1982)*, której był – obok Józefa Zięby – współredaktorem. Odnotujmy także osobne publikacje dotyczące pisarzy regionu lubelskiego: Longina Jana Okonia (1971) – wspólnie z Jerzym Zarębą oraz Kazimierza Andrzeja Jaworskiego (1985), gdzie przedstawił w monograficznym zarysie życie tego zasłużonego twórcy oraz jego dokonania poetyckie, translatorskie i redaktorskie.

Prawdziwie monumentalnym dziełem Waldemara Michalskiego jest ułożenie i opracowanie antologii *Pięć wieków poezji o Lublinie* (2002, drugie wydanie 2006). Książka ta stanowi owoc wieloletniej, dociekliwej penetracji zasobów książkowych, czasopiśmienniczych i archiwalnych, a nawet zbiorów prywatnych. Obejmuje teksty od Kochanowskiego do poetów współczesnych, daje bogaty i reprezentatywny zestaw nazwisk i utworów związanych z Lublinem. Przygotowana została z wielkim pietyzmem i zawiera obfitą dokumentację źródłową, stanowi więc piękny pomnik dokonań poetyckich nie tylko lubelskich, ale całej dawnej i współczesnej Rzeczypospolitej. Będzie długo służyła miłośnikom tego rodzaju twórczości, głosząc poetyckim słowem historię i urodę grodu Leszka Czarnego.

Godzi się jeszcze wspomnieć o dwóch antologiach przygotowanych przez Michalskiego – każda ma inną zawartość i profil. Pierwsza z nich to *Wierchom, halom, smrekom... Góry w twórczości poetów lubelskich* (1995). Warto zauważyć, iż poeci Lubelszczyzny – krainy przecież tak odległej przestrzennie od gór – darzyli góry wyjątkowymi uczuciami. Wystarczy wskazać choćby Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, który poświęcał im nie tylko własne utwory, ale także, jako redaktor, specjalne numery „Kameny". Drugi zbiór, zatytułowany *Pod Twoją obronę... Matka Boska w poezji polskiej* (1986), dołączył do grupy licznych już antologii wierszy maryjnych.

A ileż innych inicjatyw Michalski podejmował, w ilu klubach i stowarzyszeniach twórczych działał, a przede wszystkim jak ofiarnie poświęcał czas kolegom po piórze, zwłaszcza tym młodszym, wchodzącym dopiero na literackie ścieżki, opracowując edytorsko ich książki bądź towarzysząc im wprowadzającymi tekstami? By się o tym naocznie przekonać, trzeba zajrzeć do hasła „Michalski Waldemar" w tomie V słownika *Współcześni pisarze i badacze literatury* oraz w tomie X, zawierającym *Uzupełniania*. Okaże się wówczas, iż w dorobku autora wyboru esejów pt. *Słowa i twarze* znajduje się ponad 40 takich pozycji. Jest to wyraz rzadkiego wśród piszących altruizmu,

[3] Nota M.P. (Maciej Podgórski) towarzysząca wierszom Michalskiego. „Kamena" 1972, nr 2.
[4] Jan Smolarz w publikacji *Pisarze współcześni regionu lubelskiego* (Lublin 1999) wymienia ponad 60 tytułów czasopism, w których Michalski publikował.

bowiem twórca, a zwłaszcza poeta, zwykle zamyka się w kręgu własnego warsztatu.

Michalski nie ograniczał się tylko do środowiska lubelskiego, patronował również publikacjom z mniejszych ośrodków kulturalnych. Wymienić należy antologię wierszy o Lubartowie. Lubelskiemu poecie zawdzięcza to miasto także gruntowną, a pięknie wydaną monografię *Tradycje literackie Lubartowa i Ziemi Lubartowskiej. 1543-1993* z 1994 r. Ukazała ona całe bogactwo i różnorodność wskazanych w tytule tradycji, współtworzonych przez wielu znanych pisarzy.

Otwarcie, i to bardzo szerokie, na inną, zewnętrzną rzeczywistość literacką widoczne jest także w tomie *Słowa i twarze* (2003), zawierającym szkice literackie i eseje o bardzo zróżnicowanej problematyce. Otwiera go tekst poświęcony Mickiewiczowi pt. *My z Niego wszyscy...*, mówiący zwięźle, kim był ten poeta dla poprzednich generacji i kim jest dla dzisiejszych pokoleń, w tym także dla samego autora książki. Podziela on poglądy Czesława Miłosza i Mariana Maciejewskiego, dla których twórca *Dziadów* to poeta religijny i metafizyczny. Na podobne aspekty zwraca uwagę Michalski, pisząc np. o poezji samego Miłosza oraz ks. Wacława Oszajcy czy Joanny Pąk.

Główną dominantę *Słów i twarzy* stanowią jednak szkice poświęcone kwestiom, które przed 1989 r. nie mogły być publicznie podejmowane, a w każdym razie w sposób otwarty, prawdziwy i z uwzględnieniem kontekstów historycznych. Mam tu na myśli m.in. szkic o wołyńskich wierszach Józefa Czechowicza, o problematyce ukraińskiej w utworach Józefa Łobodowskiego, o działającej przed 1939 r. grupie poetyckiej „Wołyń" oraz o obecności w ostatnich latach poezji ukraińskiej w Polsce. Z tymi tekstami dobrze sąsiaduje rzecz poświęcona twórczości Wacława Iwaniuka.

Niemal wszystkie zebrane w tej książce szkice noszą podobne znamiona. Są bardzo osobiste, a jednocześnie odwołują się do obszernego zasobu informacji zawartych w istniejących już opracowaniach książkowych czy innych publikacjach. Dzięki temu czytelnik uzyskuje bogaty obraz prezentowanych i analizowanych zjawisk, a sam autor pozostaje po norwidowsku – jak tego wymaga etos krytyka i badacza – wierny wobec źródeł.

Ale Waldemar Michalski jest przede wszystkim poetą i to o znaczącym dorobku oraz o wyraźnie skrystalizowanym stylu. Pierwszy zbiór jego wierszy ukazał się pod koniec 1973 r., a więc bardzo późno – o domniemanych przyczynach była już okazja uprzednio wspomnieć. Tę twórczość poetycką śledziłem niemal od samego początku, a wśród archiwaliów literackich przechowuję pierwszy – myślę – zbiór wierszy lirycznych jeszcze w maszynopisie. Był to *Czas w przekrojach*, zawierający utwory z lat 1959-1964, opatrzony dedykacją: „Pamięci Matki i Drogiemu Ojcu". Pewna część znajdujących się w tym zbiorze wierszy ukazała się w późniejszych tomach Michalskiego, zwłaszcza w *Pejzażu rdzawym*.

Punktem dojścia Michalskiego-poety jest jak dotąd *Tryptyk z gwiazdą*, wydany w 2006 r., stanowiący wybór z jego twórczego dorobku. Książka tego rodzaju wskazuje na wysoką pozycję twórcy, już wyraźnie zarysowaną i ustaloną. Wolno więc traktować ów tom jako najistotniejszą, esencjonalną część całego dorobku, zestaw wierszy najlepszych oraz najbliższych dla twórcy. Można spoglądać na ów zbiór również jako na rodzaj autoportretu, wydobywającego najważniejsze rysy, wreszcie da się widzieć w *Tryptyku z gwiazdą* projekt poetyckiej autobiografii, w której diachronia odgrywa

rolę podstawową. Pragnę od razu zaznaczyć, iż w tym miejscu przyjmuję w zasadzie ostatnią z zarysowanych możliwości.

Waldemar Michalski debiutował – jak już wspomniano – tomem wierszy *Pejzaż rdzawy*. Myślę, iż tytuł ten stanowi dogodny trop, który pozwala prześledzić i wskazać – przynajmniej pobieżnie – zawarte w wierszach poety znamiona minionego czasu. Określenie „pejzaż rdzawy" czytelnik może łączyć nie tylko z odpowiednią barwą krajobrazu, ale także i ze rdzą, co da się odnieść do ówczesnej rzeczywistości społecznej i kulturowej, niszczonej na różne sposoby, znajdującej się w stanie rozkładu, działającej destrukcyjnie także na człowieka.

Idąc tym tropem, natrafiamy na obrazy szarości oraz na motywy zamknięcia, związane na przykład z wizją betonowego miejskiego podwórza. Nie będzie chyba nadużyciem, gdy podobne obrazowanie połączymy właśnie z kontekstem społecznym lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, jak też z dystansem czy nawet z izolacją bohatera lirycznego utworów Michalskiego. Pisząc o jego wczesnej twórczości Andrzej Paluchowski trafnie zauważył, iż *żal, niepewność, wątła nadzieja, poczucie daremności* (...) *to są naczelne emocje, jakie się w tych wierszach krystalizują*[5]. Z podobnymi odczuciami koresponduje zakończenie wiersza *Chwila refleksji*, zamykającego się słowami (wołania? westchnienia?):

jak wysoko do gwiazd
z betonowej studni[6]

Pokrewne doznania wyraża też bohater wiersza *Powroty*, dostrzegający, jak *sosnowy horyzont / rzęzi w błękicie spalin*, jak też *więdną w oknie palce zielonych drzew*. Zauważmy, iż dyskretna personifikacja wskazywała na jedność przyrody i człowieka, jednako zagrożonych ze strony tego, co kamienne i martwe.

Motywy i wyrażenia takie jak: „my wdeptani w ziemię", „mozolne powroty", „sen jak zaczadzenie", „twarze przyjaciół noszą gorycz", wyrażające poniżającą nędzę ludzkiej egzystencji, pochodzą zaledwie z paru utworów, m.in. z wiersza *Powroty*:

Wiem o szary mur krwawią
rozdeptane buty i usta szeroko
pragnące powietrza
jestem zmęczony i stopy ślad ciężki
wypala chłopięce pragnienie miasta

Myślę, że emocjonalna tonacja ówczesnych utworów Michalskiego była pokrewna temu widzeniu świata, które wyrażała znana formuła Tadeusza Różewicza, mówiąca o „naszej małej stabilizacji", choć słowa te brał wrocławski poeta zapewne w ironiczny cudzysłów. Jeszcze wyraźniej i ostrzej wyrażało jego pogląd stwierdzenie, iż *poezja współczesna / to walka o oddech*. Współbrzmiało z tym dramatyczne pytanie Różewicza: *Kto mi związał ręce* (...) *to nie są ręce złożone do lotu*.

We wczesnych wierszach Michalskiego można dostrzec pewne pokrewieństwa z twórczością pisarzy bliższych mu pokoleniowo, którym krytyka przypisywała praktykowanie małego realizmu. Stanowią one niewątpliwie wyraz psychicznych odczuć bohatera lirycznego oraz rzutują bezpośrednio

[5] Andrzej Paluchowski, tamże, s. 17.
[6] Fragment wiersza W. Michalskiego pt. *Chwila refleksji*. Pierwodruk w tomiku *Pejzaż rdzawy* (1973, s. 23). Przedruk w wyborze *Tryptyk z gwiazdą*, 2006, s. 13.

na jego widzenie ówczesnej rzeczywistości. Co więcej, ostatni z tych motywów przynosi jeszcze inne konotacje, o czym zaświadcza fraza z tytułowego wiersza tomu *Będziesz jak piołun*: *Jesteś poetą – będziesz jak piołun*.

Twórca – spersonifikowany piołun – przekazuje w utworach „smak świata" oraz własne doświadczenie egzystencji w „czasie marnym", lecz jako poeta wyraża przekonanie, że w podobny sposób odczuwa świat również odbiorca jego wypowiedzi. Ponadto motyw piołunu zawiera tu także większy zasób znaczeń, bowiem gorycz tej rośliny ma również moc uzdrawiającą. Zbliżoną rolę może odgrywać słowo „gorycz", gdy pojmiemy je jako esencję prawdy.

Gdzie więc należało szukać wyjścia, azylu czy – jak u Stachury – „całej jaskrawości" widzenia? Bohater liryczny Michalskiego przygotował sobie wiele różnych dróg wyjścia z „kamiennego świata", bliskich i dalekich, prowadzących ku różnym przestrzeniom i miejscom, którym umownie można nadać miano Arkadii.

Najbliższej przestrzeni poświęcił poeta piękny i artystycznie trafny wiersz *Wąwozy na Czechowie*. Podmiot liryczny uwypukla swoistą tajemnicę tytułowego miejsca, w którym doznaje nieustannych zdumień i zachwytów, przeżywając uczucie głębokiej radości na widok różnych fenomenów przyrody, swoiście interpretowanych, jak na przykład wtedy, gdy widzi owoc dzikiej róży, która *krzepnie / kroplami krwi z cierniowej korony*. Ten obraz – jakże wiele jest podobnych w wierszach Michalskiego – prowadzi bohatera do uznania świętości tego obszaru. Cały utwór, o którym tu mowa, został utrzymany w konwencji baśniowej, co staje się zrozumiałe, jeśli pamiętać o autorskiej dedykacji: „Oli na dobranoc". I właśnie tę baśniowość zespolił poeta z sakralnością w finalnym fragmencie utworu:

(...) *radość napełnia oczy i usta*
że z raju i baśni matczynych
tak blisko tak wiele zostało.

Utwór ten można wiązać z wieloma innymi tekstami Michalskiego, które świadczą o jego wielkiej pasji poznawczej oraz pragnieniu poetyckiego „podboju" coraz to nowych obszarów i miejsc. Będzie o nich mowa w dalszej części szkicu.

Innym sposobem przezwyciężenia swoistej alienacji bohatera było otwarcie się na świat ludzki – na rodzinę, przyjaciół oraz pokrewne duchowo postacie o bogatej osobowości. *Twarze przyjaciół znaczą więcej niż ich słowa* – czytamy w jednym z wierszy Michalskiego. Ta fraza mogłaby stanowić motto lub wprowadzenie do bardzo wielu jego utworów, co wyraziło się m.in. w rozlicznych dedykacjach bądź też w nawiązaniach wewnątrztekstowych.

Obejmują one przede wszystkim osoby z lubelskiego kręgu literackiego, by wymienić nazwiska Mirosława Dereckiego, ks. Wacława Oszajcy, Janusza Olczaka i Zbigniewa Strzałkowskiego. Z tym kręgiem pisarzy Michalski jest związany od pięćdziesięciu prawie lat. Gesty poety świadczą o otwartości, a jednocześnie o potrzebie dzielenia się odczuciami i myślami. W utworze *Rozmowa z Aleksandrem R.* na przykład (nazwisko partnera tego poetyckiego dialogu łatwo odgadnąć) poeta – tu wolno tak powiedzieć – zwraca się do rozmówcy za pomocą zdrobniałej formy jego imienia, starając się jednocześnie przekazać swoją opinię o jego twórczości:

Lubię twoje wiersze
są jak barchan oprawiony złotem
lub kropla łzy na błyszczącej stali

Rzadko dzisiaj można spotkać wyrażoną publicznie wierszem bezinteresowną pochwałę kolegi po piórze, tym bardziej należy z uznaniem podkreślić ten gest autora.

W dedykacjach bądź w tekstach wierszy Michalskiego pojawiają się również osoby ze świata naukowego, i to z różnych dyscyplin, by wymienić znakomitych księży profesorów – Alberta Krąpca i Włodzimierza Sedlaka oraz profesorów Henryka Podbielskiego i Stanisława Popka. Wszystko to świadczy o potrzebie bliskiego kontaktu, życzliwej pamięci, służy podkreśleniu przyjaźni bądź też publicznemu wyrażeniu uznania i szacunku.

Wspominając tę grupę wierszy, warto jeszcze, niejako na marginesie, przywołać fragment utworu poświęconego Andrzejowi Bursie:

miałeś rację drogi Andrzeju
o prawdziwych przyjaciół najtrudniej.

Przywołując powyższy cytat, pragnę jednak przede wszystkim zwrócić uwagę na sposób określenia statusu adresata – autor wiersza zwraca się do zmarłego twórcy jak do kogoś bliskiego, z kim można prowadzić w wyobraźni rzeczywiście szczerą i przyjacielską rozmowę. Jest to wyjątkowa cecha utworów Michalskiego; czytelnik po wielokroć przekonuje się, iż poeta nawet z największymi ludźmi z przeszłości jest niemal „za pan brat", od Mikołaja Kopernika, kanonika fromborskiego począwszy. Uprzywilejowanymi „rozmówcami" autora *Tryptyku z gwiazdą* są jednak przede wszystkim poeci, głównie z kręgu naszego romantyzmu.

Czytając wiersze Michalskiego, dostrzega się bowiem wielką zażyłość i zakotwiczenie jego wyobraźni w tekstach z rozległego obszaru literatury polskiej, zresztą nie tylko polskiej. Widoczne jest to choćby w obu utworach poświęconych autorowi *Pieśni świętojańskiej o sobótce*, z których pierwszy – *Zaproś nas Czarnoleski Janie* – otrzymał kształt wypowiedzi modlitewnej, na co wskazuje anaforyczne zamknięcie strof: daj..., naucz..., zaproś..., jak również inicjalny wers, odsyłający do sfery o najwyższym stopniu sakralności, zawierający prośbę o danie *słowa jak chleb nad stołem łamanego*. Sakralizacja rzeczywistości i przestrzeni oraz wprowadzenie odniesień do kategorii religijnych stanowi jedną z głównych zasad obrazowania i kształtowania światopoglądu poetyckiego Michalskiego.

Podobną tonację dostrzegamy w wierszach, których bohaterem jest Juliusz Słowacki: staje się on towarzyszem imaginacyjnej wyprawy poety w Alpy (autor *W Szwajcarii* jest dla bohatera wiersza po prostu Juliuszem, a więc kimś bardzo bliskim), uczestnikiem wspólnego spotkania w Paryżu czy autorem listu-pastiszu do swej matki. Także w tych wierszach napotykamy formuły sakralizujące świat poetycki poprzez posługiwanie się aluzyjnością biblijną w rodzaju „nie samym chlebem wszak żyje poeta".

Ten nurt twórczości Michalskiego zespala się, na ogół w sposób integralny i bezpośredni, z szerszą tradycją historycznoliteracką i kulturową, które wiążą się z poznawczym nastawieniem autora i bohaterów jego wierszy wobec obiektów owej tradycji. Wystarczy przejrzeć choćby spis rzeczy zawarty w *Tryptyku z gwiazdą*, by się o tym dowodnie przekonać. Opierając się na tekstach należących do tego nurtu można zrekonstruować całe bardzo bogate i rozległe itineraria bohaterów lirycznych Michalskiego, przy czym wiersze te łączą na ogół krajobrazowy kształt przestrzeni z przywołaniem tego, co daną przestrzeń wyróżnia i stanowi jej oryginalne historyczno-kulturowe signum. Owo signum wskazuje też bardzo często na związek wybranych

miejsc z osobami twórców, których nazwiska stają się znakiem firmowym danej przestrzeni. Będzie to więc ulubiony Kazimierz Dolny z domem Marii i Jerzego Kuncewiczów, Żelazowa Wola Szopena, Kasprusie w Zakopanem z „Atmą" Karola Szymanowskiego oraz wiele innych obiektów.

Podróże do tych miejsc oraz ich odwiedziny mają specyficzny charakter – poznawczy i kontemplacyjny – ale także na swój sposób sakralny, co uwydatnia inicjalna strofa wiersza *Pielgrzymi*:

W mieście którego nazwy
wymienić nie muszę
chodzimy razem – pielgrzymi –
wśród domów jakby wyjętych
z kart podręcznika.

Przywołany w tym utworze motyw góry z Trzema Krzyżami, imiona Adama i Juliusza, a zwłaszcza imię Matki Ostrobramskiej, pozwalają każdemu czytelnikowi na identyfikację miasta, którego miano w tekście się nie pojawia. Myślę, że to uwrażliwienie Michalskiego na kulturowe nacechowanie wybranych miejsc i wskazywanie na związane z nimi tradycje wynika nie tylko z osobistej potrzeby poznawczej twórcy czy lirycznego podmiotu, lecz zmierza do przekazania owych odczuć, przeżyć i emocji odbiorcy, co spełnia również dyskretną funkcję dydaktyczną. Nic w tym dziwnego, bowiem Waldemar Michalski, przecież z wykształcenia polonista, a z powołania poeta, jest także tutaj „panem od poezji".

Należy zwrócić uwagę na stopniową, ale wyraźną ewolucję, jeśli chodzi o wybór miejsc i obiektów opisu, co wiązało się niemal bezpośrednio z przemianami czasu historycznego. Poprzednio, choćby ze względu na skrępowania cenzuralne, wybór ów był dosyć ograniczony, poeta wykorzystywał więc obiekty i motywy pewne oraz „bezpieczne", podobne zresztą postępowanie dało się dostrzec w odniesieniu do sfery i problematyki ściśle religijnej. Można by powiedzieć, iż autor miał większe pole manewru przy sakralizacji rzeczywistości świeckiej niż ujmowaniu jej w sposób immanentny, zgodny z przyjętą w poezji tradycją.

Po przemianach, jakie nastąpiły po 1989 r., poeta zaczął sięgać do tych zasobów pamięci i przeżyć, które przez długie lata musiały – stłumione – pozostać w ukryciu, niejako w uśpieniu. Teraz pamięć odnawia się i wzbogaca wyobraźnię. Przed bohaterem lirycznym Michalskiego otwiera się cały świat i nowe możliwości poznawcze. Mówi o tym wiersz pod tytułem *Podróż*:

Od czasu gdy mamy wolność
podróżuję Polskim Ekspresem
wygodnie i szybko.

Dzięki temu otwarciu na własną przeszłość i na przestrzenie rodzinnego krajobrazu oraz tradycję „domową", najogólniej mówiąc – na Wschód, poezja Michalskiego otrzymała nowe impulsy, wchodząc w dalekie zresztą pokrewieństwa ze „szkołą ukraińską" naszych romantyków, kontynuowaną twórczo w XX w. przez Józefa Łobodowskiego. *Trzeba się gdzieś zadomowić* oraz *wszystkie drogi prowadzą do źródeł* – te frazy, zawarte w wierszu *Z nałęczowskich spacerów*, dają się odnieść także do licznych utworów poświęconych miejscu urodzenia poety, a więc Włodzimierzowi Wołyńskiemu i samemu Wołyniowi. Powroty do rodzinnych okolic zaowocowały bardzo osobistymi utworami, takimi jak *W drodze na Wołyń*, *Między Turią i Ługiem*,

Wołyń przez sen oraz wierszami o motywach religijnych – legendą poetycką pt. *Matka Boska Wołyńska* oraz *Włodzimierz Wołyński czyli w miasteczku Jozefata Kuncewicza*. Zresztą niemal w każdym utworze, a nie tylko w wierszach „wołyńskich", posługuje się Michalski obrazowością oraz aluzyjnością o charakterze sakralnym, a więc uwzniośląjącą rzeczywistość.

Na zamknięcie tej części szkicu pragnę jeszcze wspomnieć o grupie wierszy „szpitalnych", pisanych w Katowicach-Ochojcu, nałęczowskim uzdrowisku oraz w szpitalu lubelskim. Należą one do najciekawszych i najgłębszych w dorobku Michalskiego, ukazują nowe sytuacje, w jakich znalazło się zarówno alter ego poety, jak i on sam. Było to dla bohatera niespodziewane, a niezwykle ważne doświadczenie egzystencjalne – w jednym z wierszy z cyklu o wymownym tytule *Na krawędzi* czytamy:

(...) każda minuta
ma wymiar wieczności
a najbliższa godzina może być ostatnia.

Nowych funkcji i znaczeń nabierają modlitewne inwokacje oraz błagalne wezwania w rodzaju: „daj powrócić Panie", pojawiają się też sygnały nadziei: „ruszyły godziny" oraz radosne wołanie bohatera jednego z wierszy („wracam na ziemię"). Należy zaznaczyć, iż pełniejszą wymowę niż w *Tryptyku z gwiazdą* ma ten krąg utworów, gdy jest czytany w całości w *Lekcji wspólnego języka*, gdzie cyklowi nadany został odrębny układ kompozycyjny. Osobiście bardzo też żałuję, iż w *Tryptyku z gwiazdą* nie znalazły się *Suplikacje nałęczowskie*, jeden z najbardziej dramatycznych, bardzo osobistych i najpiękniejszych wierszy Waldemara Michalskiego[7].

Podejmowana przez poetę problematyka, semantyka tekstów, łączy się w sposób integralny i bezpośredni z artystycznym kształtem liryki. Ta sprawa zasługiwałaby na dokładniejszą analizę, tutaj pragnę ją jedynie zasygnalizować i zwrócić uwagę na wybrane aspekty.

I tak, z motywami podróży, przypominającymi romantyczne „wędrówki po kraju" czy „pieśni o ziemi naszej", łączy się bogata topika akwatyczna, z obrazami morza, rzek, jezior, a także łodzi i związanymi z nimi czynnościami i skojarzeniami – płynięciem i kontemplacją wodnych przestrzeni, gdyż – jak czytamy w wierszu *W drodze na Wołyń – podróżować to trochę jakby mniej umierać*[8].

Woda też „wróży" – jak w tradycji ludowej i u Czechowicza, zwłaszcza gdy zestawiona jest ze zwierciadłem, np. w wierszu *Nad Łabą: w lustrze rzeki swoje drogi czytamy*. Spójrzmy na *Tryptyk morski – Międzyzdroje* z podtytułami: *Ziemia, Ryba, Morze*. W utworze tym pamięć i wyobraźnia poety przywołuje wiele dodatkowych skojarzeń: od ściśle wzrokowych („bursztynowe słońce"), przez aluzje i przywołania historyczne (*powstanie legenda o nowej Winiecie* i cytat z księgi Galla Anonima), do nawiązań ściśle religijnych, bowiem dla bohatera wiersza morze jest *niebieskie jak sukienka / Naszej Pani z gotyckiej świątyni*. Znamienny jest finał tego utworu, który rozszerza zakres skojarzeń – czasowych, przestrzennych i sakralnych:

Zapisuję w kalendarzu: ostatni
dzień lata – Kazachstan modli się z Papieżem
Chodzącego Po Morzu wypatruję z brzegu.

[7] Druk w tomie *Lekcja wspólnego języka*, 1999, s. 94.
[8] Słowa te stanowią parafrazę wyrażenia Edmunda Haracourta: *Partir c'est mourir un peu.*

A słowa „ostatni dzień lata" czy nie stanowią odwołania do tytułu głośnego filmu Tadeusza Konwickiego?

Osadzenie wyobraźni bohatera lirycznego wierszy Michalskiego w tradycji literatury i kultury (nie tylko polskiej), owocuje licznymi nawiązaniami do kanonicznych tekstów, klasycznych cytatów lub przysłowiowych bądź potocznych powiedzeń, przywoływanych niemal odruchowo, które często poddawane są poetyckiej obróbce, parafrazie czy kontaminacji. Wskażmy niektóre z nich. Będą to wyrażenia takie jak: *nikt nie woła wśród śmiertelnej ciszy*; *Miałeś bracie tęgi sznur*; *garść ziemi biorę – między wiersze wkładam*, a także *co jest prawda i czy jest kochanie* oraz *bo wolność krzyżami się mierzy*.

Pamięta też poeta o pisarzach z pokolenia Kolumbów, bowiem „czapki na bakier" z wiersza *Wołyń przez sen* przywołują tytuł głośnej książki Zbigniewa Jakubika, zaś inicjalne słowa *Ballady o wisielcach* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

Kołyszemy się, kołyszemy,
wmurowani w pejzaż szubienic

znalazły echo w wierszu *Znowu to pytanie:*

Ukołysałeś swoją ziemię
W stallach jesiennych szubienic

Baczyńskiemu poświęcił Michalski również utwór zatytułowany *Miserere*. Pisząc o poetyckich nawiązaniach, aluzjach czy kryptocytatach, warto jeszcze zwrócić uwagę na utwór *Myśląc o poecie samobójcy*, gdzie czytelnik co prawda nie otrzymał bezpośredniego wskazania na personalia tytułowego bohatera, ale druga strofa wiersza:

zaśpiewałbym ci pod jemiołą
twe słowa srebrne i czarne
lecz co z pieśni na bruku zostało?

zawierająca tytuł zbioru wierszy Jana Lechonia i mówiąca o „pieśni na bruku", jednoznacznie informuje o śmiertelnym skoku tego poety z nowojorskiego wieżowca.

W podobny sposób, zresztą bodaj najczęściej, Michalski nawiązuje do myśli zawartych w Biblii, co w wysokim stopniu wzbogaca zarówno semantykę i obrazowanie, jak też ideową wymowę utworów. Zbliżoną funkcję posiadają też liczne odwołania do myśli filozoficznej czy kategorii etycznych. Twórczość Michalskiego odznacza się bowiem zdecydowanym nastawieniem na wartości wyższe, wyróżnia się moralnym uwrażliwieniem oraz wiernością wobec zasad, które decydują o prawdziwym człowieczeństwie bohaterów jego wierszy. Stąd widoczna skłonność do wypowiedzi układającej się w aforyzmy czy sentencje, przekazujące odbiorcy jakąś ważną życiową prawdę.

W liryce Michalskiego widoczne jest też stałe dążenie nie tylko do osiągania głębi semantycznej, ale także do podporządkowania wizji poetyckiej coraz surowszej dyscyplinie artystycznej. Widać to w nawiązywaniu, chociaż bardzo swobodnym, do klasycznych form wiersza, z dominacją tercyny i strof czterowierszowych. Dosyć często pojawiają się również utwory zbliżone do sekstyn czy oktaw.

Ta dyscyplina twórcza wyraża się także w częstym sięganiu przez poetę do utrwalonych w tradycji gatunków wypowiedzi, zwłaszcza takich jak list czy rozmowa, umożliwiających bliski kontakt z adresatem, gdy do głosu do-

chodzi najpełniej „ja" liryczne twórcy. Wiersz zyskuje dzięki temu charakter wypowiedzi bardzo osobistej i szczerej, nastawionej wyraziście na odbiorcę, dzięki czemu poezja staje się sprawą wspólną – autora i czytelnika, jakby w myśl słów, zawartych w utworze zatytułowanym *W Łazienkach: zwycięstwem sztuki jest jej przeżywanie*.

Te słowa mogą – tak myślę – stanowić doskonałe motto dla całej twórczości poetyckiej Waldemara Michalskiego.

Tadeusz Kłak

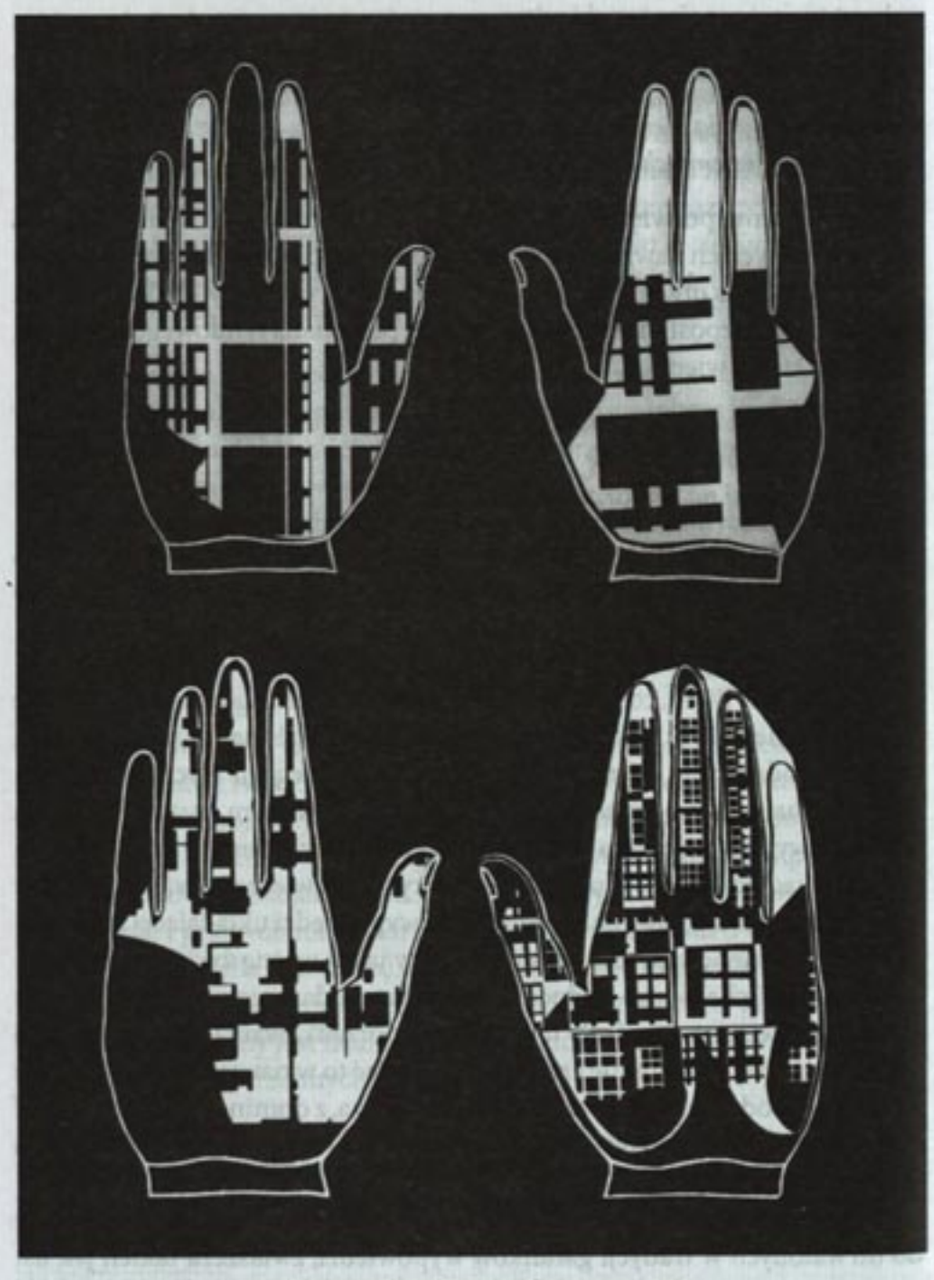

Tadeusz Mysłowski, *Ręce*, drzeworyt, 2008

ANNA KOZAK

Grupa wsparcia

Tadeusz i ja właściwie nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, no może prócz tego, że obydwoje nie lubiliśmy szpinaku, nigdy nie chorowaliśmy na ospę i wspólnie byliśmy nieszczęśliwymi posiadaczami dwóch jąder. Pamiętam dzień, gdy się poznaliśmy. Niewielka, duszna sala na trzecim piętrze starej kamienicy. Od kilku miesięcy miejsce spotkań grupy mężczyzn nam podobnych. Wspólne rozmowy pod okiem dwóch psychologów, którym – w mojej opinii – brakowało nie tylko narządów płciowych, ale też sporej ilości tkanki mózgowej. Te ich pytanie: „Jak się dzisiaj czujecie i z czym przychodzicie?" Z jednym jądrem, nadal z jednym! Czasami mocno się zastanawiam, dlaczego jeszcze z tym nie skończyłem? Przecież od gadania nic mi nie urośnie, zwłaszcza w okolicy krocza. O takim cudzie jeszcze nikt nigdy nie słyszał. Ludzie wstający z wózków inwalidzkich i tańczący salsę, ślepcy odzyskujący wzrok, kobiety po czterdziestce wychodzące za mąż – to już normalność, ale odrastające jądra do tej grupy nie należą. Cóż by to była za sensacja, już widzę pierwsze strony gazet, zaproszenia do radia, wywiady telewizyjne i oczywiście pierwsze i podstawowe pytanie z ust prowadzących: „Jak się pan dzisiaj czuje i z czym przychodzi?" Nie, tylko nie to. Koniec z użalaniem się nad sobą i codziennym sprawdzaniem w lustrze, czy może jednak coś kiełkuje. Postanowiłem działać i to szybko. Do swojego planu potrzebowałem jednak wspólnika, Tadeusz okazał się wymarzony. Po spotkaniu zaprosiłem go do siebie, wlałem w niego prawie całą butelkę whisky – co nie było trudne, gdyż mój znajomy prócz genitalnych miał też problemy alkoholowe – i położyłem na olbrzymim dębowym stole, który swego czasu zakupiłem w komisie meblowym na rogu ulicy. Przed przystąpieniem do zabiegu narzuciłem na ramiona stary szlafrok, wziąłem do ręki skalpel, który ukradłem dwa dni temu w pobliskiej poradni chirurgii plastycznej, i zrobiłem nacięcie. Trzy zgrabne ruchy ręką i jądro Tadeusza niczym nieopierzone pisklę leżało w mojej dłoni. Następnie szybka sterylizacja, nawleczenie nitki na igłę sporych rozmiarów, zastrzyk znieczulający i dziesięć szwów. Obolały i zmęczony, resztką sił dowlokłem się do łazienki, stanąłem przed lustrem i spojrzałem. Prawdziwy cud, pierwszy raz w życiu widziałem coś tak niezwykłego. Nie mogłem przestać się dotykać, najpierw lewe, potem prawe jądro, raz w jedną, raz w drugą stronę. Po godzinie istnego pokazu żonglerki i serii rewelacyjnych sztuczek postanowiłem zająć się nieszczęśnikiem leżącym w mojej jadalni. Nóż kuchenny, tasak, waciki, nici, igły. Uwijałem się jak w ukropie, co jakiś czas kontrolnie zerkając na zdjęcie swojej nauczycielki, w której kochałem się w szkole średniej. Pamiętam jej jędrne uda, okrągłe piersi i wywody na temat różnicy w budowie pantofelka i ameby.

Nagle obudziłem się, czując w powietrzu zapach świeżo zaparzonej kawy. Przeciągnąłem się i powoli otworzyłem oczy. Po moim mieszkaniu, dodatkowo w mojej ulubionej koszuli krzątała się jak żywa profesorka od biologii.

Uśmiechnąłem się do niej, po czym tanecznym krokiem poszedłem do łazienki z dumą oddać poranny mocz. W drodze kołatała mi się po głowie jedna myśl: czy imię Tadeusz pasuje do tak urodziwej kobiety?

Opowieść chłopięca

W kącie tarasu, pod poplamionym obrazem przedstawiającym ogromnego smoka ziejącego ogniem, siedział jakiś nieznany nikomu mężczyzna o wyglądzie przypominającym stylistów z pism dla kobiet, które można znaleźć w każdym szanującym się zakładzie fryzjerskim. Zajadał frytki, popijając zimnym piwem z sokiem malinowym. W naszym barze, a raczej drewnianej budzie ustawionej wprost na klepisku z czterema plastikowymi stolikami i obrazkami na ścianach, które ojciec odkupił od właściciela zlikwidowanej pół roku temu budy z chińskim żarciem, spędzałem kolejne wakacje. Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa to zapach spalonego tłuszczu, brudne kufle walające się po całym zapleczu, poplamiony fartuch ojca i pulchne uda dziewcząt zatrudnionych w czasie lata do podawania gościom kiełbasek z rusztu. Nigdy nie mogłem zrozumieć chłopaków ze szkoły, którzy większość wolnego czasu spędzali w naszym barze śliniąc się na widok ogromnych cycków pomocy kuchennych. Trzeba przyznać, że biust rzeczywiście miały imponujący, ale żeby na jego widok godzinami stać na baczność to już lekka przesada.

Miesiąc temu, na moje szesnaste urodziny, chłopaki zrzucili się dla mnie na dziwkę, która prawdopodobnie od stu lat stoi przy pobliskiej drodze. Wygląda niczym stara sosna w zielonej sukience i z rudymi włosami niedbale spiętymi w kok, brakuje jej tylko ptasiego gniazda na czubku głowy i kilku grzybów wyrastających z butów (chociaż w kwestii grzyba nie może narzekać). Każdej niedzieli po mszy świętej w drewnianym kościółku wszyscy ojcowie, synowie i wnukowie ustawiają się w długim ogonku cierpliwie czekając na swoją kolej. Wyglądają jak pielgrzymi w oczekiwaniu na cud. Kilka sprośnych słówek, klaps, skórzana obroża i zwiotczałe części ciała wracają do świata żywych. Niektórzy w trakcie płaczą jak niemowlęta skarżąc się, że ich żony tylko na plecach z udami rozchylonymi jak do porodu, martwe i sztywne jak kłody, świętsze od samej Świętej Panienki. Księża nie muszą stać w kolejce, raz w miesiącu zapraszają przydrożną dziwkę, podobno w celu odpuszczenia grzechów w zakrystii. Ja też poszedłem, ale nawet najczulsze pieszczoty i wprawny język doświadczonej kobiety nie wzbudziły mojego penisa. Dopiero widok tego mężczyzny w obcisłych spodniach, uwydatniających krągłości na lewym udzie, obudził we mnie wszystkie zmysły i sprawił, że mój członek powiewający do tej pory na wietrze wreszcie stanął.

Pierwszy raz nie przespałem nocy, marząc o męskiej erekcji. Włożyłem do ust palec i zacząłem ssać, wyobrażając sobie wypięte pośladki i olbrzymiego penisa w pełnym wzwodzie. Zapragnąłem poczuć smak spermy, chciałem mocnych dłoni, które chwytają i pieszczą, a usta wysysają wszystkie soki. Słyszałem, jak za oknami szaleje burza, coraz gwałtowniejsza, niszcząca wszystko, co stanie na jej drodze.

Tydzień temu mężczyzna w obcisłym podkoszulku i jeszcze ciaśniejszych spodniach wyjechał, ale wczoraj w miasteczku zjawił się młody ksiądz w długiej sutannie zakrywającej uda, zwłaszcza lewe.

Opowieść sercowa

Co się ze mną dzieje – pomyślał. Znowu ten przeklęty ból w klatce piersiowej, przecież zrobiłem wszystkie badania: prześwietlenie, rezonans, trzy razy oddawałem mocz, pięć razy niezdarna pielęgniarka pobierała mi krew i nic, zupełnie nic. Wyniki są dobre, można powiedzieć, że jak na trzydziestolatka nawet bardzo dobre. W rodzinie nikt nigdy nie chorował na serce, w ogóle na nic nie chorowano. Trzej starsi braci zdrowi jak byki rozpłodowe, rodzice grubo po siedemdziesiątce gruchają jak para gołębi na wiosnę. Skąd u mnie cały zestaw dolegliwości?

Usiłował sobie przypomnieć, co takiego ważnego dla jego zdrowia wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i z namaszczeniem przeglądał kartki kalendarza, bez którego nie wyobrażał sobie życia. Wszystko zapisane i zaplanowane, każdy dzień, godzina, a nawet minuta. Wyjście z psem, telefon do administracji w sprawie cieknącego kranu w łazience, sobotnie zakupy... Od kilku lat nic się nie zmieniło, a jednak z jakiegoś powodu jego serce postanowiło się zbuntować. Przecież nadmiernie go nie obciążał, więc do cholery jasnej co się za tym kryło? Przez trzy kolejne dni chodził jak szaleniec, któremu z niewiadomych przyczyn zapomniano podać środki uspokajające. Biedak kupił nawet najnowsze wydanie sześciotomowej encyklopedii zdrowia... i nic. Gdy zrezygnowany wielotygodniowymi próbami odkrycia powodu tajemniczego bólu postanowił się poddać, nagle, jak za dotknięciem magicznego stetoskopu albo strzykawki z igłą wielkości kija od miotły, zdał sobie sprawę z przyczyny. Właściwie nie musiał daleko szukać. Cały czas miał ją przed oczami. Na nocnym stoliku w kącie maluteńkiej sypialni stała figurka pucołowatego amorka z łukiem w jednej i strzałą w drugiej ręce. Teraz wszystko sobie przypomniał: targ staroci w sobotni poranek, Cygankę, która namawiała go do zakupu sterty zbytecznych bibelotów, jej groźby, że rzuci na niego urok, jakieś brednie na temat kołtunów we włosach i kilka podobnych bzdur. Gdy wrócił do domu, w kieszeni kurtki znalazł dziwną i dosyć paskudną golutką postać, która zerkała na niego spode łba. Nie zastanawiając się, postawił figurkę w najciemniejszym kącie mieszkania i wyszedł. Następnego dnia obudził go ból przeszywający klatkę piersiową i miażdżący żebra.

– Słuchaj stary, już wiem, co mi dolega – krzyczał do telefonu.

– Po pierwsze, nie mów do mnie stary, to, że jestem twoim starszym bratem, jeszcze nie upoważnia cię do takiego spoufalania się, po drugie, jak na moje oko nic ci nie jest.

– Andrzej, no co ty, przepraszam, nie chciałem cię urazić – powiedział, po czym zapanowała długa cisza. Zniecierpliwiony brakiem zainteresowania swoją osobą rozłączył się. Nie minęło nawet pięć minut, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

– A jednak jesteś ciekaw, tak, mam rację – krzyczał, podskakując jednocześnie jak piłeczka palantowa.

– Niech ci będzie.

– To wszystko sprawka tego małego grubasa, który mieszka u mnie od kilku tygodni.

– Co ty pleciesz? Wynająłeś komuś pokój? Nie mówiłeś, że masz kłopoty z forsą...

– Nie, nie mam żadnych problemów. W ogóle mnie nie słuchasz. Mówię o tym pucołowatym gościu z liściem na tyłku i burzą blond loczków.

– Na tyłku?

– Na głowie baranie!!!

– Tego już za wiele – odpowiedział oburzony i tym razem to on się rozłączył.

Założył długi, czarny płaszcz i po cichu, na palcach jak baletnica wszedł do sypialni. Postanowił nie włączać światła, liczył na to, że porcelanowy, pucołowaty i złośliwy jegomość smacznie śpi. Niczym lis zakradający się do kurnika skoczył w stronę figurki i jednym zgrabnym ruchem nakrył ją zielonym beretem, który dostał na urodziny od matki. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk.

– Aaaaaaaaaa!

– Przestań się drzeć – powiedział. – Nic ci nie zrobię, chyba że w ciągu pięciu sekund nie zamkniesz jadaczki!

Zapanowała cisza przerywana jedynie ciężkim i płytkim oddechem grubasa uwięzionego w kapeluszu. Minął kwadrans, zanim właściciel łuku przemówił bardzo niskim i przepitym głosem.

– Stary, o co ci chodzi? Wypuść mnie i pogadajmy jak ludzie.

– Jak ludzie?! – Zdziwił się, po czym rzucił z uśmiechem. – Raczej jak człowiek z porcelanowym karłem.

– Wszystko ci wyjaśnię, tylko mnie nie wyrzucaj – Wziął głęboki wdech, po czym gwałtownie wypuścił powietrze. – Z pewnością chodzi ci o ból w klatce piersiowej. Cóż poradzę, taka praca.

– Tyle? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przepraszam, ja tylko chciałem, żebyś się zakochał i przyprowadził do domu jakąś młodą dziewczynę z jędrnym biustem.

– A co do tego wszystkiego ma biust?

– Gdybyś przez ostatnie pięć lat oglądał jedynie starą Cygankę moczącą tyłek w metalowej misce, nie zadawałbyś takich głupich pytań. Chciałem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zwiałem, cóż, chyba źle trafiłem, ale gdy zobaczyłem taki zdrowy okaz na targu, pomyślałem, że to szansa dla mnie.

– Wybrałeś mnie? – zapytał drżącym głosem.

– I to spośród sporej gromadki – odpowiedział i szczerze się roześmiał.

Pucołowaty karzeł z łukiem w jednej i strzałą w drugiej dłoni rozsiadł się wygodnie pod ogromnym i zakurzonym abażurem nocnej lampki stojącej tuż przy łóżku. Z bliska łatwiej było mu dostrzec, że są naprawdę szczęśliwi.

Świąteczna potrawa

Co roku, odkąd pamiętam, nasza Wigilia kończy się w ten sam sposób, czyli wyławianiem ojca z talerza z czerwonym barszczem z uszkami. Jego cuchnący alkoholem oddech i zapach suszonych grzybów tworzą tak dobrze mi znany świąteczny nastrój. Matka mieszająca w olbrzymim garze groch z kapustą, babka modląca się pod sztuczną choinką o powolną i bezbolesną śmierć dla wszystkich bliskich, a zwłaszcza dla synowej, przez którą w mniemaniu staruchy jej syn został alkoholikiem, mój starszy brat srający w pieluchę mimo trzecich, czwartych, piątych… dwudziestych piątych urodzin. Ciekawe, dlaczego nikt nigdy nie wpadł na pomysł, aby nauczyć go siadania na klozecie, tym bardziej jest to zaskakujące, że nasz kot, którego w zeszłym roku zgraja gimnazjalistów wysłał na tamten świat podpalając ogon i wrzucając do beczki z benzyną, nabył taką umiejętność. Prawdopodobnie nie mógł już

znieść smrodu, który wręcz wylewał się z kuwety. Pewnego dnia po prostu wskoczył na sedes, ogonem zgrabnie podniósł klapę, zrobił, co miał do zrobienia, po czym spuścił wodę i ku naszemu największemu zdziwieniu podtarł sobie tyłek. Olbrzymi czarny kocur i mój największy przyjaciel, dopóki nie spłonął, a trzeba przyznać, że płonął pięknie, w dowód naszej zażyłości raz w tygodniu przynosił mi olbrzymiego szczura z przegryzionym gardłem. Siadał naprzeciw mojego łóżka, czekając aż się obudzę, po czym zgrabnym ruchem wrzucał mi martwego gryzonia. Nigdy nie zapomnę, jak matka kazała mi zmieść zwęglone resztki z chodnika i wwalić do czarnego worka na śmieci. Czasami się zastanawiam, czy ze mną też tak postąpi? Trzy dni po śmierci kota ojciec przyniósł do domu szczura, upierając się w pijackim zwidzie, że to co najmniej półkrwi owczarek niemiecki. Po kilkugodzinnej kłótni z matką zagroził, że albo on ze swoją wypłatą i nowym rodzinnym zwierzątkiem, albo my bez wypłaty i nowego rodzinnego zwierzątka. Matka wybrała mniejsze zło, tak więc od pewnego czasu dla odmiany znajduję w łóżku koty z przegryzionym gardłem. Muszę przyznać, że mimo początkowych obaw poranne prezenty okazały się furtką do raju. Zimowe rękawiczki z futerka to prezent, który sprawia, że dziewczęce uda niezależnie od pory roku rozchylają się niczym płatki kwiatów rosnących za domem na kupie gnoju. Pamiętam pierwszą, która w ramach podziękowań pozwoliła mi na włożenie aż trzech paluchów z brudem pod paznokciami, wcześniej bowiem musiałem napalić w piecu, w dziurę, która trochę przypominała ociekający śluzem odpływ kanalizacyjny. Wiła się przy tym jak robak na haczyku, ale jak się później okazało, wszystkie dziewuchy miały w sobie coś z przynęty na ryby. Część niczym Święta Panienka z rączkami złożonymi do modlitwy i wołająca imię pana swego na daremno, część z przekleństwami na ustach. Moja ostatnia dziewczyna, której podarowałem prezent z kociej skórki, zaniemówiła i tak już jej zostało, podobno gdy penetrowałem jej wnętrzności, miała atak padaczki i odgryzła sobie język. Jej ciche usposobienie tak mnie ujęło, że od sześciu miesięcy tylko z nią chodzę na spacery do pobliskiego lasku, w którym słychać wyłącznie ptasi śpiew. Czasami, gdy zasypia zmęczona po naszych harcach, patrzę na nią i liczę piegi, których ma na całym ciele więcej niż niejeden pies pcheł na grzbiecie. Ojciec też ją lubi, mówi, że to dziewczyna cud, nie dosyć, że cicha, to i zamożna dzięki rencie, którą dostaje po przedwcześnie zmarłej matce. Nawet mój szczur darzy ją sympatią, z tego tytułu do mojego łóżka trafia dwa razy więcej martwych kotów. Mam nadzieję, że w tym roku na gwiazdkę dostanę futrzaną czapkę i kamizelkę, o której marzę czekając na frajerów z grubymi portfelami wychodzących z pobliskiej stacji kolejowej. Szczęśliwie dla wszystkich mieszkańców jakaś ogromna firma ze stolicy, z jeszcze większym prezesem na czele rady zarządu postanowiła wybudować u nas fabrykę środków owadobójczych. W każdy poniedziałek grupka najbardziej cwanych chłopaków biega wzdłuż peronów wypatrując kolejnej ofiary. Wszystko idzie gładko jak po maśle; ofiara wysiada z wagonu wpadając wprost na naganiacza, który szczerzy się do niej w mało przyjacielskim uśmiechu. Lekko zdenerwowana zaczyna tracić grunt pod nogami, przyspiesza, nerwowo rozgląda się dookoła i tym sposobem wpada wprost na moje gotowe do bitki pięści. Po pięciu minutach i jednym strzale w nos sama podaje mi portfel prosząc, abym przyjął także jej zegarek na skórzanym pasku. Szybko sprawdzam, ile dzisiaj zarobiłem, odpalam chłopakom od sztucznego tłumu działkę i znikam za rogiem. Lepsze to od tyrania w fabryce przy olbrzymich kotłach z cuchnącą mazią, zarobek wyższy, a i strat

na zdrowiu mniej. Matka jednak uparcie twierdzi, że powinienem zająć się uczciwym zarabianiem na życie, że ZUS-u nie odprowadzam, że renty nie dostanę, jeśli któregoś dnia pod pociąg wpadnę i odetnie mi nogi. Całe życie siedzi w domu na białym odrapanym taborecie i bezmyślnie gapi się przez okno, a mnie goni do roboty. Kiedyś do jej ulubionych zajęć należało liczenie żałobników idących za trumną, niestety, od czasu gdy proboszcz wybudował nową drogę, kondukty omijają nasz dom szerokim łukiem. Teraz też siedzi, tylko dla odmiany wpatruje się w sufit, woli to od widoku zalanego od szóstej rano ojca. Gdy wstaje, stary już popija herbatkę z wkładką, twierdząc, że to zioła przepisane przez lekarza na wrzody żołądka. Nie pamiętam, kiedy starzy ostatnio rozmawiali ze sobą, jedyne, co ich łączy, to obowiązek małżeński, który wspólnie wypełniają w dniu wypłaty w fabryce, czyli dziesiątego każdego miesiąca. Ojciec tylko wtedy nie wpada na jednego do pobliskiej knajpy. Wchodzi do domu, zdejmuje czapkę i wolnym dostojnym krokiem zmierza w stronę sypialni. Przez trzydzieści minut zajmuje się matką, jak w dniu, gdy się poznali na zabawie w pobliskiej tancbudzie.

– Znowu pijesz – usłyszałem podniesiony głos matki.

– Jeszcze nie przestałem ty stara wiedźmo – dotarł do mnie krzyk ojca.

Podobny dialog zawsze zwiastował moment pojawienia się pierwszej gwiazdki na niebie. Chwilę później wszyscy zasiadaliśmy do stołu, na którym czekała waza z czerwonym barszczem. W tym roku było podobnie; biała serweta w świerkowe gałązki, plastikowa choinka w rogu pokoju, włączony telewizor i siorbanie ojca. Ile razy modliłem się, aby jedno z tych cholernych uszek z grzybami stanęło mu w gardle.

Godzinę później przyjechało pogotowie i policja. Sanitariusz w poplamionym fartuchu nachylił się nad wazą, wziął głęboki wdech, po czym poprosił matkę o łyżkę. Jadł równocześnie sprawdzając puls facetowi pływającemu w talerzu obok. Dwóch policjantów i młody lekarz także poprosili o sztućce, aby w świątecznej atmosferze zjeść karpia w galarecie, pierożki, makówki i popić kompotem z suszu. Jeden z mundurowych założył strój Świętego Mikołaja, który ukradłem kilka lat temu w ramach zemsty za wyrzucenie ze szkoły, drugi wyciągnął harmonijkę ustną i zaczął grać kolędy. Babka ze szczurem na kolanach cicho nuciła, moja dziewczyna klaskała w dłonie, matka podawała kolejne potrawy, a ja krzątałem się po kuchni w poszukiwaniu różańca, który dostałem od ojca na pierwszą komunię świętą, aby zanim włożą go do worka zawiesić mu na szyi i podziękować za tak cudowny świąteczny prezent.

Anna Kozak

Książki nadesłane

Świat Książki, Warszawa

Hanna Krall: *Różowe strusie pióra.* 2009, ss. 204.

Magdalena Grochowska: *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu.* 2009, ss. 685.

Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: *Marek Edelman. Życie. Po prostu.* 2008, ss. 511.

MÁRTON FALUSI

Akwarela o świcie

Ulica dudni coraz głośniej,
miasto pulsuje za moim oknem,
ciągle się kurczy i rozkurcza:
całodobowy pomiar ciśnienia.

Żyły przed chłodem otulam mięśniami,
do skurczu wysoko podciągam krew.
Zmięty krwiobieg pełen wilgoci
zawisa na mnie całym ciężarem.

Stara kobieta drepcze po ganku,
nieznane ślady lgną jej do stóp,
na pogiętym stelażu kręgosłupa
drobnokościsty swój szkielet wiesza.

Trzaskają drzewka przy chodnikach,
w szczeliny ciasno wpełzają auta,
wypełniają ubytki w zębach miasta
podbarwionych czerwonym winem.

Ziemia odwraca się na drugi bok
by dać ulgę zdrętwiałej półkuli.
Trawnik się krztusi czerwonym kaszlem,
jak przewrócony głośnik z koncertu.

Czy teraz bierzesz prysznic, czy rozgrzewasz olej
wypełniając kuchnię swoją krzątaniną,
śpieszna choć cicha i niepewna w mroku?
Czy kładzie się przy mnie tylko zimny ciąg liczb?

I co naprawdę do ciebie należy:
moje ciało czy tylko gimnastyka wiersza?

Boże Narodzenie 2003

Piękna ta choinka, wnuczku,
naprawdę piękna...

ale czy wiesz, że w twój pokój
trafił pocisk w czterdziestym czwartym,
przecież już ci opowiadałam,
gdyby nie nocowało dwóch sanitariuszy
tam i w tym salonie z girlandami,
gdzie po raz pierwszy galopowałeś
na kolanie dziadka,
wtedy na mnie,
właśnie na mnie oberwałby się
caluteńki sufit.

Poprzedniego wieczoru
poćwiartowali konia na podwórzu.
Od tamtego czasu mdli mnie od soczewicy i fasoli,
które w workach opieraliśmy
o kruche ściany spiżarni.
Kiedy przed rokiem na Sylwestra
twoja mama rozsypała w kuchni
dwie garście soczewicy,
musiałam się odwrócić
w stronę okna –
ale tam zrujnowany Budapeszt
ukazał się zza roziskrzonych neonów,
od których jeden po drugim odrywały się ptaki,
jak świąteczne zabawki od choinek.

Ale zupa zaciągnięta mąką,
to jadłabym codziennie!

Mama gotowała z kminkiem,
nigdy nie jadłam nic lepszego.
Może tylko na moje urodziny, gdy podała nam
jajka na twardo
i gdy uroczyście je nadgryzaliśmy...
wcześniej miesiącami strzegła ich woda z wapnem,
ukrywały się jak można najgłębiej w kredensie.

Wodę ciągnęliśmy do domu
aż z ulicy Muskotály
na rozklekotanych sankach.
Wylewało się pół wiadra,
a za nami jak narastająca lawina
głowa żołnierza o otwartych oczach
toczyła się z Orlej Góry.

Jakaż to była dla mnie zabawa
skakać po wrakach czołgów i transporterów...
tak szczelnie wypełniły tunel pod Zamkiem,
że mogłam otrzeć rękę o sklepienie
i sama zatkać wylot lufy,
nawet nie przeczuwając,

że mój zachwyt
zagłusza tysiące ton jęku
i nędznych śmierci
od bulwaru Krystyny do Mostu Łańcuchowego.

*

Kolor fioletowy znienawidziłam,
tamtej jesieni,
kiedy z Gyuszim widzieliśmy na placu Siennym
ubeków powieszonych na latarniach.
Wczoraj w tym samym miejscu wisiał
pomywacz okien, huśtał się na linach wzdłuż ścian
centrum handlowego Mammut.

Gdy wyobraziłam sobie w jego czaszce
przekrwiony kwiat bzu –
zwój mózgowy,
odjechały trzy tramwaje,
przerażenie mnie sparaliżowało.

Ale nie zwracaj na to uwagi,
nie słuchaj babci,
z tatą, z mamusią pięknie ubierz drzewko,
niech się świeci aż po zapadnięty
grób cioci Manyi,
na pewno ją pamiętasz,
długo u niej mieszkaliśmy.

Jej zięć, córka, opowiadali,
jak z bieliźniarki wysypywała się,
strumieniem wylewała się mąka.
W ostatnich latach znosiła ją do domu –
„jeśli przyjdzie wojna, nie trzeba będzie
biedować bez niej".

Ciekła, lała się,
sięgała do kolan, do pasa,
zalała pokój...

zaraz wypchnie drzwi,
rozwali bramę
– a mnie już ciężko chodzić –
przynieś mi talerz zupy rybnej,
żebym mogła zabrać jej smak ze sobą.

Nie pozwalasz dorosnąć

Nie pozwalasz dorosnąć,
kucasz, klękasz przy mnie,
żebym nie musiał się wyprostować,
omiatam wzrokiem
przepitych męczenników
co przehulali historię.

Nie pozwalasz dorosnąć,
razem z innymi,
nie, przecież wam tak wygodniej,
zapominacie o mnie w wieku dojrzewania,
jako o marzeniu, symbolu,
powabnej barwie metafor,
odwiecznym rewersie,
zostawiacie jak Pan ciało syna, ale rozumiem,
nie przybylibyście nawet trzeciego dnia.

Nie pozwalasz dorosnąć,
zachowujesz dla marzeń, niech będzie temat dla wróżb,
ale ty nie masz marzeń,
bo chłód bije z moich lubieżnych snów,
kiedy roluję wzrokiem
czerwone, dziurawe pończochy świtu.

Nie pozwalasz dorosnąć,
jak nasi mentorzy o przekrwionych oczach,
którzy na ostatniej wieczerzy
poją nas wodą z kranu,
zamiast węgierskim to łacińskim winem,
a nam się odbija, zataczamy się,
udajemy urżniętych,
jakbyśmy chcieli
upodlić się jak najszybciej.

Nie pozwalasz dorosnąć,
przyuczasz do historii
w której jest grzech pierworodny
i czas natchnionych cudów,
ale oczekujesz, żebym poplątał jej ścieżki,
żeby zbyt szybko
nie wyprała ze mnie naszego wspólnego zła.

Nie pozwalasz dorosnąć,
wyprowadzić się od ciebie,
sprowadzić się do świata,
a przecież w ten sposób tak wiele czasu
uwolnilibyśmy dla siebie nawzajem, że nawet
pojedynczo moglibyśmy się urodzić

I ja starczyłbym za dwóch,
tak jak inni dorastający swobodnie:
twoje delikatne palce skojarzyłbym z czułością,
nasz wspólny byt określiłbym jako Czas przez górne C,
między otwarciem i zamknięciem.
Tajemnicę twojego pocałunku też bym rozwikłał,
zielone krążenie słów
ściskając do sinej nicości.

przełożył *Bogusław Wróblewski*
przy współpracy filologicznej *Justyny Musialskiej*

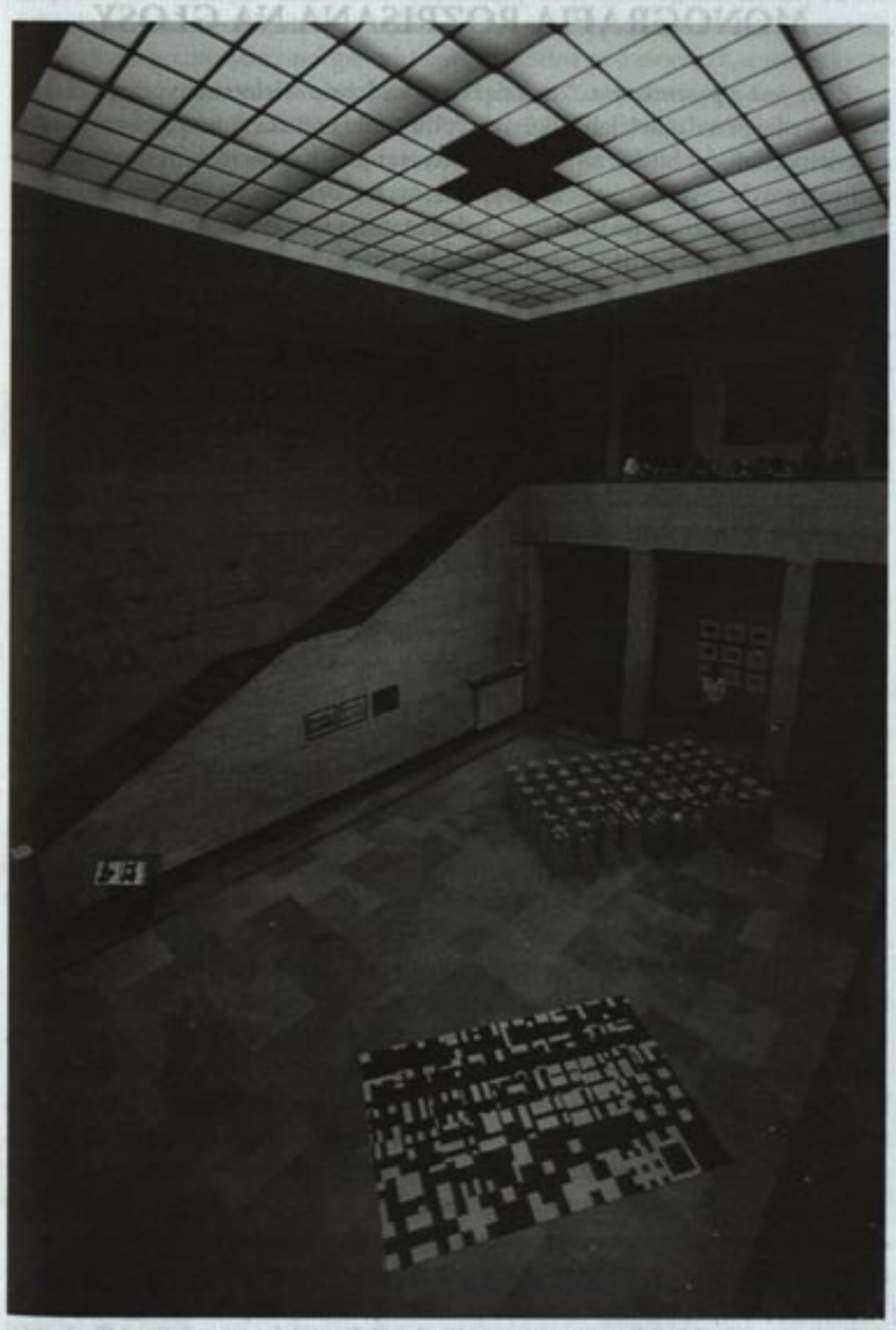

Tadeusz Mysłowski, *60 niekończących się kolumn*, Muzeum Narodowe, Warszawa, 1995

dwugłosy

WOJCIECH LIGĘZA

MONOGRAFIA ROZPISANA NA GŁOSY

„Życie jest z przenikania..." to książka prawdziwie wielotematyczna, kolekcja wypowiedzi przedstawicieli kilku dyscyplin nauki i sztuki, autorytetów w swoich dziedzinach, ludzi blisko związanych z Ryszardem Kapuścińskim, bądź wyspecjalizowanych czytelników – zaprzyjaźnionych z dziełem. Pomimo pierwszego, raczej powierzchownego wrażenia, że konstatacje i uwagi ulegają rozproszeniu, skompletowana przez Bogusława Wróblewskiego kolekcja głosów układa się w całość spójną, zasobną w informacje i interpretacje. Otrzymujemy rzecz o sporej wartości poznawczej, ale też ciekawej dramaturgii, wpływającej na atrakcyjność lektury. Teksty zamieszczone w omawianym zbiorze prowadzą ze sobą dialog, potwierdzają się nawzajem, uzupełniają, niekiedy korygują. Do ważnych walorów książki zaliczyłbym udane próby usytuowania utworów Kapuścińskiego w nowych kontekstach, prezentacje rozmaitych metod przybliżania tej wielogatunkowej twórczości, dobre wymierzenie proporcji między poszczególnymi ideami, jak też odmianami aktywności pisarskiej autora *Podróży z Herodotem*.

Za osobną – niebłahą w tym przypadku kwestię – uznać należy wnikliwe komentarze dotyczące reguł łączenia jakości przeciwstawnych w pisarstwie Kapuścińskiego, operowania paradoksem, odrzucania schematów myślowych i literackich. Fascynujące są tutaj przejścia pomiędzy zapisami faktów a prezentacją sztuki słowa, wymową szczegółów a potrzebą uogólnień – często niedopowiedzianych wprost, sugerowanych, między postawą aktywną, uczestniczącą a nastawieniem myślicielskim, powinnościami dokumentalisty a zadaniami moralistyki, reportażem a autobiografią, niewdzięcznymi zadaniami świadka złych czasów i oskarżyciela okrutnych reżymów a wrażliwością poetycką... Wyliczanie trzeba przerwać, gdyż i tak nie podam wszelkich możliwych kombinacji.

Dopowiedzmy, iż wieloletnia praktyka reporterska znajduje u Kapuścińskiego kontrapunkt w postaci doskonałych prób teorii tego gatunku, a zaprawiony w niewygodach podróżnik do krajów niebezpiecznych, oddalonych od centrum Europy, jest zarazem wybornym eseistą. Pamiętać też warto – tworząc sylwetkę twórczą Kapuścińskiego – o jego kompetencji historycznej, kulturowej, antropologicznej, cywilizacyjnej, o doskonałej orientacji w nurtach współczesnej humanistyki.

„Sprawdzanie sobą", czyli hazard angażowania się w konflikty i rewolucje, przewroty i przemiany sprawia, że świadectwa Kapuścińskiego są wiarygodne. Ogląd bezpośredni nie wystarcza, ten reporter nigdy nie rusza w drogę bez przygotowania. Obserwacje i rozmowy prowadzone na miejscu zderzają się w prozie Kapuścińskiego z rozległymi studiami, z przyswojeniem licznych wielojęzycznych źródeł. Słowem – oko oraz intelekt wspierają się nawzajem. Reporter sporo ryzykuje, swoją ludzką fizyczność naraża na niebezpieczeństwa, ale też w prowadzone kalkulacje pisarskie wlicza możliwość błędu. Człowiek korzystający z olbrzymiej

biblioteki szuka potwierdzenia i sporu, rusza w stronę innych przygód – wewnętrznych, duchowych. Niespokojna aktywność i uważna kontemplacja właściwie się wykluczają, ale nasz przypadek wcale tej reguły nie potwierdza.

Portret Ryszarda Kapuścińskiego winien być wielokrotny, uwzględniający proteuszową niepochwytność. Jasne i jednoznaczne wytłumaczenie fenomenu tego pisarstwa i tego człowieka musi się na wstępie załamać, bowiem spotkanie z tajemnicą twórczości oraz osobowości staje się zadaniem dla każdego czytelnika – specjalisty i amatora. Oto najzupełniej podstawowe pytania, które zadawane są w antologii *„Życie jest z przenikania..."* – na różne sposoby i w rozmaitych stylach: na czym to polega, że Ryszard Kapuściński jest jedynym takim pisarzem w literaturze polskiej (i europejskiej), absolutnie nie dającym się zastąpić, który tworzy sam dla siebie klasę; jak to wytłumaczyć, że przybysz z Pińska wydaje się wysłannikiem jakiejś nieznanej galaktyki, bo przecież nie istnieją ludzie o takim rozrzucie talentów, przenikliwości rozpoznań, wciąż świeżej, niezależnej od bagażu doświadczeń, ciekawości, wielkim sercu i nie dającej się ograniczyć empatii. Dalej: dlaczego „peryferyjne" gatunki dokumentalne pod piórem Kapuścińskiego przesuwają się ku centrum ambitnej literatury, której wartość, jak wiadomo, lokowała się w okolicach Nagrody Nobla, z jakiego powodu próby klasyfikacji gatunków i stylów uprawianych przez Kapuścińskiego nastręczają tyle trudności, a przyklejane etykietki są zwykle „zastępcze", niewystarczające? Wreszcie: co przesądza o tym, że paradoksalnie pisarz tak wielu zainteresowań i artysta wariacyjnej formy osiąga zdumiewającą jedność rezultatów – w wielości wypowiedzi?

Znamienne w pracach komentujących twórczość Kapuścińskiego są dwie figury – wielości ról i przekroczenia. Pisarz jawi się zatem jako dziennikarz nietypowy, który perfekcyjnie opanował sztukę słowa, reporter interesujący się fikcją oraz językowym odwzorowaniem świata, historyk, antropolog, kulturoznawca, filozof, socjolog, politolog, psycholog strachu i zniewolenia, teoretyk literatury, fotografik-artysta, rewelator europejskiego myślenia, twórca „ukrytej" przemycanej w innych gatunkach autobiografii, pisarz czułej pamięci, fanatyk urody życia, genialny rozmówca, wirtuoz słuchania innych, autorytet moralny, nauczyciel.

W kolejnych szkicach w recenzowanej książce o Kapuścińskim takie i podobne nazwy pojawiają się w rozmaitych konfiguracjach, zyskują interesujące objaśnienia, przydatne są w odczytywaniu poszczególnych utworów. Zaiste, spectrum jest imponujące, jednakże liczy się nie typowe wypełnianie ról, rutyna i klasycyzujące mistrzostwo, lecz znak indywidualności – rozpoznawalne własne sposoby kreowania wypowiedzi, a także rozumowania. Kapuściński nigdy nie prezentuje erudycji dla niej samej, lecz wchodzi w dialog z koncepcjami wielu nauk oraz diagnozami „wrzącej" zmiennej współczesności.

Co oznaczałaby wspomniana seria przekroczeń? Trudno odpowiedzieć posługując się jednorodnymi tropami. W zakresie reportażu nie zostaje dotrzymany pakt faktograficzny, włączają się bowiem sposoby opisu właściwe wysokoartystycznej literaturze, i choć piękno wysłowień w dokumencie bywa podejrzane, to jednak artyzm przyciąga uwagę odbiorcy. Jerzy Jarzębski pisze w szkicu pod znamiennym tytułem *Poza granice reportażu*: *Kapuściński (...) nie próbował swych sił jako autor fikcyjnych fabuł, choć pisał wiersze. Jego droga do mistrzostwa prowadziła nie od reportażu do literatury, ale od reportażu klasycznego do reportażu-literatury, to znaczy, że nie opuszczał on ram wybranego gatunku, ale podnosił go na wyżyny, nadając mu cechy właśnie literackiej doskonałości*. Osmotyczne właściwości tych reportaży wchłaniających rożne wzory gatunkowe i konwencje literackie dostrzega też Przemysław Czapliński (*Kłopoty z nowoczesnością*).

Uszlachetnienie reportażowych zapisów łączy się z konstrukcją podmiotu. Lektura prozy Kapuścińskiego uświadamia, iż niezwykła osobowość oprowadza czytelnika po nieznanych światach. Od osoby mówiącego wiele zależy. Literackość to indywidualizacja zbiorowych doświadczeń – dowodzi Michał Głowiński. I tak

„w opisach wielkich ruchów masowych", takich jak dekolonizacja wraz z jej formami przemocy czy rozpad porządków totalitarnych (autorytarnych), na pierwszy plan wybija się jednostkowy los, a to już jest domeną literatury (*Reportaż jako sztuka*). Ważną kwestią, odsłanianą w kolejnych pracach, jest tradycja literacka w tekstach Kapuścińskiego, czyli pamięć form oraz zakres gier intertekstualnych. Badacze określają kilka najważniejszych obszarów dialogu z poprzednikami, a taki pobieżny rejestr tworzy dopiero szkicową mapę orientacyjną. Zatrzymując się przy polifoniczności autora *Hebanu*, Walery Pisarek wzmiankuje o oświeceniowym gatunku „podróży moralnej" w stylu Jana Potockiego, wymienia też nazwiska literackich protoplastów – Sienkiewicza, Żeromskiego, Wańkowicza, Gombrowicza. Jerzy Bralczyk napomyka o nowej wersji gawędy szlacheckiej, Małgorzata Czermińska ze względu na upodobanie do miejsc prowincjonalnych oraz niezwykły dar „słuchania głosów rodziny człowieczej" zestawia Ryszarda Kapuścińskiego ze Stanisławem Vincenzem.

Z kolei Zbigniew Bauer w *Paradoksach prawdy* przypomina o kontekście „dziennikarstwa narracyjnego" oraz analogii praktyki pisarskiej Kapuścińskiego z „powieścią niefikcjonalną", taką jak utwór Trumana Capote'a *Z zimną krwią*. Natomiast Marek Kusiba (w szkicu *O kopaniu czaszki...*) dokonuje pomysłowego i kunsztownego (włączonego w nurt głównych refleksji o wojnach przeżytych i przemyślanych przez polskiego mistrza reportażu) zestawienia funkcjonowania motywu butów w znanym opowiadaniu Jana Józefa Szczepańskiego, w *Zaproszeniu do podróży* Tymona Terleckiego i w *Wojnie futbolowej* Kapuścińskiego.

Rozrzut możliwości znów jest duży, ale zauważmy: kultura literacka i wszechstronne oczytanie nie tworzą zagrożenia, że reportażysta, któremu w sensie dosłownym ziemia pali się pod stopami, stanie się bywalcem salonów. Literackość objawia się u Kapuścińskiego w wielu wymiarach wypowiedzi. Wskazać warto m. in. opisywane przez Magdalenę Horodecką spotkania ze światami innych ludzi i połączoną z tym nastawieniem „narrację empatyczną" (*„Być kimś innym"*), różne stany skupienia autobiografizmu, będącego przedmiotem dociekań Zygmunta Ziątka (*Powrócić do Pińska...*) czy przybliżany przez Beatę Nowacką problem wykorzystania prywatnych doświadczeń (przygód ze światem, przygód z samym sobą) jako materiału literackiego (*Ryszarda Kapuścińskiego reportaż intymny*). W recenzowanej książce znajdziemy rozsiane uwagi o autotematyzmie, ironii oraz autoironii, humorze, literackich mottach, delikatnych parodiach, udatnych pastiszach, estetyce fragmentu, jak również o skrótowej retoryce aforyzmu.

Inne przełamanie oczekiwań odbiorcy polega na uchyleniu schematów myślenia, odrzuceniu uprzedzeń, eliminacji stereotypów funkcjonujących w kulturze. Owczy pęd ponowoczesnych rewelacji w humanistyce i sezonowe mody intelektualne obce są Kapuścińskiemu. Jego pisarstwo poszukuje mocnego fundamentu aksjologicznego, zachęca do krytycyzmu wobec przyjętych prawd, sprzeciwia się europejskiemu protekcjonalizmowi i polskiemu partykularyzmowi. Centralnym punktem refleksji Kapuścińskiego staje się „spotkanie z Innym", akceptacja wielokulturowości, badanie inności. O trudnym optymizmie w kwestii niwelowania różnic między „światem biedy" a „światem dostatku", o umiarkowanej nadziei, że nie nastąpi jednak Huntingtonowskie „zderzenie cywilizacji", o tożsamości kulturowej zakłócanej przez globalizm, o nadziei pokładanej w filozofii dialogu, ważnej roli pojedynczych ludzi w historii, szacunku dla Innego – bez żadnych warunków wstępnych interesująco rozprawiają Tadeusz Szkołut (*Ryszard Kapuściński – tłumacz kultury współczesnej*) oraz Bogdan Dziemidok (*O filozofii człowieka i filozofii kultury Ryszarda Kapuścińskiego*).

Natomiast Przemysław Czapliński w tonie polemicznym podejmuje kluczowy wątek późnego okresu twórczości Kapuścińskiego, jakim jest refleksja nad relacjami międzykulturowymi oraz rozumienie ujawniających się różnic. Nawiązując do wykładów Kapuścińskiego *Ten Inny* krytyk ujawnia takie oto paradoksy: bezsilność głoszenia zasady tolerancji wynika *z równoczesnego przyjmowania dwóch rzeczy: że tożsamość jest istotną wartością jednostkowej i zbiorowej egzystencji oraz że możemy zgodzić się na osłabienie tej wartości na rzecz spotkania z Innym. (...) Dopóki mamy tożsamość, dopóty walczymy o nią i gotowi jesteśmy w jej imię atakować Innych: kiedy tożsamość przechodzi w stan płynny, nie dbamy o nią, lecz nie możemy w związku z tym nikogo obdarować szacunkiem za jego Inność. Tu właśnie nowoczesność dobiega kresu* (*Kłopoty z nowoczesnością*).

Do zalet książki *„Życie jest z przenikania..."* zaliczam wielość spojrzeń i nastawień emocjonalnych. Ujęcia esencjonalne przygotowane przez wybitnych uczonych – z okazji kolejnych doktoratów honoris causa dla Ryszarda Kapuścińskiego, w których ujawnia się trudna sztuka charakteryzowania w kilku rzutach istoty pisarstwa, a także kunszt krótkich wykładów o wartościach, spotykają się rozbudowanymi rozprawami – z użyciem pełnego aparatu naukowego; szeroko zakrojone próby problematyzacji sąsiadują z interpretacjami poszczególnych utworów, eseje wplatają się w tkaninę wspomnień.

Podkreślam wielowątkowość rozważań, tak wybranych, by dać możliwie pełny obraz dokonań Ryszarda Kapuścińskiego – człowieka i pisarza, lecz widzę to jasno, z umiarkowanym zachwyceniem, że nie oddałem sprawiedliwości wszystkim tekstom. Zatem wypadnie tylko odnotować oryginalne i bogate problemowo rozprawy Joanny Kisiel *Ja - Inny. O poezji Ryszarda Kapuścińskiego* oraz Anety Wysockiej *Drogowskazy słów. Język w twórczości Ryszarda Kapuścińskiego*, także esej Jarosława Mikołajewskiego *Młodszy brat poetów* oraz szkic Leszka Mądzika o Kapuścińskim – artyście fotografiku.

Bogusław Wróblewski (redaktor i pomysłodawca tomu) przyjął porządek trójdzielny, w którym ujawniają się najważniejsze założenia twórczości Kapuścińskiego. Równocześnie zaakcentowane zostają takie cechy, jak ruch i zmiana. Lakoniczne tytuły wyodrębnionych części brzmią jak fragmenty literackiego manifestu: „wyjść poza opis", „wyrazić siebie", „zrozumieć świat". Od zagadnień literackich przechodzimy do ekspresji osobowości, od podróży w głąb własnej świadomości do spraw wielkiego świata – rozrywanego przez konflikty, okrutnego, niezrozumiałego, nieodmiennie fascynującego. Trudno tym formułom odmówić trafności. Czytelnik został obdarowany monografią rozpisaną na głosy, tomem najcelniejszych przybliżeń twórczości Ryszarda Kapuścińskiego, podręczną książką zachęcającą licznych miłośników tego pisarstwa do samodzielnych interpretacyjnych odkryć. Odebraliśmy lekcję precyzyjnego i uważnego czytania.

„Życie jest z przenikania...". Szkice o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Zebrał, opracował i wstępem opatrzył: Bogusław Wróblewski. Posłowie: Alicja Kapuścińska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008, ss. 299+5 nlb.

FRANCISZEK PIĄTKOWSKI

SZKICE O TWÓRCZOŚCI RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO – *GLOSY*

Glosa I: początkowa

– Siostro – spytałem – dlaczego siostra to zrobiła?

Klęczeliśmy w śniegu, pod niskim niebem, między nami była żelazna krata. Przez kratę widziałem oczy zakonnicy, oczy wielkie, brązowe, z gorączką w źrenicach.

Trzy zdania i tylko dwadzieścia dziewięć składników w tych zdaniach. Przeczytałem je po raz pierwszy ponad czterdzieści lat temu. W ciągu ostatnich lat cytowałem je „z głowy" na pewno więcej niż sto razy, ale dopiero przy pisaniu tego tekstu zadałem sobie pytanie: w jakim zakonie żeńskim jest krata w rozmów-

nicy, i to tak nisko usytuowana, że aby rozmawiać, trzeba uklęknąć? Dzwoniłem do kilku zgromadzeń zakonnych. Odpowiedź za każdym razem była podobna: pewnie u klarysek. A może u karmelitanek bosych? Ale żeby klęczeć w czasie rozmowy? To chyba nie.

I tu dociekanie: kiedy to było? Jeżeli w czasach przedsoborowych, to możliwe. Sobór Watykański II odbył się w 1962 roku.

Pierwsze wydanie *Buszu po polsku* Ryszarda Kapuścińskiego też miało miejsce w 1962 roku i był to pierwszy zbiór reportaży, jaki Kapuściński opublikował. W tym zbiorze jest reportaż *Uprowadzenie Elżbiety*, który rozpoczyna się słowami „Siostro – spytałem (…)". Oczywiście, że napisany był nie w 1962 roku, a sporo wcześniej.

Glosa II: o niemożności

Recenzowanie pracy zbiorowej o pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego nie jest dla mnie łatwym zadaniem z dwóch powodów.

Powód pierwszy: twórczość Ryszarda Kapuścińskiego, jego kunszt pisarski, poglądy, wiedza, wrażliwość oglądane są w tej książce z wielu wież obserwacyjnych, a przy tym co „wieża", to inne „schody" i inny jej fundament: filozofia, antropologia, estetyka, genologia, teoria literatury, socjologia, historia najnowsza oraz historia i teoria gatunków prasowych. Przy bliższym wejrzeniu okazuje się, że „schodów" zbudowanych z reguł humanistycznej interpretacji świata, a użytych w tej książce do przeanalizowania danych empirycznych znajdujących się w polu wartości „dzieło – metoda – biografia Ryszarda Kapuścińskiego", jest więcej. Myślę tu o dawcach myśli i syntez nacechowanych walorem nowości, często rewelatorskich. Były takie myśli i syntezy w ubiegłym wieku. Intertekstualizm Michaiła Bachtina, ale przecież nie tylko intertekstualizm! Przenikliwa i wizjonerska filozofia arystokraty ducha José Ortegi y Gasseta (przede wszystkim *Bunt mas*, zob. *Lapidaria*). Ustalenia Waltera Onga na temat kultury cyrograficznej i kultury oralnej, a przede wszystkim to, co dotyczy cech i znaczenia poezji formularnej, a co przy odczytywaniu reportaży z Afryki Ryszarda Kapuścińskiego jest bardzo przydatne i co uchyla wiele pytań dotyczących dokumentowania tematów afrykańskich. Do tego filozofia języka Ludwiga Wittgensteina. Strukturalizm Claude'a Lévi-Straussa w melanżu z morfologią świętości Mircea Eliadego. I jeszcze: politologiczne, bo przecież nie historiozoficzne wizje i fantazje Francisa Fukuyamy czy Samuela Huntingtona. I tak dalej albo w związku z przywoływaniem tych i innych nazwisk przez samego Kapuścińskiego, albo w związku z dowodami przeprowadzanymi przez autorów rozpraw zamieszczonych w *Szkicach o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego*. W książce jest dwadzieścia „szkiców" plus wstęp redaktora (Bogusław Wróblewski) i posłowie tej, która była „przez długie lata pierwszą czytelniczką jego tekstów" (Alicja Kapuścińska).

Przez trzy dziesiątki lat byłem dziennikarzem, a zatem – według powszechnej definicji – dyletantem. Ale choćbym przez wszystkie te lata rozpoznawał dziedziny wiedzy przywołanej po słowach „powód pierwszy" i uważnie tropił dorobek rewelatorów myśli humanistycznej minionego stulecia, to i tak – przy tym rozrzucie wież obserwacyjnych i strategii analitycznych – wyczerpującej recenzji ze *Szkiców...* napisać się nie da. Bo trzeba by upisać kilkadziesiąt stron maszynopisu. Bo zaplecze kompetencyjne autorów „szkiców" dalece przerasta pokłady kompetencji możliwe do zgromadzenia przez pojedynczego autora. Można oczywiście udawać, ale „żeby udać, trzeba sztuki", a raczej wielu sztuczek. Można „wyłapywać" zbyt daleko idące albo mocno dyskusyjne konkluzje (myślę tu przede wszystkim o kwestii: proza artystyczna – reportaż; narracja a widmo fikcji) czy dawno przebrzmiałe spory (reportaż literacki – reportaż – „informacja sfabularyzowana". Notabene – to ostatnie określenie, zaproponowane przez Kapuścińskiego w *Lapidariach*, jest arcytrafne i bardzo przydatne). Można też pytać,

dlaczego autorzy rozpraw poskąpili Ryszardowi Kapuścińskiemu rozległego tła gatunkowego (reportaż polski okresu międzywojennego, a przede wszystkim wielka fala polskiego reportażu w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku) i tła „metagatunkowej" refleksji (myśli i dzieła Egona Erwina Kischa, dorobek Ernesta Hemingwaya, a na gruncie polskim półwiecze Melchiora Wańkowicza i jego rozprawy o metodzie; co z tego, że gawędziarskie?).

Powód drugi, dla którego pisanie tego tekstu nie przychodzi mi łatwo: pisałem kiedyś wiersze i reportaże, ale nigdy nie napisałem recenzji dotyczącej tych dziedzin twórczości. Dlaczego? Właśnie dlatego, że pisałem.

Glosa III: olśnienie

Klęczeliśmy w śniegu, pod niskim niebem, między nami była żelazna krata. Przez kratę widziałem oczy zakonnicy, oczy wielkie, brązowe, z gorączką w źrenicach.

Cytuję te zdania dla innych i dla siebie, żeby się dziwić, jak można uzyskać tak jedyną celność słów. I namalować tymi słowami obraz wyrazisty, kolorystycznie zwaloryzowany: brąz oczu, czerń albo głęboki brąz spatynowanej żelaznej kraty; czerń zakonnego habitu (klaryski) albo także brąz (karmelitanki); biel śniegu jako tło i rozpięte nad tą bielą niskie niebo, więc pewnie przytłaczające jak w *Ziemi* Ferdynanda Ruszczyca. A do tego muzyczny, brzmieniowy walor tych trzech zdań, od „siostro" po „w źrenicach"; ten ich rytm, energia i niemal biologiczny puls słów ułożonych w zdaniowe wątki („czołgałem się mozolnie do krwiobiegu słowa" – to z wiersza).

W jednej z rozmów z Ryszardem Kapuścińskim ostrożnie pytałem, jak maluje się takie obrazy i jak trzeba zatrudniać słowa, aby uzyskiwały taką energię. Mówiliśmy o poezji. Mówiliśmy o odkryciu profesora Juliana Krzyżanowskiego (wbrew Stanisławowi Szoberowi), że trójczłonowy okres zdaniowy to jest chyba ta tajemnica, która decyduje, że tak „gładko" czyta się Sienkiewicza, ale także niektóre utwory Prusa czy Żeromskiego. Wtedy nie otwierałem *Sztuki słowa* Krzyżanowskiego. Dzisiaj mam przed sobą jej wydanie sprzed kilkudziesięciu lat: *Uwaga o bezwiednym upodobaniu Sienkiewicza do układów trójkowych ma swoje dobre uzasadnienie w wypadkach, gdy autor „Listów z podróży do Ameryki" buduje trzyzdaniowe okresy, bądź krótkie, bądź bardzo nawet długie, znane już z powieści o pustyni i puszczy.*

Wielu historyków literatury faktu (w czasach Egona Erwina Kischa mówiło się „literatury faktów") zalicza *Listy z Ameryki* nie do sztuki epistolarnej, lecz do sztuki reportażu.

Wtedy – po spotkaniu Ryszarda Kapuścińskiego z tłumami, jakie tego dnia zgromadziła Wszechnica Myśli Współczesnej – w mieszkaniu przy ulicy 1 Maja w Białymstoku spytałem go o największą tajemnicę w uprawianiu reportażu. Powinienem przecież spytać, bo byłem wtedy zastępcą redaktora naczelnego „Kontrastów", miesięcznika uznawanego za ogólnopolskie pismo reporterów i autorów literatury faktu.

Wiła się, krążyła rozmowa o Iranie i Afganistanie (wtedy bardzo aktualne), o Polsce i Polakach, o pisaniu poezji znowu i o Michaile Bachtinie, o tym, że „być – znaczy być dla innego i poprzez niego – dla siebie". Najpiękniejsze, najbardziej optymistyczne zdanie w dziejach humanistyki światowej – „każdy sens będzie miał swoje święto odrodzenia" – też pewnie było przywoływane.

A może Bachtin był dopiero przy następnym spotkaniu? Ale w czasie tej pierwszej, długiej domowej rozmowy na pewno pojawił się *Chrystus z karabinem na ramieniu*. Mówiłem wtedy, jak poruszający i porażający jest opis ciszy w reportażu *Śmierć ambasadora* (*Jak zginął Karl von Spreti*), a szczególnie ten passus: *Byłoby ciekawe, gdyby ktoś zbadał, w jakim stopniu światowe systemy masowego przekazu pracują w służbie informacji, a w jakim – w służbie ciszy i milczenia. Czego jest więcej: tego, co się mówi, czy tego, co się nie mówi. Można obliczyć liczbę*

ludzi pracujących w dziedzinie reklamy. A gdyby obliczyć liczbę ludzi pracujących w dziedzinie utrzymania ciszy? Których byłoby więcej?

To są zaledwie dwie strony druku, ale bardzo odkrywcze i bardzo ważne, bo zwiastujące eseistyczne dopływy do głównego, reportażowego nurtu w twórczości Kapuścińskiego. Pan Ryszard wpisał mi dedykację na pierwszej z tych stron: „Franciszku! Trzeba kochać ludzi." To była jego odpowiedź na łagodnie dyżurujące w rozmowie pytanie o tajemnicę, metodę i sens uprawiania reportażu. – Naprawdę? – spytałem. Pamiętam dobrze, że odpowiedział: „Tak, to najważniejsze". A ja myślałem, że będziemy mówili o mnemotechnicznym „pięć a": reportaż jest aktualny, autorski, autentyczny, akcyjny i asertoryczny.

„A" ukryły się po kątach. Setki przeczytanych i dziesiątki napisanych reportaży wypadły ze stopniowalnych orbit ważności, na jakich je umieszczałem.

Ciągle czytam i cytuję Ryszarda Kapuścińskiego nie tylko zgodnie z regułą interpretacyjną „trzeba kochać ludzi", którą teraz odsłaniają również autorzy omawianej książki, nazywając ją czasem „empatią". Wcielona w jego słowa rzeczywistość, sztuka zatrudniania słów, eidetyczna analiza faktów i zdarzeń bądź, gdy trzeba, redukcja eidetyczna właściwe Ryszardowi Kapuścińskiemu – to także piękne dla umysłu przygody, ale że trzeba k o c h a ć l u d z i ? Toż to była dla mnie (i jest) rewelacja, ustalenie nowej osi reportażowego świata. Chodzi o oś wartości nie w polu estetyki tekstu, ale w skali człowieczej, w polu ludzkich wartości.

Glosa IV: do znaczenia

Spośród wielu publikacji prasowych i utrwalonych w formie druków zwartych, jakie ukazały się po śmierci Ryszarda Kapuścińskiego – trzy książki są mi bardzo potrzebne (podaję w kolejności wydania, choć odległości w czasie były niewielkie): właśnie *Życie jest z przenikania...* pod redakcją Bogusława Wróblewskiego; *Ryszard Kapuściński. Biografia pisarza* Beaty Nowackiej i Zygmunta Ziątka; *Ryszard Kapuściński. Portret dziennikarza i myśliciela* – tom będący pokłosiem konferencji naukowej z 2007 roku (Uniwersytet Jagielloński), a zredagowany aż przez cztery osoby (Kazimierz Wolny-Zmorzyński, Wiesława Piątkowska-Stepaniak, Bogusław Nierenberg i Wojciech Furman). Tom „krakowski", wydany przez Uniwersytet Opolski, ocala i rozkrzewia referaty wygłoszone w Krakowie. Tom „piwowski" opracowany przez lubelskiego redaktora ocala i rozkrzewia m.in. opinie i laudacje związane z nadawaniem Ryszardowi Kapuścińskiemu tytułów doktora honoris causa kilku uniwersytetów krajowych i zagranicznych, chociaż dominują w tej książce – jakościowo i objętościowo – teksty specjalnie do niej napisane.

W wymienionych tomach jest bardzo dużo światła, w którym lepiej i dokładniej widać rangę dzieła Ryszarda Kapuścińskiego i które dobrze rozjaśnia ścieżki jego biografii. Co więcej: lektura tych książek sprawia, że ponownie czytane reportaże Ryszarda Kapuścińskiego nabierają nowych znaczeń, potęgują swój sens, jawią się w nowych, wielobarwnych aspektach. W przypadku tomu piwowskiego światło pada nie tylko na reportaże. Głęboko przenika także dorobek poetycki cesarza reportażu, a do swojej poezji Ryszard Kapuściński miał stosunek szczególny, zaskakujący, wciąż świeży, jak debiutant w permanencji. W odróżnieniu od referatów dotyczących spuścizny poetyckiej Ryszarda Kapuścińskiego w tomie krakowskim, w których autorzy rozważają wiersze reportażysty na tle czasu i twórczości innych poetów – w tomie lubelskim dominuje wgląd w istotę wierszy, w ich kształt formalny i znaczące treści. Dodatkową wartością w *Szkicach o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego* jest także tekst o fotografii, przypomnienie, że Ryszard Kapuściński fotografował dużo, dobrze i celnie, a jego zdjęcia potrafią same opowiedzieć historię.

Dobór autora tekstu o fotografiach Kapuścińskiego był zapewne starannie przemyślany. Przecież twórca Sceny Plastycznej KUL, Leszek Mądzik, od kilku-

dziesięciu już lat pokazuje, że możliwe jest stawanie się obrazów w teatralnej przestrzeni i w teatralnym continuum czasowym. Nie układanie obrazów z gotowych albo spreparowanych przedmiotów, ale właśnie stawanie się – w obecności widza – malarskiej kompozycji nasyconej aurą, myślą i emocjami. Czyta więc Leszek Mądzik fotograficzne obrazy Kapuścińskiego tak na przykład: *Oba zdjęcia unikają dosłowności anegdoty. Silniejszy od przedstawionych w ruchu matki z synem jest klimat powietrza, faktura muru, skwarnego dnia.* Albo tak: *Twarzy jest wiele (...) Nie ma strachu, lęku, obawy, pojawia się natomiast jakieś zawierzenie, może przelotna przyjaźń, właśnie na tę chwilę – ale szczera, bardzo ludzka.* Jest aura, treść i emocje. Można cytować dalej, ale trzeba też zauważyć ramę kompozycyjną tekstu Mądzika. Wyznacza ją fascynacja: kompozytor teatralnych wizji – zafascynowany kompozytorem słów. Człowiek w pełni sił twórczych urzeczony człowiekiem wielkim w tworzeniu i dzielnym w cierpieniu.

Ta fascynacja nieobca jest także innym autorom rozpraw zamieszczonych w *Szkicach...*, choć może to raczej pokusa rozpoznawania wielkiej osobowości. Do fascynacji, urzeczeń łatwiej przyznają się artyści, a szczególnie poeci.

Glosa V: do glos możliwych

1. Skąd ja to wziąłem? Nie pamiętam, ale pamiętam, że idiota tym różni się od normalnego człowieka, że nie umie się zorientować, która godzina. Może patrzeć na wahadło zegara i liczyć „jeden, jeden, jeden...", ale godziny odczytać nie potrafi. Tak bywa i z obserwacją faktów i to nie tylko u idiotów. Można je skrupulatnie rejestrować, protokolarnie zapisywać aż do granic kazuistycznej metrykalności, ale w ten sposób nie da się ustalić „godziny świata", nie będzie możliwy „wgląd w istotę" (termin z Husserla). Kapuściński tym różnił się od legionów reporterów, że za nic miał zliczanie „jeden, jeden, jeden", protokolarne zapisy i nużącą metrykalność. On śledził godziny świata, tłumaczył kultury i widział istotę pod powierzchnią zdarzeń. Potrafił „przenikać" pod tę powierzchnię (stąd „przenikanie" w tytule książki i we wstępie Wróblewskiego). Najlepiej oświetla to trzeci rozdział omawianego tomu, zatytułowany *Zrozumieć świat*.

Pod żadną z sześciu rozpraw umieszczonych w tym rozdziale nie ma informacji, że jest to nowa wersja dawniejszej recenzji czy laudacji albo wariant wcześniej drukowanego tekstu. Wszystkie napisane zostały z myślą o książce zorganizowanej i zredagowanej przez redaktora naczelnego „Akcentu". Cztery rozprawy należą do autorów mieszkających w Lublinie lub szczególnie związanych z Lublinem (odpowiednio: Tadeusz Szkołut i Aneta Wysocka oraz Bohdan Dziemidok i Marek Kusiba). Odnotowuję ten fakt nie tyle powodowany dyrektywą Ignacego Fika dotyczącą prowincjonalizmu, ile potrzebą zauważenia wieloletniego dyżurowania kwartalnika „Akcent" w obszarze dokonań twórczych Ryszarda Kapuścińskiego i w organizowaniu refleksji o tej twórczości.

Objaśniłem już wcześniej, dlaczego uchylam się od otwartego recenzowania zbioru rozpraw i wybieram pretekstową poetykę glosy („pasożytną" – to za Norwidem). Dobrym na przykład pretekstem jest fragment szkicu Bohdana Dziemidoka, w którym referowany jest stosunek Ryszarda Kapuścińskiego do egzystencjalizmu, bo otwiera on pytanie o praktykowanie egzystencjalizmu w wersji heroicznej. Bohater *Dżumy*, doktor Rieux wychodzi w zakażoną przestrzeń w pełni świadom ceny, jaką może zapłacić za zasadę „obchodzi mnie tylko, żeby być człowiekiem". Czy Kapuściński, przemierzający obszary zadżumione wojnami i rewolucjami, terrorem i bandytyzmem, chorobami i głodem nie jest bardzo podobny do doktora Rieux?

Inne preteksty: ryzykancka odwaga przemyśleń Zbigniewa Bauera, lekcja pokory pobrana u Przemysława Czaplińskiego (logika wywodu i jedynie trafny dobór cytatów egzemplifikujących stawiane tezy) albo rozprawa Anety Wysockiej o „drogowskazach słów", która oby się stała drogowskazem do dalszych badań nad

językiem Kapuścińskiego – korespondenta, reportażysty, myśliciela, artysty. Tego, który musiał przeliczać dolary na słowa i dla którego tak ważne było poszukiwanie słowa jedynie trafnego (wobec miejsca, jakie w jego warsztacie zajmowała poezja). To tylko dla przykładu.

2. Czy ja dobrze pamiętam, że to Michał Anioł tak mówił o sztuce rzeźbienia: *To bardzo proste. Wystarczy wziąć odpowiedni blok marmuru i stopniowo odłupywać niepotrzebne fragmenty*? W *Lapidariach* Ryszard Kapuściński wynotował z Czechowa: *Wyrzeźbić twarz w marmurze to tyle, co usunąć z bryły wszystko, co nie jest twarzą*. Ba! Ja też miałem do dyspozycji bryły słów i też próbowałem rzeźbić w słowach twarze. Wielu próbowało, ale Michał Anioł światowego reportażu był jeden. Przyznawał to John Updike, Gabriel Garcia Marquez i ci wszyscy, którzy tłumaczą dzieła Ryszarda Kapuścińskiego na coraz to inne języki.

3. W Stanach Zjednoczonych opublikowany został niedawno raport zespołu badaczy (licznego zespołu), który przewiduje krach gazet codziennych coraz to bardziej „podgryzanych" przez Internet i przez Internet ogołacanych z reklam i ogłoszeń. W konkluzji badacze przewidują, że pustkę wypełni „prasa sensu" i twierdzą, że takie wypełnianie już się zaczęło w USA i we Francji.

Kiedy zmarł Ryszard Kapuściński, wielu literatów, reportażystów, krytyków i dziennikarzy (nie mylić ze śmieciarzami trudniącymi się dziennikarstwem śmieciowym) twierdziło, że oto odszedł ten, który zamyka epokę w dziejach dziennikarstwa i reportażu. Ale jeżeli rzeczywiście odrodzi się „prasa sensu", to może być i tak, że sens dzieła i nowatorskiej metody Ryszarda Kapuścińskiego będą dla takiej prasy bardzo przydatne. Miejmy nadzieję, że tak się stanie.

„Życie jest z przenikania...". Szkice o twórczości Ryszarda Kapuścińskiego. Zebrał, opracował i wstępem opatrzył: Bogusław Wróblewski. Posłowie: Alicja Kapuścińska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008, ss. 299+5 nlb.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Leksykon symboli. Herder. Przełożył Jerzy Prokopiuk. Redaktor wydania Lech Robakiewicz. Wydawnictwo tCHu, Warszawa 2009, ss. 359.

Pożegnanie poety. Ostatnia droga Wacława Iwaniuka. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2009, ss. 80 (w tym liczne zdjęcia).

Węgierski łącznik. Ákos Engelmayer, Csaba György Kiss, István Kovács, Attila Szalai, Imre Molnár odpowiadają na pytania Pawła Cebuli i Grzegorza Górnego. FRONDA, Warszawa 2008, ss. 254.

György Spiró: *Mesjasze.* Przełożyła Elżbieta Cygielska. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2009, ss. 797.

Michał Głowiński: *Nowomowa i ciągi dalsze. Szkice dawne i nowe.* Wydawnictwo Universitas, Kraków 2009, ss. 266.

Elżbieta Cichla-Czarniawska: *Przędziwo. Małe prozy.* Posłowie Piotr Sanetra. Polihymnia, Lublin 2009, ss. 81.

Henryk Czarniawski: *W gospodarstwie Gintowtów na przedmieściu Wilna. Wspomnienia.* Polihymnia 2009, ss. 159 (w tym liczne zdjęcia).

Jarosław Marek Rymkiewicz: *Rozmowy polskie w latach 1995-2008.* Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2009, ss. 281.

Piotr Kępski: *Single.* Opowiadania. Jirafa Roja, Warszawa 2009, ss. 302.

Barbara Holland: *Radość picia.* Przełożył Jacek Konieczny. Wydawnictwo W.A.B, Warszawa 2009, ss. 245+3 nlb.

Rafał Wojasiński: *Piękno świata.* PIW, Warszawa 2009, ss. 172+3 nlb.

przekroje

Prozaicy, prozaicy...

JOANNA KISIEL

ZABAWA W CHOWANEGO

Jeżeli dojrzały, uznany poeta wydaje pierwszą książkę prozatorską, to prawdopodobnie jest po temu jakiś powód. Pokusa i ryzyko kolejnego debiutu wtedy, gdy ma się już niemało do stracenia, dodają smaku takiemu przedsięwzięciu. Spróbować czegoś nowego czy wydobyć z ukrycia to, co nawarstwiało się latami, zatrzymane przed progiem wypowiedzenia? Autor *Życia, a zwłaszcza śmierci Angeliki de Sancé* próbuje rzecz objaśniać, odgaduje pytania czytelników, wychodzi naprzeciw odbiorczej ciekawości, a może mimowolnie przyznaje się do tego, że czuje potrzebę uzasadnienia swoich działań: *To ja napisałem tę książkę. Napisałem ją prozą, ponieważ to proza jest językiem, jaki przystoi literaturze faktu. Pisałem ją na drzewie. Pisałem ją w pociągach. Pisałem ją przy ognisku. Pisałem przy biurku. W końcu napisałem.*

Objaśnienia Jacka Podsiadły zdają się trafiać w sedno. Literatura drogi i zasiedzenia, kontaktów z naturą i cywilizacyjnych ułatwień, świadectwo społecznych więzów i dowody samotności to w tym wypadku efekty owego długiego pisania. Proza wymaga przecież czasu, całkiem odmiennie niż nagły błysk poetyckiej inwencji, a podjęcie długiej formy wiąże się raczej z obietnicą różnorodności niż esencjonalnych ujęć. Prawda prozy, jakże inaczej od prawdy liryki, zbliża się chętniej do faktów, mniej czuła bywa na pokusy myślowej kondensacji. Być może z tego powodu zasadniczą figurą nowej książki Podsiadły będzie swoiście rozumiana naoczność i programowa faktyczność. *Ta książka traktuje wyłącznie o rzeczach widzialnych* – przekonuje autor, a jego przenikliwe oko, nieco demonicznie wybłyszczone, nie bez przyczyny spogląda na nas z fotografii na pierwszej stronie okładki. „To ja napisałem tę książkę" – rzucone w twarz niedowiarkom – w sposób absolutnie niepodważalny podkreśla w niej obecność i wagę silnego podmiotu. To ja napisałem, to ja tak patrzę i tak doświadczam świata. Podmiotowa ekspresja określa charakter książki. Ta swoista „literatura faktu" to nic innego jak powrót autora – demonstracyjny, spektakularny i przewrotny.

„W życia wędrówce, na połowie czasu" – w biografii artysty oznacza moment ważny i niebezpieczny. Nietrudno wtedy, jak wiadomo, zgubić się w lesie własnego losu, łatwo przeoczyć, że to czas najwyższy, jeśli nie ostatni, by rozpocząć w końcu świadomą wędrówkę, pokusić się o daremny w gruncie rzeczy wysiłek uporząd-

kowania świata. Sądzę, że na książkę Jacka Podsiadły warto spojrzeć w takim właśnie kontekście, chociaż z całą pewnością mamy tu do czynienia z zamierzeniem całkowicie niejednoznacznym. Mozaika luźno powiązanych fragmentów, oferta różnorodności, labirynt żartu, wygłupu, dezynwoltury i nieujarzmionej fantazji nakazuje oczekiwać wszakże porządku w innym wymiarze, instynktownie wymusza na czytelniku poszukiwanie sensu. Spoza postmodernistycznej zabawy, kulturowych gierek dopuszczających krzyżowanie się dowolnych stylów i opowieści, dla których najbardziej spektakularne jest bodaj spotkanie Anhellego i Angeliki de Sancé, bohaterki popularnego czterdzieści lat temu cyklu filmów przygodowo-romansowych, zdaje się przeświecać swoisty projekt książki tożsamościowej. *Życie, a zwłaszcza śmierć Angeliki de Sancé* to w moim przekonaniu tekst co najmniej podwójny, konsekwentna zabawa w chowanego. Na jednym poziomie pozostajemy w kręgu intertekstualnych napięć i ich nieoczekiwanych możliwości, uczestniczymy w lekkiej, choć niepozbawionej ostentacji żonglerce kulturowymi odniesieniami tam, gdzie podział na sferę wysoką i masową dawno utracił już jakiekolwiek znaczenie, dajemy się ponieść żywiołowi pastiszu, parodii i eklektycznych dowolności, które zdają się dryfować w stronę płynnych granic sensu i nonsensu. Na tej płaszczyźnie ani przez moment nie wątpimy w trafność autorskiej deklaracji: *Znam całą tę kulturę jak woźnica końską dupę*.

Ta zabawa ma wszakże swoją drugą stronę. Daje się bowiem czytać jako narracja tożsamościowa, zbieranie danych, poszlak, a może i dowodów służących rozwiązaniu zagadki Sfinksa, bez ustanku powtarzającego niebezpieczne pytanie: kto to jest, kto za tym wszystkim stoi? Postmodernistyczny eklektyzm to, jak sądzę, tylko pozór, kryjący mocny modernistyczny podmiot, wokół którego kręci się cała ta różnorodna, wieloaspektowa mozaika. W gruncie rzeczy mamy tu do czynienia z portretem artysty w czasach biograficznego przełomu, segmenty książki tworzą fragmenty jego fantazmatycznej autobiografii. To w tym kontekście możliwe jest spotkanie postaci rzeczywistych, czasem wymienionych nawet z nazwiska, osób reprezentujących życie literackie i tych, które odegrały jakąś rolę w życiu poety, z postaciami fikcyjnymi, których udział w życiu wyobraźni jest przecież równie realny. Okruchy zdarzeń biograficznych i obejrzane filmy, poddane działaniu reguł właściwych dla funkcjonowania rzeczywistości fantazmatycznej, w równym stopniu budują opowieść o bohaterze książki, który co rusz przyznaje się do bliskich związków z jej autorem. Realność miesza się tu z fantazją, zapiski z faktycznie mających miejsce podróży ze snuciem fabuł nieprawdopodobnych i niemożliwych, rozwijanych na kanwie wątków pochwyconych z filmów czy książek. Zabawa ta nie jest wszakże niewinna. Książka Podsiadły tylko na jednym planie realizuje model literatury ludycznej, i czyni to lekko, dowcipnie, na ogół z wdziękiem, zawsze z bezbłędną świadomością języka. Plan drugi, na którym trwają poszukiwania tożsamościowe, kładzie się cieniem na niezobowiązującym, nienawykłym do zdroworozsądkowych ograniczeń tonie prześmiewczych sztuczek. I ta podwójność w nowej książce niegdysiejszego poety „bruLionu" podoba mi się najbardziej. W równym stopniu wierzę w deklarację autora: *Do jej napisania skłoniła mnie rozpacz*, prędką refutację tego wyznania: *Żartowałem z tą rozpaczą*, jak i przekonuje mnie dewiza: *Człowiek rozpaczałby przez całe życie, ale na szczęście czasem musi pograć w piłkę*.

Rozpacz i żart, smutek i gra, dyrektywa: *Bo trzeba coś czuć, za wszelką cenę*, i ucieczka od czucia – te bieguny wytyczają obszar szczególnej zabawy w chowanego. Strategia odsłaniania i zasłaniania, a także cudowny ładunek autodemaskacji i autoironii określają charakterystyczny sposób istnienia podmiotu i głównego bohatera książki. Obecność w tytule Angeliki de Sancé jest przecież także rodzajem zasłony, zaproszeniem do gry w ujawnione i ukryte. *Życie, a zwłaszcza śmierć…* zapowiada realizowaną tu konsekwentnie taktykę autozaprzeczeń. Życie czy śmierć, wzruszenie czy żart, rzeczywistość czy fantazja, poeta w trudnym wie-

ku czy piękna Angelika, znajomi autora czy bohaterowie westernów – kto wygra w zawodach o czytelniczą uwagę i o co tu właściwie chodzi?

Nieprzerwane krzyżowanie się planów zachodzi lekko, bez wysiłku, bez ograniczeń. Prawie pozwalam się unieść żywiołowi niezobowiązującej zabawy. A jednak myśl o podmiocie tego literackiego przedsięwzięcia nie opuszcza mnie ani na chwilę. Tytułowa bohaterka z wdziękiem zasłania właściwego bohatera książki, ale także ona, mająca zapewne słodką twarz i kształty Michéle Mercier, uchyla przed czytelnikiem drzwi do fantazmatycznego życia mężczyzny, który nie przestał być chłopcem. Fantazje o romansach Angeliki są konsekwencją doprowadzenia poza granice absurdu założeń popularnego swego czasu filmowego cyklu, ale także symbolicznym spełnieniem chłopięcych marzeń o nieosiągalnym kobiecym ideale, gdy u boku pięknej markizy pojawia się rozpaczliwie zakochany w niej pajączek Olgierd Jelitko. Są wreszcie swoistą zemstą na niej, gdy projektują groteskową starość bohaterki i drwią z jej ostatecznego wyzwolenia przez czas.

Dla bohatera, którego wiek, bliski wiekowi autora, określić należałoby jako średni, czas – co w żadnym stopniu nie zaskakuje – jest doświadczeniem najogólniej rzecz ujmując problematycznym. Fantazje rodzą się gdzieś u jego źródeł: *To długa historia. Można ją zacząć od miejsca, w którym czas nie jest jeszcze bezduszną, gotową na wszystko otchłanią, ale swojskim, niemal posłusznym naszej woli uporządkowaniem zdarzeń i ich następstw*. Niegdysiejsza poczciwość czasu i jego straszliwa otchłań, szczególnie dotkliwa dla wampirów, to dwa podstawowe wymiary, które przywołuje Podsiadło. Jest to o tyle istotne, że bohater pozostaje rozpostarty pomiędzy ową mityczną szczęśliwością wiecznego chłopca, gotowego ciągle bawić się w Indian, a dekadencką świadomością schyłku, przesytu i ciężaru czasu.

Winneratu, kontaminacja Winnetou i Nosferatu, to imię oznaczające świadomą niezgodę na temporalny porządek ludzkiego życia, jest wskaźnikiem niechybnego zagubienia w czasie. Zatem z jednej strony otwartość na zabawę, wolność od społecznych zobowiązań, wszak „robota to głupota", pragnienie przygody i gotowość zmian, a ze strony drugiej ostrzegawcze sygnały bezwzględności kalendarza i odkładających się w ciele nieodwracalnych ograniczeń: *teraz nadajemy się tylko do jednoboistów. Bój to jest nasz ostatni, jak mówi poeta*.

Oto Piotruś Pan w pułapce rozgrywki finalnej. Wciąż szukający swego imienia, ponawiający pytania o własną tożsamość bohater książki jawi nam się w różnych przebraniach i wersjach. Jako „pisarz w gruncie rzeczy z prowincji", który „przy każdej okazji turla się z leszczynowej górki", i jako żyjący drobiazg – pająk Olgierd Jelitko w szaleństwie swoich romansowych przygód; jako nienawykły do luksusu podróżnik do krain nieodległych, lecz nieczęsto odwiedzanych, i jako upiorny graf zawieszony w czasie, bliższy filmowym wersjom Herzoga i Coppoli niż literackiemu pierwowzorowi. Zresztą realistycznych i fantazmatycznych masek podmiotu napotkamy znacznie więcej, jeśli tylko przyjmiemy możliwość lektury książki jako szczególnej gry tożsamościowej. Bohater czuje się w tym zakresie niepewnie, dość symptomatycznie przywołuje postacie najbliższych krewnych w linii męskiej, dzięki czemu możliwe okaże się choć prowizoryczne osadzenie siebie w czasie. Za sprawą ojca, uczestnika męskiej rozmowy o tym, „czy miało mnie nie być", wywołanej przez dręczące pragnienie, by „wiedzieć wszystko o sobie", ma miejsce „dotknięcie" przeszłości, do której ów ojciec, dość niekonwencjonalnie pożegnany w scenie pogrzebu, nieodwołalnie już przynależy. Syn zaś, naturalnym porządkiem rzeczy, zgodnie z przyjętym indiańskim imieniem Pięć Szybkich Żyraf, zdaje się umykać w nieznaną już bohaterowi przyszłość.

Nie wiem, jak zastawić pułapkę na samego siebie. A jednak łatwość, z jaką rozwiązuje się niektóre zagadki, irytuje mnie. A jednak wolałbym, żeby pozostały mroczne. Albo żeby były choć trochę złożone. Tożsamościowy projekt, zapisany w pozornie ludycznej książce Podsiadły, nie osiąga ani nie zamierza osiągnąć żadnej jasności. Pozostaje w sferze pytań, niedopowiedzeń, niepokoju. Podmiot-bohater wciąga

nas w grę, żongluje prawdą (cóż to jest prawda?) i zmyśleniem, bawi się z nami w chowanego, nieustannie jednak skupiając na sobie uwagę. Fragmenty fantazmatycznej autobiografii? Portret artysty w trudnym czasie życiowego przełomu? Opowieść o mężczyźnie w drodze? Ależ tak!

Podczas lektury książki Podsiadły warto mieć w pamięci jej motto, zaczerpnięte z klasycznej pracy Gerardusa van der Leeuwa. Sugeruje ono istnienie analogii między mężczyzną a bogiem, językiem a religią: *W językach pierwotnych mężczyzna, który przychodzi, jest innym mężczyzną niż ten, który odchodzi. W pierwotnych religiach bóg, który przychodzi, jest innym bogiem niż ten, który odchodzi.* Przytoczona myśl nieoczekiwanie nadaje niezobowiązująco snutym opowieściom oświetlenie niemal mityczne, a obecna w książce na różnych poziomach figura podróży w sensie przestrzennym, egzystencjalnym czy wyobraźniowym okazuje się dla niej absolutnie kluczowa. Zgodnie z intencją autora objaśnienie zagadki bohatera nie jest zatem możliwe także dlatego, że jest on nieustannie w drodze, istnieje w procesie, podlega zmianie i jedynie momentalność następujących po sobie przeżyć zaświadcza o ciągle budującej się w nim inności.

Nie dajmy się jednak zwieść kategorycznej powadze tej wykładni. To tylko jedna strona medalu. Postępująca przemiana bohatera jest właściwie tylko założeniem mitycznej opowieści, wzorcowym projektem, zaś on sam wymyka się nam dzięki wielu strategiom defensywnym, poprzez ironiczne grymasy i ucieczki od samego siebie. To nie heros przecież, lecz mimo postępujących lat – wieczny chłopiec. *Strzepujesz popiół z papierosa do cukierniczki? Szepczesz imię kuzyneczki spółkując z żoną? Zdarza ci się wyjść na spacer z psem bez psa? Zacznij liczyć strzały w westernach* – ta recepta na smutek rośnie w zakończeniu *Życia, a nawet śmierci Angeliki de Sancé* do rozmiarów niemal gargantuicznych. Skoro *ze smutku można stać się głuchym jak pień, niemym jak film i głuchym jak nabój*, pozostaje przed nim ucieczka. Zamiast uporządkowania świata – wielka inwentaryzacja celnych i niecelnych strzałów oddanych w westernach, niepostrzeżenie uzupełniana równie drobiazgowym katalogiem pocałunków, które miały w nich miejsce, a które – jak chciałby wierzyć podmiot książki – zawsze są celne.

Książka Jacka Podsiadły konsekwentnie wymyka się jednoznacznym klasyfikacjom. Rozpostarta pomiędzy poszukiwaniem sensu a dyspozycją do wyobraźniowej zabawy, tożsamościowym niepokojem i ucieczką przed nim w znieczulającą powtarzalność westernowych scen, nieustannie zmienia rejestry i krzyżuje plany. Życie czy życie na niby? Czy rzeczywiście jest między nimi aż tak istotna różnica? Prawda i zmyślenie, smutek i drwina, powaga i wygłup starannie ze sobą zmieszane w żaden sposób nie poddają się próbom porządku. Pozostaje jego monstrualna parodia, paranoiczna skrupulatność w liczeniu filmowych strzałów i pocałunków, arytmetyka westernu. Bo właściwie czemu sprostać zdoła literatura, skoro i tak wiadomo, *że z rozpaczy to można by coś napisać, gdyby nie była niemą rozpaczą…* Życie, a zwłaszcza samobójcza śmierć Richarda Brautigana, bliskiego sercu Jacka Podsiadły autora *Połowu pstrągów w Ameryce*, i obecnego w jego książce po wielokroć *Potwora profesora Hawkline'a*, jest dla owego oddzielenia literatury od życia aż nadto wymownym przykładem.

Może zatem uwierzyć autorowi, gdy fakt istnienia języka wskazuje jako wystarczający powód napisania swej książki? Cudowna maszynka do snucia absurdalnie awanturniczych fabuł, niepewny sposób zaledwie ułamkowej rejestracji ulotnych zdarzeń i stanów, ślepe narzędzie do sporządzania nikomu niepotrzebnych katalogów – wszystkie te możliwości, jakie daje język, pozwalają na zabawę z życiem w chowanego, mają też – jak się zdaje – swój sens egzystencjalny. Tłumią smutek, oszukują pragnienia, zagadują śmierć. *Ze śmiercią nie ma żartów, ale każdy żart na jej temat przedłuża życie o czas potrzebny do wypowiedzenia go* – mruży do nas oko bohater-podmiot książki Podsiadły. Gadanie zamiast rozpaczy, opowieść przeciw śmierci, nieprzerwany potok słów… I gdy zaczynamy już wątpić, czy

obłędny w swym zamyśle proceder katalogowania westernowych zdarzeń, który w zakończeniu książki narasta z siłą żywiołu, dokądkolwiek nas zaprowadzi, spod zalewu słów wyłania się zaskakująco trzeźwa, pełna życiowej mądrości pointa: *Za dużo strzelania. Za mało celowania.* Jak w westernie. Jak w literaturze. Jak w życiu.

Boski dar autoironii.

Jacek Podsiadło: *Życie, a zwłaszcza śmierć Angeliki de Sancé*. Wydawnictwo Znak, Kraków 2008, ss. 334+2 nlb.

ANNA RUMAN

CIEMNE STRONY KOBIECOŚCI

W 2008 roku wydawnictwo „Korporacja Ha!art" wydało debiutancką książkę Sylwii Chutnik – *Kieszonkowy atlas kobiet*. Powieść nagrodzono tytułem Najlepszej Książki Roku 2008 w plebiscycie radiowej Trójki, a autorkę uhonorowano Paszportem Polityki. Popularność *Kieszonkowego atlasu kobiet* spowodowała, że jego sceniczną realizację przygotował w Teatrze Powszechnym Waldemar Śmigasiewicz. Premiera miała miejsce 6 marca 2009 roku, a główne role zagrali: Adam Woronowicz, Paulina Holtz, Joanna Żółkowska, Kazimierz Kaczor i Anna Moskal.

Młoda autorka (ur. 1979) jest absolwentką kulturoznawstwa i Gender Studies. Jako działaczka społeczna prowadzi Fundację MaMa, która zajmuje się prawami matek w Polsce, a ponadto należy do nieformalnej grupy „Porozumienie Kobiet 8 Marca". Pracuje jako przewodniczka miejska w Warszawie. Na popularność jej twórczości miała wpływ – zdaniem Anny Nasiłowskiej – rewolucja, jaką zapoczątkowała w polskim feminizmie, gdy pokazała w swych utworach kobietę żyjącą w krajowych, zgrzebnych realiach, w szarej rzeczywistości, tak różnej od tej, którą mass media epatują swych odbiorców.

W wywiadzie przeprowadzonym przez Justynę Sobolewską dla tygodnika „Polityka" (13 stycznia 2009 r.) autorka mówi o genezie książki. Podkreśla, że urodziła się nie w Polsce, lecz w Warszawie, którą traktuje jako swoją „matczyznę". Akcję *Kieszonkowego atlasu kobiet* umieściła w dobrze sobie znanej przestrzeni – sięgnęła po prawdziwą historię warszawskiej Ochoty. Chociaż wychowała się w bloku, pociąga ją magia staromiejskich kamienic, gdyż tam właśnie toczy się walka o pamięć wydarzeń z czasów II wojny światowej. W pierwotnym zamyśle tekst miał mieć charakter publicystyczny i opisywać losy kobiet: żołnierzy i ofiar, dopiero później przybrał formę powieści. Pierwszy rozdział, historię Czarnej Mańki, Chutnik wysłała w 2007 r. na konkurs „Feminoteki" i… wygrała.

Kieszonkowy atlas kobiet w czterech częściach opowiada losy mieszkańców kamienicy przy ul. Opaczewskiej na warszawskiej Ochocie. Bohaterką pierwszego rozdziału pt. *Bazarowy* jest Maria Kretańska, czyli Czarna Mańka – potulna i niezaradna kobieta, która nie potrafi poradzić sobie z życiem. Trafia na bazar przy ul. Grójeckiej, gdzie uczy się dopiero ludzi i świata. Spóźniona edukacja nie przynosi efektów. Mańka bez szczególnego przekonania wychodzi za mąż za miejscowego dresiarza Darka. Życie niszczy jej marzenia, a bezpłodność bezpowrotnie przekreśla szansę na szczęście. Darek doczeka się potomstwa z sąsiadką Tereską, a Mańce pozostanie gorzki smak samotności. Podejmuje ostatnią, również nieudaną, próbę odnalezienia się w świecie, w którym panuje prawo silniejszego – zakłada na bazarze własny biznes. Jej dalsze losy to nieodwracalny proces samodestrukcji. Alkohol, który pozwalał kobiecie odrobinę dłużej przebywać w świecie marzeń, doprowadza do degradacji fizycznej i psychicznej. Nie pomagają nawet samookaleczenia – niemy krzyk rozpaczy, by chociaż poprzez ból doświadczyć

pełni istnienia. Obłęd Marii pogłębia się, czyniąc z niej niewolnika przerażającej i niebezpiecznej wyobraźni. Stąd już tylko krok do samobójczej śmierci.

Czarna Mańka reprezentuje los płci pięknej – zostaje zepchnięta na margines życia. Matka Polka, Gospodyni Domowa, Matka Gastronomiczna i Klozetowa, Kobieta Bez Sensu to kategorie kobiet pozbawionych radości pełni człowieczeństwa. Uzależnione od mężczyzn, próbują realizować się w zaciszu domu. Nie spotka ich nic ciekawego, nie zdarzy się żaden cud. Życie z bezrobotnym, ciągle pijanym mężczyzną, sprzątanie, gotowanie, prowadzenie domu z wiecznym deficytem w portfelu – to wszystko, na co mogą liczyć. Za ich poświęcenie i wyrzeczenia nie ma wdzięczności ani nagrody. Porzucone, stają się bezradne i bezbronne.

Drugą bohaterką jest osiemdziesięciodwuletnia Żydówka, Maria Wachelberska, mieszkająca na ostatnim piętrze kamienicy przy Opaczewskiej. Gdy wybuchła wojna, miała 15 lat. Dobrze pamięta zejście mieszkańców do piwnic, tragiczną śmierć sąsiadów, głównie kobiet i dzieci. Ona i jej matka przeżyły. Szczęście sprzyjało Marii również wtedy, gdy rosyjscy żołnierze podczas wyzwolenia spędzili ludność Ochoty na teren targowiska „Zieleniak". Głęboko zapadły jej w pamięć gwałty i mordy dokonywane przez Armię Czerwoną nawet na trzyletnich dziewczynkach. Od podobnego losu uchroniła ją matka, która jednak przypłaciła to życiem. Później Maria w kanałach, przedzierając się po trupach i brodząc w ekskrementach, wyprowadzała żołnierzy ze Śródmieścia.

Ocalenie od śmierci w piwnicy i ofiara matki wywołały w niej poczucie winy. Po wojnie nie potrafi zapomnieć tych wydarzeń. Otoczona antysemityzmem, wypiera się pochodzenia i żyje w ciągłym strachu przed groźbą zdemaskowania. Próbuje odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ale wszelkie podejmowane w tym celu działania okazują się bezskuteczne. Maria życie traktuje jak karę. Czas zatrzymał się dla niej na 1944 roku. Zejście do piwnic kamienicy i izolacja od świata, to symboliczny powrót do przeszłości, wędrówka do krainy umarłych, gdzie nareszcie można zaznać ukojenia w ramionach nieżyjącej matki.

Rozdział *Łączniczki* opowiada nie tylko wojenną historię kobiet z Ochoty, lecz odsłania także smutne oblicze starości – Chutnik wnikliwie przygląda się ludziom, dla których uroki młodości są już jedynie mglistym wspomnieniem. Miejscem ich cotygodniowych spotkań towarzyskich staje się przychodnia państwowej służby zdrowia. Ten „geriatryczny Hyde Park" – wbrew pozorom – wcale nie jest miejscem przyjaznym. To dżungla, w której, by przeżyć, trzeba sobie wyrobić pozycję. Kolejka jest rzeczą świętą, a miejsce w hierarchii wyznaczają nie stopień zaawansowania i rodzaj dolegliwości, lecz umiejętność symulowania i rozpychania się łokciami. Kobieta pokroju Marii Wachelberskiej nie ma tu szans. Nieporadność, którą niesie ze sobą starość, wywołuje u ludzi grymas złości i zniecierpliwienia. W najlepszym przypadku staruszka traktowana jest infantylnie, niczym dziecko, co sprawia, że bohaterka czuje zażenowanie i usuwa się na margines społeczeństwa: *przepraszam, że jeszcze żyję, że ośmielam się oddychać powietrzem młodych ludzi*. Gorszy od tego uczucia jest chyba tylko wstyd, kiedy przy aptecznej ladzie zgrabiałymi palcami odlicza ukradkiem mizerne pozostałości z jałmużny, którą państwo nazywa emeryturą.

Świat z perspektywy Madonny Parapetowej, dla której jedyną rozrywką jest śledzenie zza firanki pikantnych epizodów z życia sąsiadów, jest beznadziejnie szary i smutny. Najprostsze codzienne czynności, choćby wejście na czwarte piętro, stają się wyczynami na miarę zdobycia Mount Everestu, a rozsypanie zakupów to życiowa tragedia, bo schylanie się graniczy z cudem. Powolność, luki w pamięci, ciągłe pomyłki, samotność, niezrozumienie – oto nagroda od losu za nieudane życie.

Inspiracją dla rozdziału *Podróbki* było *Lubiewo* Michała Witkowskiego. Elegancki, zadbany, o nienagannych manierach, 56-letni paniopan Marian to z pozoru

zwykły stary kawaler. Okazuje się jednak, że – jak wszyscy mieszkańcy kamienicy przy Opaczewskiej – ma tajemnicę: *z zewnątrz jak mężczyzna, a w środku serce baby*. Bohater spędza czas w zaciszu mieszkania, gdzie haftuje makatki, zajmuje się krawiectwem damskim, a potem ukradkiem przymierza stroje i przed lustrem podziwia efekty własnej pracy. Talentu cukierniczego zazdrości mu niejedna domowa gospodyni. Jest lubiany i szanowany przez sąsiadów, ponieważ zawsze ma czas, na wszystko znajduje radę, a przy tym odznacza się niespotykaną w dzisiejszych czasach życzliwością.

Surowy ojciec, niezrealizowane plany, które rozmijały się zupełnie z oczekiwaniami rodziny, naznaczyły jego życie bolesnymi wspomnieniami. Obcy nie wykazują dla jego odmienności tyle zrozumienia co sąsiedzi. Odmienność rodzi agresję – pan Marian pobiera rentę, ponieważ w wojsku został pobity przez innych rekrutów. Bohater nie umie walczyć, jest zbyt łatwowierny. Tylko raz, broniąc się przed gwałtem, używa przemocy wobec sąsiada, co pogłębia jego emocjonalne rozchwianie. Marian na zawsze już skazany będzie na życie w kłamstwie i ciągłą grę pozorów.

Marysię Kozak, jedenastoletnią lokatorkę kamienicy, poznajemy w rozdziale *Księżniczki*. To z pozoru słodka, cukierkowa dziewczynka, naprawdę jednak buntowniczka na miarę Jamesa Deana – próbuje wyzwolić się od stereotypu małej księżniczki. Wieczorami ucieka z domu i na klatce schodowej z Czarną Mańką pali papierosy Vogue, symbol luksusu dla ubogich, lub wyrusza w miasto, by dać wyraz swojej wściekłości. Nikt nie podejrzewa jej o plądrowanie piwnic, niszczenie samochodów, psucie bankomatów. Nikt też specjalnie się nią nie interesuje, dlatego Marysia nie radzi sobie z emocjami. Jest pełna sprzeczności – symbolami jej świata są Matka Boska i młoda punkówa. Nie potrafi dostosować się do wymogów otoczenia, prowadzi więc podwójne życie – skoro nie można pobrudzić sukieneczki z wierzchu, to specjalnie wyciera ubrudzone ręce w podszewkę. Niekontrolowany gniew, pustka, zawiedzione nadzieje sprawiają, że jedenastolatka staje się pozbawioną skrupułów i wyrzutów sumienia podpalaczką.

Stylistycznie Sylwia Chutnik idzie szlakiem przetartym już przez innych młodych autorów. Akcent został przesunięty z poprawności na autentyczność – bohaterowie mówią językiem ulicy. Ten zabieg pomaga oddać klimat warszawskiej Ochoty, a wydarzeniom i bohaterom dodaje wiarygodności. Autorka nie boi się mówić o tym, co wstydliwe, niewygodne bądź niemodne. Ciemne strony kobiecości zostały ukazane wyraziście, ponieważ autorka uniknęła niepotrzebnego patosu, zastępując go ironią i dystansem. Niektóre epizody mogą wywołać uśmiech, ale będzie to raczej rodzaj śmiechu przez łzy – Chutnik pisze przecież o rzeczach trudnych, ale jednocześnie niezwykle istotnych, bo dotyczących tych stron kobiecości, o których do tej pory mówiło się niewiele. *Kieszonkowy atlas kobiet* skłania do refleksji nie tylko nad społeczną kondycją kobiet, lecz szerzej – nad jakością stosunków międzyludzkich w dzisiejszym świecie.

Sylwia Chutnik: *Kieszonkowy atlas kobiet*. Ha!art, Kraków 2008, ss. 232.

MAŁGORZATA POTENT

SMAK RDZY

Debiutancka powieść Ewy Berent *Rdza* jest pierwszoosobowym zapisem traumatycznych wspomnień młodej kobiety. Opowiada o szczelnie zamkniętym świecie emocji dorastającej dziewczyny, która nieustannie doświadcza strachu przed samotnością. Igor Stokfiszewski w recenzji pt. *O pochodzeniu bólu* uznał *Rdzę* za wybitną powieść inicjacyjną, która może być *raportem o stanie kultury i stawia*

przed nami wyzwanie rekonstrukcji istniejących sposobów radzenia sobie z bólem jako cechą życia indywidualnego i zbiorowego[1]. Czy rzeczywiście tak jest?

Spragniona przede wszystkim wolności, swobody i niezależności główna bohaterka (nie poznajemy jej imienia) dorastała w domu o ambicjach patriarchalnych, gdzie brakowało miłości i zgody na autentyczność. O tym porażającym konwenansami rodzinnym gniazdku wiemy bardzo mało. Możemy tylko domyślać się, że w przeszłości zaszło jakieś bolesne zdarzenie, natrętnie powracające w obrazie młodszej siostry (która „coś" narratorce zrobiła), *liżącej chropowatą ścianę w pokoju na końcu korytarza i dławiącej się brudną folią*. Najprościej jednak zamknąć rodzinne relacje w stwierdzeniu: *ani ona, ani matka, ani ojciec nie chcieli dać się kochać* (s. 8). Rozhisteryzowana matka przestała dla bohaterki istnieć (dziewczyna nawet nie pamięta, jak wyglądała), ale wciąż słyszy w myślach jej karcące, pełne pretensji uwagi na temat stroju czy nieodpowiedniego zachowania. Pod „ostrym, przenikliwym wzrokiem ojca" nieruchomiała. Wiedziała, że był to człowiek wrażliwy do tego stopnia, *że aby poradzić sobie z czymkolwiek, potrzebował zawsze wsparcia matki, a nawet całej rodziny*. W wyniku tych przeżyć bohaterka czuła się, jakby zamiast mózgu miała *zakrwawioną szmacianą piłkę, którą ktoś kiedyś zamknął w jej czaszce* (s. 9). Gdy zaczęła budzić się jej niezwykle silna seksualność, rodzice wysłali ją na wieś do ciotki – starej panny, która w wieku siedemnastu lat (w innym miejscu książki osiemnastu) zaszła w ciążę i urodziła syna. Relacja łącząca narratorkę z prostą wiejską kobietą wydaje się najwięcej mówić o sposobie przeżywania bliskości przez bohaterkę. Wieś stanie się dla niej miejscem dojrzewania poprzez swoistą autokreację – destrukcję, negację uczuć i afirmację brutalnego aktu seksualnego. Rafał, Kacper i Julia to najważniejsze osoby, dzięki którym dziewczyna odkryje różne aspekty seksualności, często demaskujące jej emocjonalne zagubienie. Na koniec dozna tryumfu płynącego z unicestwienia iluzji o samej sobie: pobita przez brutalnego kochanka Rafała i wątłego zwolennika miasta – Kacpra, straci przytomność, myśląc o białej koszuli, w którą jest ubrana.

Fabuła *Rdzy* jest prosta, a narracja momentami „przegadana" – do niektórych wątków narratorka stale powraca, mimo że w żaden sposób nie wzbogaca to ich wymowy. Zresztą już na początku odnajdujemy stwierdzenie, że jest to historia „podana do zjedzenia", którą my – czytelnicy – mamy się „udławić, ale w sposób kulturalny" (s. 33). Wydaje się więc, że zabieg ten został zastosowany świadomie: *Powinnam wszystko usystematyzować, nakreślić fabułę, w której czas i chronologia byłyby głównymi strażnikami tekstu. Historia stałaby się prostą opowieścią. Można by dotknąć mojego świata, tak jak się dotyka dobrze zbudowanych światów. Możliwe, że udałoby mi się wtedy uniknąć części kłamstw. Niestety, nie umiem oddzielić prawdy od fikcji, którą sama stworzyłam. (...) Nie wolno kłamać, dlatego daję sobie prawo do chaotyczności myśli, niekonsekwencji i zmyśleń, bo właśnie w tym, w drobiazgach i przeczuciach tkwi moja prawdziwa historia* (s. 23).

Nieścisłości czy wręcz sprzeczności fabularne i stylistyczne powinniśmy zatem – według autorki – usprawiedliwić, ponieważ to właśnie za ich pomocą narratorka próbuje się dookreślić, odnaleźć swą prawdziwą tożsamość. Drażni jednak banał, obecny przede wszystkim w metaforycznych opisach stanów wewnętrznych – dziewczyna podczas aktu seksualnego czuje się jak *niemowa wstrząsana dreszczami rozkoszy i bólu, jak amortyzator wyciszający wstrząsy, umożliwiający przyjemną i bezpieczną jazdę* (s. 55). Opisy brutalnego, zwierzęcego seksu zajmują znaczną część 210-stronicowej powieści, a jednak powstaje wrażenie, że mamy do czynienia z tym samym schematem, przypominającym rodzaj natrętnej fantazji budowanej z niewielu elementów. Ciągle podobna przestrzeń, czas, doznania... Ma to naturalnie odzwierciedlenie w słowach: termin „pieprzenie", który w naszym języku posiada sporą liczbę synonimów, pojawia się tak często,

[1] „Tygodnik Powszechny", 29 czerwca 2008 r.

że zaczyna drażnić (autorka tylko incydentalnie urozmaica „język miłości" słowami „posuwać" i „rżnąć"). Na taką nonszalancję może sobie pozwolić jedynie debiutant. Wątpliwa pozostaje także przydatność spostrzeżeń w stylu: *Kochanie na wąskiej ławce wyślizganej przez wiernych okazało się być sportem wyczynowym, gdzie każdy nieprzemyślany ruch mogłyśmy opłacić uderzeniem w zimną i twardą kamienną podłogę* (s. 24).

Można pokusić się o stwierdzenie, że narratorka używa kilku ulubionych słów, np. znanego z języka potocznego określenia „sraczkowaty": sraczkowate są kolory (s. 50), szkło (s. 109), sygnet (s. 119), kawałek metalu (s. 135). Mówiąc wprost – trudno dostrzec tu wyraźną motywację semantyczną, możemy najwyżej przyjąć, iż wulgarne i prostackie słownictwo zestawiane z metaforyką w stylu „ostrożebna świadomość" (s. 53) ma na celu zaakcentowanie chwiejności emocjonalnej bohaterki. Nie jest to jednak zbyt przekonujące, a stylistyczna nieudolność powoduje, że kreacje postaci sprawiają wrażenie naciąganych i tendencyjnych. Maniera ta niekiedy po prostu śmieszy.

Niezbyt głębokie rozważania na temat ideałów, zła, religii itp. (np. s. 159) sprawiają wrażenie, że ich autorem jest skłonna do intelektualizowania nastolatka, którą cieszy nowo odkryta zdolność generowania fraz. Te partie powieści mają postać typowego dla dziewcząt, skierowanego ku analizie wnętrza, młodzieńczego filozofowania i charakteryzuje je między innymi nagromadzenie zwrotów oksymoronicznych typu „niedoskonałość doskonała". Bohaterka zwierza się czytelnikowi z rozdwojenia, jakiego doświadcza. Wprost nazywa potwora zamieszkującego w jej ciele – informuje nas, że nie panuje nad budzącą się co jakiś czas „bestią o psim pysku". Z drugiej strony czuje się, jak *figurka w pozytywce, której mechanizm nagle się zepsuł każąc tancerzom zostać w nienaturalnej pozycji, zawieszonych gdzieś w środku obrotu* (s. 80). W innym miejscu trafnie i zgrabnie konstatuje: *To straszne uczucie, mając tak niewiele lat co ja, czuć się jak stary mąż starej baby, przeobrazić się w mebel...* (s. 114).

Cielesność dziewczyny wiąże się z doznawaniem bólu. Jej kontakt ze światem ograniczony jest do doznań nieprzyjemnych. Mowa w powieści o torturach, pieczeniu, paleniu, spierzchnięciu, mdłościach, wymiotach, omdleniach, ropieniu, ranach. Także pozytywne odczucia, a więc: rozkosz, błogość, spokój, kojarzone są bezpośrednio z cierpieniem. Narratorka patrzy na ludzkie ciało z niechęcią. Naturalistyczny opis ciotki i innych wieśniaczek jako bab-much zdradza niechęć do fizjologii. A jednak to właśnie koncentracja na potrzebach ciała pozwala dziewczynie o sobie mówić, doprowadza ją do autoidentyfikacji. Jest to zawsze identyfikacja negatywna – dokonywana przez negację.

Narratorka sięga po motywy, sceny, obrazy, które – wielokrotnie powtarzane – można uznać za symbole. Motyw lalki pojawia się w opisie wielu postaci, między innymi ojca (s. 50, 99, 142), zaś obiegowe opozycje: np. miasto – wieś, „czarna ziemia" – „dzikość słońca" (s. 138), mają za zadanie poszerzyć pole interpretacyjne. Biała koszula, tytułowa rdza na gorących szynach, biały obrus, ciastka cioci, ropiejąca rana, która jak znamię określa bohaterkę, pomagają narratorce zrealizować wstępne założenie – czytelnik może udławić się relacjonowaną historią w intelektualny, kulturalny sposób.

Katarzyna Ryćbel w recenzji *Prawdziwe historie mają to do siebie, że są nazbyt prawdziwe* interpretuje tę powieść w kontekście „męskiej" roman adolescent: *„Rdza" jest opowieścią o rozmywaniu się tożsamości, rozbijaniu „ja" narratorki. Jako że próbuje się ją wtrącić w kanwy biologicznego dyskursu płci sankcjonowanego przez patriarchalne matryce społeczno-kulturowe, sama zainteresowana przejawia skłonności ku temu, by swoją tożsamość budować w oparciu o model inny – sprzeczny z wymaganiami otoczenia.*[2] Iga Noszczyk w recenzji *Życie bohaterki pewnego fantazmatu* pisze: *Czwarta strona okładki przedstawia „Rdzę" jako*

[2] „ArtPAPIER" 2008, nr 10 (106).

powieść naturalistyczną, a jej bohaterkę jako przeniesioną we współczesne realia Reymontowską Jagnę. Tak jak jej poprzedniczka, niezrozumiana i wyszydzona dziewczyna musi w końcu „ponieść karę za rozbuchany seksualizm i zwierzęce pragnienie bycia posiadaną"(...) Nie wdając się już w dalsze bezpośrednie polemiki z Jarosławem Czechowiczem (autorem owej fatalnej notki), postaram się pokazać, jak można Berent czytać inaczej: dokładniej, głębiej, znacznie poważniej.[3] Recenzentka zaproponowała więc kompleksową lekturę dzieła „niezwykłego". Jednak moją uwagę szczególnie przyciągnęła konkluzja: *Nie wiem też, czy to wszystko, co z „Rdzy" wyczytałam, rzeczywiście jest w tej powieści zapisane.*[4] Wystarczy przyklasnąć i z pełną stanowczością dodać: *Rdza* jest lekturą dla tych, którzy potrafią współtworzyć, więc dla tych, którzy mają zdolność czytania tego, co de facto nie zostało napisane.

Nigdy nie dopijałam kawy, wolałam ją robić niż pić. Wolałam podniecać dziewczyny niż je kochać (…) żadna z dziewczyn nigdy nie była tak gorąca jak para osiadająca na moim ręku (s. 22). Mówiąc wprost – kuriozalna metafora zaważyła na sposobie, w jaki odebrałam ową powieść. A przecież to takie nieprofesjonalne… Aż strach pytać, co na ten temat powiedziałby Freud…

Ewa Berent: *Rdza*. Wydawnictwo Portret, Olsatyn 2008, ss. 211+5 nlb.

MAGDALENA GÓRECKA

SPRZEDAĆ DUSZĘ ZA ZŁUDĘ PRZETRWANIA...

Andrzej Bart przyzwyczaił już czytelników, że w jego utworach może się zdarzyć wszystko: podróż do przeszłości w celu zabicia młodego Hitlera, podstarzały Don Juan w mnisim habicie, ratujący katolicką Hiszpanię od skandalu, dwa wieki polskiej historii oglądane oczami postaci z niezwykłego obrazu. Szalone pomysły, potoczysty, dowcipny język i intertekstualna gra – oto cechy, które wyróżniają pisarstwo Barta.

Fabryka muchołapek jest książką niezwykłą. Kontynuuje konwencję znaną z *Pociągu do podróży*, *Don Juana raz jeszcze* i *Rien ne va plus*, a jednocześnie wpisuje się w krąg utworów opowiadających o tragedii holocaustu, życiu w getcie i moralności człowieka. Zaskakujące połączenie oryginalnego stylu i poważnej tematyki rodzi kontrowersje. Czy można w taki sposób pisać o zagładzie, ludzkich dramatach, problemie winy i kary? Czy sąd nad przywódcą łódzkiego getta to dobry temat na powieść w duchu postmodernistycznym? I czy w ogóle potrzebna jest kolejna opowieść o Chaimie Rumkowskim? Na pytania te odpowiadam zdecydowane: tak. *Fabryka muchołapek* dzięki niezwykłej formie świetnie oddziałuje na wyobraźnię i zapada w pamięć. A przecież to właśnie ludzka pamięć jest najlepszym hołdem dla tragicznej historii.

Inspiracją do napisania utworu była zasłyszana przez autora w młodości opowieść o salonce, którą miał jechać Rumkowski z Łodzi do Auschwitz, gdzie rzekomo więźniowie wrzucili go żywcem do krematoryjnego pieca. Te i inne legendy opowiadano o przywódcy łódzkiego getta przez lata. Według tytułowej bohaterki wydanej niedawno książki autorstwa Elżbiety Cherezińskiej *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dzienniki Etki Daum* odjechał on do obozu nie salonką, a zwykłym wagonem bydlęcym. Te dwie wersje wydarzeń stają się klamrą spinającą zdarzenia w powieści Barta.

Oczywiście nie od razu dowiadujemy się, o co i o kogo tak naprawdę chodzi. Autor odsłania nam historię stopniowo, narrację prowadzi z kilku perspektyw.

---

[3] Podaję za stroną internetową: http://www.biuroliterackie.pl/przystan/czytaj.php?site=0&co=txt_1697
[4] Tamże.

Pierwszym bohaterem jest sam Andrzej Bart, pisarz, który otrzymuje niecodzienną propozycję – ma zrelacjonować za sporą sumę pieniędzy utajniony proces. Ofertę składa mu tajemniczy nieznajomy – osobnik o diabelskiej naturze, przywodzący na myśl choćby Bułhakowskiego Wolanda. W tym samym czasie rozpoczyna się sąd nad jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci XX wieku, przewodniczącym Judenratu w łódzkim getcie – Chaimem Mordechajem Rumkowskim.

Już tu odnajdujemy nawiązania do *Procesu* Kafki. Proces prowadzony jest w dziwnym, zdawałoby się przypadkowym miejscu – wśród łódzkich fabryk, w pałacu; do sali sądowej wchodzi się tajnym przejściem przez schowek na szczotki. Sala również wygląda niecodziennie: sędzia zasiada przy stoliku karcianym, podkłada nawet korek pod jedną z jego nóżek. Ani sędzia, ani obrońca nie noszą zwyczajowej togi, ale stare, połatane marynarki.

Czas w tym miejscu nie ma żadnego znaczenia. Uczestnicy procesu w większości przybyli tu – jak się domyślamy – wprost z zaświatów, a wielu z nich nie jest do końca świadomych własnego statusu ontologicznego. Mamy do czynienia z rodzajem sądu ostatecznego. Sędzia to „ktoś, kto wszędzie wyglądałby na najważniejszego", jego prawo sądzenia „jest ważniejsze od wszystkich innych praw", ale jednocześnie ma rysy komiczne: jest znudzony ciągnącymi się w nieskończoność zeznaniami, a w przerwach popala sobie cygara. Obrońca Rumkowskiego zdaje się być przydzielony przypadkowo, dziwi się, że sędzia powierzył mu tę sprawę. Początkowo spisuje się całkiem nieźle, ale w mowie końcowej sam zdaje się oskarżać klienta. To w stosunku oskarżyciela do Chaima dają się zauważyć pewne akcenty przychylności. Tradycyjne role odwracają się, a sama rzeczywistość procesu ulega deformacji („nędzna imitacja rozprawy sądowej"). Wyraźnie widać skłonność Barta do groteski.

Wśród zeznających odnajdziemy osoby znane: Janusza Korczaka, Lucillę Eichengreen, Dawida Sierakowiaka czy wreszcie legendarnego zbrodniarza – Hansa Biebowa. Każdy z nich poznał oskarżonego w innych okolicznościach. Pojawia się także pisarka Hannah Arendt, która ocenia Rumkowskiego, choć go nie znała ani nie doświadczyła getta. Dopuszczeni do głosu zostają także zwykli, szarzy mieszkańcy dzielnicy żydowskiej, ofiary, które po raz pierwszy mają szansę się wypowiedzieć. W ten sposób Bart wprowadza wiele punktów odniesienia. Nie próbuje odkryć czegoś nowego ani tym bardziej nie wydaje werdyktu. Przytacza znane już z różnych publikacji argumenty i opinie, które wirują jak w kalejdoskopie i utrudniają jednoznaczną ocenę.

Obrona Rumkowskiego polega głównie na ukazaniu ciężaru, jakim jest sprawowanie władzy. Nieprzypadkowo przywołane zostają słowa Saint-Justa, wypowiedziane podczas procesu Ludwika XVI: *Nie można panować i być bez winy. Szaleństwo władzy jest zbyt oczywiste*. Przewodniczący Judenratu był zmuszony do podejmowania trudnych wyborów. Musiał decydować, kogo wysłać na śmierć, a kogo ocalić. Układał się z okupantem, aby jak najdłużej utrzymać przy życiu swoich ludzi. Stworzył dobrze zorganizowane państwo-przedsiębiorstwo, dostarczające Niemcom różne towary (tytułowa fabryka muchołapek), co oddalało czas ostatecznej zagłady. Działały też w getcie szpitale, sierocińce i szkoły. Młodzież zdawała maturę, co było nie do pomyślenia poza murami. Rumkowskiemu wydawało się, że jak Mojżesz zaprowadzi swój lud do Palestyny. Kazał uczyć dzieci rolnictwa, bo dobra praca miała być ratunkiem i gwarantem lepszej przyszłości. Dzięki tym działaniom getto łódzkie przetrwało najdłużej w Europie i uratowało się z niego około 10 tysięcy ludzi. Jednak sposób, w jaki Rumkowski rządził, daje potężne argumenty oskarżycielom.

Wielu świadków przedstawia go jako odurzonego władzą despotę. Lubił otaczać się pochlebcami. W fabrykach urządzano akademie na jego cześć, pisano o nim wiersze, rzeźbiono popiersia. W getcie funkcjonowały monety z jego podobizną.

Udzielał ślubów niczym rabin. Miał na usługach tajną policję, często zmieniał wyroki sądów. Sprawą wzbudzającą największe emocje jest decyzja Rumkowskiego o wydaniu Niemcom „jednostek nieproduktywnych", czyli dzieci, starców i chorych, w zamian za ocalenie reszty żydowskiego społeczeństwa. Zarządca getta warszawskiego, Adam Czerniakow, nie był zdolny do takiego czynu, wolał popełnić samobójstwo. Te dwie postawy porównuje Hannah Arendt, gdy mówi, że *w życiu ważny jest styl, w jakim człowiek cierpi i raduje się, żyje i umiera*. Podobnie oceniają ów fakt mieszkańcy getta, przywołując tragiczny dzień, kiedy wyrywano z rąk matek dzieci, a z okien szpitala wraz z pościelą wyrzucano niemowlęta. Poznajemy skalę okrucieństwa hitlerowców, ale też ohydę płomiennych przemówień Rumkowskiego, pełnych hipokryzji i kiepskiego aktorstwa.

Zdarzenia rozgrywające się w sali sądowej przedstawione są głównie z perspektywy żony Rumkowskiego – Reginy. Jej stosunek do męża również nie jest jednoznaczny. Dostrzega jego wady i błędy, lecz widzi w nim także człowieka, który miał dobre zamiary i uratował wielu ludzi. Nie może słuchać obelg rzucanych pod adresem Chaima – starszego już i słabego człowieka. Bohaterka, wyrwana jakby z zaświatów, nie potrafi rozeznać się w swojej sytuacji. Wydaje się, że jej ostatnie wspomnienia pochodzą z obozu koncentracyjnego, ponieważ nie wie nawet, co stało się z Niemcami. Zastanawia się, co jest prawdą, a co złudzeniem. Prokurator Wilski proponuje jej ocalenie w zamian za odejście od Chaima. Regina, po długim wahaniu, decyduje się na ucieczkę. Jednak przejście, które wskazał jej Wilski, okazuje się zamknięte. Nie można cofnąć historii ani zmienić przeznaczenia. Została wystawiona na próbę i pozostaje jej tylko roześmiać się z własnej naiwności.

Bart-bohater pojawia się na sali sądowej tylko na chwilę. Jest przekonany, że to, co widzi, jest wynikiem urojenia i choroby umysłowej. Na korytarzu spotyka siostry Franza Kafki: Gabrielę i Valerię, które trafiły do łódzkiego getta wraz z mężami prosto z Pragi. Żałuje, że nie ma z nimi ich brata, który umarł jeszcze przed wojną na gruźlicę. Poznaje także piękną Żydówkę Dorę i postanawia zabrać ją na spacer po współczesnej Łodzi. Nie jest do końca pewien, co się z nim dzieje, cały czas podejrzewa się o halucynacje. Miał opisać proces, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Łudzi się, że będzie mógł ocalić Dorę, zabierając ją do swojego świata. Chce zastać jej przewodnikiem po nowoczesnym mieście, ale to ona oprowadza go po getcie. Czasy przenikają się, a Bart powoli zaczyna rozumieć, że nie zdoła wyrwać dziewczyny z przeszłości. Współczesna Łódź to dość stereotypowe fabryczne kominy i stosy bawełny. Akcentem osobistym jest refleksja autora nad piętnem, jakie odcisnęła na mieście historia: *Zawsze mnie to obrażało. Nie wiem, co czuje mieszkaniec Oświęcimia, ale przecież może uważać za niesprawiedliwe, że jego mieścinie, okolicznym domom i pagórkom, historia do końca świata wyznaczyła taką, a nie inną rolę.*

Cechą charakterystyczną pisarstwa Barta jest przetykanie narracji literackimi aluzjami. W *Fabryce muchołapek* odnajdujemy przede wszystkim wiele odwołań do Kafki: klimat procesu, siostry pisarza, rozważania na temat relacji praskiego artysty z ojcem Hermanem. Imię pięknej Żydówki, w której zakochuje się bohater, nasuwa skojarzenia z wielką miłością Kafki – Dorą Diamant. Przywołane są także dzieła Szekspira. W przerwie rozprawy, niejako w celu podsumowania, sędzia zaprasza wszystkich do teatru, by obejrzeli fragmenty *Króla Leara* i *Ryszarda III*. Utwory te dotyczą, podobnie jak sprawa Chaima, ciężaru, jaki niesie z sobą władza. Nie brakuje nawiązań do innych dzieł znanych pisarzy, do filmów. Autor prowadzi grę z własnymi tekstami, choćby wprowadzając aluzje i cytaty z *Pociągu do podróży*.

Bart nie stara się interpretować historii ani stwarzać jej na nowo. Zestawia różne fakty, źródła i wypowiedzi, a kojarzenie pozostawia czytelnikowi. By odnaleźć głębszy wymiar historii, łączy ją z metafizyką. Zdaje się z przymrużeniem oka pytać: „A co na to wszystko Bóg?". Mimo że napięcie bywa rozładowywane dzięki

akcentom humorystycznym i ironii, to jednak dominują tworzące duszną atmosferę sugestywne obrazy, jak wtedy, gdy z pociągu wychodzą biedni, zmęczeni, nieżyjący mieszkańcy getta. Czas zatrzymuje się, a przestrzeń traci realistyczne kontury. Podobnie jak występujący w powieści pisarz, czytelnik znajduje się na granicy jawy i snu, trzeźwości i szaleństwa.

Krytycy zarzucają Bartowi, że stworzył obraz uromantyczniony, a groteskowość i lekkość narracji spłyca dramatyzm sytuacji. Wydaje się jednak, że autor traktuje temat całkowicie serio, nie stara się prowokować, a tym bardziej nie okazuje lekceważenia. Niezwykła forma silnie działa za to na wyobraźnię.

Obrońca domaga się dla oskarżonego kary najsurowszej: *wiecznego zapamiętania go takim, jakim był*, czyli *nadętym głupcem, który uwierzył we własną wyjątkowość*. Sędzia przywołuje pewnego notariusza, który nie może pozbyć się dawnych wyrzutów sumienia. Człowiek ten zostaje rozgrzeszony, gdyż odczuwa autentyczną skruchę, czego nie można powiedzieć o Rumkowskim. W ostatniej scenie Chaim, Regina i Marek wsiadają do pociągu. Nie jest to jednak, jak na początku powieści, salonka, ale wagon bydlęcy, do którego po chwili wtłoczono czterdzieści osób. Rumkowski nie otrzymał specjalnych przywilejów, podzielił los swoich współrodaków.

Fabryka muchołapek to symbol: sąd nad przywódcą getta cały czas się toczy. Powieść Barta, rozgrywająca się na granicy rzeczywistości i fantazji, świata i zaświatów, na przecięciu teraźniejszości i przeszłości, wyraża przede wszystkim niezgodę na zapomnienie.

Andrzej Bart: *Fabryka muchołapek*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2008, ss. 280.

ŁUKASZ JANICKI

NAIWNE PYTANIA

Tytułowa Rauska to niewielka miejscowość w Sudetach, niedaleko dzisiejszego Strzegomia (niemiecki Striegau), gdzie została wywieziona na przymusowe roboty sześcioosobowa rodzina Przyczyńskich (małżeństwo Maria i Antoni z czterema córkami: Marysią, Alą, Zosią oraz Sasią). Ich wojenne losy tworzą fabułę debiutanckiej powieści Teresy Oleś-Owczarkowej. Historia oparta jest na wspomnieniach matki autorki i stanowi próbę spojrzenia na dramat wysiedlenia oczami dziecka. Jak mówi pisarka w jednym z wywiadów: *Moja mama często powracała wspomnieniami do swego dzieciństwa, także do lat spędzonych na Rausce. Słuchałam tych opowieści z taką uwagą, jak wszystkie dzieci słuchają podobnych historii, czyli niestety niezbyt uważnie. (...) Odległość w czasie sprawiała, że te historie były dla mnie bardzo ciekawe*[1].

Pierwszoosobowym narratorem jest dziewięcioletnia w chwili wybuchu wojny Alusia – dziewczynka niezwykle ciekawa świata i nowych ludzi, obdarzona dużą wyobraźnią i wrażliwością. Oleś-Owczarkowa zastrzega, że nie można Ali całkowicie utożsamiać z postacią jej matki: *Bohaterką powieści jest Alusia, nie moja mama, chociaż obie mają wspólną historię zdarzeń i faktów. Stąd zmiana jej imienia. (...) Alusia jest taka, jaką myślę, była mama, gdy żyła tam, na Rausce. Starałam się tę jej niewolę poczuć razem z nią i zrozumieć, ale nie wiem, ani jak naprawdę myślała, ani co czuła...*[2] Mamy do czynienia z narracją, która przypomina zapisy w dzienniku – Ala relacjonuje zachodzące wypadki z niewielkiej perspektywy czasowej, przeważnie na bieżąco. Rezygnacja z narzucającej się konwencji pamiętnikarskiej wyjaśnia intencje autorki, która wolała skoncentrować

[1] Podaję za stroną internetową: http://www.wydawnictwoliterackie.pl
[2] Tamże.

się na nieuporządkowanych odczuciach i wrażeniach dziecka, niż przedstawić zwartą i zdystansowaną, a więc „obiektywną", ocenę wydarzeń. Wprowadzenie jako narratorki małej dziewczynki umożliwia przewartościowanie utrwalonych sądów i opinii, naiwność i prostolinijność bohaterki stanowi alibi, dzięki któremu może ona pozwolić sobie na wyciąganie niezwykle śmiałych wniosków.

Przyczyńscy podzielili losy około 2,8 miliona Polaków, którzy w latach 1939-1944 zostali zmuszeni do pracy na terenie Rzeszy Niemieckiej. Ojciec Ali, Antoni, opuścił Polskę dla własnego bezpieczeństwa (m.in. jako gorący patriota w czasie kampanii wrześniowej ukrywał polskich żołnierzy i dawał im cywilne ubrania). Rozstanie z ubogim rodzinnym Podzamczem to dla wszystkich ciężkie doświadczenie. Jedynie Ala cieszy się ze zmian, przeżywa jazdę pociągiem, a wyjazd traktuje jako niecodzienną przygodę: *Nie mogę zrozumieć, czemu oni wszyscy tak rozpaczają?* (...) *może to i dobrze, że Hitler wywołał wojnę! Gdyby nie on, to czy mogłabym teraz jechać pociągiem, jak jakaś pani z miasta? Na pewno nie…* (...) *wprost nie mogę usiedzieć z podniecenia i radości.*

Rodzinie dopisało szczęście i nie została rozdzielona. Z arbeitsamtu wziął ją bogaty obszarnik z Rauski – Langer. Życie w jego posiadłości to przede wszystkim ciężka praca w polu, jednak robotnicy nie są tam, jak w pobliskiej kopalni, trzymani „pod karabinami". Rezolutna Ala ma pomagać żonie gospodarza, Hannie, w pracach domowych – od tej chwili dziewczynka tylko wieczory i noce spędza z rodziną. Otwarta i pracowita mała Polka zaskarbia sobie sympatię i zaufanie pani domu. Zaczyna się pomiędzy nimi tworzyć silna więź – momentami Niemka staje się dla dziecka drugą matką. Hanna to zaradna i pracowita gospodyni, a jednocześnie piękna kobieta, która – mimo że gwiżdże i rozdaje kopniaki – potrafi zachować elegancję i zjednać sobie szacunek służących. Ali imponuje jej sposób bycia, mądrość życiowa oraz sprawiedliwość. Hanna na pierwszy rzut oka jest zaprzeczeniem matki dziewczynki, która okazuje ślepe posłuszeństwo mężowi, a zajmuje się głównie gotowaniem i codziennymi modlitwami, dbając, by rodzina żyła „po bożemu". W rzeczywistości jednak sytuacja jest bardziej skomplikowana: cicha i zahukana kobiecina potrafi się poświęcić, troszczyć o rodzinę, a dzieciom wszczepić ważne zasady moralne. Ala pamięta, jak *ciocia Andzia, żona wujka Adama, mówiła kiedyś, że Mamusi byłoby dobrze, gdyby się tatuś nie napatoczył. Ale że Mamusia zakochała się ponad wszystko na świecie, to ma teraz biedę, nas i tatusia.* Alusia jest wystarczająco bystrą obserwatorką, by dostrzec, że *Mamusia to zagadkowa osoba. Przeważnie jest cicha jak myszka. Oczy opuszczone, włosy zaplecione w warkocze i zapięte z tyłu w duży kok, przykryte chustką prawie przez cały dzień.* (...) *Wiem jednak, że czasami, zwłaszcza w tańcu albo wieczorem, przy Tatusiu, kiedy on rozczesuje jej warkocze, robi się z niej królowa.* (...) *Czasem rano przyglądam się Mamusi i widzę, że chociaż jesteśmy na robotach, to Mamusia ma taką minę, jakby nie tylko Rauska, ale cały świat do niej należał.* Biedna kobieta z Polski, choć nie zna języka niemieckiego, jest w stanie porozumieć się z rodowitymi Niemkami, a niezwykły instynkt i empatia sprawiają, że nie zwraca uwagi na pozory i dobrze ocenia innych ludzi.

Także seniorzy obu rodzin nie są postaciami schematycznymi. Langer to dobry i łagodny gospodarz, dla którego najbardziej liczy się dom i rodzina. Nawet niechętny Niemcom Antoni znajduje dla niego dobre słowo, kiedy bauer zostaje powołany do wojska: *Langer tej wojny nie wymyślił. Też ma dzieci. Zostawia rodzinę i jedzie w świat, gdzie mu każą.* To wojna zmieniła dobrodusznego rolnika na tyle, że podczas urlopu wrócił do Rauski z rosyjską kochanką, za co krytykowali go nie tylko Niemcy, ale także polscy robotnicy, zdumieni, jak mógł zrobić coś takiego „naszej Hannie". Antoni jest natomiast uosobieniem Polaka-patrioty, na jego poświęcenie dla ojczyzny krzywo patrzą nawet członkowie rodziny, którzy prorokują, że na pewno się „doigra". Także podczas pobytu w Rausce ryzykuje ukrywając uciekiniera, porażki Niemców napełniają go radością, a dla najbliższych jest niekwestionowanym autorytetem w sprawach politycznych i moralnych. To człowiek o wysokim poczuciu honoru – potrafi okazać wdzięczność wrogom, a jednocześnie starannie strzec własnego systemu wartości. Gdy jednak wraca od Antka Pięty, który pędzi dla robotników bimber, Alusia ma odwagę powiedzieć: *przed wojną Tatuś też czasem chodził do karczmy. I co za wielka różnica, dlaczego? Tam pił z biedy, a tu z tęsknoty i ze smutku.* Dziewczynkę stać nawet na „obrazoburcze" pytania w rodzaju: *Co z tego, że mieliśmy ziemię, jeśli z niej nic wydrzeć nie było można? Może się nie dało, a może to Tatuś nie umiał tak rządzić, żeby nam było dobrze? Może, może…*

Różnice osobowościowe między głównymi bohaterami mają podłoże kulturowe, ekonomiczne i cywilizacyjne. Wydaje się, że Oleś-Owczarkowej chodzi nie tyle o przeciwstawianie sobie konkretnych postaci, ile o konfrontację dwóch odrębnych światów: polskiego i niemieckiego. To właśnie nieuprzedzona Ala jest w stanie najlepiej dostrzec wady i zalety obydwu nacji. Pracowici i sumienni Niemcy żyją na wyższym poziomie, ich gospodarstwa są zadbane i nowoczesne – Rauska w porównaniu z rodzinnym Podzamczem to wieś bogata, a jej mieszkańcom wiedzie się o wiele lepiej: *Ze wszystkich Niemców na Rausce najmniejsze gospodarstwo ma Hanke. Tylko parę koni i dwie albo trzy krowy. W Podzamczu byłby bogaczem, bo u nas nie było aż takich bogatych gospodarzy, a tu jest uważany za biednego.* Dostatek panujący w domu Langerów robi na narratorce ogromne wrażenie – nie dziwi więc rodzące się w jej głowie pytanie: dlaczego rodzice tak bardzo pragną powrotu do Polski, skoro materialnie jest im tu lepiej niż w kraju? Niemcy i Polacy mają ponadto inny sposób reagowania na życiowe trudności, inaczej okazują uczucia. Matka wydaje się Ali często oschła i nieprzystępna. To Hanna przytuli ją, gdy będzie smutna, i wytłumaczy przerażonej dziewczynce, czym jest pierwsza miesiączka i jak powinna się teraz zachowywać.

Wojna postawiła nieznanych sobie ludzi w trudnej sytuacji – stali się sąsiadami i musieli na nowo ułożyć wzajemne stosunki. Prawo niemieckie było dla Polaków niezwykle surowe: drastycznie ograniczono ich swobody obywatelskie, wprowadzono szereg upokarzających nakazów i zakazów, za których złamanie groziły wysokie kary, włączając w to karę śmierci. Jednak jakkolwiek *wydawane przez władze niemieckie zarządzenia o zasadach zatrudnienia i traktowania robotników polskich zmierzały do uregulowania w najdrobniejszych szczegółach warunków ich życia i pracy, to* (...) *w praktyce warunki te zależały najczęściej, zwłaszcza na wsi, od samych pracodawców*[3]. W Rausce sytuacja także była zróżnicowana: najlepiej mieli robotnicy pracujący dla Langerów, najgorzej ci, których zatrudniał tyranizowany przez żonę Gross. Większość Niemców dających pracę Polakom nie ma nic wspólnego z nazistowskimi władzami, natrętna propaganda wydaje się nie docierać do zajętych własnymi sprawami ludzi (z historii znamy hitlerowskie hasła: „Strzeż się Polaka – to łotr i twój wróg", „Dla nas Niemców nie ma przyzwoitego Polaka, tak samo jak nie ma przyzwoitego Żyda". Aby podsycić nienawiść gazety fabrykowały opowieści o torturach, jakim poddawali Niemców Polacy w 1939 roku). Wobec tych faktów, a także kar, jakie mogły spotkać „Aryjczyków" sympatyzujących z „niższym narodem", mogą dziwić nawet sporadyczne przypadki okazywania Polakom zrozumienia i współczucia (jeśli przeczytamy wspomnienia byłych przymusowych robotników, dowiemy się, że nie było ich wcale tak mało).

Spójrzmy, jak wyglądały w świetle nazistowskiego prawa stosunki niemiecko-polskie w Rausce. Głównym dążeniem hitlerowskiej władzy było ograniczenie do minimum styczności Polaków z miejscową ludnością – z tego wypływały takie m.in. zarządzenia, jak: zakaz poruszania się robotników poza miejscem zamieszkania, zakaz podróży wybranymi środkami komunikacji (pociągami pospiesznymi i ekspresowymi, a także pierwszą i drugą klasą osobowych), zakaz

[3] Bohdan Koziełło-Poklewski: *Wstęp* (w:) *Ze znakiem „P". Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich*. Wybór i opr. Bohdan Koziełło-Poklewski, Bohdan Łukasiewicz. Olsztyn 1977, s. XXIII.

wstępu na niektóre ulice, do lasów i parków, wyznaczenie określonych godzin na dokonywanie zakupów, podział nabożeństw na te dla Niemców i dla Polaków, wprowadzenie godziny policyjnej. „Rozdział narodowościowy" siłą rzeczy nie mógł być tak duży na wsi, jak w mieście – wspólna harówka w polu, mniejsza liczba mieszkańców musiały powodować zadzierzganie silniejszych więzi międzyludzkich niż w metropoliach. Polacy w Rausce pracują na roli razem z biedniejszymi Niemcami, co przyczynia się do powstawania wspólnych przeżyć (matka Ali wymienia się z niemieckimi kobietami przepisami, współczuje Amftowej, która straciła na wojnie syna, plotki nie znają granic i te same sprawy dyskutowane są po polsku i po niemiecku). Harry, niemiecki chłopak, w którym zakochana jest Alusia, spotyka się z przymusowymi robotnikami „na klockach" przy ognisku, gdzie wspólnie słuchają polskich, ukraińskich i rosyjskich piosenek, śpiewają, tańczą, a czasem flirtują.

Szczególnie napiętnowane przez hitlerowców były kontakty seksualne: Polakowi utrzymującemu stosunki płciowe z Niemką groziło tzw. *„potraktowanie specjalne" (Sonderbehandlung), tj. publiczne wieszanie (...) Kobiety polskie utrzymujące intymne kontakty z Niemcami władze rzeszy zalecały raczej karać zesłaniem na czas nieokreślony do obozu koncentracyjnego. Ich pobyt w obozie mógł być wyjątkowo ograniczony do 21 dni, jeżeli mężczyzna niemiecki dopuścił się czynu nierządnego z Polką przy użyciu przemocy lub wykorzystał stosunek nadrzędności. Dla Niemca w takim przypadku przewidywano maksymalną karę osadzenia w obozie koncentracyjnym do trzech miesięcy bądź też nałożenie jedynie grzywny (...) W większości wypadków współżycie seksualne partnerów odbywało się za całkowitym przyzwoleniem niemieckich kobiet, przeważnie w wieku ponad 30 lat, a więc życiowo doświadczonych. Niekiedy właśnie one inicjowały nawiązanie kontaktów z Polakami i zabiegały różnymi sposobami o jak najdłuższe ich trwanie. Kilkakrotnie powieszono kilkunastoletnich robotników za wzajemne przywiązanie i narzeczeńską miłość ku sobie dwojga młodych ludzi: Polaka i Niemki*[4]. W *Rausce* odnajdziemy opisy kilku takich związków. Majętny Gross uwodzi młodą Polkę, co odkrywa jego żona, która wydaje obydwoje w ręce policji. Bauer wraca po niedługim czasie, jednak ślad po Heli ginie. Już na długo przed wojną pracował w majątku Langerów przystojny Polak – Zygmunt. Gdy niemieccy mężczyźni wyjeżdżają, każdej nocy do kwatery trzydziestokilkuletniego mężczyzny pielgrzymują spragnione miłości Niemki – na wsi stanowi to tajemnicę poliszynela, jednak nikt nie donosi o łamaniu prawa policji. Dziecko Zygmunta i Zosi rodzi się potwornie zniekształcone, co jest wynikiem choroby wenerycznej, jakiej robotnik nabawił się od jednej ze swych „pracodawczyń". Romantyczny związek Ali i Harry'ego, który marzy o wspólnej nauce w Berlinie po wojnie (kiedy „musi być inaczej"), nie ma przyszłości. Nawet nie z powodu ostracyzmu otoczenia, lecz ze względu na zwykłą kolej rzeczy i nieubłagany bieg historii – Polacy odjeżdżają, Berlin jest bombardowany, a w Jałcie już podpisane są układy, w których nie ma miejsca na pamięć o sentymentalnych kochankach.

Nie brak też w powieści Oleś-Owczarkowej opisów przejawów sympatii wobec polskich robotników. Najwięcej doświadcza ich Ala: dziewczynie wolno, mimo prawnego zakazu, jeździć na rowerze, jadać w niemieckim domu, nie musi nosić litery „P" przyszytej do ubrania, dostaje od Hanny różne smakołyki i doświadcza niemal matczynych uczuć. Warunki życia u Langerów są dla Przyczyńskich znośne, co nie było chyba zjawiskiem odosobnionym: *stosunkowo najlepsze wyżywienie otrzymywały osoby zatrudnione w gospodarstwach chłopskich. Na ogół nie cierpiały one tam głodu, gdyż część niemieckich rolników odżywiała ich tak samo jak członków własnej rodziny; spora liczba innych właścicieli gospodarstw rolnych wprawdzie podawała Polakom potrawy jakościowo gorsze, ale było ich zawsze pod*

[4] Czesław Łuczak: *Praca przymusowa Polaków w Trzeciej Rzeszy i na okupowanych przez nią terytoriach innych państw (1939-1945)*. Poznań 2001, ss. 95-96.

dostatkiem[5]. Ala nie narzeka na głód, a jej zdumienie budzi fakt, że na zesłaniu posiada własne miejsce do spania i pościel. Dzięki „Szefowej" ojciec dziewczynki zostaje zawieziony do szpitala w Breslau i poddany ratującej życie operacji. Nie wiemy, czy leżał on na oddziale „niemieckim", czy w polskich barakach, ale jest to sytuacja niezwykła, jeśli pamiętamy, że: *w wyjątkowych przypadkach władze zezwalały na umieszczenie w szpitalu także Polaków, ale, jak to dobitnie stwierdziły, wyłącznie w celu eksperymentowania na nich przez niemieckich studentów i uczniów szkół pielęgniarskich*[6]. Wszystkim Polakom pracującym w Rausce ratuje życie pani Kunert, kierowniczka niemieckiej szkoły, śmiertelnie raniona we własnym domu. Podejrzenie padło oczywiście na robotników i tylko ostatnie wyznanie kobiety, że mordercą był pomagający jej Niemiec – Willi, uchroniło ich przed okrutną śmiercią.

Jak widać, stosunki niemiecko-polskie w Rausce układają się raczej naturalnie, są wynikiem ludzkich sympatii i antypatii, nie zostały natomiast zdeterminowane normami prawnymi, których *głównym motywem wprowadzenia (...) była nie konieczność wojenna, ale chęć stałego szykanowania oraz poniżania godności osobistej i narodowej deportowanych do Rzeszy polskich robotników*[7]. Sudeccy Niemcy chwalą się po cichu wynikami wyborów, które wykazały, że w ich miejscowości Hitlera poparła tylko jedna osoba – żona Grossa (mąż od tamtej pory musi jej tłumaczyć, dlaczego „pomylił się" przy głosowaniu). Przejawy okrucieństwa (np. w majątku Grossów) są często powodowane skłonnościami psychicznymi konkretnych osób, a nie szowinistyczną nienawiścią czy propagandą. Najlepiej opisuje to Ala: *w Niemczech patrzę na przeróżnych ludzi. Niby każdy jest inny niż my, bo inaczej mówi, ale jak się im przyjrzeć, to jednak są podobni do nas, Polaków. Bo Polacy też są bardzo różni. Mamusia o niektórych mówi, że mają złote serca, ale są też tacy, na których lepiej uważać.*

Każdy z Polaków tęskni za krajem i próbuje sobie z tą tęsknotą radzić. Alusia często powtarza, że nie rozumie bliskich, z rozrzewnieniem wspominających własne gospodarstwo i jałową ziemię Podzamcza. Nie w pełni świadomie dziewczynka wykształciła ciekawy system obronny – wydarzenia nieprzyjemne i tragiczne spycha w podświadomość. Gdy jest znużona, wyobraża sobie, że tylko „bawi się" w pracę, a wtedy „nie czuje się już tak zmęczona jak przedtem". Stara się zapomnieć o widoku pobitego przez Grossa robotnika, podobnie postępuje, gdy ojciec opowiada jej o Niemcach, którzy palą ludzi w wielkich piecach – woli nawet nie artykułować potwornych słów, jakby w dziecięcy sposób zaklinała rzeczywistość: *nie, nie chcę wierzyć w to, co mówi tatuś! Nie chcę tych strasznych rzeczy znać, boję się o tym myśleć i wolę sobie wyobrażać, że o niczym nie wiem.* Jak się wydaje, w ten sam sposób próbuje zneutralizować tęsknotę – wmawia sobie, że jej nie czuje, choć czasem widok księżyca czy nawet rabarbaru, który rósł także w rodzinnej wiosce, doprowadza ją do rozczulenia i płaczu: *Nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniało mi się nasze źródełko bijące pod akacją i zrobiło mi się czegoś żal i tak jakby rzewnie. Czuję, jakby mnie coś ściskało w okolicy żołądka. To nie znaczy, że ja też tęsknię za Podzamczem! Skądże, żadne tęsknoty! Ja tylko sobie tak mocno przypominam, że aż mnie ściska za gardło.*

Absurdalność świata, w którym żyje i do którego nie przystaje, ponieważ jest zbyt niewinna i dobra, powoduje, że zaczyna zadawać „naiwne pytania": *Nie wiem, jak to możliwe, że się umiera? Czy naprawdę mogłoby już dzisiaj nikogo z nas nie być na tym świecie? I co to znaczy, że się idzie na tamten świat? (...) A najgorsze jest to, że nie wiem, czy gdyby pani Kunert nie napisała, kto jest winien, to czy Szefowa chciałaby nas mimo wszystko bronić?* Życiowe dylematy przerastają czternastolatkę. Nie może pogodzić się z faktem, że jej wrogami są dobrze znani Niemcy, od których otrzymała wiele ciepła: *Najgorsze, że... za bardzo lubię tych, których lubić*

[5] Tamże, s. 120.
[6] Tamże, s. 128.
[7] Tamże, s. 90.

nie powinnam, a może nie dosyć lubię tych, których powinnam szanować i kochać?... Zapomniałam o honorze... Wiadomość o zbliżającym się końcu wojny przyjmuje bez entuzjazmu – w Rausce czuje się bardziej u siebie, a przywiązanie do Hanny i Harry'ego nie pozwala jej wyjechać. Tylko posłuszeństwo wobec woli ojca i pragnienie kontynuowania przerwanej w 1939 roku nauki pomaga dziewczynce podjąć decyzję i opuścić dom Langerów.

Z bohaterami powieści rozstajemy się w przełomowej chwili – scena pożegnania jest dla Ali niezwykle dramatyczna. Rauska pustoszeje, bo Niemcy uciekają przed nadchodzącym frontem – niedługo wyjedzie także Hanna z dziećmi. A przecież wiemy, że po wojnie nie wróci do rodzinnej miejscowości, lecz zyska status przesiedlonej (Erika Steinbach powiedziałaby – wypędzonej). To chyba najbardziej drażliwy moment książki. Oleś-Owczarkowa nie wydaje sądów, Alusia nie pyta naiwnie, dlaczego „Szefowa" musi pozostawić ukochane gospodarstwo… My powinniśmy na jednej szali położyć cierpienia i śmierć milionów Polaków, źle popłatną pracę, do której byli zmuszani pod groźbą karabinów, oraz grabieże i zniszczenia dokonane przez okupantów w Polsce, na drugiej – zbiorową odpowiedzialność narodu, zbytnią bierność i uległość wobec zła oraz tragizm, który płynął z faktu, że dobrzy w gruncie rzeczy ludzie wplątani zostali w bezlitosne mechanizmy systemu. A i tak o wszystkim ostatecznie zadecydują możni tego świata, gdy docisną wagę w korzystny dla własnych interesów sposób, wyznaczając na nowo granice swojego folwarku – Europy.

To nie koniec losów Przyczyńskich. Już podczas jednego z pierwszych noclegów poza Rauską obserwują zabawy krasnoarmiejców – pod krzakiem bzu znajdą rano trupa młodej dziewczyny, która nazbyt uwierzyła we wspaniałomyślność wyzwolicieli, gdy pięknie śpiewając, wręczali jej pod wieczór kradziony zegarek i wieszali na szyi zdobyczną biżuterię. Spotkanie z wojskiem polskim także nie należy do najprzyjemniejszych, ponieważ żołnierze rekwirują im trekę i mąkę, podarowaną na odchodnym przez Hannę. Po wielu dniach wędrówki Alusia dociera do Podzamcza i odkrywa, *że domek jakby trochę zmalał. Jest jakiś mniejszy i ta weranda chyba węższa… I akacja, chociaż rozrosła się, nie jest taka wielka. Wielkie wyrosły tylko pokrzywy przy szopce i koło ustępu.*

Oleś-Owczarkowa mówi, że planuje już kolejną książkę: *Alusia musi sobie poradzić i z następstwami wojny, czyli swoim analfabetyzmem, i stanąć oko w oko z niespodziewaną sytuacją rodzinną. Obawiam się, że dla niej te lata po wojnie będą bardziej dramatyczne od tych na Rausce…*[8] Powstaje szereg wątpliwości. Czy autorka będzie umiała o nowej rzeczywistości opowiadać w równie bezpretensjonalny i ciepły sposób? Czy podobnie jak w *Rausce* uda jej się przedstawić dobrze znaną historię w nowy, niestereotypowy sposób? Czy sympatyczna Ala zachowa w komunistycznej Polsce radość życia? I wreszcie, czy młoda panienka pozostanie wciąż jeszcze na tyle dziecinna i niewinna, żeby zadawać kolejne „naiwne pytania"?

Teresa Oleś-Owczarkowa: *Rauska*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, ss. 269+3 nlb.

[8] Zob. wywiad z autorką na stronie internetowej http://www.wydawnictwoliterackie.pl

Poeci, poeci...

ALEKSANDER WÓJTOWICZ

POWRÓT BRUNONA JASIEŃSKIEGO

Stulecie, które mija od narodzin włoskiego futuryzmu, oraz nieco ponad dziewięćdziesiąt lat upływających od pojawienia się jego polskiego odpowiednika to czas wystarczający, aby spojrzeć na osiągnięcia owego ruchu z uwzględnieniem wpływu, jaki wywarł na rozwój literatury nowoczesnej. Nie chodzi bynajmniej o sporządzenie z okazji rocznicy skrupulatnego bilansu osiągnięć Filippa Tommasa Marinettiego oraz jego naśladowców, lecz o wskazanie tych aspektów ich poszukiwań i eksperymentów, które wydają się istotne dziś, jeśli potraktujemy literaturę minionego stulecia jako zamkniętą całość, napędzaną przez różne warianty rzuconego niegdyś przez Ezrę Pounda hasła „make it new!".

Pretekst do postawienia tego rodzaju pytań stwarza opublikowanie przez wydawnictwo „słowo/obraz terytoria" *Poezji zebranych* Brunona Jasieńskiego. Już pobieżna lektura tomu budzi nieodparte wrażenie, że ukazał się on o wiele za późno, choćby z tego względu, że analogicznych publikacji o wiele wcześniej doczekali się inni artyści związani z futuryzmem – Anatol Stern (1987, opr. A. K. Waśkiewicz) czy Aleksander Wat (1997, opr. A. Micińska, J. Zieliński). A przecież od ponad pół wieku Jasieński uznawany jest za najbardziej reprezentatywnego i zarazem najwybitniejszego twórcę tego ruchu. Powstające na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych książki biograficzne oraz rozprawy naukowe ustaliły obowiązujące do dziś ujęcia interpretacyjne, zaś wydawane w ślad za nimi wybory wierszy ugruntowały pozycję Jasieńskiego, wynosząc go do rangi jednego z najważniejszych twórców polskiej poezji pierwszej połowy dwudziestego wieku. *Utwory poetyckie* opublikowane w serii Biblioteki Narodowej (1972, opr. E. Balcerzan) oraz przedruki w *Almanachu polskiego futuryzmu i Nowej Sztuki* (1978, opr. Z. Jarosiński), a także *Poezje wybrane* z 1979 roku (opr. Z. Jarosiński) ustaliły kanoniczną część jego dorobku, na którą złożyły się głównie wiersze z wydanych w latach dwudziestych tomów: *But w butonierce, Pieśń o głodzie, Ziemia na lewo* oraz *Słowo o Jakubie Szeli*. Do tej pory brakowało natomiast książki, która prezentowałaby całą jego twórczość poetycką z uwzględnieniem wierszy publikowanych w czasopismach.

Opracowany przez Beatę Lentas tom wypełnia tę lukę, bowiem prócz tekstów powszechnie znanych, zawiera szereg utworów, które pojawiły się w latach dwudziestych na łamach „Szczutka", „Gazety Lwowskiej", „Winnicy", „Wieku Nowego" i „Kuriera Lwowskiego". Choć do ich poziomu artystycznego można mieć różnorodne zastrzeżenia, to bez większego trudu da się w nich odnaleźć charakterystyczne właściwości idiomu poetyckiego autora *Buta w butonierce*: nasycenie tekstów dużą ilością słów zaczerpniętych z języków obcych, ironiczno-sarkastyczną tonację czy wreszcie specyficzne, karkołomne wręcz niekiedy rymy. Co jednak najważniejsze, utwory uzupełniają, a poniekąd również korygują

stereotypowy wizerunek Jasieńskiego – futurystycznego eksperymentatora oraz rewolucjonisty.

Wiersze z czasopism, obejmujące połowę *Poezji zebranych*, stanowią przede wszystkim dopełnienie i rozwinięcie estetycznych poglądów poety, który często kierował się charakterystyczną dla futurystów taktyką prowokacji. Najbardziej bodaj wyrazistym przykładem takiej strategii jest cykl *Epitaphia Wielkich Polaków. Niestety żyjących*, poświęcony popularnym w latach dwudziestych pisarzom. Jasieński, często nie przebierając w słowach, przypuszcza atak na parnas literacki – drwi ze Skamandrytów, którym zarzuca dokładnie to samo, co ówcześni adwersarze wypominali futurystom, a mianowicie nadmierne wzorowanie się na poetach europejskich. Argument ten, nieomal żywcem wyjęty ze *Snobizmu i postępu* Stefana Żeromskiego, zwrócony zostaje przeciw Julianowi Tuwimowi. Autor *Kwiatów polskich* naśladuje jakoby Rimbauda, Błoka i Jesienina, zaś umiera tylko dlatego, że braknie mu poetów, na których mógłby się wzorować. Odrębny blok epitafiów poświęcony jest reprezentantom sztuki, opatrywanej przez futurystów zbiorczą etykietą – „paseistyczna": Janowi Kasprowiczowi, Karolowi Irzykowskiemu czy też Kazimierzowi Przerwie-Tetmajerowi. Wszystkim im Jasieński zarzuca kompromis z establishmentem literackim i politycznym oraz nadmierne sprzyjanie gustom publiczności, prowadzące do nieuchronnego obniżenia poziomu utworów. Nurt polemiczny reprezentują również serie *Bajki dla krytyków* oraz *Wycieczki osobiste*, przy czym mniej tu inwektyw, więcej zaś refleksji metapoetyckich oraz ocen sytuacji, w jakiej znalazła się literatura po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Interesujący jest zwłaszcza drugi z wymienionych cykli, pisany oktawą oraz utrzymany w ironicznej tonacji, przywodzącej na myśl romantyczne poematy dygresyjne. Kompozycję ową można uznać za próbę rozsadzenia od środka jednej z najbardziej kunsztownych form poetyckich, lecz, paradoksalnie, nie sposób odmówić Jasieńskiemu dość dużej maestrii, jakiej wymaga przecież operowanie oktawą.

Aluzje do tradycyjnych gatunków stanowią najistotniejszy motyw wierszy rozproszonych. Futurysta ustępuje tutaj miejsca parodyście, który z pastiszową intencją przywołuje często konwencję bajki. Odnaleźć można liczne utwory nawiązujące do dzieł Ignacego Krasickiego, Adama Mickiewicza, Aleksandra Fredry, opatrzone najczęściej podtytułem „bajka zmodernizowana". Wiąże te teksty przekonanie o degeneracji życia publicznego, któremu Jasieński poświęcał dość dużo uwagi, pisząc ironicznie bądź sarkastycznie o organizacjach państwowych, mechanizmach polityki oraz absurdach, w które wciągała obywateli machina administracji państwowej. Demaskatorska pasja i precyzja, z jaką nawiązuje do różnorodnych form poetyckich, przywodzi na myśl najlepsze tradycje międzywojennej satyry, chociażby *Jarmark rymów* Tuwima, zaś podobieństwo to wydaje się godne uwagi tym bardziej, że może stanowić punkt wyjścia do wskazania pewnych specyficznych cech polskiej poezji nowoczesnej.

Utrwalony powszechnie wizerunek Jasieńskiego-futurysty, operującego niekiedy chwytami zaczerpniętymi z poetyki ekspresjonistycznej, dość dobrze oddaje specyficzne cechy jego programu artystycznego, lecz nieco zamazuje istotę poezji, która jest dość wyraźnie zanurzona w atmosferze przenikającej całą sztukę tego czasu. Nie chodzi tu wyłącznie o satyryczny ton, pobrzmiewający z przepełnionych publicystyką i dziś słabo już zrozumiałych tekstów, lecz o kwestie bardziej zasadnicze. Poszukiwanie nowego języka artystycznego oraz wiara w możliwość przebudowy przestrzeni społecznej współgra w wierszach Jasieńskiego z egotyczną pozą, która, mimo prowokacyjnych i obrazoburczych akcentów, dość wyraźnie przypomina kreację podmiotu, jaką odnajdziemy w licznych wierszach Skamandrytów. Dlatego też wydaje się zasadne, aby mówiąc o poezji polskiej tego czasu, porzucić tradycyjny, ugruntowany w historycznoliterackich syntezach, podział na różnorodne „izmy" i sięgnąć głębiej, poszukując wspólnych cech całej ówczesnej

liryki. Tym bardziej że skłonni jesteśmy dziś postrzegać te lata jako okres, któremu ton nadawały próby wcielania w życie ambitnych, lecz niemożliwych do zrealizowania projektów modernizacyjnych, obliczonych na całkowite przeobrażenie przestrzeni społecznej i kulturowej. W procesie tym aktywnie uczestniczyła część ówczesnych artystów, czemu z pewnością sprzyjała optymistyczna atmosfera, jaka zapanowała w europejskiej sztuce po przekroczeniu przez nią trzeciego progu nowoczesności. Dokonujący się wówczas rozłam pomiędzy sztuką auratyczną i postauratyczną traktowany był powszechnie nie tylko jako utrata, lecz również jako zysk, wynikający z wytyczenia nowych granic sztuki, skierowanej ku obszarom, które przez wcześniejsze pokolenia modernistów były pomijane. Zwrotowi temu patronowała euforyczna afirmacja nowoczesnego świata i nieograniczonych możliwości industrialnej cywilizacji, kult technicznej innowacji, dynamiki życia współczesnego oraz krystalizujących się wówczas form egzystencji.

Wszystkie te cechy odnaleźć można w poezji Jasieńskiego. Jej wielowymiarowość wymaga odejścia od nazbyt często powtarzanej przez historyków literatury konceptualizacji opartej na schemacie ewolucji od futurystycznego anarchizmu do politycznego zaangażowania. Zerwanie z takim ujęciem, nadmiernie chyba obciążonym odwołaniami do narracji biograficznej, być może pozwoli spojrzeć na twórczość poety z zupełnie innej perspektywy. I właśnie próbę wykroczenia poza tego rodzaju ramy stanowi zamieszczony na początku książki esej Beaty Lentas *Portrety Brunona Jasieńskiego*, w którym kluczową rolę odgrywa metaforyka teatralna. Mowa tu o „grze", jaką artysta prowadził ze światem, nieustannie „pozując" oraz przywdziewając różne „maski". Stawką miała być obrona przed otaczającym go brutalnym światem. Jednak odwołanie do ujęcia psychologizującego jest chyba w tym przypadku dość ryzykowne, opiera się bowiem na nielicznych świadectwach, jakie pozostawili współcześni Jasieńskiemu pisarze. Świadectwa te stanowią podstawę nazbyt wątłą, aby w oparciu o nie wyciągać tak daleko idące wnioski. W rezultacie otrzymujemy dość plastyczny, lecz nazbyt ogólnikowy portret wrażliwego młodzieńca o „romantycznej naturze", który za pomocą różnych wcieleń tworzył barierę chroniącą „bezbronne wnętrze". Tym samym – choć trudno powiedzieć, na ile świadomie – autorka powiela biograficzną legendę, którą odnajdziemy w większości tekstów poświęconych Jasieńskiemu, szczególnie w *Słowie o Brunonie Jasieńskim* (1978) Janiny Dziarnowskiej. Tymczasem niedostatki owego ujęcia wychodzą na jaw, gdy z tak ustalonej perspektywy przyjdzie spojrzeć na poezję Jasieńskiego, co zresztą widać w zakończeniu eseju. W krótkim podrozdziale zatytułowanym *Dzieło wobec maski*, po paru ogólnych uwagach na temat konstrukcji podmiotu, Lentas konkluduje: *Nikłość świadectw o życiu jednego z najważniejszych poetów polskich skłania, by tajemnic jego życia i twórczości poszukiwać w pozostawionych przez niego wierszach. Prawdopodobnie tam tylko można odnaleźć prawdę o Brunonie Jasieńskim*. Wszystko to prawda, tyle że stwierdzenie powyższe nie powinno stanowić puenty, lecz początek eseju; jeśli jest tak, jak pisze autorka, przedmiotem uwagi powinna stać się nie tyle analizowana już po wielokroć biografia artysty, lecz jego poezja, stanowiąca rzeczywiście jedno z najbardziej spektakularnych osiągnięć polskiej liryki nowoczesnej.

O ile otwierający książkę esej może rodzić pewne wątpliwości, o tyle opracowanie i kompozycja tomu nie budzi zastrzeżeń. Rzetelnie sporządzony aparat krytyczny zawiera nie tylko wzmianki o różnych odmianach tekstów oraz miejscu ich pierwodruku, lecz ponadto krótkie szkice, mówiące o okolicznościach powstania pojedynczych utworów. Można odnaleźć tam informacje o najważniejszych recenzjach oraz analizach poszczególnych wierszy. Literatura przedmiotu, wbrew pozorom, nie jest zbyt rozległa: prócz prac Balcerzana i Jarosińskiego sprzed kilkudziesięciu lat, na temat poezji Jasieńskiego nie napisano wiele. Ponieważ ostatnie książki Krzysztofa Jaworskiego koncentrują się raczej na wymiarze biograficznym, wydaje się, że warto na twórczość ową spojrzeć z perspektywy

nieco innej, uwzględniając toczące się w ostatnim czasie dyskusje nad literaturą polską pierwszej połowy dwudziestego wieku. Opracowany przez Beatę Lentas tom z pewnością stanowi solidną podstawę do takich studiów. Wyłaniający się z niego obraz twórczości Jasieńskiego skłania na nowo do refleksji, zwłaszcza że w ostatnich latach wznowiona została nie tylko jego poezja, lecz również utwory prozatorskie i dramatyczne.

Bruno Jasieński: *Poezje zebrane*. Wstęp, opracowanie i komentarze Beata Lentas, współpraca Małgorzata Ogonowska. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008, ss. 552.

BOGUSŁAW BIELA

A U MNIE CIĄGLE W PLANACH SŁOŃCE TERAŹNIEJSZE, OBŁOKI AKTUALNE, DROGI NA BIEŻĄCO

Niesłychana lekkość i przejrzystość słowa. Rzeczywistość uderza w nas z całą siłą dzięki trafności wyrażenia: albo inaczej – za pośrednictwem słowa uderzamy w rzeczywistość, przełamując jej wynikające z niemocy milczenie. W ten sposób świat zostaje dokładnie nazwany, ale twórca odczuwa niepokój, ponieważ ciągle trzeba nazywać na nowo, na nowo odkrywać zmianę i – trudno uchwytną – teraźniejszość. Wszak poezja to właśnie chwila obecna i... wieczność.

Długo nie czytałem wierszy Wisławy Szymborskiej, nieco spłoszony ponoblowskim szumem prasowym i telewizyjnym. Myślałem wówczas, że to w końcu tylko literacka nagroda, która pozwala piszącej lepiej żyć, a pewnie też lepiej korzystać z dobrodziejstw podróży: wolno jej teraz częściej wyjeżdżać do miejsc, o jakich przez lata marzyła, zwiedzać muzea, nie liczyć się ze szczupłą sakiewką podczas zakupu książek, a może również zamawiać wyborne potrawy w restauracjach, obok których wcześniej tylko przechodziła.

Gdy czytałem najnowszy tom poetki zatytułowany po prostu *Tutaj*, kartkowałem jednocześnie piękne i mądre dzieło Franciszka de La Rochefoucaulda. Rozmyślałem o rozmowach prowadzonych we francuskich siedemnastowiecznych salonach, by zatrzymać się chwilę nad takimi oto zdaniami:

Piękny umysł myśli zawsze szlachetnie, z łatwością stwarza rzeczy jasne, przyjemne i naturalne, ukazując je w najpiękniejszym świetle dnia. Wybiera dla nich ozdoby, które im się należą. Umysł piękny odczuwa smak innych i potrafi odrzucić ze swoich myśli to, co jest nieużyteczne i to, co może się nie podobać innym. Myśl zręczna, łatwa, myśl sugerująca – potrafi omijać i pokonywać przeszkody, poddaje się swobodnie temu, czego pragnie; potrafi rozpoznać zmysł humoru partnerów rozmowy, jednocześnie delikatnie wysuwając i ochraniając swoje argumenty. Piękny umysł widzi wszystkie rzeczy takimi, jakimi powinny być widziane, i nadaje im taką wartość, na jaką zasługują. Potrafi je obrócić na swoją korzyść, ponieważ – pewien ich niezawodności – zna ich siłę i prawdziwą wartość[1].

Co ten fragment ma wspólnego z książką krakowskiej poetki?

W wierszu *Tutaj* sześć razy użyto tytułowego przysłówka. Może dlatego, by lepiej podkreślić jego krótką dwusylabową nośność i materialną oczywistość. Tutaj na Ziemi, planecie ludzi i ich spraw, uczucia i przedmioty idą w jednej parze. Miejsca z okolicami. Fizyczność z normalnością i dotykalnością. Miejsca można polubić, zatrzymać w czasie, a są one piękne. Obracamy się w świecie liczby, miary, konceptu – ale jest to jednak świat we władzy żywiołów: świat wojny (tej doświadczonej osobiście) i wojen (pewnie tych oglądanych w telewizji). Rzeczywistość

[1] F. de La Rochefoucauld: *Maximes suivies des Réflexions diverses. De la différence des esprits*. (*Paragraf XVI*). Paris 1985, s. 152 (tłumaczenie moje, B.B.).

roztacza się przed nami jako długi odpoczynek żywiołów. Wiersz ten (zapisany jak dyskurs, w którym wiedza sąsiaduje z niewiedzą i niepewnością) to konwersacja z jakimś drugim „ty" – nieobecnym jednak ani też niewymienionym imiennie. *Na spocznij w pocie czoła buduje się domy* – to wybitnie polski akcent, przecież właśnie w naszym kraju wielu pokoleniom przyszło na nowo odbudowywać domostwa – wojny nie szczędziły tej ziemi. Inaczej było w zachodniej Europie. Historia łagodniej obeszła się tam z architekturą, posiadłościami, rodzinnymi meblami-pamiątkami. Czy lepszą mieli dyplomację? A może lepiej potrafili przechytrzyć najeźdźcę?

W wierszu, który rozmiarami i sposobem „opowiadania" nieco przypomina nowelę, spotykamy również tak charakterystyczny dla Szymborskiej dyskretny i subtelny dowcip, żart, humor. Będą one nam towarzyszyły do końca lektury, gdyż stają się elementem poetyckiej wizji świata i odpowiadają predyspozycjom psychicznym autorki – stanowią jej esprit. To francuskie słowo oznacza zarówno umysł, dowcip, jak i styl:

Życie na ziemi wypada dość tanio.
Za sny na przykład nie płacisz tu grosza.
Za złudzenia – dopiero kiedy utracone.
Za posiadanie ciała – tylko ciałem.

W *Myślach nawiedzających mnie na ruchliwych ulicach* odbywa się podróż słowa dookoła stołu i niezapisanej kartki. Poetka uruchamia wyobraźnię, która nazywa i oznacza naturę. Pojawiają się twarze, czyli bezpośrednio dane obrazy człowieka. Ale u Szymborskiej przewrotna natura nakłada twarze kiedyś już noszone. W ten sposób Historia zstępuje ze swego piedestału, a postacie historyczne zapełniają nasz świat i ukazują się w rolach raczej nieoczekiwanych (podobnie, jak w reklamie telewizyjnej, filmowej, jak na miejskich plakatach: Archimedes w dżinsach, caryca Katarzyna w ciuchu z wyprzedaży, któryś faraon z teczką). Jednakże zdumienie trwa krótko – nagle pojawia się dwuwiersz, który błyskawicznie przywraca dramatyczy wymiar naszej historycznej pamięci:

Ktoś przewożony tędy złotą karetą
Ktoś wagonem zagłady

Szymborska dopomina się, a może raczej „żąda" od czytelnika racjonalnej syntezy, nie uwodząc go oryginalnością chwytu reklamowego, ale nieustannie testując jego intelektualną pojemność i – by tak powiedzieć – „wytrzymałość" semantyczną.

W *Pomyśle* powraca dialog, poetyka rozmowy albo, jak to ciekawie nazwał Stanisław Balbus, poetyka negatywna. Czytając ten wiersz, więcej niż zwykle musimy się domyślać. Ten ktoś bowiem, z kim toczy się rozmowa, szepce podmiotowi lirycznemu kilka słów na ucho. Cały nasz wysiłek koncentruje się na tym szepcie, wielokrotnie powtarzanym. Wtóruje mu głośne echo podmiotu lirycznego. Echo – alter ego, podświadomość, a może głos wewnętrzny, który unaocznia nasze ograniczenia, trud (wiersz zwięzły i krótki o wiele trudniej napisać niż długi, s. 10), a także (jakże to prawdziwe i dobrze podpatrzone!) zazdrość z powodu wierszy opublikowanych przez kolegów – „nawet jeśli są słabsze". Przysłówek „tutaj" przywołuje u Szymborskiej jakieś „tam", które jest znikaniem, oddalaniem się, przemijaniem chwili:

I zaczął znikać.
I zniknął.

Początek procesu, który postrzegamy, i stwierdzenie faktu, którego doświadczamy. Włącza się światło, kończy się film, kamera przestaje kręcić – wracamy do innych tematów, do rzeczywistości.

Co robią bohaterowie wierszy Szymborskiej? Rozmawiają (aż czternaście razy w dziewiętnastu wierszach tomu), piją kawę, siedzą przy stole, myją się, telefonują, śpią, patrzą (dość często), wchodzą i wychodzą, otwierają i zamykają przestrzeń, słuchają, kupują, jedzą, modlą się do Boga (zdarza się to trzykrotnie), mierzą, wyglądają, uśmiechają się, czasem czytają (cztery razy), także dowiadują się o czymś. Ale nade wszystko kontemplują świat: zachwycają się nim, słuchają go, patrzą na niego, zastygają w nim, dotykają go. Analiza dwóch podstawowych i substancjalnych czasowników, które pojawiają się w tomie, świadczy o wyraźnej przewadze słowa „być" (23 razy) nad słowem „mieć" (14 razy). Jest to zatem zdecydowane, świadome zakorzenienie i bytowanie w otaczającym świecie. Przykładem może być wiersz *Kilkunastoletnia*, w którym poetka wspomina siebie jako kilkunastoletnią dziewczynkę, ale bez mitologizacji dzieciństwa i bez idealizacji dawno minionej przeszłości. Okazuje się bowiem raz jeszcze, że życie oznacza trud znoszenia pamięci, przemijania, znikania, zamykania rozdziałów, etapów, gromadzenia gorzkiej (choć przydatnej) wiedzy – ale też niepewności, wahania, niejednoznacznych wyborów. Nawet w takich sytuacjach Szymborska jest jednak po stronie materialnego świata, po stronie szalika z wełny, zrobionego szydełkiem przez matkę. To on, szalik – wiotka materia – przywraca miniony blask przeszłości.

W wierszu *Trudne życie z pamięcią* podmiot liryczny jest publicznością dla swojej pamięci. Zantropomorfizowana pamięć gniewa się, ale i pociesza. W ten sposób uosobiona zostaje sfera intelektu i emocji, albowiem poezja to domena obrazów – wypełnionych jednak *słońcem teraźniejszym, obłokami aktualnymi i drogami na bieżąco*. Tak długo będą one trwały, jak długo nie wkroczy zniewalająca pamięć.

Jaki jest świat małych cząstek i czy można go opisać w poezji? Zadanie to dla poety *jeszcze bardziej ode mnie zdumionego światem* – zauważa Szymborska w wierszu *Mikrokosmos*. W *Otwornicach* z kolei zachwyca się pierwotniakami tworzącymi muł dna morskiego. W *Przed podróżą* sięga jeszcze dalej – próbuje mianowicie opisać przestrzeń. Słowa budują pewną strukturę metryczną otwartą na kres i bezkres, na punkt A i B, a nade wszystko na owo *pasemko nieba nikłe, nieskończenie któreś*. Oto tytułowa przestrzeń zmaterializowana jednym obrazem – konkretnym, a jednocześnie dostatecznie ogólnym, abyśmy mogli ogarnąć go wzrokiem.

Wspominaliśmy już o dyspozycji poetki do żartobliwego traktowania świata przedstawionego. Żart przenika również w bardzo subtelny sposób wiersz zatytułowany *Rozwód*. Temat, wydawać by się mogło poważny, wymagający zapału dziennikarskiego i moralizotorskiego tonu, u Szymborskiej dotyczy nie tylko dramatu świata, dwojga ludzi, lecz także dzieci, kotka, pieska, mebli, sąsiadów, samochodu i gramatyki zdania pojedynczego:

Gdzie chyba są wskazówki w kwestii dwojga imion –
Czy jeszcze łączyć je spójnikiem „i",
Czy już rozdzielać kropką.

Żart wprowadza w ten świat równowagę, miarę, przywraca mu właściwe proporcje: zmysłowe, dotykalne, fizyczne, w zasięgu naszych rąk, oczu i naszych skromnych – jakże ograniczonych – możliwości. Chroni od nadmiernej powagi i patosu (śmierci myśli). To, co fizyczne, prowadzi nieustanny dialog z tym, co duchowe. Szymborska zatrzymuje niejako świat, każe mu się odsłonić, abyśmy mogli przyjrzeć się jego fizycznej, zmiennej fakturze.

Poetka nie zapomina rownież, że żyje w świecie zbrodni, zamachów na ludzi; w świecie śmierci planowanej i organizowanej. W wierszu *Zamachowcy* z nutą lekkiej ironii przedstawia zwyczajną codzienność zawodowych morderców: zjadają oni potrawy, modlą się, myją nogi, popijają z lodówki soki cytrusowe,

zasypiają smacznie do białego rana. A jednocześnie zabijają z zimną krwią i bez zmrużenia oka. Poetka nie osądza, nie polemizuje, nie moralizuje. Pokazuje w błyskawicznym skrócie złożoność natury człowieka i zwyczajność (banalność) zła, zgodnie zapewne ze swoim przekonaniem, iż *świat zasługuje na to, żeby istnieć dalej i w lepszym szczęściu niż dotychczas*[2].

Wiersz *Przykład* to niezwykły żart lingwistyczny. W dwóch zaledwie zdaniach zawarto dramatyczną prawdę o kaprysach przyrody, przypisując jej poczucie humoru i właśnie, co najciekawsze, skłonność do żartu. Koncept literacki wyraża bezwzględność żywiołu. Rutynowo wypowiadany wyraz „przykład" wprowadza nową jakość semantyczną, odkrywając naszym zdumionym oczom nieznane, a niezwykle intelektualnie wyrafinowane możliwości słowa. Poezja jest oporem przeciw ogólnemu terrorowi istnienia. Służy tu jednak nie zabawie, ale odkrywaniu prawdy o bezwzględności natury. Każdy wiersz Szymborskiej jest odrębnym światem, odrębną rzeczywistością poetycką. Wymaga od czytelnika skupienia, wysiłku, namysłu, nie podsuwa łatwych rozwiązań. W *Identyfikacji* na przykład, nasz ład i ustalony porządek myślowy zakłócają nieoczekiwane wersy:

Zaraz nastawię czwartek, umyję herbatę,
Bo te imiona przecież pospolite –

Ów oryginalny zabieg, który jakże prostym wydaje się rozwiązaniem, jest być może wynikiem wyjątkowej uwagi i szczęśliwego przypadku, trafnego użycia słowa i kondensacji myśli przedstawiającej naszą ubogą codziennność.

O świecie kultury masowej i świecie wielkiej literatury poetka dyskretnie pisze w wierszu *Nieczytane*. W pierwszym bowiem rządzą niepodzielnie: szybkość, skrót, streszczenie, nieustanna zmiana, wygrane, loteria, slajdy (zamiast wspomnień). W drugim: dokładność, mozół, wieloletnia praca, grube tomy do czytania i kartkowania. Wydaje się, że jedynie stoicka postawa, sarkazm i pokora mogą być obroną przed tak zdegradowanym światem:

A my na piątym biegu
i – odpukać zdrowi.

O sztuce Szymborska pisze często i w sposób dość nieoczekiwany. W wierszu *Portret z pamięci* zaskakuje zestawieniem szybkości malowania z szybkością zadawania pytań – wszak malarz musi sobie je postawić, nie patrząc na model. Te krótkie zwroty dotyczące materii, przedmiotów, gestów stwarzają portret na płótnie w błyskawicznym tempie. Pojawia się wtedy pytanie ostatnie, lecz zasadnicze:

A co na pierwszym planie?
Ach, cokolwiek.
I tylko pod warunkiem, że będzie to ptak
Przelatujący właśnie.

Rzeczywistość „wdziera" się w świat poezji lotem ptaka, dzwonieniem budzika (*Sny*), szalikiem z prawdziwej wełny (*Kilkunastoletnia*). Nie ma ucieczki od rzeczywistości, bo tylko w niej jest nasze miejsce. Tak, jak jest w niej miejsce na tuszę Elli Fitzgerald (*Ella w niebie*), która sprawia radość Bogu – wszak Przedwieczny nazywa ją żartobliwie czarną, rozśpiewaną kłodą. Jak jest miejsce na namalowaną ciszę Vermeera (*Vermeer*), *na zjedzone właśnie kluski ze skwarkami* (*Metafizyka*). Chyba nie bez racji ostatni wiersz tomu nosi tytuł *Metafizyka*. Przecież, jak stwierdzają filozofowie: (...) *metafizyka staje się dla człowieka poznawaniem świata w świetle podstawowych (bazowych, tj. najpierwotniejszych) czynników, które stanowią rację – przyczynę samej rzeczywistości, czyli realnych faktów, które*

[2] W. Szymborska: *Poczta literacka, czyli jak zostać lub nie zostać pisarzem*. Kraków 2000, s. 40.

domagają się racjonalnego wyjaśnienia[3]. Co zatem stanowi rację-przyczynę samej rzeczywistości w metafizyce (*Metafizyce*) poetki?

Fakt na wieki wieków,
Na cały kosmos, jaki jest i będzie,
że coś naprawdę było,
póki nie minęło,
nawet to,
że dziś jadłeś kluski ze skwarkami.

A więc: życie w konkrecie, mocno na ziemi, w świecie realnych – a nie wydumanych – przedmiotów, królestwo polskiej dość złożonej gramatyki, gdzie pielęgnuje się piękny styl dawnych poetów, pomysłowość i bogactwo figur retorycznych, taneczny rym, muzykę i śpiewność językową; gdzie istnieje potrzeba ciężkiej pracy nad każdym słowem, potrzeba zmienności i różnorodności; gdzie zadziwia i zachwyca każde najmniejsze żyjące stworzenie – oto poezja Szymborskiej.

Gdy zamykałem tom, powróciło zdanie: *piękny umysł myśli zawsze szlachetnie, z łatwością stwarza rzeczy jasne, przyjemne i naturalne, ukazując je w najpiękniejszym świetle dnia*. Na nowe utwory krakowskiej poetki poczekam trzy lub cztery lata. Pisze ona przecież „tylko" kilka wierszy rocznie, świadoma jak wielkiej wymagają pracy, ile przemyśleń i intelektualnego mozołu[4].

Na okładce zbioru widnieją kontury domów i ich odbicia – niby to w wodzie, niby we mgle. Na granatowym tle widzimy tylko dwa napisy: imię i nazwisko autorki oraz ciemnoniebieski tytuł *Tutaj*. Można powiedzieć: dwa drogowskazy w niebieskiej przestrzeni Ziemi.

Wisława Szymborska: *Tutaj*. Wydawnictwo Znak, Kraków 2009, ss. 40.

RENATA ZIÓŁKOWSKA

BIAŁORUSKI DANSE MACABRE

Wydanie dwujęzycznej antologii *Nie chyliłem czoła przed mocą* jest wyjątkowym wydarzeniem kulturalnym. Prezentuje ona utwory twórców białoruskich od czasów księcia Witolda do końca minionego wieku. To zbiór obszerny, chociaż – jak czytamy we wstępie – nie jest ani chrestomatią, ani w pełni reprezentatywną kompilacją najlepszych dzieł literatury białoruskiej. Mamy natomiast do czynienia z tekstami autorów ważnych dla białoruskiej kultury, które otrzymujemy w bardzo dobrych przekładach. Lawon Barszczeŭski, prezes honorowy Pen Clubu na Białorusi oraz autor słowa wstępnego, w czasie pobytu w Warszawie zwrócił uwagę, *że czytelnik znajdzie w antologii utwory poetów obłożonych zakazem druku lub niepożądanych na Białorusi sowieckiej* oraz *wiersze niektórych poetów „rozstrzelanego Odrodzenia"*. Równocześnie z antologią ukazał się *Suplement poetycki ze współczesnej poezji białoruskiej*, który prezentuje twórczość poetów białoruskich urodzonych w latach 1941-1981. Obie książki zawierają rzetelnie przygotowane biogramy, które są cennym źródłem wiedzy o pisarzach.

[3] M. A. Krąpiec, S. Kamiński, Z. J. Zdybicka, A. Maryniarczyk, P. Jaroszyński: *Wprowadzenie do filozofii*. Lublin 1996, s. 90.

[4] W wystąpieniu z okazji przyznania literackiej Nagrody Nobla poetka powiedziała między innymi: *Poeta, jeśli to jest prawdziwy poeta, powinien także powtarzać: „nie wiem". W każdym nowym wierszu próbuje on na tę niewiedzę odpowiedzieć, ale ilekroć stawia kropkę, pojawia się nowa wątpliwość, przekonanie, iż chodzi raz jeszcze o odpowiedź tymczasową, absolutnie niewystarczającą*, ss.12-13. Kilkanaście zdań dalej dodaje: *W języku poezji, w którym każde słowo jest starannie wyważone, nic nie jest nigdy zwyczajne i normalne. Ani kamień, ani chmura, ani dzień, ani nadchodząca noc, ale ponad wszystko jakiekolwiek istnienie na tym świecie*, ss. 14-15. Zob. W. Szymborska: *Je ne sais quelles gens*. Traduit du polonais par Piotr Kamiński. Paris 1997. (*Discours prononcé devant l'Académie Nobel 7 décembre 1996, à Stockholm*. Tłumaczenie moje, B.B.)

Poezja białoruska powstawała w trzech językach: łacińskim, białoruskim i polskim, na obszarze ścierania się wschodnich i zachodnich wpływów cywilizacyjnych. Franciszek Skaryna na początku XVI w. po raz pierwszy utrwalił język białoruski w druku, tłumacząc *Psałterz* oraz 22 księgi Starego Testamentu z języka cerkiewnosłowiańskiego. W Wielkim Księstwie Litewskim, gdzie żyli przodkowie Litwinów i Białorusinów, obowiązywały: polszczyzna i łacina. Pod koniec XVII w. zniesiono urzędowy status języka białoruskiego. W XVIII w. literatura pisana po białorusku zanikła w wyniku polonizacji ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz porozbiorowej polityki rusyfikacyjnej. Władze carskie traktowały Białoruś jako prowincję rosyjską, a język białoruski jako narzecze w obrębie języka rosyjskiego. Początek XX wieku przyniósł walkę o odrodzenie białoruskiej kultury i państwowości. Zakaz publikacji w języku białoruskim zniesiono po rewolucji 1905 r. Antologie są dowodem, że mimo dramatycznej historii, polonizacji, rusyfikacji, kryzysów oraz represji tradycja nie zginęła. Na jej straży stały: folklor, muzyka, pieśni, tańce i teatr.

Antologie stanowią ciekawą próbę nowego spojrzenia na białoruską poezję. Dokumentują ciągłość tradycji i tematyki bliskiej białoruskiej duszy. Charakterystyczne dla owej liryki są: korzystanie z groteski, w tym tzw. groteski zwierzęcej, motywy patriotyczne (obrona wartości narodowych, sprzeciw wobec totalitarnego ludobójstwa) i szczególnie piękne, liryczne opisy przyrody.

Elementy groteskowe odnajdujemy już w utworach z XVI w. Dominik Rudnicki (1676–1739) upodobał sobie szczególnie styl groteski zwierzęcej. Czerpał z wzorców literatury popularnej i ludowej w sposób typowy dla polsko-białoruskich barokowych poetów jezuickich doby saskiej. W antologii z jego utworów odnajdziemy: *Ptasi bal, Niezgodę ptactwa i sąd nad krukiem, Opisanie ptasiej choroby*. Zacytujmy zabawny fragment tego ostatniego wiersza:

Usiadł wróbel na kuchni
I ślepka mu podpuchły.
Niemoc wielka na wróbelka – zali będzie żył?
Przyleciały do wróbelka sikory,
Patrzą w ślepie – nic nie lepiej, bo chory.
Przyfrunęły do wróbelka jaskółki,
Darmo pocą się, świergocą do spółki.
(...)
Zatrzepotał wróbelek skrzydłami
I do góry się zwrócił nóżkami
Oddał ducha. Wszyscy się zasmucili,
Że na zawsze wróbelka stracili.
Na nic, ptaszki, ta żałość i lament –
Bogu mówcie: – Cóż, stało się. Ament.
Wieczna pamięć duszyczce wróbelka,
Mały ptaszek, a strata tak wielka.
(*Opisanie ptasiej choroby*)

Ojcem groteski poetyckiej był rodowity Białorusin, ks. Józef Baka (1707-1780), bystry uczeń Dominika Rudnickiego. Jedna z jego czterech zachowanych książek *Uwagi rzeczy ostatecznych i złości grzechowej*, a przede wszystkim jej druga część pt. *Uwagi śmierci niechybnej*, pozwala uznać go „za proroka i prawodawcę groteski poetyckiej". *Starym uwaga* to śmieszny i zarazem straszny opis starości. Utwór składa się z kilkunastu obrazków, zestawionych na zasadzie gry skojarzeń, utrzymanych w stylu przypominającym obrazy Hieronima Boscha, którego ulubionym tematem był motyw brzydkiego, starzejącego się ciała, wyrażający marność człowieka wobec upływu czasu. U Baki staruszek darmo warzy zioła w garnuszku, bo

choć żuje, nie czuje posiłku w lat schyłku i *nic piwko, choć z śliwką* mu nie pomoże. Dowiadujemy się ponadto, iż *starość stęka, bo w niej męka nieustanna*, a starzec jest *ślepy oraz głuchy, słaby z nosa spędzić muchy*. Narzekanie może ucichnąć tylko w grobie. Przedstawianie agonii cielesnej jest charakterystyczne dla ars moriendi, powstającej w XV stuleciu. W nocie biograficznej o ks. Bace czytamy: *Poetyka rzeczy ostatecznych sarmackiego niskiego baroku, przeniesiona do Polski na początku XVII w. z łacińskiej poezji śląskich Niemców, a w XVII-XVIII w. przeszczepiona na grunt ruski, osiąga tu stadium boschowskiego Grand Guignolu. Taniec śmierci nabiera zawrotnego tempa*. Symeon Połocki (1629-1680) w *Piosence o śmierci* przypomina i przestrzega, że śmierć zabiera każdego, niezależnie od wieku, majątku i mądrości – nie pomoże nawet znajomość pism Platona.

Groteskowa forma pozwala łatwiej i w ciekawy sposób wypowiedzieć sporo ironicznych i gorzkich uwag o świecie. Parodia była jednym z głównych elementów poetyki sowizdrzalskiej. Także Biblię interpretowano po sowizdrzalsku, a więc najdosłowniej, jako księgę praktycznych porad, ponieważ dobrze przemawiała do wyobraźni wiernych. *Zmartwychwstanie Pańskie* (XVIII w. – pocz. XIX w.) nawiązuje do tradycji polskiej sowizdrzalskiej burleski XVI–XVIII w. W wierszu Żmitroka Biaduli (1886-1941) *Diabeł się żeni* (1915) wesele diabła z Kostuchą to coś więcej niż taniec śmierci czy piekielny taniec weselny, w którym bierze udział „hołota", „motłoch" „gromada martwych ciał". Zabawa jest ukazana z dużą fantazją, jak u Pietera Bruegla w *Tańcu weselnym* albo w *Tańcu pod szubienicą*. Wszystko dzieje się w piekle, gdzie pełno ruchu, wściekłych pląsów, jazgotu w rytmie *Raz dokoła! Raz dokoła!*, a przydałoby się jeszcze *więcej męki!, więcej jęku!* i więcej trutki zamiast trunku. „Echo ryku" dobiega pod niebo. W chocholim tańcu pijących i tańczących umarlaków nie ma miejsca na subtelności ani elegijny nastrój. Śmierć, która szepcze, wabi, nęci, zwodzi, pojawia się także w utworze *Zawierucha* Alesia Haruna (1887-1920). W najmłodszej poezji białoruskiej poetykę danse macabre kontynuuje np. Andriej Chadamowicz (ur. 1973):

jak kamienie co na szańcu
skaczą umarlaki w tańcu
chociaż leży już na desce
maćkowi zagrali jeszcze

moczymorda do kapusia
nocny kowboj w parze z gnidą
coś dla ducha usia siusia
za obola w tany idą

(*Danse macabre*)

Nowe czasy, nowe pieśni – współczesny taniec śmierci z komórką i mailem. Tak jak dawniej, gdzie tańczy wisielec i topielec, nie ma miejsca na mędrkowanie. Krótkie obrazki, czasami żartobliwe, czasami makabryczne, pławią się w jawnej niedorzeczności. Przywodzą na myśl czarny humor, purnonsens – jakości bliskie czytelnikom literatury współczesnej. Efekty absurdalne spotykają się z elementami grozy i makabry, jak w teatrze absurdu. Śmierć budzi strach, ale jest pokazana przewrotnie, w sposób niewinnie zabawny, bez psychologizowania, z lekkim zaznaczeniem realiów społeczno-obyczajowych. Pseudoklasycy uważali, że żart w poezji, świat przedstawiony nie całkiem poważnie, a czasami na opak, nie jest niczym więcej niż przejawem grafomanii. Nie podejrzewali nawet, że w XX w. utwór lekki, bez retorycznej powagi, stanie się „arcydziełem czarnego karnawału". Sugestywny, odrębny, wyrazisty styl ks. Baki miał duży wpływ na twórczość najwybitniejszych polskich poetów od XVII w. do współczesności, był źródłem parodii lub pastiszów, waloryzowano go pozytywnie lub negatywnie.

Wytrwałość, stanowczość, determinacja, miłość do ojczyzny zawsze pozostawały bliskie białoruskim poetom. Wielkie Księstwo Litewskie było krajem o kulturze wielonarodowej i wielojęzycznej. W państwie niejednolitym i różnorodnym wyznaczenie granic literatur narodowych było niemożliwe, dlatego – jak czytamy w nocie biograficznej dotyczącej Naruszewicza – *najrozumniej jest przypisać poetę do dwóch zarazem tradycji literackich (nie literatur, których granice wyznacza język), bo obie taka unia może raczej wzbogacić niż zubożyć*. Stąd obecność w antologii poetów polskich: Adama Naruszewicza, Adama Mickiewicza, Jana Czeczota (wytrwałego zbieracza i znawcy folkloru białoruskiego), Tomasza Zana, Władysława Syrokomli. Opis tradycji białoruskiej w obrębie literatury polskiej i analiza wzajemnych wpływów to na razie sprawa przyszłości.

Poezja białoruska odradzała się po wojnie i po chruszczowowskiej odwilży niemal z niczego. W Republice Białoruskiej tworzyli poeci bardziej lub mniej lojalni wobec władzy. Jednym z najwybitniejszych był Janka Kupała. Władza radziecka określiła go mianem „ideologa burżuazyjnego nacjonalizmu". Próbował popełnić samobójstwo, a w pozostawionym liście napisał, że śmierć fizyczna lepsza jest od politycznej. Powołał się przy tym na Jesienina i Majakowskiego. Odratowany, złamany moralnie został zmuszony do publicznej samokrytyki i pisania socrealistycznej propagandy. W 1918 r. powstała Białoruska Republika Ludowa, a Kupała w 1925 r. otrzymał tytuł „poety narodowego". Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, wypadając z dziewiątego piętra ściśle strzeżonego hotelu „Moskwa".

Wacław Łastoŭski, współtwórca Białoruskiej Republiki Ludowej i w latach 1919-1923 jej premier, uwierzył w obietnice komunistów, a w 1930 r. zesłano go, jako narodowego demokratę, w głąb Rosji. W 1937 r., oskarżony o pracę dla wywiadu polskiego, został powtórnie aresztowany i rozstrzelany przez bolszewickich oprawców. Na Białorusi sowieckiej aż do 1986 r. obowiązywał zakaz wymieniania jego nazwiska w jakichkolwiek publikacjach, utwory Łastoŭskiego wydawane były wyłącznie na emigracji.

Nie chyliłem karku przed mocą
i jak wąż nie pełzałem milczkiem,
o ziemię nie biłem czołem,
utarte ścieżki
omijałem z pogardą,
Porając się z calizną ugoru.
Takie są moje winy,
więcej grzechów na sumienie nie wziąłem!

(*Nie chyliłem karku przed mocą*)

Postacią z wielu względów wyjątkową jest archeolog, polityk i poeta – Zianon Paźniak. Podczas prac archeologicznych badał cmentarzysko ofiar stalinowskich w Kuropatach, w obwodzie mińskim, gdzie w 1988 r. odkryto groby ofiar masowych egzekucji dokonywanych przez sowieckie organa bezpieczeństwa, głównie w latach 1937-1941 (wśród 100 tys. zamordowanych byli także Polacy). Paźniak jako pierwszy poinformował o istnieniu, wielkości i charakterze znaleziska białoruską i rosyjską prasę. Wiadomo, że tylko jednej nocy z 29 na 30 października 1937 r. w mińskim więzieniu rozstrzelano 103 osoby – było wśród nich wielu pisarzy i poetów (listę zamordowanych poetów znajdziemy we wstępie do antologii). W 1938 r., po kolejnej fali terroru, *przeżyło na wolności lub w złotej klatce reżimu stalinowskiego (jak Janka Kupała, Jakub Kołas, Arkadź Kulaszoŭ) najwyżej 10 poetów białoruskich, członków założonego w 1934 roku Związku Pisarzy Sowieckich*. W 1994 r. Zenon Paźniak kandydował w wyborach prezydenckich, które wygrał Łukaszenka. Wkrótce poddano go szykanom i wraz z innymi posłami opozycji

został pobity przez specnaz. Od 1996 r. przebywa na emigracji. Podkreśla, że porzucił twórczość i archeologię na rzecz walki, ponieważ *ocalić literaturę, sztukę, kulturę białoruską to dziś najważniejsze zadanie*. W *Suplemencie* odnajdziemy jego wiersze: *Idę na spotkanie, Stary Iwianiec, GLORIA PATRIA, W zimie mroźną nocą spoglądam w gwiaździste niebo*.

Na emigracji w Ameryce Północnej przez 47 lat tworzyła Natalia Arsieńniewa, która cieszyła się renomą najwybitniejszej poetki białoruskiej diaspory. Nieoficjalnym hymnem Białorusinów na wychodźstwie i w kraju została pieśń śpiewana do słów wiersza Arsieńniewej:

Boże Wszechmocny! O, władco świata
Od serc najmniejszych do wielkich gwiazd,
Niech na Białoruś spłynie Twa szata,
Spowiń nas, wątłych, w chwały twej blask.

Z owoców pracy powszedniej, szarej
Niechaj pożywa chleba nasz Kraj,
Godność i siłę, wielkość wiary
W sprawę i w przyszłość naszą nam daj!

Plony stokrotne daj żytnim niwom,
Niech urodzaje nagrodzą trud.
Uczyń swobodną, uczyń szczęśliwą
Ojczyznę naszą, cały nasz lud!
(*Modlitwa, 1943*)

Poza swoją ojczyzną tworzyli także: Aleś Saławiej, Janka Juchnawiec, Masiej Siadnioŭ. Na Białostocczyźnie w języku białoruskim piszą Nadzieja Artymowicz, Aleś Barski, Jan Czykwin, Mira Łuksza. W 1991 r., po utworzeniu niepodległej Republiki Białorusi, talentem poetyckim zabłysnęli Walancina Aksak, Uładzimir Ihar Babkoŭ oraz Andrej Chadanowicz. Pierwsze dziesięciolecie XXI wieku nie jest dla literatury białoruskiej łaskawe. Utwory Uładzimira Niaklajewa, przedstawiciela *tradycyjnego nurtu we współczesnej poezji białoruskiego Odrodzenia*, zostały w 2007 r. usunięte z programów szkolnych. W obu antologiach możemy przeczytać jego wiersze z tomu *Proszcza*, w których gorzka refleksja dotyczy bolesnych wydarzeń ostatnich lat:

Zgubił swą drogę nasz kraj przy trzech sosnach,
Przebiegł ją wspak jak czółenko na krosnach,
I wpadł ze ślepym narodem w pochodzie
Z sideł zachodu w pułapkę na wschodzie.

Może potomni przewidzą na oczy,
Ale o drogę się nikt nie dopyta.
Jak zjawa z pustki, co w pustce odbita,
Pogoń z pieczątki w paszporcie wyskoczy:
Choć niepodkuta, rwie naprzód z kopyta.
(*Proszcza*)

Język białoruski sprawia, że poezja ta jest śpiewna, szczególnie, gdy tonie w tkliwych obrazach, w zapachach lasów, w sielankowych widokach. Liryczne są madrygały z tak zwanego *Kodeksu orszańskiego* (XVII w.), liryki z *Kodeksu warszawskiego* (XVIII w.) i z *Kodeksu kórnickiego* (XVIII w.). Siedemnastowieczny madrygał to w muzyce wokalny utwór solowy, a w literaturze określano tak

drobne poematy sielankowe, krótkie żartobliwe wiersze miłosne oparte na wyszukanym koncepcie. Poezję białoruską wyróżnia liryzm opisów przyrody, jak np. w licznych wierszach o Niemnie. Tadeusz Łada-Zabłocki (1811-1847) jest autorem elegii *Wilija*. Uwagę zwraca smutny, refleksyjny ton utworu, mówiącego o przemijaniu i o wspaniałej przeszłości: *Pamięć myśli me cofa w jakiś kraj daleki, w szczęśliwsze przeszłości czasy*. Słychać słowika, co *zabrzęczał po lesie, łagodząc burzę duszy* i który ma zaśpiewać *tkliwą pieśń nad grobem poety*. Ignacy Chrapowicki (1817-1893), autor nastrojowego utworu *Dźwina*, zbierał pieśni ludowe i wiadomości o folklorze białoruskim. Wymieńmy elementy krajobrazu obecne w jego wierszu: księżyc, chmury, wicher, mgły, rzeka – „stary Rubon", który huczy, woła, przypomina, pyta. Las zarasta łany, a szmer wiatru zagłusza głosy przyrody. To dumka – ukraiński i białoruski gatunek poezji lirycznej, odmiana pieśni ludowej. W literaturze białoruskiej termin odnosił się głównie do tekstów o charakterze balladowym z elementami elegijnymi i medytacyjnymi. Podmiot liryczny śpiewając, skarży się na samotność.

Maksym Bohdanowicz (1891-1917) jest autorem wierszy: *Rozkopana mogiła, Pędziwiatr, Nad jeziorem, Majowa piosenka*. Pełno w nich muzyki, tańca, szmerów, szeptów. W cichy wieczór słychać, jak jaskółka muska skrzydełkiem wodę i płoszy motyla. Widzimy młyn, do którego przychodzi zakochana Kasieńka szukając pociechy, i gdzie znajduje szczęście. W balladach bez trudu odszukamy pozbawione elementów sensacyjnych motywy baśniowe. To ballady pierwotne – ludowe liryczne pieśni taneczne. Fantastyczny świat ludowych podań i legend, historia, etnografia, miejscowy koloryt oraz egzotyczne krajobrazy fascynowały białoruskich poetów i przyczyniły się do zachowania tradycji. Melancholijny, ponury, dziki, a przede wszystkim pełen swobody świat żywiołów, roślin i zwierząt jest rzeczywisty. W wierszach można go dotknąć, usłyszeć, poczuć.

Antologie poezji białoruskiej obalają mity i stereotypy obecne w myśleniu o twórczości naszych sąsiadów. Na fakt ten zwrócił uwagę Adam Pomorski, znakomity tłumacz poezji białoruskiej: *Dostrzec zmienność i zróżnicowanie to odrzucić stereotyp Obcego. Niech więc tak będzie. Zainteresowanie, przychylność, wrażliwość polskich Czytelników (...) przekraczają granice obcości. Informacja rodzi współczucie. O tym, co pozostaje, stanowią poeci.*

Nie chyliłem czoła przed mocą. Antologia poezji białoruskiej od XV do XX wieku. Wybór, redakcja i noty biograficzne Lawon Barszczeŭski, Adam Pomorski. Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka Jeziorańskiego, Wrocław 2008, ss. 640.
Suplement poetycki ze współczesnej liryki białoruskiej. Wybór i redakcja Adam Pomorski, przełożyli Jerzy Litwiniuk i Adam Pomorski. Dom Kultury Śródmieście, Warszawa 2008, ss. 137+7 nlb.

JACEK HNIDIUK

MIŁOŚĆ, BÓG I MARIUPOL

Wojciech Sołtys (ur. 1980), jeden z trzech poetów współtworzących lubelską grupę poetycką „Nic wspólnego" (zawiesiła ona działalność w 2006 r.), zadebiutował pod koniec 2008 roku tomem wierszy *I jeszcze dalej*. Jak głosi notka na okładce, *od września 2006 do czerwca 2008 był nauczycielem języka polskiego w Mariupolu – wielkim ośrodku przemysłu hutniczego w Donbasie nad Morzem Azowskim*. Część wierszy umieszczonych w zbiorze jest właśnie osadzona w realiach „ukraińskich", inne zaś pochodzą sprzed wyjazdu – niektóre były już publikowane np. w „Akcencie".

Pobyt na Ukrainie odbił się zdecydowanie na zawartości tomu:

Śpiące kobiety w śpiących mężczyznach
Ukraina błota

Ukraina pełna bohaterów zstępujących
Z pustego nieba

(*Prośba jak otwarte ciało…*)

Tak wygląda ukraińska rzeczywistość widziana oczami przybysza z (jakby nie było) Zachodu. Ale Ukraina bywa dla podmiotu tych wierszy także ucieczką, pozwala odreagować osobiste przeżycia:

Początek lat osiemdziesiątych, miałem
Coś ponad rok, umarł Breżniew
(...)
To moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa
Coś się nie układa po takich początkach
Dlatego teraz jestem gdzieś na wschodniej Ukrainie

(*Leonid Breżniew*)

W sumie jednak wyjazd za granicę niesie za sobą poważniejsze konsekwencje. Bohater zaczyna czuć się obcy:

Budzę się
i serce inaczej i obcy znak krzyża

I nie jest to już moje mieszkanie, mój pokój, moje łóżko
Nawet nie moja twarz i nie mój strach

(*5:45*)

W wielu tekstach pojawia się alkohol (*Mariupol II*, *Popielec 5:45*). W wierszu (poemacie) *Polski nacjonalista. Mariupol. Ukraina* czytamy:

Gdy pijesz wódkę z byłym pracownikiem huty, artystą, malarzem (…)
Gdy pijesz wódkę z rozmarzonym homoseksualistą (…)
Gdy pijesz wódkę z byłym milicjantem (…).

Wódka często zapewne towarzyszyła poecie za wschodnią granicą, ale jego wiersze to nie tylko zapis długiego seansu alkoholowego. Operując tym „rekwizytem gościnności" ukraińskiej, autor patrzy na współczesną Ukrainę oczami młodego Polaka, a przede wszystkim oczami poety. Zna nie tylko kraj pomarańczowej rewolucji obecny w TV, ale również Ukrainę dnia powszedniego: w wierszach pojawiają się pracownicy huty, byli milicjanci, oficer radzieckich wojsk czy ekspedientka ze sklepu spożywczego.

Często powraca motyw miłości: *Dlatego podobają mi się ruskie piosenki o miłości* / *Wszystko co „nawsiegda", „lubov", „paszoł na chuj"* (*Leonid Breżniew*), *Błagaj w czerni* / *O wszystko czego się nie przechodzi* / *Czego nie można przeżyć* // *Miłości* (*Szpital*), *Człowiek gaśnie w miłości* / *I noc* / *I wszystko czego nie rozświetli* (*Paul Eluard*). Tego rodzaju liryczne wyznania tworzą obraz miłości, która kładzie kres szczęściu i wiedzie na skraj wyczerpania fizycznego i psychicznego. Wyłania się z nich uczucie niespełnione, nieszczęśliwe, które nie buduje, lecz niszczy, nie jest początkiem, lecz końcem. Poeta operuje symbolami:

Narkotyk możliwości
W otulonym
Kolczastym drutem
Sercu

(*Ten świat ma…*)

I oddech w metrze, który strąca serce
Jakby już ostatni z kamieni
Które tu przywlokłem

(*Prośba jak otwarte ciało…*)

Z powodu braku miłości bohater ulega alienacji:

Stoję w oknie
Plecami do widoku
(…)
Stoję tyłem do drzwi

(*Mariupol II*)

Z zasady
Nie wychodzę z domu
Paruję do wewnątrz.

(*Trzech Króli*)

Antidotum na miłosne cierpienie, a może po prostu logiczną konsekwencją wyobcowania i skupienia się na wewnętrznym „ja" są wiersze, które podejmują problematykę religijną. Bóg i człowiek przedstawieni są jako dualistycznie przeciwstawne, choć jednocześnie uzupełniające się odwieczne żywioły:

Chrystus jest z ognia
Człowiek z wody

(*Paul Eluard*)

Odnajdując Boga, bohater nie dostrzega w Nim nadziei i pociechy, nie utożsamia Go z jasnością i światłem: *Bóg* / *Na czarno* (*Prośba jak otwarte ciało*). Okazuje się jednak, że ta ciernista i wyboista droga ma wyraźny cel, jest drogą prośby i modlitwy:

Jeżeli mówię do ciebie tutaj, w tym miejscu
Mówię bez prawdy, zasady i podziału na role
Mówię zaogniony, cichy w pełni drgający
Choć niedzieli już dawno nie ma ale są
Inne święte dni naszego szklanego tygodnia
(…) *Być dokładnym*
W jedynej rzeczy w której jestem dobry.

Rzeżączce modlitwy

(*Jeżeli nie nazwać*)

Wiersz *Jeżeli nie nazwać* nasuwa skojarzenia z *Rozmową wieczorną* Mickiewicza. U Sołtysa brakuje epitetów dookreślających i jednoznacznie wskazujących na adresata lirycznej wypowiedzi, ale możemy się Go domyślać dzięki takim składnikom poetyckiej wypowiedzi jak apostrofa, końcowa metafora mówiąca o „rzeżączce modlitwy" czy też dzięki sytuacji pierwszoosobowego bohatera, który jest „zaogniony, cichy w pełni drgający", pogrążony w religijnym transie. Z jednej strony pokora, z drugiej brak „podziału na role". Relacja Ja–Bóg przedstawiona została w konwencji romantycznego buntu. Sołtys, podobnie jak Mickiewicz, „gada" z Bogiem.

Skąd autor czerpie poetyckie wzorce i jaka stylistyka jest mu bliska, sugerują tytuły niektórych wierszy: *Rafał Wojaczek*, *Georg Trakl*, *Stanisław Czycz*. To poeci outsiderzy, w których można upatrywać patronów twórczości Sołtysa. W ich dziełach odnajdziemy ten sam klimat niepokoju, wewnętrznego rozdarcia, walki z ciemną stroną własnej osobowości. Podmiot liryczny Sołtysa to nie „cziornyj czełowiek" Majakowskiego, ale na pewno już wie, że „bunt nie przemija, bunt się ustatecznia". Z opisywanych sugestywnie wydarzeń, stanów emocjonalnych i doznań (również natury religijnej), wyłania się obraz bohatera wagabundy i późnego romantyka (chciałoby się powiedzieć „późnego wnuka"). Znaki rozpoznawcze jego poezji to realistyczne opisy czy, w pewnej mierze, autokreacyjne rekwizyty w postaci alkoholu czy papierosów (*Popielec 5:45*). To również dosadność

i oszczędność poetyckiego słowa, codzienność opisywanych sytuacji, obecność wulgaryzmów, przemieszanie wyszukanej metaforyki z językiem codziennym.

Na czwartej stronie okładki zbioru znajduje się fotografia, przedstawiająca widok na tory kolejowe ginące gdzieś w oddali. Początek podróży Sołtysa jest zachęcający.

Wojciech Sołtys: *I jeszcze dalej*. Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent", Biblioteka Narodowa, Lublin 2008, ss. 36. Biblioteka *akcentu*, tom 11.

MARCIN ORLIŃSKI

WSTĄP WE MNIE

Pytanie o tożsamość towarzyszy poezji właściwie od zawsze. Kiedy poeta je zadaje? Na przykład gdy odkrywa, że wszystko, co pisze, tworzy zawsze system odniesień – do innych książek, do języka zastanego, do cudzej mowy. Autor znajduje się bowiem w tej osobliwej sytuacji, że jeśli chce wypowiedzieć siebie, musi się od siebie odwrócić – w stronę języka, w stronę przeszłości. „Ja nie Kafka panie Mieczysławsky" – pisze Rafał Mieczysławsky w jednym z wierszy, po czym dodaje: „Ja nie Lechoń" i „Ja nie Bukowski". Istnieje pewna trudność z właściwym odczytaniem tego typu gestów. Niezależnie jednak, czy postanowimy sięgnąć do Piotra Bratkowskiego, który kilka lat temu ogłaszał: „Nie nazywam się Świetlicki", czy do Bolesława Leśmiana, który już kilkadziesiąt lat temu wyrokował: „Jam nie Osjan", pytanie pozostaje to samo: kim się staję – ja, który oto za sprawą kilku wierszy dołączam do długiego korowodu poetów prawdziwych i zmyślonych? Albo przeciwnie: kim pozostaję mimo tego?

W przypadku Rafała Mieczysławsky'ego sprawa tożsamości wydaje się ważna co najmniej z kilku powodów. Nie wiem, czy Mieczysławsky to prawdziwe nazwisko poety, ale częściowa stylizacja na język angielski byłaby w pełni uzasadniona. Choćby dlatego, że w tomie pojawiają się takie postacie jak Judash czy Chesus. Tożsamość bohatera zostaje również rozbita za sprawą różnych stylów i poetyk, po które sięga autor *rzuconego na światło*. Raz klasyczna powaga, innym razem ponowoczesna potoczność, a nawet rockowy krzyk. Na jednej stronie nawiązanie do motywów biblijnych, na drugiej – tytuły popularnych piosenek. Trudno zaprzeczyć, ta semiotyczna schizofrenia dosyć trafnie charakteryzuje współczesność i może być udziałem każdego z nas.

Z drugiej strony od poezji powinniśmy wymagać czegoś więcej niż prostego rejestru różnych głosów, a miejscami właśnie do tego ogranicza swoją robotę Mieczysławsky. Postaram się więc, jako czytelnik, pozostawić na boku fragmenty niedopracowane, puste lub po prostu stylistycznie i lirycznie chybione. Można bowiem znaleźć w tym tomie pomysły ciekawe, jak na przykład budowanie niejednoznacznych obrazów wokół jednego słowa. W wierszu *Huntington* takim słowem jest „ocean":

Pod wielką falą surferzy
mają swoje zdanie
przez judasz oceanu jak przez dziurkę
od klucza po kosmos
poprzez nowe trendy globalizacji

Ocean to zarówno przestrzeń wiersza, jak i judasz, przez który można zobaczyć coś poza nim, rzeczywistość pozajęzykową, kosmos. Judasz, tym razem pisany poprawnie, jest otworem, przez który można obserwować, co się dzieje za drzwiami. Ale jego nazwa niesie w sobie przecież biblijną zdradę, przewrotność. Słowa poety

można więc odczytywać choćby jako wyraz niezdecydowania lub świadomości zagrożeń płynących z wielości form i stylów. Dwuznaczne słowo „judasz" stałoby się wówczas znakiem ostrzegającym, że polifonia zmieni się w kakofonię, a próba ekspresji rozbije się o niedoskonałość instrumentu.

Zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy motywie drzwi, którym poświęcony został w całości wiersz otwierający tom. Interesujące mogą się wydać zwłaszcza trzy pierwsze linijki: *Aktywacja drzwi rozpoczyna się w momencie snu. / Drzwi otwierają się na zewnątrz same. / Istota drzwi jest niewymierna i nienamacalna.* Jeśli powrócić do kwestii tożsamości, która w przypadku Mieczysławsky'ego wciąż wydaje mi się najbardziej ważka, motyw drzwi może się okazać kluczowy. Czym są drzwi? Czy rzeczywiście ich istota jest „niewymierna i nienamacalna"? Drzwi oddzielają od siebie pomieszczenia. Otwarcie drzwi pozwala wydostać się na zewnątrz, ale również – komuś z zewnątrz – wejść do środka. Drzwi jednocześnie łączą i oddzielają świat wewnętrzny i zewnętrzny, a także – łączą i oddzielają różne wnętrza i różne zewnętrzności.

„Drzwi otwierają się na zewnątrz same" – pisze poeta. A więc tożsamość rozpada się samoistnie, za sprawą kontaktu ze światem zewnętrznym. Czy da się pozostać sobą czytając jednocześnie Pismo Święte i teksty zespołu T.Love? Nie wiem. Ale z pewnością na podstawie tak odległych dyskursów nie sposób zbudować jednolitej narracji. Być może więc bohater tych wierszy pozostaje przez cały czas w zgodzie ze sobą, podobnie jak w zgodzie ze sobą pozostaje schizofrenik, który posłusznie poddaje się słyszanym głosom.

A głosy się mnożą. I mieszają. Poeta na zmianę próbuje być filozofem i turystą. Nastrój tajemnicy z jednego wiersza zostaje zastąpiony przez banalny opis w innym. Nawiązania do Heraklita, de Saint-Exupéry'ego, Poświatowskiej, Różewicza, Whitmana czy Ginsberga pojawiają się w różnych kontekstach i w bardzo różny sposób. Kiedy z kolei w jednym z utworów autor pisze: „Jestem niewyrzucalny", czytelnikowi trudno już myśleć o treści, ponieważ od razu zaczyna się zastanawiać, dlaczego Mieczysławsky zamienił się nagle w Świetlickiego, który w słynnym wierszu z lat dziewięćdziesiątych ogłosił, że jest „nieprzysiadalny". We wspomnianym wcześniej utworze *Ja nie Kafka panie Mieczysławsky* poeta wyznaje wprawdzie, że nie jest Kafką, Lechoniem i Bukowskim, ale nazwisko Świetlickiego się nie pojawia.

Oczywiście, poezję współczesną cechuje intertekstualność i palimpsestowość, nie oznacza to jednak, według mnie, że poeta może dzisiaj dowolnie mieszać słowniki i narracje. Albo inaczej: artystyczna dowolność niekoniecznie musi się wiązać z dobrym efektem poetyckim. Z drugiej strony Mieczysławsky zdaje się kreować na lidera zespołu rockowego, próbuje wpisać się w nurt poezji outsiderskiej, a więc stać się swego rodzaju współczesnym bardem, mrocznym wróżbitą lub aforystą pokroju Boba Dylana, Iana Curtisa czy Briana Molko. W polskiej poezji mieliśmy kilku takich outsiderów, na przykład Edwarda Stachurę, na którego zresztą autor *rzuconego na światło* się powołuje.

Możliwe, że miejsce w historii literatury, określone choćby przez nazwisko, konstytuuje się tylko poprzez kontekst. Oko sieci przemawia i boli. Jednak ten ból nie jest i nie może już być autentyczny. Czy autor przeczuwa, że w najlepszym wypadku podzieli los Homera? Według niektórych badaczy i myślicieli Homer nigdy nie istniał, a jego imię odnosi się tak naprawdę do wielu pokoleń wędrownych trubadurów i śpiewaków greckich, za sprawą których mit się rozwijał i krystalizował[1]. Właśnie tak chciałbym odczytywać jeden z najpiękniejszych wierszy Mieczysławsky'ego *Myspace*, który przytaczam w całości:

Ukryte, otwiera w tobie wszystkie drogi
na światło dzienne.

[1] Jednym z pierwszych autorów, którzy w tekście Homera widzieli nie dzieło konkretnego autora, lecz produkt historii, był włoski filozof Giambattista Vico.

Ta rana, która pulsuje w sieci,
jest jaskrawa i bezbolesna.

Wejdź i zostań
jej bezbronnym, wirtualnym przyjacielem.

Rafał Mieczysławsky: *rzucone na światło*. Wydawnictwo Forma, Szczecin-Bezrzecze 2009, ss. 50.

ANDRZEJ GOWORSKI

MADE OF POETRY

Zgodnie z decyzją miejskiego konserwatora zabytków we Wrocławiu w budynkach sprzed 1939 roku nie można samowolnie dokonywać zmian elewacji. Jednak, mimo oficjalnego zakazu, w dzielnicy Wrocław-Śródmieście kilka lat temu panowała moda na wymienianie starych okien. Na podwórzach poniemieckich kamienic piętrzyły się stosy ram. Szkło bywało w nich tak matowe ze starości, że oparte o siebie i ustawione w kilku rzędach, zasłaniały metalowy pojemnik. „Śmietnik, oparte o kontener stare okna" – oto obrazek z powieści *PiT* Jacka Bieruta (Wrocław 2007). I bynajmniej nie jest to jedyne w tej książce przywołanie realiów stolicy Dolnego Śląska. Pojawiają się konkretne ulice i typowi dla wrocławskiego śródmieścia mieszkańcy. Zagęszczenie faktów związanych z intymnym życiem miasta jest tak duże, że proza Bieruta wydaje się skłaniać czytelnika do „topograficznej" interpretacji i potraktowania książki jako subiektywnego opisu niewielkiego wycinka rzeczywistości.

Pokusa tłumaczenia literatury przez biografię jest jeszcze większa w przypadku poezji Jacka Bieruta. Doświadczenie rzeczywistości stanowi dla niego nie tylko liryczny budulec, ale bywa także gotowym tekstem poetyckim. Po lekturze debiutanckiego tomu *Igła* (Wrocław 2002) i najnowszej książki poetyckiej *Fizyka* (Wrocław 2008) trudno oprzeć się wrażeniu, że oto mamy do czynienia z obrazami oglądanymi w specyficzny sposób – z tekstów przebija odrębna i skoncentrowana, jakby ściśnięta pasem, wrażliwość. Karol Maliszewski eufemistycznie (w posłowiu do *Igły*) określa potencjalnego adresata tej poezji jako kogoś, kto *przeżył i „przeszedł" z jednej strony przez Wojaczka, Stachurę, Babińskiego i Milczewskiego-Bruno, a z drugiej Bicelewicza, Pawlaka (Piotra) i Baczewskiego*. Owa kondensacja treści i lirycznych aluzji w skrajnych przypadkach może czynić odbiorcę bezradnym. W utworze *Bożonarodzeniowy*, zamieszczonym w *Fizyce*, czytamy w pierwszej strofie:

Szkło z potłuczonych butelek po wódce
wcementowane w szczyt
muru sióstr zakonnych. Tamtędy wracają do domów // ludzie.

Satysfakcja z rozpoznania, uzyskana w tym przypadku dzięki „topografizacji" tekstu, tłumi potencjalne interpretacje. Dwa ostatnie wersy utworu: *istnieją różni posiadacze nieszczęśnic, // bez wątpienia istnieją różne nieszczęśnice*, które stanowią zarazem mocną puentę i zapowiedź głębszych sensów, osoba obeznana z Wrocławiem może mimowolnie pominąć. Rozpoznać w tekście znane miejsce, to przecież jak zobaczyć niespodziewanie w telewizji kogoś bliskiego. Mniej zwraca się wtedy uwagę na to, co on tam robi, co ma do przekazania, a bardziej przeżywa się sam fakt jego zaskakującej obecności. Nie inaczej jest i w tym przypadku. Hipotetyczność tekstu zostaje przesłonięta przez obraz mijanych podczas spacerów budynków zakonnych, z dużym ogrodem i sadem z jabłoniami, ale przede wszystkim z okalającym cały kompleks murem z tłuczonym szkłem na szczycie, które grozi rabusiowi owoców poważnymi skaleczeniami.

Bierut postępuje jednak przewrotnie. Uważna refleksja nad sposobem opisu miasta pozwala zdekonspirować technikę wkomponowywania w teksty motywów urbanistycznych. W wierszach obok siebie istnieją frazy poświęcone ulicom, chodnikom itp. oraz – toutes proportions gardées – wersy niejako tłumaczące zasadność pojawienia się owych opisów. W liryku *Którego nie będzie* (*Igła*) obecne są dwie charakterystyczne dla tej poezji motywacje kompozycyjne – wewnątrz- i zewnątrztekstowa:

Chodniki gasił wulkaniczny pył,
w nieruchomym powietrzu wszystko

jakoś trzymało się kupy. Byłem
jedynym, który stał. Miasto, w którym
wszyscy chodzą, to popiół posklejany
śliną spalonych ludzi. Dmuchnąłem.

Miasto istnieje tu w ramach określonej struktury. Można wyróżnić jej poszczególne elementy, prześledzić ich budowę oraz łączące je relacje. Uwagę zwraca zwłaszcza ruch: całość drży, jest zwarta, stoi nieruchomo (w napięciu), chodzi. Wobec tej zmiennej dynamiki realne jest widmo katastrofy – gdyby nie pył odcinający dopływ tlenu, wszystko spłonęłoby w sekundzie. Przeciwwagą w ten sposób zarysowanej sytuacji jest „ja" liryczne. Niczym stateczny demiurg ma moc wpływania na przedstawioną rzeczywistość oraz określa opozycję centrum–peryferie. Dzięki tak skonstruowanej ramie kompozycyjnej poszczególne elementy liryku „jakoś trzymają się kupy". Ponadto dążność do spojenia ze sobą wewnątrz struktury wiersza dwóch jego podstawowych elementów – miasta i „ja" lirycznego, można przyjąć za cechę charakterystyczną dla wszystkich tekstów Jacka Bieruta zawierających motywy urbanistyczne. Ta mocno upodmiotowiona poezja niejako potrzebuje dopełnienia w postaci dynamicznie dostrzeżonego miasta. Bytu realnego i niezwykle spójnego dla bohatera, a hermetycznego dla czytelnika (aby podążać za logiką tekstu, trzeba przyjąć np. „dmuchnięcie" za oczywiste, naturalne i konieczne).

Motywacja zewnątrztekstowa dotyczy miejsc istniejących w rzeczywistości. Wiersz *Którego nie będzie*, podobnie jak tekst *Bożonarodzeniowy*, osadzony jest w realiach konkretnego miasta. Otwiera on krótki cykl *Nocna jazda pociągiem (tryptyk napisany gdzieś między Lublinem, który lepiej mieć za plecami, a Puławami)*, którego akcja dzieje się w Lublinie. Kontekst biograficzny pozwala wskazać w przypadku tych liryków, a także innych „topograficznych" wierszy z *Igły*, źródła inspiracji. „Ja" liryczne porusza się w przestrzeni, którą Jacek Bierut dobrze zna (poeta ukończył w Lublinie studia polonistyczne). Nasuwa się zatem pytanie, czy – tak jak we Wrocławiu mur ze szkłem – w Lublinie istnieje ulica, na której „chodniki gasi pył wulkaniczny"? Lektura wierszy oraz znajomość biografii twórcy upoważniają do odpowiedzi twierdzącej. Obrazy z liryku *Którego nie będzie* są dostępne dla czytelnika jako wyobrażenia wyabstrahowane z tekstu literackiego, a dla bohatera wiersza i samego Bieruta-poety istnieją rzeczywiście. Trzeba zaakceptować tę sprzeczność. W przeciwnym razie „wsobność" poety może spowodować, że czytelnik zniechęci się do tych wierszy lub z nimi rozminie.

Jednak nie wszystkie miasta Bieruta płoną, nie wszystkie teksty przypominają średniowieczne mapy nieba z zaznaczonym centrum i niesamowitymi peryferiami. Diapazon poetyckiego obrazowania wyznaczają z jednej strony bujne, egocentryczne obrazy rodem z *Igły*, z drugiej zaś obecne w *Fizyce* subiektywne, syntetyczne raporty z rzeczywistości:

(…) *Jest dom, jest dach,*
na dachu jest antena. Sercem
anteny są dwie śrubki w puszce (…)
(*Można nałożyć w wierszu*)

Na tle poezji znanej z *Igły* wersy te wyróżnia surowy opis; w specyficznej logice wiersza poszczególne elementy znaczeniowe są ze sobą bardzo ściśle powiązane. Tak jakby poeta przywiązywał szczególną wagę do precyzji związków przyczynowo-skutkowych między nimi. Prowadzi to, podobnie jak w twórczości Tadeusza Różewicza, do redukcji sensów naddanych oraz, paradoksalnie, wzmacnia funkcję autoteliczną. Poecie, który dokonuje takich zabiegów, mogą przyświecać dwa cele: oczyszczenie tekstu w myśl reguły brzytwy Ockhama bądź redefinicja poetyckości. Początek wiersza *** (*Można nałożyć w wierszu*) wskazuje na drugą z tych możliwości:

Można nałożyć w wierszu
wiele porządków, można je
zorganizować, nie będzie
to czytelne dla zbyt
wielu, oprócz autora
ktoś jeszcze powinien umieć
je przejrzeć, tak by doszło
do oddania władzy nad
ładem w ogniskach stabilnych
i nie. (…)

Takich liryków jest w *Fizyce* więcej. Spośród czterdziestu czterech tekstów wchodzących w skład tego tomu, kilkanaście zwraca uwagę oryginalnością. *Na żywca*, *** (*niespokojni mogą*), *** (*Znaleźliśmy w lesie dziecko*), *** (*Zostało trochę musztardy*), *Naczynia połączone*, ***(*Wielu zaginionych przyszło tu*), *Rozkopy*, *Ogród różany* – to przykłady wierszy, w których poeta przemawia nowym głosem. Dzięki konsekwentnie stosowanej surowej argumentacji brzmi on wyraziście, efektownie, a niekiedy sentymentalnie – taki efekt udało mu się uzyskać w ostatniej strofie wiersza *** (*Zostało trochę musztardy*):

choć tu się dzieje jak na dworcu
przy nieczynnej trakcji,
dziś był kulawy piesek.

Niestety, gros wierszy zamieszczonych w zbiorze *Fizyka* to liryczne relacje ze zdarzeń rozgrywających się w hipotetycznej przeszłości „ja" lirycznego (problem znany już z *Igły*). Jak czytać teksty zbudowane z wersów typu: *woń ogrodu mojego dziadka // w którym lepiłem auta z gliny* (*Po rabarbarze*)? Tak przedstawionym obrazom brakuje ożywiającej dynamiki (wyjątek stanowi erotyk *Ogród różany*). Rację ma Jacek Łukasiewicz – gorący zwolennik powieści *PiT*, który w blurbie do najnowszej książki poetyckiej Bieruta zwraca uwagę na fakt, że *Fizyka* to tom *łączący się wyraźnie poprzez wizję świata i stosunek do niej – z prozą pisarza*. Jego wypowiedź umieszczona na czwartej stronie okładki może być wskazówką dla czytelnika: *lektura tej książki poetyckiej warta jest uzupełnienia o prozę Bieruta, np. powieść „PiT"*, oraz – dodajmy – o debiutancką *Iglę*.

Zapewne trudno było Bierutowi dokonać wyboru tekstów do najnowszego tomu. Przez sześć lat (tyle minęło od publikacji *Igły*) musiało się ich uzbierać niemało. Jednak byłoby lepiej, gdyby książkę odchudzono, gdyby *Fizyka* była bardziej „fizyczna": jednorodna, spójniejsza. Gdyby mniej było w niej zapętleń i odniesień intertekstualnych.

To miało być miejsce, w którym umrą
koty, a nie ja dziś albo kiedyś. (…)

*** (*To miało być miejsce, w którym umrą*)

Jacek Bierut: *Fizyka*. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2008, ss. 54.

plastyka

LECHOSŁAW LAMEŃSKI

Czarno-biały zapis emocji według Tadeusza Mysłowskiego

Tadeusza Mysłowskiego poznałem osobiście dopiero na wiosnę 2009 roku, a więc bardzo późno, można wręcz powiedzieć, że co najmniej o kilkanaście lat za późno. Co prawda, kim jest artysta, co reprezentuje swoją specyficzną sztuką, wiedziałem już znacznie wcześniej, ba, w tłumie widzów przybywających na wernisaże w lubelskim BWA potrafiłem nawet zidentyfikować jego charakterystyczną sylwetkę: średniego wzrostu, mocno zbudowany, w nieodłącznym kapeluszu, spod którego wystają niesfornie skręcone, przyprószone siwizną, opadające na ramiona włosy, a na wydatnym nosie spoczywają okrągłe okulary, zza których spoglądają ciekawe świata, pełne życia oczy. Nigdy jednak nie ośmieliłem się podejść do niego i nawiązać rozmowy o interesujących go kwestiach artystycznych, które przez swój rodowód, sięgający abstrakcji geometrycznej, suprematyzmu i konstruktywizmu, układają się w bardzo spójną całość.

Wbrew pozorom jednorodności, wynikającej z dominanty prostych form geometrycznych (z motywem krzyża pojawiającym się od 1976 roku coraz częściej), jest to jednak twórczość bardzo złożona, zdecydowanie wielowarstwowa, tak pod względem zastosowanych środków przekazu plastycznego, jak i szerszego przesłania o podłożu metafizycznym. Tadeusz Mysłowski, stawiając sobie bardzo wysokie cele artystyczne, nie chce uprawiać sztuki dla sztuki, pragnie, aby jego dzieła były przede wszystkim oglądane, wzbudzały emocje, żeby publiczność sal wystawowych nie przechodziła obok nich obojętnie, a napięcie zawarte w fascynujących go układach geometrycznych, w nieskazitelnej grze bieli i czerni, mocno działało na naszą psychikę i pozostawało na długo w pamięci, jak po obejrzeniu dobrego filmu czy po lekturze ciekawej książki.

Ostatecznie, dzięki pośrednictwu osób trzecich, umówiłem się z Tadeuszem Mysłowskim na rozmowę. Przedtem sprawdziłem, że choć „Akcent" jest obecny na rynku wydawniczym od blisko trzydziestu lat (pierwszy numer ukazał się w pamiętnym 1980 roku) to artyście nie poświęciliśmy jeszcze ani jednego zdania, nie reprodukowaliśmy ani jednej jego pracy. Tę zaległość należało jak najszybciej nadrobić. Z miejsca ujął mnie swoją bezpośredniością, otwarciem i wyczuwalnym profesjonalizmem. Nie tylko wyczerpująco odpowiadał na moje proste i zapewne nieco dla niego trywial-

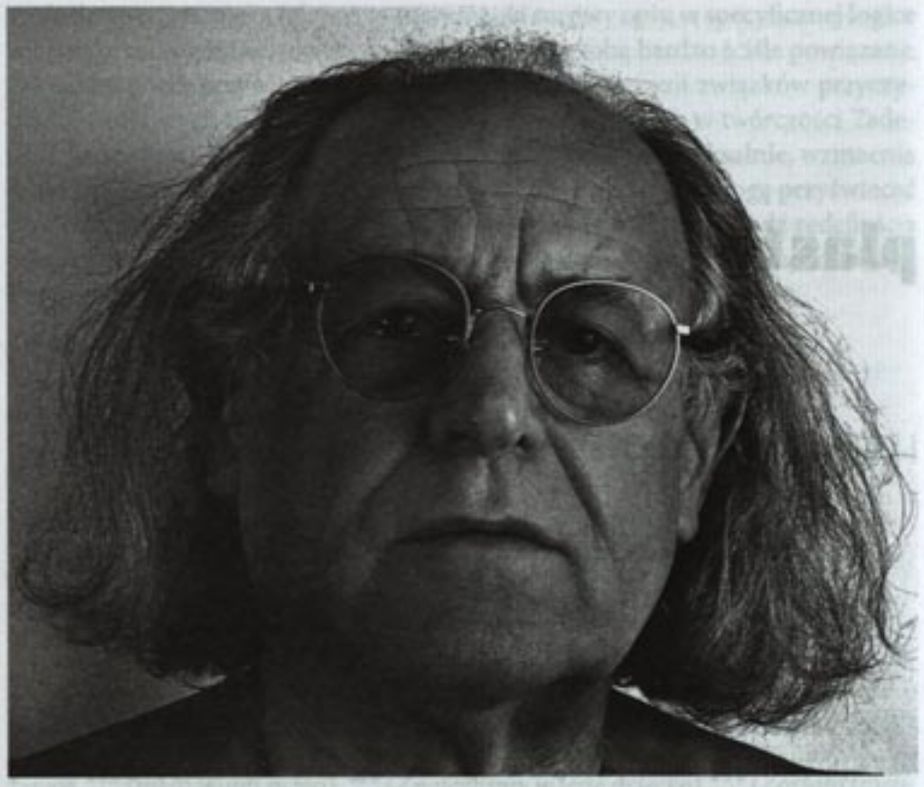

Portret Tadeusza Mysłowskiego, Larissa Baldovin, 2009

ne pytania, ale przyniósł również ze sobą – tak dla mnie cenne – katalogi, wycinki prasowe oraz bardzo interesujący, wspaniale zredagowany i wydany album: *Tadeusz Mysłowski. Towards organic geometry 1972-1994*, (New York City 1994), którego późniejsza lektura pozwoliła mi poznać bliżej charakter i rodzaj uprawianej przez niego sztuki. Patrzył na mnie rozbawiony „spod oka", gdy oszołomiony formą i jakością wizualną albumu przerzucałem nerwowo poszczególne jego strony, z trudem próbując zebrać myśli. W odruchu samoobrony pomyślałem, że musimy się spotkać jeszcze raz, abym miał szansę zadania nowych, bardziej problemowych pytań. Wyprzedzając moją niewypowiedzianą jeszcze prośbę, artysta zaproponował mi rozmowę za trzy dni. Do spotkania jednak nie doszło, niestety z mojej winy, nie pojawiłem się bowiem, sam nie wiem dlaczego, o umówionej godzinie przed Bramą Krakowską. Fakt ten mocno rozeźlił Tadeusza Mysłowskiego – kilkakrotnie usłyszałem, co sądzi o mojej nieodpowiedzialności. Cóż, miał pełne prawo do irytacji. Później, na szczęście dla mnie, było już znacznie lepiej. Spotkaliśmy się jeszcze parę razy, szczerze rozmawialiśmy i chyba – jak sadzę – zawiązała się między nami nić porozumienia, żeby nie powiedzieć wprost sympatii i wzajemnego szacunku.

Gdy pod koniec lat 80. XX wieku Stanisław Jordanowski, powszechnie szanowany kolekcjoner i wybitny znawca malarstwa polskiego XIX i XX wieku na gruncie amerykańskim, emigrant z czasów II wojny światowej, opublikował długo oczekiwane *Vademecum malarstwa polskiego* (New York 1988), wszyscy zainteresowani otrzymali po raz pierwszy tak szerokie i wszechstronne kompendium wiedzy o najciekawszych – zdaniem autora – artystach polskich, których obrazy, rysunki i grafiki trafiły w ten czy inny sposób do zbiorów prywatnych i publicznych w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Z lektury tej interesującej i wartościowej książki wy-

nika, że choć Stanisław Jordanowski był bardzo dobrze zorientowany we wszelkich niuansach i nurtach w malarstwie polskim, przynajmniej w ciągu ostatnich dwustu lat, to jednak jego osobiste fascynacje wyczerpywały się przede wszystkim na akceptacji malarstwa przedstawiającego (głównie XIX-wiecznego), z naciskiem na środowisko monachijskie, oraz międzywojennego koloryzmu. Tymczasem malarstwu współczesnemu (od abstrakcji do konceptualizmu), które coraz częściej pojawiało się przecież na amerykańskim rynku antykwarycznym, poświęcił autor zaledwie kilka stron. Nic więc dziwnego, że na próżno szukać w *Vademecum malarstwa polskiego* choćby najmniejszego śladu obecności w USA artystów pokroju Tadeusza Mysłowskiego, artysty tyleż fascynującego, co niezwykle konsekwentnego, znanego i cenionego chyba znacznie bardziej w świecie niż w Polsce, gdzie – co należy uczciwie stwierdzić – cieszy się jednak zasłużonym uznaniem i szacunkiem najwybitniejszych krytyków oraz przedstawicieli awangardowych środowisk twórczych, przede wszystkim Lublina, Łodzi, Warszawy i Krakowa.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja gdy sięgniemy do najnowszej książki Szymona Bojko *Z polskim rodowodem. Artyści polscy i amerykańscy polskiego pochodzenia w sztuce Stanów Zjednoczonych w latach 1900-1980* (Toruń 2007). Ten błyskotliwy historyk sztuki i krytyk (wybitny znawca polskiego plakatu), niemal przez całe swoje długie i barwne życie (rocznik 1917!) krążący nieustannie pomiędzy Polską a USA, zainteresował się „zaledwie" kilkudziesięcioma artystami, których uznał za niepokornych, a przy tym za zdecydowanie awangardowych. Podzielił ich według wieku, na przedstawicieli trzech generacji, począwszy od najstarszego, urodzonego jeszcze pod koniec XIX wieku pokolenia Tamary Łempickiej, które pojawiło się w Stanach w dwudziestoleciu międzywojennym, a na emigrantach z wyboru po 1945 roku skończywszy. W gronie tych ostatnich znaleźli się zarówno Wojciech Fangor, Ryszard Horowitz, Tadeusz Łapiński, Stanisław Zagórski jak i interesujący nas dzisiaj najbardziej Tadeusz Mysłowski.

Być może Szymona Bojko, mimo wszystko badacza starszego pokolenia, otwartego jednak, jak rzadko kto, na nowe prądy w sztuce XX wieku, urzekła czytelna plakatowość interdyscyplinarnej sztuki polskiego artysty (malarza,

Tadusz Mysłowski jako uczeń PLSP maluje na Dolnej Marii Panny w Lublinie, lata 1961-1962

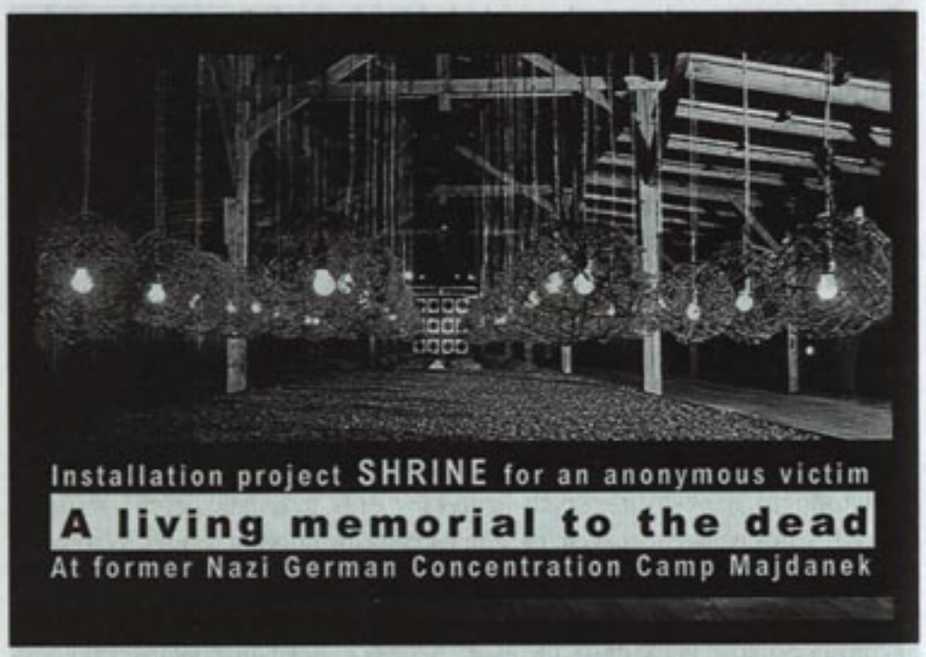

Projekt instalacji „Shrine – Miejsce Pamięci Bezimiennej Ofiary".
Państwowe Muzeum na Majdanku, 1999

grafika, rzeźbiarza i fotografika w jednej osobie), jej klarowność i logiczność, przede wszystkim chyba jednak wyczuwalny związek ze strukturą, układem przestrzennym oraz detalem architektonicznym Nowego Jorku, a zwłaszcza z jego sercem, tętniącym życiem, nigdy nie zasypiającym Manhattanem. To miasto moloch, miasto o skrajnych możliwościach, jedyny w swoim rodzaju żywy organizm, który w mgnieniu oka potrafi wykreować jednostkę lub ją unicestwić, miasto, które od blisko czterdziestu już lat jest dla Mysłowskiego niewyczerpanym źródłem inspiracji, miejscem tyle magicznym, co wyjątkowym, miejscem, bez którego nie może żyć i funkcjonować jako artysta. Ale przecież takich twórców, ludzi sztuki, jak on jest w Nowym Jorku ponad 40.000 [sic!] i niemal wszyscy oni marzą o odniesieniu spektakularnego sukcesu. Sukcesu, który pozwoli im zaistnieć na mapie artystycznej tego niezwykłego miasta i kraju. Z perspektywy końca pierwszej dekady XXI wieku należy stwierdzić, że Tadeusz Mysłowski to na pewno artysta na swój sposób spełniony, rozpoznawalny i identyfikowany z bardzo charakterystycznymi działaniami plastycznymi. Jego najlepsze, najbardziej wartościowe prace znajdują się w renomowanych galeriach i muzeach w kraju i na świecie, a on sam poza organizowaniem wystaw indywidualnych, konsekwentnie stara się pozostawiać trwałe ślady swojej obecności i talentu w miejscach szczególnie mu bliskich.

Tadeusz Mysłowski (rocznik 1943), urodził się w Piotrkowie k. Lublina. Od pierwszych lat życia niezwykle uzdolniony plastycznie, miał wyjątkowe szczęście do ciekawych i wartościowych ludzi, którzy stawali na jego drodze w różnych okresach jego barwnego i burzliwego życia. Najpierw matka dostrzegła wyjątkowe predyspozycje plastyczne syna i zapiała go do ogniska plastycznego w lubelskim Domu Kultury Kolejarza (lata 1954-1956). Potem była nauka w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie (lata 1957-1963), a w jej ramach prawdziwa przyjaźń z profesorem Eugeniuszem Baranowskim, który uczył go rzeźby, i wreszcie matura ze szczególnym wyróżnieniem z przedmiotów artystycznych.

W 1963 roku Tadeusz Mysłowski zdał egzamin wstępny i został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studiował malarstwo u Wacława Taranczewskiego, jednego z najwybitniejszych kolorystów polskich, grafikę u Konrada Srzednickiego i Włodzimierza Kunza oraz monumentalne malarstwo ścienne u Janiny Kraupe, członkini Grupy Krakowskiej.

Niemal natychmiast po otrzymaniu dyplomu ukończenia studiów wyjeżdża do Paryża. W mieście nad Sekwaną spędza rok (kwiecień 1969 – maj 1970), częściowo dzięki pomocy materialnej ze strony Ireny Hochman, która przyczynia się również do tego, że w maju 1970 roku artysta emigruje do USA. Mysłowski osiada na stałe w Nowym Jorku w chwili, gdy miasto to zaczyna być uznawane za światowe centrum sztuki awangardowej. Zaledwie rok później zawiera związek małżeński z Ireną Hochman, która od tego momentu odgrywa coraz bardziej znaczącą rolę w jego artystycznej odysei, głównie jako menager, właścicielka znanej nowojorskiej galerii (Irena Hochman Fine Art. Ltd.), wyrafinowany wydawca i chyba przede wszystkim jako osoba, z którą Tadeusz Mysłowski może porozmawiać bardzo intymnie o własnej sztuce.

Od 1973 roku artysta nie tylko organizuje bardzo dużo wystaw indywidualnych w Nowym Jorku, Japonii, Niemczech, Austrii, Francji, Rosji, Portugalii czy Japonii, ale także w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Lublinie i innych miastach polskich. Równocześnie wiele podróżuje po Europie, Azji, Ameryce Południowej i Bliskim Wschodzie, jego prace trafiają do najbardziej prestiżowych galerii i muzeów na całym świecie – można je oglądać m.in. w nowojorskim Museum of Modern Art, a także w Tate Galery (Londyn), Museum of Modern Art w niemieckim Hunfeld czy w paryskiej Bibliotheque National. W 1982 roku otrzymuje obywatelstwo amerykańskie, nigdy

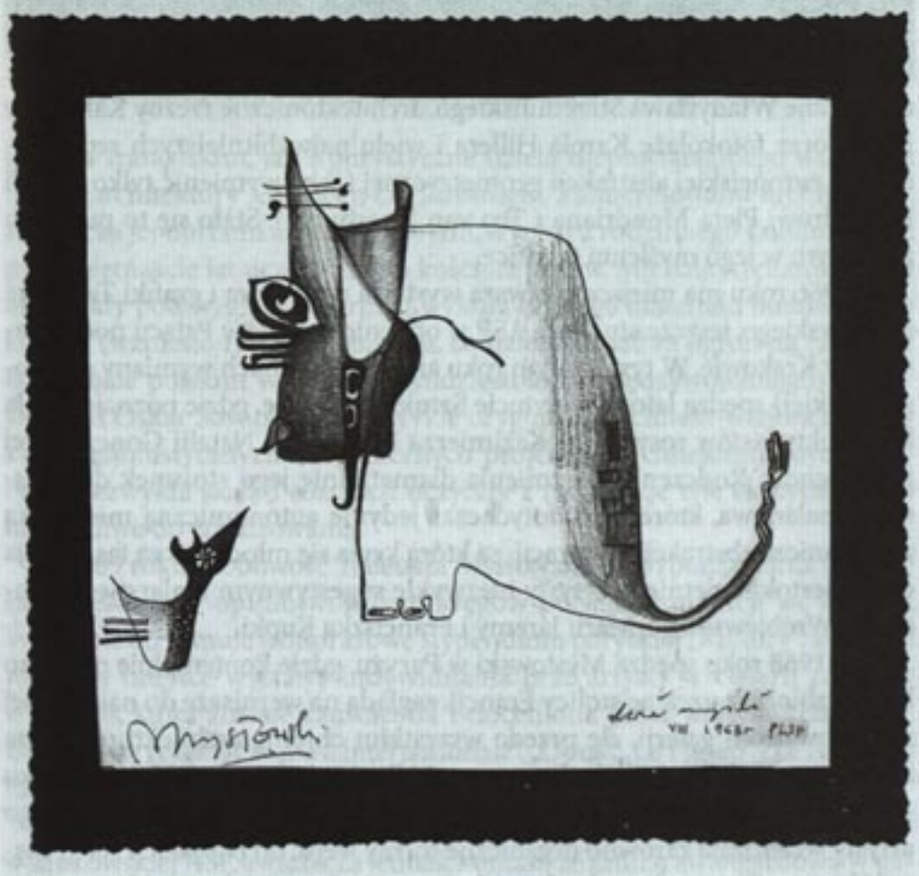

Dwie myśli, 1963

jednak nie zrywa kontaktów z awangardowymi środowiskami twórczymi w kraju, które – jak się wydaje – w miarę upływu lat stają się coraz dłuższe i częstsze, podobnie jak wizyty w rodzinnym Lublinie, mieście, w którym wszystko się zaczęło.

Bezpośredni kontakt z czarno-białą sztuką abstrakcyjną Tadeusza Mysłowskiego, o czytelnym aspekcie geometrycznym, z wykorzystaniem multimedialnych środków przekazu, wzbogaconych od pewnego czasu o aspekt muzyczny (efekt udanej współpracy z kompozytorem Zbigniewem Bargielskim, także lublinianinem, od lat osiadłym w Wiedniu), a także kontakt z samym artystą, to bez wątpienia duże przeżycie dla widza i rozmówcy. Mimo że pojedyncze kompozycje Tadeusza Mysłowskiego lub całe ich ciągi zawierają formy zdecydowanie abstrakcyjne, o rodowodzie stricte geometrycznym, a więc są pozornie całkowicie oderwane od natury, sztuka uprawiana przez artystę to jednak fragment większej całości, w której różne odmiany abstrakcji (zwłaszcza suprematyzm i konstruktywizm) tworzą harmonijną i spójną całość ze światem form organicznych.

Od najmłodszych lat Tadeusz Mysłowski miał nie tylko szczęście – jak już wspomniałem – do kontaktów z ciekawymi i wartościowymi ludźmi, ale także ze sztuką awangardową, która go ukształtowała. Jako kilkunastoletni chłopiec był naiwnym – jak sam twierdzi – świadkiem nowatorskich inicjatyw artystycznych podejmowanych po raz pierwszy na gruncie polskim po 1945 roku, przez artystów z lubelskiej Grupy Zamek. Z kolei w trakcie studiów w krakowskiej ASP poznał nie tylko subtelności wszechobecnego jeszcze – choć o rodowodzie międzywojennym – koloryzmu, ale w bliskiej mu i niepowtarzalnej atmosferze rozkochanego w tradycji Krakowa śledził również pionierskie dokonania Tadeusza Kantora i Edwarda Krasińskiego. W połowie lat 60. XX wieku po raz pierwszy odwiedził międzynarodową kolekcję Muzeum Sztuki w Łodzi i obejrzał zgromadzone w niej kompozycje unistyczne Władysława Strzemińskiego, architektoniczne rzeźby Katarzyny Kobro oraz fotokolaże Karola Hillera i wielu najwybitniejszych reprezentantów europejskiej abstrakcji geometrycznej (żeby wymienić tylko dwóch Holendrów: Pieta Mondriana i Teo van Doesburga). Stało się to punktem zwrotnym w jego myśleniu o sztuce.

W 1966 roku ma miejsce pierwsza wystawa malarstwa i grafiki Tadeusza Mysłowskiego, jeszcze studenta ASP w oficynie debiutów Pałacu pod Baranami w Krakowie. W tym samym roku artysta (w ramach wymiany polsko-radzieckiej) spędza lato w Instytucie Sztuki w Kijowie, gdzie poznaje dzieła konstruktywistów rosyjskich: Kazimierza Malewicza, Natalii Gonczarowej i Aleksandra Rodczenki, co zmienia diametralnie jego stosunek do własnego malarstwa, które było dotychczas jedynie autonomiczną mieszanką z pogranicza abstrakcji i figuracji, za którą kryła się młodzieńcza fascynacja dwudziestokilkuletniego artysty niezwykle sugestywnym malarstwem Andrzeja Wróblewskiego, Marii Jaremy i Franciszka Kupki.

Lato 1968 roku spędza Mysłowski w Paryżu, gdzie kontempluje nie tylko bogate zbiory muzealne stolicy Francji, zagląda na wernisaże do najbardziej renomowanych galerii, ale przede wszystkim chłonie architekturę dawną i współczesną, która już wkrótce – po osiedleniu się artysty w Nowym Jorku – stanie się głównym źródłem jego inspiracji. Zachwyt młodego polskiego artysty wzbudzają zarówno organiczne formy wejść do paryskich stacji metra Hectora Guimarda, najwybitniejszego przedstawiciela Art Nouveau na

Wystawa w SOHO obrazów na metalu, 3 m x 3 m, 1984

gruncie francuskim, jak i purystyczne dzieła niepowtarzalnego wizjonera i maga architektury XX wieku Le Corbusiera. Zainteresowanie architekturą, zwłaszcza jej nurtami awangardowymi, wynosi z rodzinnego Lublina, gdzie przez piętnaście lat uczęszczał do kościoła pw. św. Michała Archanioła. Ten niezwykły pod względem formy i wykorzystanego materiału budowlanego kościół (wzniesiony z żelazobetonu, co należy uznać za ogromną rzadkość na gruncie polskim w okresie dwudziestolecia międzywojennego) zaprojektował Oskar Sosnowski, niezwykle oryginalny architekt-wizjoner, znany z ekspresjonistycznych i organicznych projektów architektonicznych, których niezwykła skala i rozmach uczyniły z nich wizje tyle ekscytujące, co niemożliwe do zrealizowania.

W 1969 roku osobowość Tadeusza Mysłowskiego wzbudza coraz większe zainteresowanie opiniotwórczych kręgów polskiej emigracji we Francji. W efekcie otrzymuje jednorazowe stypendium paryskiej „Kultury", a w 1970 roku ma miejsce wystawa indywidualna prac artysty w Galerii Lambert w Paryżu, która zostaje zauważona i doceniona przez krytykę francuską. Ukazują się recenzje w „Art. Internationale", „Opus", „Le Figaro", „Le Nouveau Journal" i „Galerie des Arts".

Doświadczenie nabyte podczas krótkiego pobytu w Paryżu, lata nauki w krakowskiej ASP, zwłaszcza jednak kontakt ze sztuką awangardową w galeriach, muzeach oraz w pracowniach twórców (najpierw w kraju, a potem

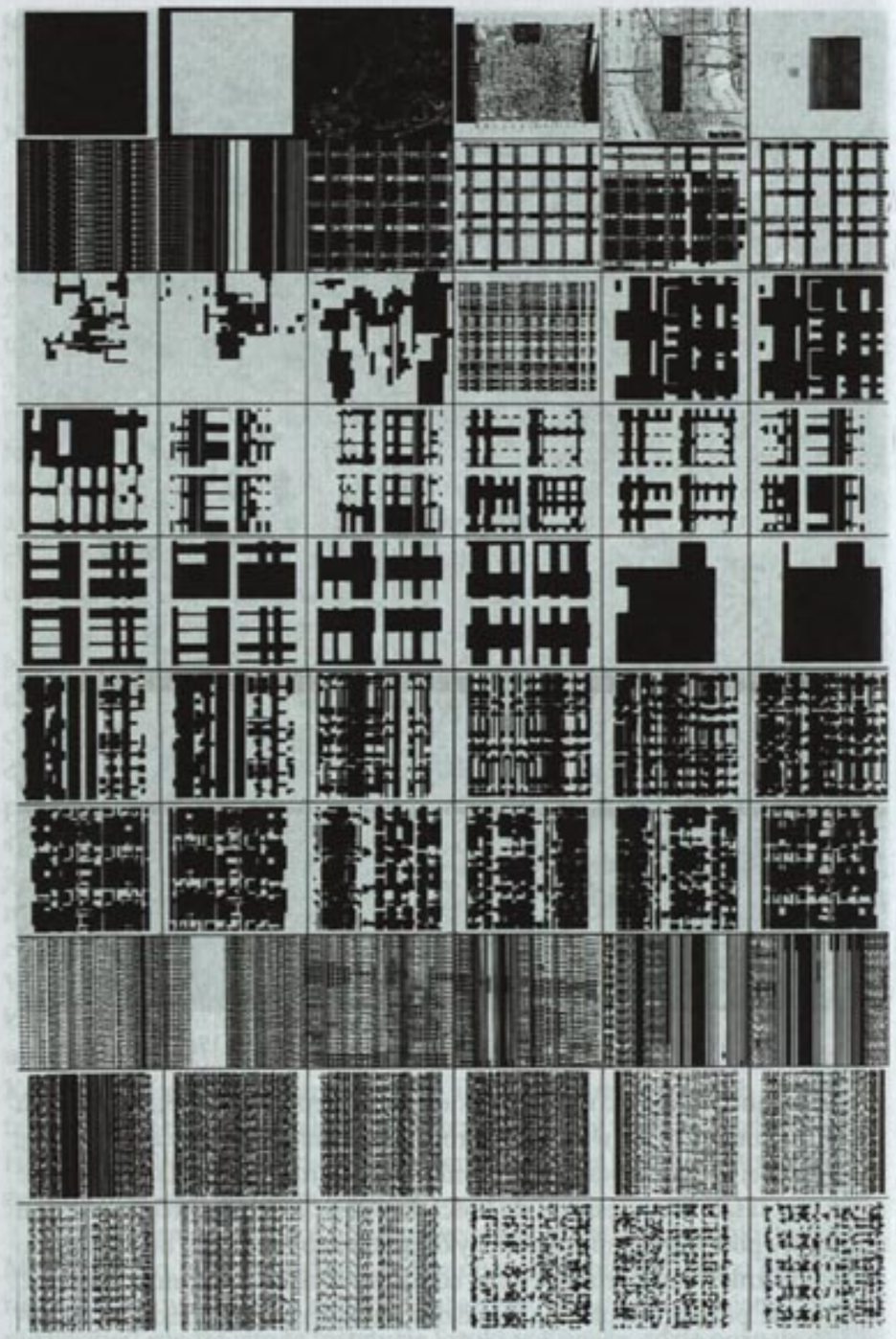

W kierunku geometrii organicznej, Kolekcja MOMA, Nowy Jork 1971

za granicą) przynosi wymierne efekty już na gruncie amerykańskim. Tadeusz Mysłowski definitywnie rezygnuje z koloru; z „klasycznego" malarza, jakim był, gdy opuszczał Polskę, staje się bardziej malarskim eksperymentatorem, zafascynowanym czarno-białą grafiką i fotografią, która stwarza nowe, niezwykle interesujące możliwości wyrazowe. W 1971 roku artysta stwierdza: *Moje prace to kontynuacja sztuki konstruktywizmu przy użyciu nowych narzędzi i materiałów, przechodzenie od struktury opartej na metafizyce do geometrycznej struktury systematycznej i logicznej*. Zdaniem Mysłowskiego *aparat fotograficzny pozwolił na analityczne usystematyzowanie moich prac. Jako narzędzie badań ustanawia on szczególną logikę, wywodzącą się z jego*

mechano/optycznej natury, pozwalającą mi na przeszeregowanie dostępnych informacji tak, że unikam nadrzędnej wizualnej narracji.

Z fascynacji Nowym Jorkiem powstają w 1974 roku *New York Faces* (*Twarze Nowego Jorku*), portrety komputerowe ludzi zamieszkujących różne części miasta, które kontynuuje w latach 1976-1979, ustawiając na Times Square kamerę, sprzężoną z komputerem i drukarką, za pomocą której fotografuje 3000 przypadkowych przechodniów.

Przede wszystkim jednak w 1974 roku powstaje portfolio zawierające 20 grafik pt.: *The Avenue of the Americas*, będące kwintesencją miasta, jego niepowtarzalnej struktury i wysokościowej zabudowy na najciekawszym – zdaniem przybyłego z Europy artysty – odcinku. Z niewyszukaną swobodą i wyczuwalną intuicją Tadeusz Mysłowski sprowadza regularną siatkę ulic Manhattanu oraz zlokalizowanych przy nich biurowców, siedzib korporacji i banków do dwuwymiarowych ikonicznych znaków graficznych, które powielane, zestawiane w nowe układy, świetnie oddają ich rytm i charakter.

Jak słusznie zauważył jeden z krytyków, Tadeusz Mysłowski rozpoczął swoją wielką przygodę z Nowym Jorkiem od miejsca, w którym tak uwielbiany przez niego Piet Mondrian ją zakończył. Zanim genialny Holender doszedł do purystycznych układów linii pionowych i poziomych, przecinających się pod kątem prostym, z coraz bardziej redukowaną gamą kolorystyczną dopełniających je kwadratów i prostokątów (wypełnionych kolorem niebieskim, czerwonym i żółtym), przeszedł długą ewolucję od bardzo malarskiego i zdecydowanie przedstawiającego postimpresjonizmu do pełnej abstrakcji geometrycznej, gdzie liczyła się tylko logika najprostszych układów i form. Przyjazd Mondriana w 1940 roku do Nowego Jorku stał się wstrząsem, który zaowocował namalowaniem – tuż przed śmiercią w 1944 roku – całkowicie różnych (od powstałych do tej pory) obrazów: *New York – New York City, Broadway Boogie-Woogie* oraz *Victory Boggie-Woogie*, będących swoistym wyrazem hołdu złożonego przez tego wielkiego artystę rzeczywistości Nowego Świata.

Tymczasem gdy Tadeusz Mysłowski pojawił się w Nowym Jorku w maju 1970 roku, od razu zareagował na puls miasta, na jego zaskakująco logiczny układ przestrzenny, rezygnując z jednej strony z koloru (na rzecz układów czarno-białych), a z drugiej wkomponowując w przeniesioną na płaszczyznę białego kartonu siatkę ulic swoje poczucie romantyzmu, wyniesione z kilkusetletniej tradycji cywilizacji europejskiej. Kilka lat później poznaje i zaprzyjaźnia się z Harrym Holtzmanem, człowiekiem, który zorganizował i sfinansował emigrację Pieta Mondriana do Ameryki, wspierał go finansowo aż do śmierci i stał się jedynym spadkobiercą jego twórczości. W efekcie, w 1984 roku Mysłowski wraz z żoną Ireną Hochman organizuje w jej nowojorskiej galerii wystawę ostatnich prac Holendra (*Piet Mondrian. The Wall Works, 1943-44*). Dzięki rozmowom z Holtzmanem, zwłaszcza jednak dzięki jego wspomnieniom, Mysłowski odniósł wrażenie, że oto „spotkał" Pieta Mondriana osobiście, mógł go odwiedzać do woli w jego nowojorskiej pracowni, słuchać trafnych uwag i mądrych rad. Odtąd fascynacja rzeczywistością wykreowaną przez wielkiego Holendra będzie mu towarzyszyć na każdym kroku jego działalności artystycznej, ale polski twórca mimo wszystko zawsze pozostanie sobą.

Z całą pewnością takim właśnie artystą był w 1999 roku, gdy przekonał – o dziwo szybko i bez problemu – Edwarda Balawejdera, ówczesnego dy-

rektora Państwowego Muzeum na Majdanku do idei realizacji w jednym z baraków obozu multimedialnej instalacji *Shrine dla anonimowych (bezimiennych) ofiar.* Po hebrajsku *Shrine* oznacza rodzaj ponadwyznaniowego miejsca skupienia, oczyszczenia i refleksji.

W mrocznej, całkowicie pustej, złowrogo anonimowej przestrzeni baraku 47, w której oddech zatyka ciężkie, pozbawione dopływu świeżego tlenu powietrze, a nozdrza drażni ostry zapach smoły, umieścił artysta na osi środkowej symboliczną drogę, którą szli do komór gazowych więźniowie. Ponad jej pierwszą częścią (podniesioną kilkanaście centymetrów do góry w stosunku do desek podłogi), wypełnioną czarnym żwirem, zawiesił 52 utkane z drutu kolczastego kokony z ledwo jarzącymi się w ich wnętrzu żarówkami, symbolizujące obywateli pięćdziesięciu dwóch państw (głównie narodowości żydowskiej), którzy zginęli na Majdanku. W drugiej, wypełnionej tym razem białym żwirem, kokonów było już znacznie więcej (68), wszystkie były jednak puste i nie wisiały, lecz leżały martwe i anonimowe na żwirze. Na zakończeniu drogi, na tle ściany szczytowej baraku, umieścił artysta rodzaj nastawy ołtarzowej złożonej z 12 czarnych kół namalowanych na białym, czerpanym papierze, być może odniesienie do dwunastu pokoleń Izraela. Dodatkowo z prawej strony ustawił na pulpicie – pełniącym funkcję kościelnej ambony – księgę klepsydr, z której można odczytać ułożone alfabetycznie narodowości wszystkich więźniów Majdanka.

Oglądaniu instalacji towarzyszy ascetyczna muzyka skomponowana przez Zbigniewa Bargielskiego, oparta na sugestywnych i mocnych akordach. Dodatkowo z niewidocznych głośników dochodzi kakofonia ostrych ludzkich dźwięków, nakładające się na siebie krzyki rozpaczy, płacz i szlochanie, a także – zaczerpnięta ze wspomnień jednej z więźniarek, Danuty Brzosko-Mędryk, opublikowanych w jej książce *Matylda* (Warszawa 1970) – przerażająca opowieść o tym, jak w styczniu 1943 roku młoda, bezbronna dziewczyna i jej najbliżsi trafili w sam środek piekła, do fabryki śmierci na Majdanku.

Tadeusz Mysłowski, zaangażowany bardzo emocjonalnie w realizację swego pomysłu, pragnął doprowadzić również do opublikowania autorskiego albumu, stanowiącego słowne i graficzne dopełnienie instalacji. Niestety, nabrzmiałe kwestie finansowe oraz zmiana na stanowisku dyrektora muzeum spowodowały, iż pomysł pozostał na etapie dopracowanej w najdrobniejszych szczegółach makiety. Wskazuje ona jednak, że artysta zainspirowany nowatorskimi pomysłami edytorskimi Władysława Strzemińskiego z lat trzydziestych XX wieku, w ramach tzw. Biblioteki „a.r.", próbował stworzyć nową – bardzo oryginalną – jakość formalną i treściową.

W 2009 roku w ramach I Festiwalu Tradycji i Awangardy Muzycznej (Lublin, 21-23 maja 2009) miał miejsce kilkunastominutowy koncert pt.: *Ku geometrii organicznej* autorstwa Zbigniewa Bargielskiego (muzyka) i Tadeusza Mysłowskiego (strona plastyczna). Uczestniczyłem pierwszy raz w tego typu pokazie, gdzie sugestywny, choć bardzo prosty i rytmiczny podkład muzyczny współgrał znakomicie z charakterystycznymi znakami plastycznymi, obecnymi w twórczości artysty od kilkudziesięciu już lat, kojarzącymi się z Nowym Jorkiem, symbolizującymi jego najbardziej żywotne arterie komunikacyjne, ulice, mosty i wiadukty, a wszystko to zmultiplikowane i ożywione przez nakładanie poszczególnych kadrów na siebie.

Patrząc na dorobek Tadeusza Mysłowskiego, należy stwierdzić, że chyba nie ma artysty, który byłby bardziej „nowojorski", a jednocześnie zdolny do

istnienia i funkcjonowania z powodzeniem w każdym innym mieście i kraju. Bogactwo i różnorodność jego działań (zasygnalizowanych przecież tylko skrótowo w niniejszym eseju) czyni z Tadeusza Mysłowskiego artystę kompletnego, artystę, który jest w stanie przekonać do siebie i swojej sztuki nawet najbardziej zagorzałych przeciwników konceptualizmu czy wyrafinowanych odmian abstrakcji geometrycznej.

lipiec 2009

Lechosław Lameński

PS. Z ostatniej chwili: Jury 19 Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie przyznało Tadeuszowi Mysłowskiemu, reprezentującemu USA, jedną z pięciu głównych nagród. Wyróżniono kompozycje artysty *On* i *Ona* z 2008 roku, wykonane w – pociągającej go coraz bardziej w ostatnim czasie – klasycznej technice drzeworytu. Po blisko czterdziestu latach od wyeliminowania postaci ludzkiej ze swojej twórczości, Mysłowski tworzy nową, bardzo osobistą figurę organiczną, zrodzoną z bezgranicznej fascynacji Metropolis (Nowym Jorkiem), ale będącą zarazem plastyczną kwintesencją geometrii jego własnego DNA.

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Anna Bolecka: *Uwiedzeni*. Powieść. Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza Jacek Santorski, Warszawa 2009, ss. 348.

Jerzy Suchanek: *Płakula*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2009, ss. 172.

Stefan Pastuszewski: *Trumna nie ma kieszeni*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo", Bydgoszcz 2009, ss. 114.

Mirosław Nahacz: *Niezwykłe przygody Roberta Robura*. Prószyński i S-ka, Warszawa 2009, ss. 510.

Victor Segalen: *Stele*. Przełożył z francuskiego Krzysztof A. Jeżewski. Centrum Polsko-Francuskie, Olsztyn 2009, ss. 109.

Krystian Piwowarski: *Klan*. Wydawnictwo tCHu, Warszawa 2008, t. 1, ss. 387, t. 2, ss. 378.

Podróż życia. Almanach prozy i poezji. Opracował Stanisław A. Łukowski. Dom Pomocy Społecznej „Kalina", Lublin 2008, ss. 189.

Krzysztof Uniłowski: *Kup pan książkę. Szkice i recenzje*. Wydawnictwo FA-art, Katowice 2008, ss. 382.

Janusz Wszytko: *Kręte ścieżki. Fragmenty większej całości*. Wydawnictwo Bestprint, Lublin 2009, ss.113.

Katarzyna Bereta: *Człowiekowo*. Opowiadania. Wydawnictwo ASTRA, Łódź 2009, ss. 56.

Henryk Ryszard Żuchowski: *Cug, czyli śmierć nad głową*. Powieść. Polihymnia, Lublin 2009, ss. 103.

Magda Skubisz: *Lo Story*. Powieść. Prószyński i S-ka, 2009, ss. 278.

Magda Skubisz: *Dżus & Dżin*. Powieść. Prószyński i S-ka, 2009, ss. 231.

„Jahrbuch Polen". Bd. 20: *Religion*, Wiesbaden 2009, ss. 217.

bardowie

MARCIN RÓŻYCKI

Sukieneczka pozłacana

Zapisane w jasnych oczach
Że ktoś odszedł bezpowrotnie
Sukieneczka pozłacana
Oszukana stoi w oknie

Rankiem tańczy bez uśmiechu
Oczy nie od deszczu mokre
Sukieneczka pozłacana
Oszukana stoi w oknie

Na pościeli jeszcze zapach
I pragnienia tak ulotne
Sukieneczka pozłacana
Oszukana stoi w oknie

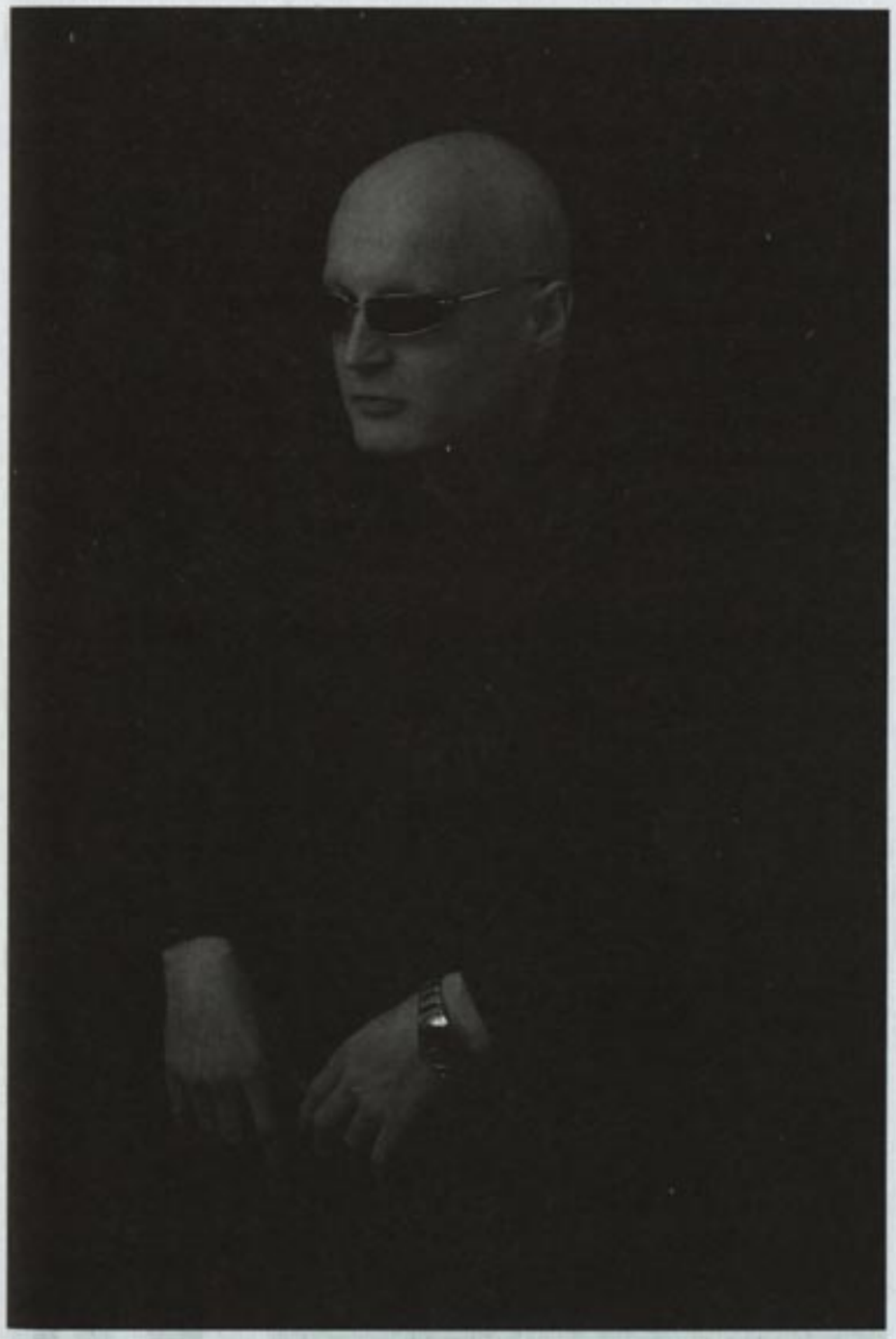

W głowie wino jak zbawienie
Pieści czule i zalotnie
Sukieneczka malowana
Oszukana tańczy w oknie

Krasnystaw

Wracam do domu
Trzy gramy złomu za serce mnie ściska
Czy mnie po pysku w formie ukłonu
Czy też kopsnie mi pyska

Samego siebie
W tej szorstkiej chwili raczej nie jestem pewien
Takie powroty
Są niewygodne bo działają jak narkotyk

Po prostu nędza
Tak tylko mruczę że mnie życie nie oszczędza
Żadnych kolorów
A bez kolorów to niewiele do wyboru
Nie jestem winien
Że mnie kolesie rozbujali na melinie
Nie na zabawie
Ale przy bardzo gorzkiej kawie w Krasnymstawie

Jestem wstawiony
Więc już od furtki dla mej żony ślę ukłony
Nieważny skutek
Ważne by nocą chociaż otrzeć się o sutek
Jak każdy facet
Nim jej wyjaśnię to wzorowo się rozpłaczę
Musi zrozumieć
Przecież inaczej nie umie

Spowiedź

Chłodny powiew młodości
Płomień świecy odświeża
Tutaj zapach miłości
Jest zapachem pacierza

Młoda pani w kolejce
Przebaczenia nie szuka
Wie, że pęknie jej serce
Nim ktoś w drewno zastuka

Goście wężem się snują
Z owocami w kieszeniach
Choć niejeden z nich splunął
Wszyscy chcą zrozumienia

Zbyt naiwna, by uciec
Zbyt odważna, by zostać
Nie wyróżnia się w grupie
Niespokojna jej postać

Pod altanę proroków
Do ślepego spojrzenia
Tam, gdzie piętno wyroku
I wyrzuty sumienia

Młoda pani jak wiosna
Niespełniona, niewinna
Mogła być już dorosła
Jednak wraca już inna

Nie mów jej wyrocznio nic
Nie da się bez grzechu żyć

Modlitwa

Pozwól że zadam ci pytanie Panie
Zanim roztrwonię resztę krwi
Jak wielkie będzie me rozczarowanie
Kiedy zapukam do Twych drzwi

Jak twarde będzie me posłanie Panie
Jeśli posłanie jakieś dasz
Jak wielkie będzie me rozczarowanie
Gdy cierń wyrzeźbi moją twarz

Po cóż grzeszników spowiadanie Panie
Kiedy podłości wszystkie znasz
Kogo poprosić mam o przebaczanie
Kiedy po trzykroć Twoja twarz

Pozwól że zadam Ci pytanie Panie
W jaką ruletkę światem grasz
Jak wielkie będzie me rozczarowanie
Gdy moje życie w zastaw dasz

Pozwól że powiem jedno zdanie Panie
Boję się iść Twą drogą gdyż
Ja chciałbym jedno jedno proste zdanie
U ciebie wszystko jest na krzyż

Dobry Boże daj odpowiedź
Jak pokorny cierpki człowiek

Śmierć

Jeśli będę mógł myśleć, to myśleć będę i tęsknić
Jeśli będę mógł patrzeć, to patrzeć będę i tęsknić
Jeśli będę mógł szeptać, to szeptać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł czekać, to czekać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł chronić, to chronić będę i tęsknić
Jeśli będę mógł kochać, to kochać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł płakać, to szlochać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł pisać, to pisać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł słuchać, to słuchać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł prosić, to prosić będę i tęsknić
Jeśli będę mógł latać, to latać będę i tęsknić
Jeśli będę mógł bać się, to bać się będę i tęsknić
Jeżeli będę mógł wrócić, to szlochać będę i tęsknić.

Ulica Okopowa

Zapach starych cegieł
Szarego podwórka

Mokra brudna trawa
Rupiecie na kółkach

Płacz małego dziecka
I starej hrabiny
Dziecka płacz do mleka
Starej do morfiny

Rude ogrodzenie
I martwa kałuża
W bramie stygnie ciało
Pijanego stróża

Śmietnik pospolity
Dom czarnego kota
Okna bez miłości
Za nimi ślepota

Moje zimne drzewo
Na nim puchacz straszy
Obok piaskownica
Tak niewiele znaczy

Modlitwa wieczorna Krystyny W.

W imię ojca i syna
Pragnę z serca całego
By Jaślarska dożyła
Tylko dnia jutrzejszego

W imię matki najświętszej
Pragnie cała ma dusza
By Jaślarskiej małżonek
Jutro już się nie ruszał

Dla ich dzieci w przytułku
Niech już miejsca nie będzie
Za co wpłacę na tacę
I dołożę w kolędzie

Sto zdrowasiek odmówię
By rodzina ich cała
Niespodzianie o świcie
Raka trzustki dostała

Niech Jaślarskich nawiedzą
Jakieś plagi nieznane
Niech lekarstwa nie będzie
Na te ścierwa jebane

W imię radia świętego
Na kolanach odpowiem
W ojcu mam dyrektora
W bogu ojca połowę

Marcin Różycki
Fot. Karolina Słomka i Dariusz Gontarz

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Pokój spokoju – ciemne lustro

Niech to będzie zaproszenie dla nas do zajrzenia w głąb tajemnicy istnienia. Tu spróbujemy odnaleźć uniwersalną sakralność, którą nosimy w sobie od momentu, kiedy przeczuwamy swoje usytuowanie w istnieniu między niebem a ziemią. Ta wszechogarniająca przestrzeń wywiera na nas presję, ale i inspiruje do twórczości i poszukiwania sensu ziemskiego trwania. Kosmos, w którym pozornie zdajemy się być zagubieni, nie jest dziełem przypadku, ma swoją logikę, mądrość i sens.

Oto pozornie niewielka kubatura, której głównym walorem są ciemność, mrok i noc pozwalające na zanurzenie się w kosmicznej przestrzeni. Tu możemy czuć się bezpiecznie, zaglądając w siebie. To takie ciemne lustro, w którym przeglądamy się bez presji negatywnego obrazu rzeczywistości.

Relacja między porowatą powierzchnią ziemi a firmamentem gwiezdnego nieboskłonu wyzwala drzemiący w nas, nieraz głęboko ukryty wymiar sensu CZASU. To on wypełnia ten pokój spokoju. W nim każdy jest tylko dla siebie i dla tego, co w nas.

To nie świątynia, ale miejsce skupienia, refleksji i CISZY. Ciszy wzmocnionej odgłosami płynącej po jednej ze ścian wody, które tworzą muzykę natury – oto archetyp kompozycji. Dzięki niemu możemy wsłuchać się w dźwięki zgodne z rytmem, który nosimy w sobie.

Szlak wędrówki, którą odbędziemy wewnątrz tej tajemnej nocy wiedzie po przeszklonej tafli. Będziemy stąpać po przeoranej ziemi, mając szansę zobaczenia się w lustrzanym odbiciu. Ziemia jest życiodajna, jej przeorana skiba zaistniała po to, by można było zasiać ziarno, którego jesteśmy rezultatem.

Nie bez znaczenia jest faktura ścian otaczających to pomieszczenie. Ma ona w pierwszym rzędzie wywołać wrażenie nieskończoności, bezkresu. Choć fizycznie napotkamy na opór materii, brak horyzontu powinien być iluzją, która nas ogarnie. Materię tych włóknistych, organicznych, ale abstrakcyjnych ścian dzielą pionowe, wąskie pasy światła (ciemnoniebieskiego), które tworzą sugestię wirtualnej świątyni. Niedosłowność tego światła, jednolitego w barwie, potwierdza moje przekonanie, że każda rzecz (obiekt, wytwór ludzki) jest na swój sposób uduchowiona, niebezpiecznie powiem: sakralna.

Wspomniana wcześniej ściana wody naprzeciw wchodzącego śle w mrok blask, w którym zwielokrotniają się osoby będące we wnętrzu. A jest to możliwe nie tylko za sprawą szklanej tafli, ale też dzięki napływającej wodzie, która dziwnie deformuje ludzkie postacie, wtapiając je w tło.

Pozostaje jeszcze obraz tego, co nad nami. Ma robić wrażenie odległego, ciemnoniebieskiego firmamentu, utkanego wielką liczbą gwiezdnych punktów różnej wielkości, świecących z różnym natężeniem. Pulsujące ciemne niebo

oświetla też delikatnie postacie wypełniające wnętrze. Ów blask, wzmocniony światłem z bocznych pasów ścian, odbija nas (uczestników tego spotkania) w głównej przedniej wodnej ścianie obiektu.

Mam wrażenie, że widz, uczestnik, obserwator, świadek tego wydarzenia opuści to miejsce z przeczuciem samopoznania, intymnej samoświadomości, ocalenia wewnętrznej tajemnicy niszczonej dziś przez presję agresywnych obrazów, które próbują nas zdobyć, pozbawiając tego, co najważniejsze – człowieczeństwa.

Leszek Mądzik

Książki nadesłane

Poezja

Wojciech Kass: *Wiry i sny.* Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2008, ss. 48.

Danuta Agnieszka Kurczewicz: *Iluminacje jesieni.* TAWA, Chełm 2009, ss. 80.

Ryszard Chojecki: *Za dużo tych lat – bez lata. Liryki podlaskie.* Towarzystwo Miłośników Podlasia, Biała Podlaska 2008, ss. 95.

Wojciech Gawłowski: *Prowincja ostrów miasta. Wiersze i poematy z trzydziestolecia 1977-2007.* Posłowie Krzysztof Kuczkowski. Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego, Ostrów Wlkp. 2008, ss. 104.

Zbigniew Bilica: *Myślnik. 303 aforyzmy z „Przekroju".* Wydawnictwo Polskie, Wołomin 2009, ss. 56.

Mirosław Leszek Iwańczyk: *Kosmiczny ogród.* Polihymnia, Lublin 2008, ss. 74.

Jacek Chlewiński: *Chwile wdzięczności.* Wydawnictwo TEST, Lublin 2008, ss. 54.

Dariusz Tomasz Lebioda: *Psalmy świetlistej chwili.* „Temat", Bydgoszcz 2007, ss. 73+2 nlb.

Ryszard Kornacki: *Dojrzewanie słowa.* Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne, Międzyrzec Podlaski 2009, ss. 127.

Ireneusz Czmuda: *Ukrzyżowanie.* Ilustracje Piotr Tymochowicz. Vanitas, Siedliszcze 2009, ss. 46.

Jerzy Lesław Ordan: *Coraz gęściej od komunikatów. Wybór z lat 1960-2006.* Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, ss. 227.

Irena Iwańczyk: *Wędrowne słowa.* Posłowie Stefania Michalska. Polihymnia, Lublin 2008, ss. 85.

Stanisław Bojarczuk: *Linie liryki. Wybór sonetów.* Z rękopisów opracował i wstępem opatrzył Józef Zięba. Polihymnia, Krasnystaw–Lublin 2008, ss. 206.

Jacek Pieńczakowski: *Transy.* Zakład Poligraficzny WISŁA, Puławy 2009, ss. 27.

Katarzyna Piątkowska: naTARCIE nie(t)AKTU. Wstęp Jan Kondrak. Klub Kultury „Eureka", Biała Podlaska 2008, ss. 59 nlb.

Na grani. Antologia wierszy łódzkich debiutantów. Wstęp Przemysław Owczarek. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Łódź 2008, ss. 117.

Odnajdę wieczność w kroplach rosy. Wydawnictwo pokonkursowe XXXVI edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Pocka. Wybór i opracowanie Donat Niewiadomski. Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Lublin 2008, ss. 97.

Dariusz Ciupiński/Katarzyna Joczyn: *Nie zawoź mnie do Stratfordu.* Wstęp Karol Maliszewski. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2009, ss. 114.

Alina Dorota Paul: *Krople nadziei.* Wstęp ks. Krzysztof Guzowski. Wydawnictwo Bestprint, Lublin 2009, ss. 107.

noty

AGNIESZKA ZIĘTEK

MIEJSCE SCHRONIENIA, MIEJSCE ODOSOBNIENIA. TECHNOLOGICZNE (HIPO)CENTRUM ŚWIATA

Po zerwaniu ojcowskiej więzi, która łączyła nas z ludzkością – żyjemy.

Jak wszyscy inni członkowie społeczeństwa, myśleli oni w głębi duszy, że rozwiązaniem wszelkich problemów – łącznie z problemami psychologicznymi, socjologicznymi, słowem, ludzkimi – może być tylko rozwiązanie typu technicznego.

Michel Houellebecq: *Cząstki elementarne*

Hipocentrum to pierwsza indywidualna wystawa lubelskiego artysty, Jakuba Kiyuca, który swoje wcześniejsze prace prezentował w ramach wystaw zbiorowych (m.in. *Transgresja wyobraźni* podczas Młodego Forum Sztuki Galerii Białej w 2007 roku czy *Odyseja 3030* na Festiwalu Filmu i Sztuki *Dwa Brzegi* w Kazimierzu Dolnym w 2007 roku). Na potrzeby tegorocznej ekspozycji niewielka przestrzeń lubelskiej Galerii Białej przeistoczyła się w rodzaj bunkra przeciwatomowego, mającego dać schronienie ocalałym ze światowej katastrofy „rozbitkom". Po wejściu do galerii znajdujemy się zatem w ciemnym, klaustrofobicznym pomieszczeniu oświetlonym wątłym światłem jedynej palącej się lampy. Surowe, zimne, wręcz złowrogie otoczenie, wypełnione technicznymi urządzeniami i narzędziami, bardziej kojarzy się ze specjalistycznym zakładem produkcyjnym aniżeli z miejscem, w którym ocalałym osobnikom przyjdzie spędzić znaczną ilość czasu, być może nawet resztę życia. To wrażenie wzmacniają porozwieszane w różnych miejscach ochronne kombinezony, maski przeciwgazowe oraz umieszczone na ścianach dwa włączone monitory.

Wystawę analizować można z różnych punktów widzenia i na kilku płaszczyznach. Po pierwsze, jest to pewna wizja świata pozostałego czy raczej powstałego po atomowej katastrofie, w którym betonowy bunkier stanowi ostatnie bezpieczne miejsce. W istocie jednak wrażenie bezpieczeństwa jest pozorne, gdyż schron wydaje się skrywać czyhające, nieuświadamiane jeszcze zagrożenie.

Instalacja może także stanowić metaforę ucieczki przed otaczającą, zmediatyzowaną i zawłaszczoną przez kulturę masową rzeczywistością. Pojawia się tu chęć odwrotu, a nawet odcięcia od rzeczywistości przeładowanej obrazami,

znaczeniami, kodami i niewiele znaczącymi symbolami. Taka oderwana od faktycznego znaczenia symbolika, w wyniku procesu bezustannego powielania, doprowadza ostatecznie do „implozji". Mamy zatem do czynienia z załamywaniem, „kurczeniem", zapadaniem i wreszcie zanikiem otaczającej rzeczywistości w otchłani bezsensu oraz pozbawionych realnych desygnatów znaczeń. Brak stałych i niezmiennych punktów odniesienia wywołuje poczucie zagubienia w nadmiarze/chaosie informacji. W tym miejscu nasuwa się jednak pytanie, czy podjęta próba ucieczki jest w ogóle możliwa do zrealizowania. Jak dalece jesteśmy w stanie uniezależnić się od współczesnej kultury masowej konsumpcji? Wydaje się, iż wizja autora jest w tym zakresie dość pesymistyczna. Świadczyć o tym mogą zarówno pojawiające się na ekranach obrazy (fragmenty znanego popkulturowego amerykańskiego serialu rysunkowego *The Simpsons*) oraz puszka coca-coli (w schronie mającym zabezpieczać nasze podstawowe potrzeby życiowe jej obecność nabiera znaczącego, wręcz symbolicznego wymiaru). O ile bowiem przed skażeniem mogą ochronić nas bunkry przeciwatomowe, specjalne kombinezony i maski przeciwgazowe, o tyle przed informacyjną popkulturową „papką" obronić się nie jesteśmy już w stanie.

Po trzecie wreszcie, medialną tudzież wirtualną rzeczywistość, opisywaną przez artystę za pomocą obrazów, kodów wyświetlanych na monitorach komputerów, interpretować można jako egzemplifikację i wyraźny znak technologicznego uwikłania współczesnej epoki, wyraz zagrożenia naszej cywilizacji. Niebezpieczeństwo jest skutkiem niezwykle silnego uzależnienia i symbiotycznego wręcz przywiązania do wysoce rozwiniętych technologii, obecnych niemal na każdym kroku w nowoczesnych społeczeństwach zachodnich. Nawet w przeciwatomowym bunkrze pojawić mogą się pewne zagrożenia. Ich symbolem jest ukazująca się na ekranie jednego z monitorów informacja o zakłóceniach działania systemu spowodowanych wykryciem komputerowego wirusa. Prawdopodobnie więc, w obliczu totalnej informatyzacji i uzależnienia od technologii, ludzkość usytuowała się na z góry straconej pozycji. Jakiekolwiek działania podejmiemy, wszechobecny system technologiczno-informacyjny będzie miał nad nami przewagę. W katalogu do wystawy czytamy: *świat w wyobrażeniu Kiyuca nie jest miejscem bezpiecznym. Następuje reakcja łańcuchowa, w której jedna rzeczywistość rozsadzana jest na rzecz drugiej równie niestabilnej*. Jak zatem zachowa się system

zainfekowany przez wirusa? Czy można zawrócić z raz obranej przez ludzkość drogi, prowadzącej do technologicznej samozagłady?

Projekt *Hipocentrum* pomyślany jest jako jedna z odsłon większej całości ukrywającej się pod nazwą *Konstrukt nr 64*. To swoista opowieść, stanowiąca fragment szerszego projektu, fabularyzowanej historii. Anda Rottenberg, kuratorka i znawczyni sztuki, pisze o fabularyzacji, iż powoduje ona sytuację, w której *narracja (...) dzieł czytana jest jako fikcja, a więc oddala podejrzenie o bezpośrednie odniesienia do rzeczywistości*[1]. W tym przypadku jest jednak nieco inaczej. Fikcyjna opowieść snuta przez artystę staje się punktem wyjścia do krytycznego spojrzenia na społeczeństwo ponowoczesne i kulturowy wymiar jego funkcjonowania. Owa fabularyzowana narracja może być postrzegana jako jeden z paradygmatów tzw. sztuki krytycznej, w Polsce rozwijającej się po transformacji ustrojowej i stanowiącej rodzaj kontestacji dokonujących się wówczas przemian. W tym szczególnym przypadku, posługując się swoistym metajęzykiem, fikcyjną, stworzoną na potrzeby sytuacji opowieścią, dokonuje autor trafnego opisu oraz analizy zjawisk otaczającego świata. Ciemne, klaustrofobiczne pomieszczenie, wbrew pozorom, ujawnia wiele z naszej codzienności.

Ograniczona przestrzeń Galerii Białej spowodowała, iż mogliśmy obejrzeć jedynie namiastkę *Konstruktu*, ostatniego miejsca schronienia. Chciałoby się jednak zobaczyć nieco więcej, popodglądać nieco dłużej dwudziestopierwszowieczną Arkę Noego, pokrążyć w ciemnych korytarzach i zaułkach w poszukiwaniu elementów układanki, śladów ostatniego człowieka. Znaleźć odpowiedź na pytanie, czy naprawdę „ojcowska więź" ze światem została zerwana?

Agnieszka Ziętek

Jakub Kiyuc: *Hipocentrum*. Galeria Biała w Lublinie, 6-25 marca 2009 r.

[1] A. Rottenberg: *Sztuka w Polsce 1945-2005*, Warszawa 2005, s. 364.

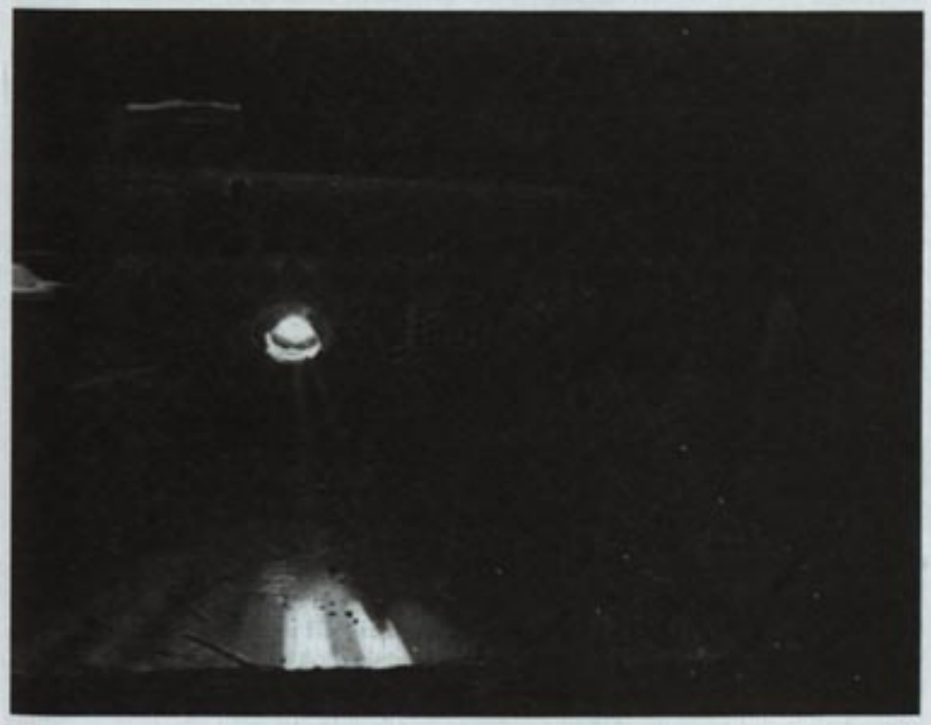

noty o autorach

Marek Danielkiewicz – ur. w 1958 w Lubartowie. Poeta, recenzent teatralny i literacki. Studiował teologię w KUL i prawo samorządowe w Instytucie Prawa PAN w Warszawie. Pracował jako nauczyciel i urzędnik. W l. 2000-2009 dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. A. Mickiewicza w Lubartowie. Debiutował tomem wierszy *Nie ma miejsca dla przyjezdnych* (1987). Ponadto opublikował: *Osobne ocalenie* (1990), *Pochwała domu* (1993), *Powrót do Pustej Doliny* (1995), *Namiętności. Notatnik teatralny i literacki* (2000), *Droga do Kozłówki* (2001), *Chłopak z prowincji* (2004). W przygotowaniu do druku tom *Pożegnanie*, w opracowaniu graficznym Arkadiusza Dereckiego. Członek Zarządu Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent".

Bohdan Dziemidok – ur. 1933 w Słominie. Jeden z najwybitniejszych estetyków polskich, wkraczający też na obszar etyki. Założyciel i kierownik Zakładu Etyki i Estetyki UMCS (1974-1983), prorektor UMCS w czasach Solidarności, następnie (1983-2005) związany z Uniwersytetem Gdańskim, gdzie m.in. pełnił funkcję dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii. Obecnie wykładowca estetyki w Wyższej Szkole Psychologii Społecznej w Warszawie. Stypendysta oraz wykładowca wielu renomowanych uczelni zagranicznych, w tym Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, Uniwersytetu Temple w Filadelfii, Uniwersytetu w Oksfordzie, Uniwersytetu Tokijskiego, Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego i Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie. Członek komitetów redakcyjnych pism: „Journal of Value Inquiry", „Philospohical Inquiry", „Acta Philosophica" „Polish Philosophical Review", „Humor". Członek Komitetu Nauk Filozoficznych PAN oraz wielu zagranicznych towarzystw naukowych, m.in. Society for Advancement of American Philosophy oraz International Association for Aesthetics. Do jego najważniejszych prac naukowych należą: *O komizmie* (1967, tłumaczona na język angielski i rosyjski), *Teoria przeżyć i wartości estetycznych w polskiej estetyce dwudziestolecia międzywojennego* (1980), *Sztuka, wartości, emocje* (1992), *Główne kontrowersje estetyki współczesnej* (2002). Spośród wielu redagowanych przez niego prac zbiorowych na szczególną uwagę zasługuje tom *On the Aesthetics of Roman Ingarden. Interpretation and Assessments* (współred. Peter McCormick), wydany przez Kluwer Academic Publishers w 1989 roku.

Márton Falusi – ur. 1983 na Węgrzech. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Loránda Eötvösa, uczestnik studiów podyplomowych filozofii prawa w Uniwersytecie Katolickim im. Pétera Pázmánya. Poeta, eseista, redaktor działu literatury zagranicznej w „Magyar Napló", redaktor działu beletrystyki w „Hitel", prezes Könyves Szövetség (obywatelskie stowarzyszenie wydawnictw), przedstawiciel Stowarzyszenia Pisarzy Węgierskich na EWC (Rada Pisarzy Europejskich) i WALTIC (Międzynarodowy Kongres Pisarzy i Tłumaczy Literatury). Autor tomów poetyckich *Hazáig látni* (2004) i *Rádnitva ablak, ajtó* (2007) oraz antologii *Az év műfordításai 2009*. Setki jego wierszy i esejów zostały opublikowane w pismach literackich i antologiach. Laureat nagród: Gérecz Attyla-díj (za najlepszy debiutancki tom poetycki roku), Móricz Zsigmond Ösztöndíj (2008), Junior Prima Díj – Magyar Irodalom Kategória (2008).

Grzegorz Filip – ur. 1958 w Lublinie. Publicysta kulturalny i muzyczny, redaktor miesięcznika „Forum Akademickie", twórca strony internetowej „Nowa Muzyka". Jest absolwentem polonistyki UMCS w Lublinie. Publikował recenzje literackie w „Akcencie", „Odrze" i „Nowych Książkach". W 1989 r. założył, wraz z innymi polonistami lubelskimi, kwartalnik literacki „Kresy", którym kierował do 1995 r. Drukował publicystykę w „Życiu" (z kropką), „Nowym Państwie", „Arcanach". W „Forum Akademickim" porusza tematy nauki i uniwersytetu w aspekcie kulturowym i historycznym. Publikuje w czasopismach muzycznych: „Glissando", „Ruch Muzyczny" oraz w „Więzi" i „Odrze". O muzyce pisał także w „Arte", „Jazz & Classics", „Rzeczpospolitej" i w witrynie „Diapazon". Mieszka w Lublinie.

Nazar Honczar – ur. 1964 we Lwowie, zmarł 21 maja 2009 r. w Użhorodzie. Ukraiński poeta, aktor i performer. Autor poematu-komiksu *Kazka-pokazka pro Bajdu-Nemowu* (1993) oraz

tomów wierszy: *Zakon wseswitnioho merechtinnia* (w: *ŁUHOSAD: poetycka ariergarda*, Lwów 1996) i *PROmeneWIST'* (Kijów 2004). Laureat nagrody Bu-Ba-Bu za najpiękniejszy wiersz 1989 r. Członek grupy literackiej ŁUHOSAD. Mieszkał we Lwowie. Wielokrotnie występował w Polsce. Jego teksty zostały opublikowane w antologii *Wiersze zawsze są wolne. Poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury*, a także w pismach „Ha!art.", „LiteRacje", „Pociąg 76" i „Pobocza" (w tłumaczeniu Anety Kamińskiej i Andrija Porytki). Stypendysta programów: Homines Urbani (2005) i Gaude Polonia (2007). W Bibliotece Nocy Poetów w 2007 r. ukazał się zbiór wierszy Nazara Honczara w przekładach Anety Kamińskiej i Andrija Porytki. Wiersze Nazara znajdą się również w antologii Anety Kamińskiej *Cząstki pomarańczy. Nowa poezja ukraińska*.

Aneta Kamińska – ur. 1976 w Szczebrzeszynie. Poetka, tłumaczka najnowszej literatury ukraińskiej. Skończyła filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, uczy cudzoziemców polskiego. Autorka tomów: *Wiersze zdyszane* (2000), *zapisz zmiany* (2004) oraz *czary i mary (hipertekst)* (2007; wersja internetowa: www.czary-i-mary.pl). Wydała również wybór przekładów wierszy Nazara Honczara: *Gdybym* (2007). Tłumaczy m.in. wiersze Iwana Andrusiaka, Marianny Kijanowskiej, Bohdany Matijasz, Jurka Pozajaka, Marjany Sawki, Marii Szuń, Oksany Zabużko oraz prozę Kseni Charczenko i Jurija Izdryka. Przygotowuje autorski tom *Cząstki pomarańczy. Antologia nowej poezji ukraińskiej*. Dorastała w Zamościu, mieszka w Warszawie.

Izabela Kawczyńska – ur. 1980 w Łodzi, gdzie mieszka i pracuje (z zawodu antykwariusz). Publikowała m.in. w „Cegle", „Odrze", „Pograniczach, „Tekstualiach". Wydała zbiór wierszy: *Luna i pies. Solarna soldateska* (2008).

Tadeusz Kłak – ur. 1932 w Porąbkach pod Kielcami. Absolwent polonistyki KUL, doktorat i habilitację uzyskał w Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor Uniwersytetu Śląskiego, od 2002 r. na emeryturze. Główne pola jego zainteresowań to poezja współczesna, zwłaszcza awangardowa oraz twórczość Józefa Czechowicza, którego liryce poświęcił osobną monografię, ogłosił też książkowo kilka wyborów jego poezji, a także szkice literackie, prozę, listy i utwory dramatyczne. Na zlecenie władz wojewódzkich w Lublinie gromadził materiały dla powstającego muzeum Józefa Czechowicza, otwartego w 1968 r. na podstawie przygotowanego przez niego scenariusza ekspozycji. Najważniejsze książki: *Czechowicz – mity i magia* (1973), *Reporter róż* (1978), *Czasopisma awangardy 1919-1939* (1978-1979), *W krajobrazie Nałęczowa* (1983, drugie wydanie zmienione i poszerzone – 2005), *Ptak z węgla* (1984), *Z Zagłębia do Starobielska. Droga Lecha Piowara* (1991), *Stolik Tadeusza Peipera. O strategiach Awangardy* (1993), *Ogród świata* (1995), *Ewa Szelburg-Zarembina 1899-1999. W stulecie urodzin* (1999), *Spojrzenia* (1999, tom szkiców o poezji Tadeusza Różewicza), *Józef Czechowicz: wiersze liryczne w układzie własnym poety* (2004), *Józef Czechowicz: wspomnienie o Norwidzie. Dom św. Kazimierza* (2004), *Opętany przez poezję. Wiersze poświęcone Józefowi Czechowiczowi* (2008).

Anna Kozak – ur. 1978 w Bytomiu. Ukończyła psychologię na Uniwersytecie Śląskim, studia podyplomowe na Uniwersytecie Jagiellońskim (Poradnictwo i pomoc psychologiczna) oraz na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza (Pomoc psychologiczna w dziedzinie seksuologii). Pracuje z osobami chorującymi psychicznie. Debiutowała w I kwartale 2005 r. na łamach „Akcentu" i „Nowej Fantastyki", autorka tomu opowiadań *Klara i anioł* (2007). Mieszka w Krakowie.

Marcin Kreczmer – ur. 1976 w Żywcu. Mieszka w Wielkiej Brytanii, pracuje jako opiekun w szkole dla dzieci z autyzmem. Miłośnik akordeonu, Hiszpanii, filozofii Indii oraz literatury podróżniczej i magicznej. Prezentowany tekst to jego debiut na łamach czasopisma literackiego.

Ilona Kula – ur. 1985 w Proszowicach koło Krakowa. Teksty publikowała m.in. w „Akancie", „Odrze", „Pograniczach", „Śląsku". Od sześciu lat mieszka w Sosnowcu.

Danuta Agnieszka Kurczewicz – ur. 1950 w Krowicy, członek Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36". Autorka tomów poetyckich: *W galaktyce czasu* (2008) oraz *Iluminacje jesieni* (2009). Publikowała w antologii *BIAŁO-CZERWONEJ* oraz w „Egerii" i „Głosie Pawłowa". Laureatka Konkursu Jednego Wiersza „Chełm w poezji" (2009). Mieszka w Chełmie.

Lechosław Łameński – ur. 1949 w Bydgoszczy. Profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie kieruje Katedrą Historii Sztuki Nowoczesnej. Redaktor działu plastyki i historii sztuki w „Akcencie" (od 1985 r.). Autor ponad 160 artykułów, recenzji, wstępów do katalogów, a także książek *Tomasz Oskar Sosnowski, 1810-1886, rzeźbiarz polski w Rzymie* (1997)

i *Stach z Warty. Szukalski i Szczep Rogate Serce* (2007). W pracach zbiorowych, publikacjach na łamach „Akcentu" i w katalogach opracowywał m.in. twórczość Zdzisława Beksińskiego, Jerzego Dudy-Gracza, Jerzego Jarnuszkiewicza, Rafała Malczewskiego, Grzegorza Mazurka, Antoniego Michalaka, Stanisława Szukalskiego, Stanisława Bałdygi, Jacka Wojciechowskiego, Tomasza Zawadzkiego, Tomka Kawiaka. Współpracował ze „Znakiem", „Biuletynem Historii Sztuki" i „Tygodnikiem Powszechnym", gdzie publikował m.in. artykuły na temat Magdaleny Abakanowicz, Edwarda Dwurnika, Jana Lebensteina, Aliny Szapocznikow.

Wojciech Ligęza – ur. 1951 w Nowym Sączu. Historyk literatury, krytyk, eseista, profesor w Katedrze Historii Literatury Polskiej XX wieku UJ, wiceprezes krakowskiego oddziału SPP. Ukończył studia na UJ pod kierunkiem prof. Kazimierza Wyki. Autor książek: *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych* (Kraków 1998), *Jaśniejsze strony katastrofy. Szkice o twórczości poetów emigracyjnych* (Kraków 2001), *O poezji Wisławy Szymborskiej. Świat w stanie korekty* (Kraków 2002). Współautor i redaktor tomów zbiorowych, m.in. *Pamięć głosów. Studia nad twórczością Aleksandra Wata* (1992), *Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny. Topika polskiej współczesnej poezji emigracyjnej* (1995), *Powroty w zapomnienie. Dekada literatury emigracyjnej 1989-1999* (2001), *Poszukiwanie realności. Literatura – Dokument – Kresy. Prace ofiarowane Tadeuszowi Bujnickiemu* (Kraków 2003), *Portret z początku wieku. Twórczość Zbigniewa Herberta – kontynuacje i rewizje* (2005). Jego rozprawy, szkice, recenzje i felietony ukazywały się m.in. w „Pamiętniku Literackim", „Ruchu Literackim", „Tekstach Drugich", „The Polish Review", „Znaku", „Akcencie", „Arce", „Dekadzie Literackiej", „Kulturze Niezależnej", „Nowych Książkach", nowojorskim „Przeglądzie Polskim", „Odrze", „Twórczości", „Tyglu Kultury".

Leszek Mądzik – ur. 1945 w Bartoszowinach w Górach Świętokrzyskich. Studiował na KUL, tytuł magistra sztuki otrzymał w Akademii Teatralnej im. Zelwerowicza w Białymstoku, a doktorat w warszawskiej ASP. Scenę Plastyczną KUL założył w 1969 r., od tego czasu zrealizował kilkanaście premier, m.in. *Ecce homo* 1970, *Wieczerza* 1972, *Ikar* 1974, *Zielnik* 1978, *Brzeg* 1983, *Wrota* 1989, *Tchnienie* 1992, *Szczelina* 1994, *Kir* 1997, *Odchodzi* 2003, *Bruzda* 2005. Jego teatr brał udział w ponad pięćdziesięciu międzynarodowych festiwalach, przywożąc z nich nagrody i wyróżnienia (np. nagroda krytyków za *Wilgoć* na festiwalu w Kairze; nagroda za reżyserię, scenografię i technikę teatralną za *Zielnik* na festiwalu w Japonii; nagroda specjalna na Festiwalu Teatralnym w USA; wyróżnienie na Światowej Wystawie Scenografii *Praskie Quadriennale* w Pradze). Autor wielu scenografii w teatrach polskich, portugalskich, francuskich i niemieckich. Prowadził zajęcia ze studentami na zaproszenie uniwersytetów i szkół artystycznych m.in. w Helsinkach, Berlinie, Amsterdamie, Waszyngtonie, San Francisco, Bonn, Hamburgu, Lyonie, Pradze, Buffalo, Rennes, Dublinie, Rydze, Poznaniu. W 1997 r. dla Teatru Telewizji wyreżyserował własną sztukę *Pętanie*. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Swoje prace prezentował m.in. w Galerii Krytyków „Pokaz" w Warszawie, w Galerii Instytutu Polskiego w Wiedniu, w Centrum UNESCO w Bejrucie, w Galerii Opery w Kairze, w Centrum Sztuki i Technik Japońskich Maanga w Krakowie, w Muzeum Lubelskim, w Galerii Sztuki Katolickiego Uniwersytetu w Santiago de Chile, w Theater-Cai w Tokio, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu, w The Saddlery Gallery w Edmonton w Kanadzie, w Muzeum Teatralnym w Warszawie. W 1986 r. założył Galerię Sztuki Sceny Plastycznej KUL, w której zrealizowano wiele wystaw wybitnych twórców kultury polskiej (por. tekst L. Lameńskiego, „Akcent" 2007 nr 1). Projektodawca Muzeum Współczesnej Sztuki Sakralnej w Kielcach; autor licznych plakatów i grafiki książkowej. Laureat wielu nagród i odznaczeń (m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Srebrny Medal „Gloria Artis", wyróżnienie specjalne Totus).

Franciszek Piątkowski – ur. 1946 w Wólce Kuligowskiej (Puszcza Pilicka). Publicysta regionalnych gazet codziennych, kierownik działów nauki, oświaty i kultury, redaktor periodyków, m.in. „Kontrastów" i „Akcentu"; twórca i redaktor naczelny „Tygodnika Wschodniego. Relacje". Przed kilkoma laty redaktor naczelny „Wiadomości Uniwersyteckich" UMCS i redaktor prowadzący pisma absolwentów UMCS „AS". Jako dziennikarz zajmował się przede wszystkim publicystyką kulturalną, krytyką teatralną oraz reportażem (laureat ogólnopolskich konkursów na reportaż, a także literackich). Od 1976 r. wykładowca szkół wyższych, m.in. w zamiejscowych wydziałach warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, w UMCS, WSD im. M. Wańkowicza, WSPiA, KUL. Od roku na etacie wykładowcy w Instytucie Filologii Polskiej UMCS. Pomysłodawca i współorganizator przedsięwzięć o charakterze dyskusyjnym, naukowym i artystycznym, m.in.: Wszechnicy Myśli Współczesnej, Wakacyjnej Akademii Kultury Studenckiej w Tykocinie, „Z Rejem do Siennicy" oraz (z Markiem Kusibą) Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego w Siennicy Różanej. Mieszka w Lublinie.

Jerzy Reuter – ur. 1956 w Bieszczadach. Prozaik i poeta, redaktor działu prozy i zastępca redaktora naczelnego w kwartalniku literacko-artystycznym „sZAFa", stały współpracownik „Gazety Krakowskiej". Pierwsze wiersze publikował w „Tygodniku Kulturalnym" w 1977 r.; prozę m.in. w „Akcencie", „Aspiracjach", „Kozimrynku", „Kurierze Galicyjskim – Lwów", „Midraszu", „New Light Times", „Polish Daily News", „Portrecie", „Przeglądzie Australijskim", „Rzeczypospolitej Kulturalnej – Londyn", „sZAFie", „Wyspie". Autor zbiorów opowiadań *Zdrada* (2007) i *Opowiadania* (2009). Mieszka w Tarnowie.

Marcin Różycki – ur. 1976 w Lublinie. Autor tekstów, kompozytor, wykonawca i poeta. Debiutował w 1997 r. w Radzyniu Podlaskim na Ogólnopolskim Festiwalu Autorskim, gdzie zdobył pierwszą nagrodę. W tym samym roku otrzymał również pierwszą nagrodę na Festiwalu Piosenki Autorskiej w Oleśnie, a w 1998 r. trzecią nagrodę na XXXIV Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie oraz nagrodę specjalną im. Wojciecha Bellona dla najlepszego autora tekstu. Rok później zdobył na tym festiwalu drugą nagrodę m.in. za piosenkę *Erotyk zza kiosku*. Na Festiwalu Ekologicznym w Józefowie na Roztoczu zwyciężył w konkursie potęgi głosu. Przez kilka lat był członkiem Lubelskiej Federacji Bardów, z którą nagrał trzy płyty: *Na Żywo w Hadesie*, *Miłość mi wszystko wyjaśniła* – poezja Karola Wojtyły oraz *Lubelska Federacja Bardów – Kazimierzowi Grześkowiakowi*. W najbliższym czasie ukaże się jego pierwsza solowa płyta *Erotyk zza kiosku* z utworami z ostatnich dziesięciu lat. Wydał tom z lirykami i opowiadaniami *Iluzjonista* (2009). Mieszka w Świdniku.

Ewelina Wejbert-Wąsiewicz – ur. 1978 w Gostyninie. Jest adiunktem w Katedrze Socjologii Sztuki na Uniwersytecie Łódzkim. Zajmuje się problematyką tabu, socjologią obrazu i sztuką kobiet. Autorka kilkunastu tekstów naukowych i publicystycznych (ogłoszonych m.in. w „Kulturze Popularnej", „Kulturze i Edukacji", „Kulturze Współczesnej", „Folia sociologica", „Zadrze", „Realia i co dalej"). Współautorka prac *Pratiques culturelles et logiques des institutions*: (2004), *Obrazy w sieci* (2008), *Interpretując fotografię. Śladami Susan Sontag* (2009). Mieszka w Łodzi.

Marek Lobo Wojciechowski – ur. 1959 w Nowym Tomyślu. Ukończył Szkoły Chorążych Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Piętnaście lat służył w garnizonie Skwierzyna, z przerwą na studia, także we Wrocławiu, na uczelni wojskowej. Wędkarz, bluesman i bilardzista. Warsztat poetycki szlifował na portalu Nieszuflada, gdzie publikuje do dzisiaj. Pisze także teksty do utworów muzycznych – w 2006 r., po zdobyciu I miejsca w ogólnopolskim konkursie na tekst do muzyki zespołu De Mono, na płycie *Siedem dni* znalazły się utwory z jego tekstami: *Nocne ćmy* i *Tak, to koniec*. Opublikował tomy wierszy: *Suplement* (2007) i *Z wędrówek po okolicy* (2007). Od 1995 r. jest emerytem wojskowym, od 1999 r. mieszka w Gorzowie Wielkopolskim.

W następnych numerach:

- Łukasz Marcińczak o prozie Andrzeja Bobkowskiego;
- Wiersze Ewy Mazur, Kazimierza Nowosielskiego, Jakuba Węgrzyna, Mateusza Witkowskiego, Władimira Britaniszskiego;
- Proza Jerzego Łyczka;
- Michael Felsenbaum: *Nocny anioł*;
- Emigracyjna odyseja w listach;
- Dwugłos o liryce Urszuli Jaros.

Dziękujemy wszystkim, którzy dokonali wpłat na działalność statutową Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent"

Pieniądze można wpłacać na konto:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent", Bank PEKAO SA, V Oddział w Lublinie
nr rachunku: 50 12401503 1111000017528667

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Dom Książki Księgarnia,
ul. Bernardyńska 8
20-109 Lublin, tel. 081 532-78-27

Salon sprzedaży „Empik"
ul. Lipowa, Galeria „Plaza"
20-024 Lublin, tel. 081 534-36-98

Lubelskie Centrum Książki
Wieniawska 3
20-071 Lublin, tel. 081 532-54-41

Księgarnia „Ezop"
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-56-15

Księgarnia Medyczna
ul. Hempla 5
20-007 Lublin, tel. 081 532-61-53

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 081 532-68-57

Księgarnia Sentencja
Krakowskie Przedmieście 41
20-076 Lublin, tel. 081 534-77-53

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. 081 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu".

Ośrodek Informacji Turystycznej
ul. Jezuicka 1/3
20-113 Lublin, tel. 081 532-44-12

Księgarnia Literacka
Plac Konstytucji 3 maja 3
10-414 Olsztyn, tel. 089 533-62-24

Księgarnia Akademicka *„LIBRA"*
ul. Unii Lubelskiej 6a
35-016 Rzeszów, tel. 017 86-25-628 w. 1120

Poznańska Księgarnia Naukowa „Kapitałka"
ul. Mielżyńskiego 27/29
61-725 Poznań, tel. 061 852-45-16

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. 022 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS"
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. 022 697-88-35

Księgarnia „Czytelnik"
ul. Wiejska 14
00-490 Warszawa, tel. 022 621-36-55

Księgarnia Wysyłkowa LEXICON
ul. Sengera „Cichego" 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. 022 648-41-23
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu".

Księgarnia im. Bolesława Leśmiana
ul. Zamenhofa 9
22-400 Zamość, tel. 084 638-61-57

Księgarnia Akademicka
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. 068 326-35-20 w. 220

Księgarnia Wydawnictw Naukowych
ul. Podwale 6
31-118 Kraków, tel. 012 422-90-57

Tu do nabycia m.in. numery:

z 2003: 1-2 – Czechowicz, Gombrowicz, Kapuściński, listy Stachury i Leśmiana, dyskusja wokół „Kontynentów"; **3** – I. B. Singer i tematy żydowskie; **4** – wiersze Frajlich, Oszajcy, Bondara, szkice o twórczości Czechowicza, nieznane malarstwo Jerzego Dudy-Gracza;
z 2004: 1-2 – Gombrowicz na Ukrainie, rozważania *Na progu Unii Europejskiej*, Czechowicz *Przeciw amerykanizacji*, Grafika K. Szymanowicza, *Lubelskie sezony Kazimierza Brauna*; **34** – *Węgrzy i o Węgrach*, Listy Witkacego do Zegadłowicza, *Fałszywa hagiografia Sienkiewicza*, szkice o Iwaszkiewiczu i Mostwin, *Mroki antyku w Gardzienicach.*
z 2005: 1 – Abp J. Życiński o J. Nowaku Jeziorańskim, wspomnienia o W. Panasie, opowiadania M. Głowińskiego, *Historia plakatu polskiego w zbiorach UMCS*; **2** – nowa proza Pawła Huelle, Ł. Marcińczak o Lublinie jako mieście pogranicza, dwugłos o *Podróżach z Herodotem* R. Kapuścińskiego, *Operetka* Gombrowicza w radiu; **3** – *Dali i „Boska komedia"*, szkice o Schulzu, Łukasiewiczu, Frajlich, Paszkiewiczu, Różewiczu; **4** – Biblia dzisiaj, *Jak Czesław Miłosz tłumaczył Apokalipsę*, kontrowersje wokół Doroty Masłowskiej, dyskusja: *Czy współczesnemu światu potrzebna jest jeszcze tzw. kultura wysoka?*
z 2006: 1 – Wiesław Myśliwski; z *Traktatu o łuskaniu fasoli*, Abp Józef Życiński o ks. Janie Twardowskim. Miłosz i Czechowicz – przyjaźń z Lublinem w tle; **2** – A. Andrzejuk: *Wnuczka Bolesława Chrobrego pierwszym polskim pisarzem*, Ł. Marcińczak o mieście Prusa i Żeromskiego, T. Kłak o Lublinie Edwarda Stachury; **3** – wiersze Jacka Dehnela, Uty Przyboś i Wasyla Machno; P. Malczewska o prozie flamandzkiej; **4** – wywiad rzeka ze Zdzisławem Beksińskim; szkice o Myśliwskim, Witkacym, Dąbrowskiej; opowiadania W. Danyłenki; płyta CD z głosami Beksińskiego, Myśliwskiego, Zadury.
z 2007: 1 – *Schulz, Drohobycz, pogranicze*; **2** – proza M. Głowińskiego i M. Czornyja, Rabizo-Birek o Lipskiej, Wróblewski o Młynarskim, płyta CD z głosem R. Kapuścińskiego i piosenkami W. Młynarskiego; **3** – Marcińczak o lubelskich nekropoliach, Leszczyńska-Pieniak o artystach w Zamościu, wiersze Wichy-Wauben o arcydziełach malarstwa; **4** – Czermińska, Mikołajewski i Pisarek o twórczości R. Kapuścińskiego.
z 2008: 1 – wiersze B. Zadury i T. Chabrowskiego, proza J. Łukasiewicza, szkice o poezji Kapuścińskiego i o Polakach w Paryżu; **2** – A. Kochańczyk o dziennikach Iwaszkiewicza, szkic o rzeźbach Zamoyskiego, wiersze A. Niewiadomskiego i M. J. Kawalki; **3** – *Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof* (m.in. A. Boniecki, W. Oszajca, J. Pasierb, B. Taborski, J. Życiński, J. Tischner) + suplement *Wiersze* U. Jaros; **4** – nowa poezja ukraińska, J. Święch o współczesnej biografistyce, piosenki J. Kondraka, Tomek Kawiak – artysta niespokojny + suplement poetycki *I jeszcze dalej* W. Sołtysa.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się także zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu".

„Akcent" można kupić m.in. w salonach prasowych „Ruch" S.A.:

Białystok	Słonecznikowa 9	Puławy	Centralna
Bydgoszcz	Fordońska 141	Radom	Toruńska 1/3
Bydgoszcz	Magnuszewska 6	Ruda Śląska	Solidarności
Ciechanów	Warszawska 62	Rybnik	Maksymiliana
Częstochowa	Monte Casino 10	Rzeszów	Podwisłocze 6
Elbląg	1-go Maja	Rzeszów	Zygmuntowska 10
Gdańsk	Złota Brama	Słupsk	Banacha
Gdynia	Starowiejska 29/35	Sopot	3-go Maja
Jelenia Góra	pl. Ratuszowy 26	Starogard Gd.	Hallera 36/17
Kalisz	Narutowicza 1	Szczecin	Plac Hołdu Pruskiego 8
Katowice	Dworzec PKP – hol główny	Szczecin	Narutowicza 13e
Katowice	Wojciecha	Świdnik	Al. Lotników Polskich
Kętrzyn	Powstańców Warszawy	Tarnów	Krakowska 33
Kielce	Grunwaldzka	Tarnów	Plac Kazim. Wielkiego 4
Kielce	Paderewskiego „RONDO"	Tczew	Saperska
Kołobrzeg	Mariacka 18	Tomaszów Maz.	Jerozolimska 23
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Toruń	Fałata 92
Kraków	Aleja Pokoju 5	Toruń	Grudziądzka 45
Kraków	Andersa 9	Toruń	Mikołaja Reja 45
Kraków	Bracka 7	Toruń	Rynek Staromiejski
Kraków	Dobrego Pasterza 127	Tychy	Bielska
Kraków	Gronostajowa 7	Wałbrzych	Armii Krajowej 7
Krosno	Pużaka 49	Warszawa	Al. Jana Pawła 82 – Arkadia
Legnica	Wrocławska	Warszawa	Al. Jerozolimskie 33
Leszno	Rynek	Warszawa	Dobra 56/66
Lublin	Krakowskie Przedmieście	Warszawa	Grójecka 26
Łódź	Dąbrowskiego 60	Warszawa	Rembelińska 6
Morąg	3 Maja 5	Włocławek	Promienna 9
Mrągowo	Królewiecka	Wrocław	Kościuszki 11
Nałęczów	Armatnia Góra 2	Wrocław	Mikołaja Reja 47
Nowy Sącz	Nawojowska 1	Wrocław	Plac Legionów 17
Nowy Targ	Sobieskiego	Wrocław	Plac Świętego Macieja
Oleśnica	Rynek 29	Wrocław	Skarżyńskiego – Lotnisko
Olkusz	Składowa 9	Wrocław	Świętego Wincentego 12
Olsztyn	1 Maja	Wrocław	Piłsudskiego 66
Opole	Ozimska	Zabrze	Plac Autobusowy
Piotrków Tryb.	Armii Krajowej 14	Zakopane	Nowotarska
Poznań	Głogowska 29	Zamość	Peowiaków
Poznań	Stary Rynek 83	Zielona Góra	Bohaterów Westerplatte
Puławy	Piłsudskiego 27	Zielona Góra	Jedności

„Akcent" sprzedawny jest także w salonach „Kolpoltera" S.A.

Białystok	Henryka Sienkiewicza 81/3	Pułtuska	3 Maja 15
Dęblin	Wiślana 34	Radomsko	Przedborska 6
Jarocin Poznański	Wrocławska 13	Siedlce	Piłsudskiego 32
Lublin	Narutowicza 53	Skierniewice	Dworcowa 1
Ostróda	Czarnieckiego 13A	Słupsk	Nowobramska 1 i 1A
Poczesna	Krakowska 10	Warszawa	Sobieskiego/Nałęczowska
Pułtusk	Jana Pawła 5/25	Włocławek	Barska

Regularne otrzymywanie „Akcentu" zapewnia prenumerata!

Najlepsi pisarze i krytycy

Biblioteka Narodowa

– poleca –

twórczość

Najstarszy polski miesięcznik literacki. Przedstawia współczesną prozę, poezję i krytykę literacką. Uczestniczy w przemianach polskiej literatury.
tel. (022) 627 15 31, tel./fax 628 95 07
e-mail: tworczosc@bn.org.pl

NOWE KSIĄŻKI

Miesięcznik - od ponad półwiecza niezastąpione źródło wiedzy i opinii o książkach. Recenzje, wywiady, sylwetki pisarzy, publicystyka, bibliografia, zapowiedzi wydawnicze.
tel. (022) 826 68 60, tel./fax 826 68 39
e-mail: noweksiazki@wp.pl

Dialog

Miesięcznik poświęcony dramaturgii współczesnej teatralnej, radiowej i telewizyjnej.
tel. (022) 608 28 80, 608 28 81
tel./fax 608 28 82
e-mail: dialog@bn.org.pl, www.dialog.waw.pl

ruch muzyczny

Najstarsze i jedyne czasopismo poświęcone życiu muzycznemu, twórczości i myśli o muzyce
[20 numerów w roku].
tel. (022) 608 28 70, 608 28 71, tel./fax 608 28 72
e-mail: ruchmuzyczny@onet.pl
www.muzyka.onet.pl/klanyka

LITERATURA na świecie

Miesięcznik - jedyne pismo od lat ukazujące wszystko, co ze współczesnej literatury światowej znać warto.
tel. (022) 827 47 91, tel./fax 828 04 98
e-mail: litnasw@free.art.pl

НОВАЯ ПОЛЬША

Nowaja Polsza - miesięcznik. Jedyne pismo o Polsce w języku rosyjskim. Bogaty wybór publicystyki autorów polskich i rosyjskich. Przekłady niezmarnych w Rosji utworów polskiej poezji i prozy.
tel. (022) 608 25 05, 608 27 95
tel./fax 608 27 90, 608 25 05
e-mail: nowpol@bn.org.pl, www.nowpol.ru

odra

Miesięcznik szeroko prezentujący społeczną i artystyczną współczesność, forum krytycznej refleksji humanistycznej. Polska i świat, historia i możliwa przyszłość.
tel. (071) 344 77 37, tel./fax 343 55 16
e-mail: odra@odra.art.pl, www.odra.art.pl

a akcent

Żywo redagowany kwartalnik poświęcony literaturze i innym dziedzinom sztuki w kontekście najnowszych osiągnięć myśli humanistycznej. Ukazuje się od 1980 roku w Lublinie.
tel./fax (081) 532 74 69
e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl
www.akcent.glt.pl

TEATR

Miesięcznik poświęcony teatrowi współczesnemu. Omówienia najnowszych premier w Polsce i za granicą, teksty krytyczne, eseje, komentarze.
tel. (022) 692 88 19, tel./fax (022) 692 88 18
e-mail: teatr@bn.org.pl

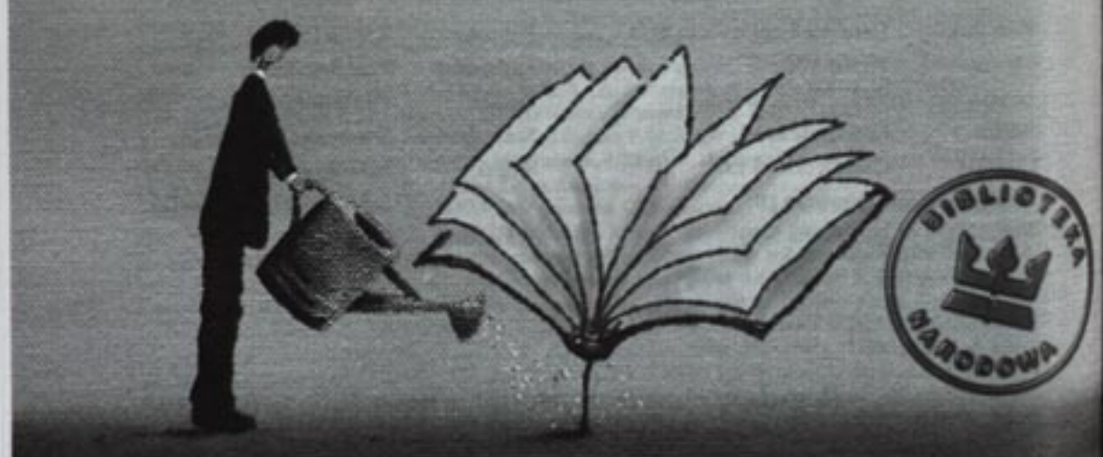

Zakład Wydawniczy Czasopism Patronackich

02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213, tel.(022) 608 23 74; tel./fax (0-22) 608 24 8